

KTO CZAI SIĘ PO DRUGIEJ STRONIE EKРАНU?  
NIEPOKOJĄCY THRILLER PSYCHOLOGICZNY

# NAJPIERW

*Lottie Moggach*

# MNIE

# POCAŁUJ



*Lottie Moggach*

NAJPIERW  
MNIĘ  
POCAŁUJ

Przełożyła  
KATARZYNA KARŁOWSKA



DOM WYDAWNICZY REBIS

*Dla mamy i Kita*

To był późny piątkowy wieczór, mniej więcej dziewiąty tydzień projektu. Tess mówiła normalnym głosem, ale widziałam, że wcześniej płakała, a jej pociągła twarz była blada. Przez pierwsze kilka minut rozmowy wzrok miała wbity w sufit i wspierała głowę o ścianę za łóżkiem. A potem ją wyprostowała i spojrzała prosto do kamery. Nigdy wcześniej nie widziałam u niej takich oczu: pustych i jednocześnie przerażonych. Mama też czasami miewała taką twarz, już pod koniec.

– Boję się – powiedziała.

– Czego? – spytałam głupawo.

– Kurewsko się boję – powtórzyła i wybuchła płaczem.

Nigdy dotąd nie płakała przede mną; powiedziała mi nawet pewnego razu, że rzadko płacze. To była jedna z tych cech, które miałyśmy wspólne. Potem siąknęła nosem, przetarła oczy wierzchem dłoni i już wyraźniejszym głosem zapytała:

– Rozumiesz?

– Oczywiście – odpowiedziałam, chociaż niezupełnie wiedziałam, o co jej chodzi.

Przez chwilę znowu patrzyła prosto do kamery.

– Mogę cię zobaczyć?

Najpierw pomyślałam, że pyta, czy możemy się spotkać. Próbowałam jej przypomnieć o naszej umowie, że spotkania nie wchodzą w grę, ale weszła mi w słowo:

– Włącz swoją kamerę.

Milczałam.

– Uważam, że lepiej jednak nie – odparłam w końcu.

– Chcę cię widzieć – nalegała Tess. – Ty mnie widzisz.

Patrzyła prosto do kamery, jej łyzy prawie zdążyły wyschnąć. Uśmiechnęła się słabo, a ja poczułam, że mięknę. Trudno było się oprzeć i

już chciałam powiedzieć „OK, niech będzie”, ale ostatecznie się nie zgodziłam.

– Moim zdaniem to nie jest dobry pomysł.

Patrzyła na mnie jeszcze chwilę. Po czym wzruszyła ramionami i znowu wbiła wzrok w sufit.

Będę w tym miejscu uczciwa: nie chciałam, żeby Tess mnie zobaczyła, mogłam przecież nie spełniać jej oczekiwań. Wiem, nie jestem w tej kwestii racjonalna: no bo jak mnie sobie wyobrażała i czy to miało jakieś znaczenie? Ale ja obejrzałam jej twarz naprawdę dokładnie, poznałam wszystkie niuanse tego, co wyrażała, i nie mogłam znieść myśli, że gdybym włączyła kamerę, to być może zobaczyłabym pojawiające się na niej rozczarowanie, choćby tylko przelotne.

Tess wciąż wpatrywała się w ten sufit i nagle powiedziała:

– Ja tego nie mogę zrobić.

– Ależ możesz.

Przez dobrą minutę nic nie mówiła, a potem nietypowym dla niej potulnym tonem poprosiła:

– Możemy już skończyć na dzisiaj? Tak będzie OK?

I nie czekając na odpowiedź, zakończyła połączenie.

Przyznaję, że tę szczególną rozmowę odtwarzałam później w głowie kilka razy.

Mogę tylko powiedzieć, że mówiłam to, co wtedy wydawało się właściwe. Tess była przybita, więc ją pocieszałam. Wydawało się absolutnie naturalne, że się boi. A kiedy rozmawialiśmy następnego dnia, wróciła do stanu, który na tym etapie był „normalny” – spokojna, uprzejma i wyobcowana. Tamten incydent nie został przywołany.

Kilka dni później znowu spojrzała w kamerę i postukała palcem w obiektyw, jak to miała w zwyczaju.

– Dostałaś już wszystko, czego ci trzeba?

Zakładałam, że pozostaniemy w kontakcie aż do ostatniej chwili. Ale wiedziałam też, że to się będzie musiało skończyć.

Powiedziałam więc:

– Tak. Raczej tak.

Pokiwała głową, jakby coś sobie potwierdzała, i odwróciła wzrok. W tym momencie, zdając sobie sprawę, że widzę ją ostatni raz, poczułam nieoczekiwany, silny napływ adrenaliny i jeszcze coś podobnego do smutku.

– Nie wiem, jak ci dziękować – odezwała się po dłuższym milczeniu. I dodała: – Żegnaj.

Spojrzała do kamery i wykonała gest przypominający wojskowy salut.

– Żegnaj – odpowiedziałam. – Dziękuję ci.

– Za co mi dziękujesz?

– Nie wiem.

Przeniosła spojrzenie na coś poniżej, może na swoją nogę, może na łóżko. A ja patrzyłam na jej długi, płaski nos, na krzywą policzka, na maleńkie kreseczki zmarszczek wokół ust, takie podobne do rzęs.

A potem zadarła głowę, pochyliła się do przodu i wyłączyła kamerę. I to było na tyle. Nasza ostatnia rozmowa.

## Środa, 17 sierpnia 2011

Tu nie ma Internetu, nawet przez modem telefoniczny.

Nie przewidziałam, że nie uda mi się wejść do sieci. Oczywiście sprawdzałam zawczasu, ile się dało, ale komuna nie posiada strony internetowej, a gdzie indziej znalazłam niewiele praktycznych informacji oprócz wskazówek, jak tu dojechać. Było tylko kilka bezużytecznych komentarzy na forach, głównie typu: „Ach, uwielbiam to miejsce, sam spokój i piękno”. Wiem, że komuny to miejsca dla osób, które pragną „powrotu do natury”, ale na ile rozumiem, ludzie w nich także żyją i pracują na mniej lub bardziej stałych zasadach, dlatego zakładałam, że jakoś tu umożliwiają logowanie się do sieci. Jakkolwiek by było, Hiszpania to kraj rozwinięty.

Wiem, że Tess musiała się wyprawić w jakieś odludne miejsce, ale żeby na wysokość trzech czwartych górskiego zbocza, bez słupa telefonicznego w zasięgu wzroku? Kompletnie bez sensu. Dlaczego z wszystkich miejsc na świecie wybrała akurat to na spędzenie ostatnich dni życia?

Przyznaję jednak, że lokalizacja wcale nie jest taka nieprzyjemna. Rozbiłam namiot na polanie, z której rozciągają się rozległe widoki na dolinę. Okoliczne góry są ogromne, w najrozmaitszych odcieniach zieleni, błękitu i szarości, zależnie od tego, z jak daleka się na nie patrzy. U ich podnóża płynie wąska, srebrna rzeka. Najwyższe szczyty pokrywają czapy ze śniegu: niepojęty widok przy tym upale. Właśnie zapada wieczór, niebo ciemnieje do barwy tajemniczego, mglistego błękitu.

Jest tu kobieta ubrana jak elf, w top odsłaniający brzuch i sandały sznurowane do kolan. A inna ma ogniście rude włosy skręcone po bokach głowy w coś na kształt rogów. Mnóstwo mężczyzn nosi długie włosy i brody, a kilku paraduje w dziwnych, takich jakby księżych szatach.

Tak czy owak większość przypomina ludzi, którzy zebrzą przy bankomatach na Kentish Town Road, tyle że ci tutaj są niesamowicie

opaleny. Myślałam, że nie będę się specjalnie odróżniała od reszty – mama często mówiła, że mam włosy jak hipiska, bo z przedziałkiem na środku i niemal sięgające do pasa – a jednak czuję się w tym miejscu jak gość nie z tej planety.

Mało kto coś tutaj robi, tak to wygląda. Na ile się orientuję, ci ludzie po prostu grzebią w ogniskach i parzą herbatę w brudnych rondlach, względnie grają na bębnach albo konstruują jakieś nieokreślone przedmioty z piór i sznurków. Mało co w tym wszystkim jest „komunalne”, oprócz wspólnego pragnienia, żeby mieszkać nędznie za darmo. Stoi tu kilka namiotów podobnych do mojego, ale większość ludzi sypia chyba po prostu w swoich sfatygowanych vanach z krzykliwymi malunkami na karoseriach albo w skonstruowanych z kawałów folii i prześcieradeł szałasach wśród drzew. Wszyscy palą papierosy i wygląda na to, że obowiązkowe jest posiadanie psa, po którym nie sprząta się odchodów. Musiałam zużyć połowę swojego zapasu chusteczek odświeżających, żeby wyczyścić kółka walizki.

Jeśli idzie o udogodnienia sanitarne, to byłam przygotowana, że okażą się prymitywne, ale przeżyłam szok, kiedy zaprowadzono mnie do miejsca za kępą drzew, przy którym stał słupek z tabliczką „Sralnia”. Po prostu dół w ziemi, bez żadnej deski i papieru toaletowego, a kiedy się zajrzało do środka, to widać było odchody innych ludzi. Obiecałam sobie – po mamie – że już nigdy nie będę miała do czynienia z cudzymi ekskrementami, i dlatego zdecydowałam, że wykopię własny dołek w pobliskich krzakach.

Oczywiście każdy ma prawo żyć, jak chce, dopóki nie robi nic złego drugiemu człowiekowi. Ale żeby tak?

Jeszcze w Londynie byłam prawie pewna, że ona przyjechała tu właśnie. Wszystko na to wskazywało. Teraz zaczynam mieć wątpliwości.

Niemniej, jak już raz powiedziałam sobie, że przyjadę tu na tydzień, żeby się rozpytać, to zrobię to. Od jutra zacznę pokazywać ludziom jej zdjęcie. Przygotowałam sobie historyjkę, że to moja przyjaciółka, która tu mieszkała zeszłego lata i z którą straciłam kontakt, ale jestem przekonana, że ona gdzieś tu jest w okolicy. I w zasadzie nie jest to kłamstwo. Po prostu nie będę dodawała, że szukam dowodu na to, że rzeczywiście umarła.

Dochodzi wpół do dziesiątej wieczorem, a upał wciąż straszny.



Oczywiście sprawdziłam zawczasu, jakie tu panują temperatury, ale nie byłam do końca przygotowana na to, jak się człowiek czuje w trzydziestu dwóch stopniach. Muszę stale wycierać dłonie ręcznikiem, żeby nie zawilgocić klawiatury.

W sierpniu zeszłego roku, kiedy Tess tu przyjechała, było jeszcze goręcej. Trzydzieści pięć stopni: sprawdziłam. Ale ona lubiła upały. I wyglądała jak ci ludzie stąd, też miała takie sterczące łopatki. Kto wie, może nosiła taki sam kusy top jak kobieta-elf – miała przecież takie rzeczy.

Odsunęłam klapę namiotu i widzę teraz wysyp gwiazd oraz księżyc, który świeci prawie tak jasno jak ekran mojego laptopa. W obozowisku zrobiło się cicho, jeśli nie liczyć brzęczenia owadów i – wydaje mi się, a wręcz mam nadzieję – dźwięku generatora pracującego gdzieś blisko. Jutro dojdę do tego, co to jest. Mam wprawdzie zapasową baterię do laptopa, ale będę potrzebowała prądu.

A to dlatego, że podczas pobytu tutaj będę spisywała sprawozdanie z wszystkiego, co się dotąd wydarzyło.

Pomysł zaczerpnęłam od Tess. Jedną z pierwszych rzeczy, które mi przysłała, był jej „życiorys” napisany kiedyś tam na życzenie psychiatry. Zawierał wprawdzie pewną ilość przydatnych informacji, ale tak jak wszystko, co robiła Tess, był też pełen dygresji i niespójności, a zawarte w nim fakty zaciemniały retrospektywne emocje. To moje takie nie będzie. Chcę po prostu spisać prawdę. Opowiedziałam trochę policjantom, ale nie znają pełnego obrazu. A wydaje mi się, że powinien powstać jakiś jednoznaczny dokument.

Są pewne rzeczy, o których nikomu nie opowiadałam, jak na przykład sprawa z Connorem. Nie żebym miała komu opowiedzieć. I nie przypuszczam, by policja była jakoś szczególnie zainteresowana. A poza tym, nawet gdybym miała komu opowiedzieć, to chyba nie byłabym w stanie. Za każdym razem, gdy nachodziła mnie jakaś myśl o nim, to znaczy o Connorze – czyli dość regularnie, nawet w samym środku załatwiania sprawy z policją, nawet wtedy, kiedy myślałam, że pójdę do więzienia – było tak, jakbym miała na nią alergię. Przez chwilę czułam się strasznie chora, a potem mój umysł odrzucał taką myśl, jakby starał się mnie chronić przed

towarzyszającymi jej silnymi emocjami.

Nie mam jeszcze pewności, co z tym zrobię. Raczej nic. Na pewno nie zamieszczę tego w sieci. Wiem, że to jest coś, co my, „młodzi ludzie”, powinniśmy robić, do mnie to jednak nigdy nie przemawiało. Dobrowolne udzielanie informacji, o które nikt nie prosił, w oparciu o przekonanie, że inni mogą się interesować cudzym życiem, wydaje się czymś bezsensownym i niegrzecznym. Oczywiście na Czerwonej Pigułce prezentowaliśmy nasze opinie, ale to było co innego. Tam odbywały się racjonalne dyskusje na tematy filozoficzne, nikt nie wylewał z siebie wszelkich przypadkowych rzeczy, jakie przychodziły nam do głowy. To prawda, że niektórzy ludzie wykorzystywali serwis jako swoisty konfesjonał, zamieszczając posty z długimi relacjami ze swoich „podróży” i o tym, jakie mieli potworne dzieciństwo, bo w ten sposób znajdowali niby ujście dla swojego gniewu. Ale ja nie z tego powodu tam dołączałam. Ani razu nie powiedziałam nic osobistego. Zdaje się wręcz, że oprócz Adriana nikt nie wiedział, ani w jakim jestem wieku, ani nawet że jestem dziewczyną.

Tak więc na samym początku pragnę zaznaczyć, że nieprawdą jest, jakoby Adrian „polował” na osoby „słabe” i „wyizolowane społecznie”. Diana, policyjna psycholożka, też stale o tym mówiła, rozdmuchując sprawę śmierci mojej mamy i tego, że mieszkałam samotnie. A ja przecież, po pierwsze, znalazłam ten serwis, gdy mama nie żyła już od prawie trzech miesięcy, i po drugie, to nie było tak, jakobym w ogóle nie podchodziła do komputera, kiedy ona jeszcze żyła. To prawda, że moja aktywność w sieci znacznie wzrosła po jej śmierci, ale można chyba uznać, że to naturalna konsekwencja nadmiaru wolnego czasu.

Jest możliwe, że gdyby mama żyła, sprawy nie potoczyłyby się dokładnie tak, jak się potoczyły, ponieważ nie pozwoliłaby mi jechać tamtego dnia do Hampstead Heath na spotkanie z Adrianem. Ale kto wie, czy bym jej nie okłamała? Mogłam w końcu powiedzieć, że wybieram się na badanie oczu, albo wymyślić jakąś inną wymówkę, która usprawiedliwiłaby kilkugodzinne wyjście z domu. Nie miałam w zwyczaju jej oszukiwać, ale jedną z lekcji, jakie wyciągnęłam z tego doświadczenia, jest to, że czasami trzeba ukryć prawdę na rzecz wyższego dobra.

Dlatego więc nie sposób dojść, czy zadałabym się z Adrianem i Tess, gdyby mama wciąż żyła. Nie ma zatem sensu spekulować.

A co do „wyizolowania społecznego”: to prawda, że po jej śmierci i swojej przeprowadzce do Rotherhithe rzadko się z kimś spotykałam. Mama i ja mieszkałyśmy przez całe życie w tym samym domu w Kentish Town, a w moim nowym sąsiedztwie nie mieszkał nikt znajomy. Nie miałam pojęcia, że Rotherhithe istnieje, zanim się przeprowadziłam do tej dzielnicy. Kiedy Diana dowiedziała się o tym, najwyraźniej uznała, że to istotne, i spytała, dlaczego z rozmysłem przenieśliśmy się w tak oddalone miejsce. Ale to wcale nie było z rozmysłem; trafiłam tam przez przypadek.

Kiedy mamie powiedziano, że został jej tylko rok życia, stwierdziłyśmy, że będziemy musiały sprzedać dom i kupić mi mieszkanie, do którego się przeprowadzę, gdy ona umrze. Wszystko z przyczyn finansowych. Dom był obciążony olbrzymią hipoteką, do tego dochodziło zadłużenie na kartach kredytowych, i mimo że opiekowałam się nią do spółki z pielęgniarką środowiskową, która przychodziła codziennie, żeby podawać jej lekarstwa, wszystko wskazywało na to, że będziemy musiały wynająć dla mamy kogoś prywatnie na te ostatnie miesiące. Jej stwardnienie rozwijało się w błyskawicznym tempie, a to oznaczało, że niebawem trzeba ją będzie podnosić z łóżka i sadzać na toalecie, czego ja nie byłabym w stanie robić w pojedynkę. Poza tym wiadomo było, że w przyszłości będę musiała zdobyć jakąś pracę, a ponieważ nie miałam żadnych studiów, stwierdziłyśmy, że zrobię kurs korespondencyjny z testowania programów komputerowych. Mama miała znajomą, której syn, Damian, właśnie założył firmę testującą programy, i załatwiła mi, że będę u niego pracowała jako freelancerka, pod warunkiem że ukończę ten kurs. Miałam się uczyć przez trzy godziny dziennie, żeby zdobyć te kwalifikacje, a więc doszedł kolejny powód, by kogoś zatrudnić do pomocy.

Razem z mamą wszystko przeliczyłyśmy i doszłyśmy do tego, ile nam zostanie na moje mieszkanie. Jak się okazało, niewiele. Kentish Town było za drogie, dlatego szukałyśmy w dzielnicach położonych dalej, ale i tak jedyne mieszkania, na które mogłybyśmy sobie pozwolić, okazywały się nie do przyjęcia: same dawne lokale komunalne na najwyższych piętrach przerażających wieżowców, wględnie takie coś jak to przy North Circular,

brudnej, sześciopasmowej szosie, przy której dawniej z mamą wsiadałyśmy do autobusu, kiedy chciałyśmy jechać do centrum handlowego. Często nawet nie wchodziłam do środka, tylko mówiłam agentom z biur nieruchomości, że już zobaczyłam, ile trzeba.

W domu opowiadałam mamie o tym, co widziałam, a ona głośno wzdychała, słuchając opisów brudnych wykładzin w korytarzach albo o samochodzie stojącym na cegłach przy podjeździe. Penny, kobieta, którą zatrudniłyśmy w charakterze opiekunki mamy, podsłuchiwała te nasze rozmowy i pewnego dnia zadarła głowę znad ogłoszeń z rynku nieruchomości w swoim „Daily Express”.

– Tu piszą, że w Rotherhithe i okolicach zdarzają się prawdziwe okazje – powiedziała, akcentując ostatnie dwa słowa, jakby w życiu nie słyszała takiej frazy. – Wszystko przez olimpiadę.

Zignorowałam ją. Była głupią kobietą, wiecznie wygłaszającą banalne spostrzeżenia i guzdrającą się przy swoim lunchu; prędko nauczyłam się udawać, że jej nie ma. A jednak nie przestawała się wtrącać i na okrągło gadała o tym Rotherhithe. W końcu mama i ja zgodziłyśmy się, że pojedą obejrzeć tam jedno mieszkanie, na które nas było stać. Żeby wreszcie uciszyć Penny.

Mieszkanie mieściło się na pierwszym piętrze nad indyjską restauracją przy Albion Street, tuż za tunelem Rotherhithe. Na fasadzie wisiała ogromna tablica z (bezpodstawnym) stwierdzeniem, że jest to lokal, gdzie podają „najlepsze curry w Rotherhithe”. Albion Street była mała, ale wiele się na niej działo; nastoletni rowerzyści spychali z wąskiego chodnika ludzi, którzy wyszli na zakupy, a z zakładu fryzjerskiego łomotała głośna muzyka. Okna w pubie na rogu zostały przesłonięte flagami amerykańskimi, dlatego z ulicy nie było widać, jak jest w środku, ale na zewnątrz wystawali mężczyźni, którzy pili piwo i palili, chociaż była dopiero trzecia po południu. Kiedy odszukałam frontowe drzwi do mieszkania, zauważyłam od razu, że farba na nich lśni od tłuszczu, a na schodku poniżej leżą resztki pudełka ze smażonym kurczakiem i kupka w połowie ogryzionych kości.

Wszystko to było bardzo odstręczające, ale ponieważ pokonałam taki kawał drogi – z Kentish Town jechałam metrem dobrą godzinę –

stwierdziłam, że przynajmniej rzucę okiem do środka.

Nikt tam ewidentnie nie mieszkał od jakiegoś czasu; drzwi stawiły opór przy otwieraniu, bo leżała za nimi wielka sterta poczty. Wchodząc, poczułam silną woń cebuli.

– Tak jest tylko przez kilka godzin po południu – zapewnił mnie agent z biura nieruchomości. – Wtedy zaczynają gotować to swoje curry.

Najpierw zaprowadził mnie do nijakiej sypialni, a potem do kuchni. W szczegółach oferty wymieniono „ustronny” taras na dachu, który okazał się kawałem asfaltu pod oknem, z którego rozciągał się widok na podwórko za restauracją. To podwórko służyło wyraźnie za wysypisko śmieci i było pełne baniaków po oleju do smażenia i słoików po Nescafé przemysłowych rozmiarów. Z pęknięcia w betonie wyrastał jakiś samotny krzak. Kiedy agent prowadził mnie z powrotem przez wąski korytarz, sunął po ścianie swoimi kluczami od samochodu, pozostawiając w miękkim tynku dwie bruzdy.

Na końcu weszliśmy do pokoju od frontu. Panował w nim mrok, mimo że dzień był słoneczny. Zorientowałam się, że to dlatego, że całą dolną połowę okna przesłaniał szyld restauracji, blokując dostęp światła.

Postaliśmy chwilę w tym mroku, po czym powiedziałam, że chcę już iść. Agent nie sprawiał wrażenia zdziwionego. Kiedy zamykał frontowe drzwi na klucz, rzucił:

– Cóż, przynajmniej nie trzeba daleko chodzić, jeśli się ma ochotę na curry.

Nie odpowiedziałam. Kiedy jednak wracałam już metrem, przyszło mi na myśl, że właściwie ten komentarz był dowcipny, i dlatego po powrocie do domu powtórzyłam go mamie.

Oczywiście chciałam pobudzić ją do śmiechu. Albo przynajmniej uśmiechu; wtedy już cały czas była podłączona do respiratora. A ona zamiast się uśmiechnąć, powiedziała głosem Dartha Vadera:

– To sympatycznie.

– Co? – spytałam.

– Przydatne – odparła. – Jak ci się nie będzie chciało gotować. W

gotowaniu nigdy nie byłaś najlepsza.

Nie takiej reakcji się spodziewałam. To, co powiedziałam, miało zabrzmieć humorystycznie, bo przecież nie jadam nic pikantnego. O to chodziło. W wieku jedenastu lat zjadłam curry z kurczaka u mojej koleżanki, Rashidy, a potem zrobiłam się cała czerwona i wymiotowałam. Mama musiała po mnie przyjechać.

Nie jestem z tego dumna, ale przyznam, że się wtedy zezłościłam. Pamiętam, że patrzyłam się na nią, z tym respiratorem umocowanym na twarzy, z rurkami wsadzonymi do nosa, i naszło mnie to idiotyczne spostrzeżenie, że rurki zamiast pomagać w życiu, tak naprawdę wysysają jej komórki z mózgu, robiąc z mamy pustą skorupę.

– Nienawidzę curry! – odparowałam, a potem dodałam głośniej: – Wiesz przecież! Nie pamiętasz, jak się rozchorowałam u Rashidy, do cholery?

Normalnie nie przeklinałam, a już z pewnością nie przy mamie, więc to nieźle ilustruje, jak bardzo się zdenerwowałam. Pamiętam, że Penny, która jak zawsze rozsiadła się na kanapie, podniosła wzrok znad sudoku, a twarz mamy tak jakby się zapadła.

Wpadłam jak burza do kuchni. Wiem teraz – wiedziałam wtedy – że była to irracjonalna reakcja, ale nie myślałam jasno. Kiedy teraz cofam się myślami do tamtego dnia, myślę sobie, że to zapominanie przez nią różnych rzeczy stanowiło przedsmak tego, jakie będzie życie, gdy jej już zabraknie, gdy nikt na świecie nie będzie znał takich drobnych faktów związanych ze mną.

Zostałam w kuchni na kilka chwil, żeby się uspokoić. W tamtym czasie tak naprawdę to nie była już kuchnia, tylko raczej magazyn na sprzęt i lekarstwa mamy. Pamiętam, jak wpatrywałam się w stos pudeł z pieluchami ułożonych na stole – tym samym stole, który mama tuż przed pójściem spać nakrywała do śniadania, przy którym ja uczyłam ją gry w szachy, przy którym ona zaplotła mi włosy, kiedy szłam na rozmowę kwalifikacyjną w Caffè Nero – i zdaje się naszło mnie tam coś, co można by nazwać objawieniem. Nie będę wchodziła w szczegóły, bo jak mówię, to ma być relacja złożona z faktów, a nie osobiste wyznanie. Powiem więc tylko, że dotarło do mnie wtedy, iż każda godzina spędzona na szukaniu mieszkania



oznacza godzinę mniej spędzoną z mamą, a poza tym tak naprawdę to nie miało większego znaczenia, jakie będzie to moje nowe mieszkanie. Wtedy jeszcze nie słyszałam o zasadzie przeciętności, zgodnie z którą nie ma takiego miejsca, gdzie jest lepiej niż gdziekolwiek indziej, ale myślę, że właśnie w tamtej chwili ją zastosowałam.

Wróciłam do dużego pokoju. Mamie głowa opadła na bok i miała zamknięte oczy. Była ubrana w jedną ze swoich czerwonych piżam niekrępujących ruchów i przód bluzy ściemniał od śliny. Penny nieskutecznie wycierała mamie podbródek, więc ja się do tego zabrałam, gładząc mamę po włosach i przepaszając, a potem jeszcze ujęłam ją za ręce podobne do padłych ptaków i powiedziałam, że właściwie to mieszkanie jest cudowne, idealne i zdecydowanie powinniśmy je kupić.

I tak oto zamieszkałam w Rotherhithe.

Na pogrzebie ludzie bliscy mamie – w tym jacyś dalecy krewni z Yorku, których nigdy wcześniej nie widziałam – obiecali, że przyjadą mnie odwiedzić w nowym mieszkaniu, i zaproponowali, żebym się z nimi kontaktowała, jeśli tylko będę czegoś potrzebować. Ale nie zachęcałam ich i nikt później już nie poruszał sprawy. Przypuszczam, że nie chcieli być wścibscy i zakładali, że moi znajomi się mną zajmą.

Rashida była jedyną osobą, której chciałam powiedzieć, bo ona dobrze poznała moją mamę. Zaprzyjaźniłyśmy się w ósmej klasie, a ponieważ ojciec ograniczał jej czas przed komputerem, przychodziła po szkole do mnie, żeby pograć. Mama przynosiła nam ciasteczka Boosters pokryte bitą śmietaną i mówiła Rashidzie, że kiedyś marzyła o wyjeździe do Indii, ale potem zaszła ze mną w ciążę, więc nie pojechała, i ma nadzieję, że ja tam któregoś dnia pojedę zamiast niej. W tamtych czasach, kiedy jeszcze nie była chora, okazywałam swoje zniecierpliwienie, kiedy się powtarzała i mówiła takie głupstwa. „Ale ja nie chcę jechać do Indii!”, oświadczałam, a Rashida zaczynała chichotać i szeptała mi do ucha: „Ja też nie”.

Nie rozmawiałam z Rashidą przez kilka lat, ale śledziłam, co się z nią dzieje, przez Facebooka i wiedziałam, że przeniosła się do Rottingdean ze swoim narzeczonym, konsultantem do spraw zarządzania. Posłałam do niej wiadomość, że mama umarła, a ona odpisała, że mi współczuje i że jak

kiedyś będę w Rottingdean, to mam koniecznie odwiedzić ją i Stuarta. Zauważyłam, że zamieściła na swoim profilu nowe zdjęcie, na którym miała pierścionek zaręczynowy i paznokcie zrobione jak u dziewczyn ze szkoły, z tym głupim białym paskiem biegnącym przez czubek, co było rozczarowujące.

Nikomui więcej nie powiedziałam, ale zamieściłam informację o zmianie adresu na Facebooku. W odpowiedzi dziewczyna o imieniu Lucy, z którą pracowałam w Caffè Nero, przysłała mi wiadomość, że zarządza teraz barem kanapkowym w pobliżu Canary Wharf i że powinniśmy się spotkać. Ale Lucy była zawsze jakaś dziwna. Podczas przerw chodziła do drogerii sieci Superdrug przy naszej ulicy i kradła testery kosmetyków. Wiecznie pytała, czy chciałabym, żeby ukradła coś dla mnie, i obrażała się, kiedy mówiłam, że nie chcę, chociaż widziała, że się nie malowałam.

Miałam siedemdziesięciu trzech innych znajomych na Facebooku, głównie szkolne koleżanki, ale nie przyjaźniłam się z nimi tak naprawdę. Cały nasz rocznik składał się z osób, które były „znajomymi” wszystkich pozostałych osób. Jak w Boże Narodzenie, kiedy każdy dawał pozostałym kartkę, czy im się to podobało czy nie, po to tylko, żeby dostać kartkę w zamian i żeby przy lunchu można było porównywać, ile kto zgarnął takich łupów. Kilka dziewczyn traktowało mnie i Rashidę naprawdę wrednie, ale to się skończyło w dziesiątej klasie, kiedy zainteresowały się chłopakami i przeniosły swoją uwagę na dziewczyny, które były ich rywalkami.

Bardzo często ktoś zamieszczał posty ze szczegółami imprezy, na którą zaproszony był każdy, kto chciał przyjść. Poszłam kiedyś na taką imprezę, organizowaną przez Tash Emmerson. To było w 2009 roku; mama powiedziała mi, że powinnam iść, kiedy zdałyśmy sobie sprawę, że nie byłam nigdzie od siedmiu miesięcy. Impreza odbywała się w przepastnym barze w Holborn z potwornie hałaśliwą muzyką; pamiętam tę jedną piosenkę, którą odtwarzali bez końca, *To będzie dobra noc*, co brzmiało dość ironicznie. A szklanka soku pomarańczowego kosztowała 3,5 funta. Wszyscy rozmawiali o swoich doświadczeniach na „uniwerku”, których ja nie miałam, a kiedy nie rozmawiali, to robili sobie wzajem zdjęcia. Czułam się taka wyczerpana już samym przebywaniem tam, że musiałam stać oparta o ścianę w kącie.



Dziwne było to, że wiele z tych dziewczyn chciało sobie robić zdjęcia ze mną, mimo że, jak już wspominałam, nie przyjaźniłyśmy się. Pamiętam Louise Wintergaarden i Beth Scoone, jak jednocześnie szły do mnie z dwóch stron i wzięły mnie w objęcia, jakbyśmy naprawdę były przyjaciółkami. Kiedy zdjęcie zostało już zrobione, opuściły ręce i odeszły bez słowa. Następne były Lucy Neill oraz Tash i Ellie Kudrow. Kiedy później zamieściły te zdjęcia na Facebooku, nawet nie raczyły mnie oznaczyć. Pokazałam jedno z tych zdjęć mamie, która stwierdziła, że te dziewczyny sprawiają wrażenie naprawdę tandetnych, z tymi tlenionymi włosami i pomarańczowymi twarzami, i że ja wyglądam między nimi jak Kopciuszek między dwiema złymi przyrodnimi siostrami. Nie powiedziałam jej, że pod jednym z tych zdjęć ktoś zamieścił komentarz: „Znowu stara sztuczka w stylu stań obok poczwary?”. Mnie to nie obeszło, ale wiedziałam, że ona by się zdenerwowała.

Potem już nie byłam na żadnej imprezie, ale czytałam aktualności dziewczyn. Przeważnie jednak nie rozumiałam, o czym one mówią. To były jakieś plotki o ludziach, których nie znałam, uwagi na temat programów telewizyjnych i celebrytów albo klipy z YouTube'a, które nic mi nie mówiły. Czasami wchodziłam w linki, którymi one się niesamowicie ekscytowały, ale zawsze znajdowałam coś idiotycznego, na przykład zdjęcie kotka wciśniętego do kieliszka od wina albo filmik przedstawiający nastolatka z Moskwy, który w swojej sypialni pokazywał, jak bardzo nie umie śpiewać. I zawsze zamieszczały te zdjęcia, na których wystrojone po zęby zasysały policzki i wystawiały jedną nogę przed drugą jak konie. Wyglądało to tak, jakby wszystkie wzięły udział w lekcji, na którą mnie nie zaproszono i podczas której dowiedziały się, że włosy to się prostuje, że paznokcie powinny mieć biały pasek na czubku, że zegarek trzeba tak zapinać, żeby tarcza znalazła się na wewnętrznej stronie nadgarstka, i że torebkę nosi się w zagięciu łokcia, z tak wysuniętym ramieniem, jakby było złamane.

Tak samo to wyglądało z ich postami. Niekiedy zamieszczały te nieodgadnione przesłania, które same w sobie nie miały żadnego sensu, na przykład „Czasami lepiej nie wiedzieć” albo „No dobra, olał to”, bez słowa wyjaśnienia, do czego to się odnosi. Ich życie było pełne banalnych dramatów. Pamiętam, że Raquel Jacobs napisała raz – OMG!!! – że sieciówka wpadła jej do sedesu. Tylko kto to musi wiedzieć? Albo kto chce?

Naprawdę to były same bezprzedmiotowe głupoty, a jednak one wszystkie odpowiadały na te posty, jakby zawierały interesujące, istotne i zabawne treści, używając tych wymyślonych słów, jak na przykład „spoks”, albo pisząc słowa niepoprawnie, jak na przykład „komp”, względnie robiąc skróty słów bez powodu i stawiając ikсы oznaczające całusy na końcu wszystkiego, co napisały.

Zdecydowanie nie chciałam taka być. Tylko po prostu nie rozumiałam, jakim sposobem wszyscy to opanowali, skąd wiedzieli, jak posługiwać się tym językiem i jak natychmiast odpowiadać na komentarze we „właściwy” sposób. Nawet osoby, które w szkole były naprawdę głupie, jak Eva Greenland, dobrze sobie z tym radziły.

Bardzo rzadko ktoś zamieszczał jakieś prawdziwe pytanie, na przykład jakie są korzyści ze stosowania zewnętrznego dysku twardego przy pecetach zamiast wewnętrznego. Na takie pytania odpowiadałam i czasami ktoś potem na to reagował. Esther Moody napisała do mnie: „Dziękś. Jesteś max xxx”, kiedy jej poradziłam, jak zmienić sobie ustawienia z autouzupełniania. Niemniej duża większość tego, co pisały, była pozbawiona sensu i nie miała związku z moim życiem.

Przypuszczam, że opowiadałam o tym wszystkim, aby wyjaśnić, że nawet jeśli byłam „wyizolowana”, to z własnego wyboru. Gdybym naprawdę tego chciała, to spotkałabym się z Lucy z Caffè Nero albo poszła na kolejną otwartą imprezę z Facebooka. Ale zupełnie nie miałam ochoty.

Lubiłam być sama. Zanim mama zachorowała, czułam się z tym wręcz doskonale. Spędzałam wieczory i weekendy na górze, czytając albo robiąc coś na komputerze, a ona z kolei sprzątała na dole, oglądała telewizję albo tworzyła swoje miniaturki i często na mnie wołała, żebym zeszła coś zjeść albo się z nią poprzytulać. Podwójna korzyść.

Odziedziczyłam meble ze starego domu, tyle że zostały oddane na przechowanie; mama przed śmiercią załatwiła z Penny, że jej syn zapakuje je do swojego vana i odwiezie do mojego mieszkania. Pod koniec Penny i ja nie byliśmy jednak w najlepszych stosunkach. Idiotycznie się pokłóciłyśmy o jej książkę z sudoku, kiedy odkryła, że wypełniłam część diagramów. Wyjaśniłam jej, że rozwiązałam tylko te z zaawansowanego stopnia

trudności, bo wiedziałam, że ona sobie z nimi nie poradzi, ale i tak się obraziła.

Potem, kiedy mama umarła, Penny wciąż gadała o tym, jakie to dziwne, że w przeddzień mama wcale nie zdradzała oznak zbliżającej się śmierci: „Nie miała zimnych stóp i zjadła cały gorący kubek”.

W każdym razie rezultat był taki, że jej syn nigdy się ze mną nie skontaktował w sprawie mebli. Ale nic się nie stało, bo w końcu stwierdziłam, że ich nie chcę. Któregoś razu pojechałam metrem do magazynu i zobaczyłam je wszystkie – ławę z blatem z przyciemnianego szkła, białą komodę z gałkami wciąż owiniętymi gumkami, dzięki którym mama mogła ją otwierać, komplet wypoczynkowy obity czarną skórą, gong z jadalnego, oprawione w ramki wysokie drzewo genealogiczne, za którego sporządzenie mama zapłaciła 900 funtów i dowiodła, że jakiś nasz daleki krewny ożenił się z ciotką Anny Boleyn. Pamiętam zwłaszcza oszkloną narożnikową etażerkę, w której mama ustawiała swoje miniaturki. Stała w naszym domu, jak daleko sięgam pamięcią, i zawsze uwielbiałam przyglądać się przedmiotom, której się w niej znajdowały. A jednak wtedy, w magazynie, to był tylko tani mebel z półkami, a miniaturki znajdowały się w jednym z pudeł oklejonych taśmą. Pomyślałam, że nawet jeśli sprowadzę te półki i pudło, wytrę je do czysta i ustawię dokładnie tak jak mama, to nie będzie to samo. Postanowiłam zostawić wszystko w magazynie i płacić co miesiąc 119,99 funtów za przechowanie.

Kupiłam za to same nowe rzeczy w ogromnym Tesco Extra w Rotherhithe. Nie potrzebowałam wiele: dmuchany materac i pościel, małe biurko, pufa i toster do kanapek. Swoje książki poukładałam w stosach pod ścianą, segregując je według kolorów, a ubrania trzymałam w workach: kiedy robiły się brudne, przekładałam je do innego worka na śmieci, a kiedy ten się zapełniał, zanosłam go do pralni z płatnymi automatami. I tak pracowałam w domu, więc nie musiałam się stroić.

Bez trudu zrobiłam ten kurs komputerowy i gdy tylko rozlokowałam się w mieszkaniu, podjęłam pracę u Damiana, syna znajomej mamy. Nic trudnego. Co kilka dni przysyłał mi link do wersji beta, która wymagała przetestowania, a ja, stosując program zarządzania jakością, szukałam błędów, bugów i słabych miejsc, a potem wysyłałam raport. Płacili mi od

zlecenia; większość zajmowała mi niecały dzień, ale na te bardziej skomplikowane potrzebowałam dwóch. Jak już skończyłam pracę, to zostawałam przy komputerze i grałam w gry; później zamieszczałam też posty na Czerwonej Pigułce. Ustawiłam biurko blisko okna i prędko się zorientowałam, że z szyldu restauracji zasłaniającego dolną połowę szyby wynika ogromna korzyść – dzięki temu słońce nigdy nie odbijało się od ekranu mojego laptopa.

Później policjanci wypytywali mnie bez końca, jakim dokładnie sposobem trafiłam na Czerwoną Pigułkę. Mówiłam im, że nie pamiętam, że po prostu skorzystałam z jakiegoś przypadkowego linku, ale oczywiście wiedziałam doskonale, jak się tam znalazłam. Po prostu nie chciałam im tego powiedzieć.

Tak jak mówię, po wprowadzeniu się do mieszkania coraz więcej czasu spędzałam na graniu, średnio osiem godzin dziennie. Była szczególnie taka jedna gra – *World of Warcraft*. Przypuszczam, że przypominało to zajęcie na pełen etat, któremu podporządkowałam pracę z testowaniem programów. Bardzo mi się podobało, że podczas grania czas mija tak prędko; popołudnia przelatywały mi tak gładko, że przyrównałabym to do zjadania pączka dwoma kęsami. Prędko dotarłam na sześćdziesiąty poziom i zaprosili mnie, żebym dołączyła do pewnej sympatycznej gildii, która dwa albo trzy razy w tygodniu zbierała się na wspólne rajdy. Przy kilku okazjach nominowali mnie na lidera i właśnie podczas jednego spotkania przed rajdem, podczas którego omawialiśmy strategię, jeden z graczy zaczął debatę na temat tego, w jaki sposób decyzje podejmowane przez kogoś w ramach gry zdradzają jednocześnie, jaką filozofią taka osoba kieruje się w życiu. Na przykład to, czy po rajdzie ktoś rozdaje pozostałym graczom złoto osobiście zdobyte w grze, czy też bierze je całe dla siebie. Wcześniej nie myślałam o grze w takich kategoriach, dlatego mnie to zaciekało, a on zaproponował, żebym się zainteresowała serwisem internetowym Czerwona Pigulka. „Bardzo fajna witryna z filozofią”, napisał. „Padniesz z wrażenia”. Przysłał mi mailem link do podkastu faceta, który prowadził serwis, Adriana Dervisha.

Mimo że ostatecznie wysłuchałam blisko stu podkastów Adriana, wyraźnie pamiętam właśnie ten pierwszy. Porobiłam z niego notatki – robię

notatki z wszystkich ważnych zdarzeń – ale nie muszę ich teraz sprawdzać. Tytuł brzmiał: „Czy to, co widzę przed sobą, to laptop?”, a pierwsze słowa Adriana były takie: „No więc, ludziska, pytanie na dzisiaj jest następujące – ile tak naprawdę wiemy?”. A potem zrobił błyskawiczny przegląd zagadnień z klasycznej epistemologii, zaczynając od Sokratesa, a kończąc na *Matriksie*, który, tak się składa, jest jednym z moich ulubionych filmów. Postawił tezę – „Jestem w stu procentach pewien, że właśnie teraz mówię do mikrofonu” – a potem powiedział: „Ale zaraz! Co tak naprawdę oznacza sto procent?”. Najlepszym sposobem, w jaki mogę to opisać, będzie porównanie tego wykładu do niekończącej się gry w „podaj paczkę”: każdą ideę należało rozpakować, żeby zobaczyć, że w środku znajduje się kolejna. Pamiętam, że w miarę, jak ten podkast się ciągnął, Adrian zaczął się zaśmiewać przy kolejnych „Ale zaraz!”, jakby to była najlepsza zabawa.

W głosie Adriana słyszało się coś, co z miejsca zniewalało. Był Amerykaninem i jego akcent brzmiał ciepło i intymnie. Mówił te wszystkie rzeczy poszerzające horyzonty, ale w taki dziwnie sympatyczny sposób, używając staromodnych wyrażeń typu „ludziska” i „o matko”. Albo stwierdzał: „Jeśli uważacie, że to było ciekawe, to, o kurczę, tylko zaczekajcie, co wam powiem następnym razem”. Po kilku minutach zatrzymałam podkast, usiadłam na podłodze i przysunęłam laptopa pod nos, żeby odgrodzić się od hałasu dobiegającego z ulicy i móc odsłuchać go raz jeszcze.

Po tamtym pierwszym podkaście zrobiłam sobie grzanekę z serem, a potem wróciłam do pokoju i wysłuchałam kolejnych czterech, od początku do końca. Robiąc to, zwiedzałam strony serwisu. Jego motto brzmiało „Wybierz prawdę”, a nazwa Czerwona Pigułka stanowiła kolejne odniesienie do *Matrixa*: bohaterowie filmu, nie zdając sobie sprawy, że znajdują się w wirtualnie symulowanym świecie, są proszeni, żeby połknęli albo niebieską pigułkę i pozostali w niewiedzy, albo czerwoną pigułkę i zmierzili się z rzeczywistością, jakkolwiek by była niepokojąca.

Obejrzałam sobie fora. Jeden z wątków był poświęcony podkastowi z laptopem. Pamiętam, że byłam pod wrażeniem uczestników dyskusji, ich umiejętności wypowiedzenia się i wysuwania przekonujących argumentów. Czytałam czyjś pogląd i uznawałam, że jest raczej uzasadniony, ale potem

ktoś to podważał, podając kontrargument, który wydawał się równie przekonujący. W pamięci utkwiał mi jeden z użytkowników – to był chyba FanRanda – który napisał, że jego zdaniem tylko kretyn mógłby twierdzić, że jest pewien, iż cokolwiek w materialnym świecie istnieje naprawdę. „Znamy swoje poglądy i niczego innego nie jesteśmy w stanie poznać”. W odpowiedzi Kotjulusz odpisał mu: „Ale skąd wiesz, że tak to jest? Albo raczej skąd wiesz, że wiesz, że tak to jest?”. Dyskutowali o takich wielkich, abstrakcyjnych ideach, jakby to były tematy codziennych rozmów, ot tak, od niechcienia, tak samo jak mama i Penny rozmawiały kiedyś o tym, w którym z hipermarketów są najlepsze promocje w danym tygodniu.

Oprócz forów poświęconych „czystej” filozofii były jeszcze inne, poświęcone bardziej konkretnym i współczesnym tematom, takim jak to, czy zabranie kogoś na kolację jest tym samym, co skorzystanie z usług prostytutki, albo czy ściąganie plików muzycznych jest etyczne. Było też miejsce, w którym ludzie mogli zamieszczać posty o dylematach ze swojego osobistego życia w realu i uzyskiwać racjonalne rady. Jedna użytkowniczka napisała na przykład, że zaprzyjaźniła się w pracy z kimś, kto zdawał się myśleć podobnie jak ona, ale potem odkryła, że ten ktoś wierzy w anioły, i teraz nie wie, jak z tą osobą rozmawiać.

Na głównej stronie było zamieszczone oświadczenie Adriana, w którym przedstawiał się jako założyciel serwisu i stwierdzał, że wprawdzie interesuje się całą filozofią, ale jednak z ducha jest libertarianinem. Przyznaję ze wstydem, że wtedy nie wiedziałam, co znaczy to słowo. Nigdy wcześniej go nie słyszałam. Adrian tłumaczył, że libertarianie uważają, że człowiek jest posiadaczem własnego ciała oraz wytworów swojej pracy i są przeciwni stosowaniu przemocy: zasadniczo więc każdy ma prawo robić, co chce, pod warunkiem że nie wyrządza krzywdy drugiemu. Jakoś nie było w tym nic, z czym można by się nie zgodzić.

Niektórzy użytkownicy mieli obsesję na punkcie politycznych i ekonomicznych aspektów libertarianizmu, tworzyli mnóstwo planów obalenia rządów i buntowali się przeciwko podatkom, ale na ogół funkcjonowali tylko w obrębie stosownych forów, dzięki czemu łatwo ich było unikać. Poza tym ludzie trzymali się przeważnie jednego czy dwóch tematów, które interesowały ich najbardziej: zauważyłam, że sama spędzam



większość czasu przy etyce, chociaż były też fora poświęcone religii, sztuce, logice, matematyce i tak dalej.

Serwis stanowił antidotum na pozostałą zawartość sieci, a właściwie to na resztę świata. Tolerowano wyłącznie racjonalne myślenie i każdy, kto zbaczał z kursu, był natychmiast na niego zwracany. Nie używało się słów ot tak – „literalnie” oznaczało „literalnie” – i w odróżnieniu od innych forów wymagana była poprawna interpunkcja i ortografia.

Wcale to jednak nie znaczy, że była to społeczność ludzi niewspółpracujących z sobą. Banowano jedynie wtedy, gdy jakiś użytkownik wyrażał fundamentalny sprzeciw wobec podstawowych założeń, na których opierał się serwis – na przykład nie był ateistą – względnie stosowano je jako ostateczny środek przeciwko niepoprawnym awanturnikom jak JoeyK.

Nietrudno było przewidzieć, że ktoś zostanie zbanowany. Tak się działo, gdy jakiś użytkownik za bardzo się szarogęsił na którymś z forów, atakował Adriana bez przyczyny, zadzierał nosa, że niby jest taki mądry. Adrian ze swej strony cierpliwie angażował się z takim w kontakt i starał się podejmować z nim racjonalną dyskusję, ale jeśli ten ktoś nadal był trudny, okupował debatę i niszczył wszystko pozostałym użytkownikom, to nie miał innego wyjścia, tylko żądał od niego, żeby odszedł. Nie raz powtarzał, że jeśli ktoś aż tak bardzo nie zgadza się z tym, co on mówi, to w takim razie na pewno istnieje gdzieś jakieś lepsze miejsce dla niego. W Internecie nie brakuje stron poświęconych filozofii.

Po kilku tygodniach słuchania podkastów i zaglądania na fora skoczyłam na głęboką wodę i się przyłączyłam. Wymyśliłam sobie nick „Cienistogrzywy” i poświęciłam trochę czasu na podjęcie decyzji, który z moich ulubionych cytatów wybrać jako sygnaturę pod swoimi postami. W końcu wybrałam z Douglasa Adamsa: „Nie wierzcie w nic, co wyczytacie w sieci. Z wyjątkiem tego. Albo, no cóż, łącznie z tym”, bo to mnie zawsze rozśmieszało.

Zamieściłam swój pierwszy komentarz przy dyskusji o altruizmie: czy jakiś czyn może być naprawdę bezinteresowny, czy raczej po prostu robimy różne rzeczy, żeby uzyskać korzyść dla siebie. Dyskutanci ogólnie się zgadzali, że nic, co robimy, nie jest bezinteresowne, ale ja uważałam inaczej.

Zwróciłam uwagę, że kiedy jesteśmy blisko innych ludzi, to rozróżnienie między tym, co „najlepsze dla mnie” a „najlepsze dla innych”, jest sztuczne. To, co „najlepsze dla mnie”, polega często na tym, że poświęca się interes własny, żeby pomóc innym. Po kilku sekundach ktoś mi odpowiedział, zasadniczo zgadzając się ze mną, ale wskazując coś, co przeoczyłam, i niebawem dołączyli jeszcze inni, po czym rozwinęła się prawdziwa debata. Hobbesista2009 napisał: „Niezłe wejście, Cienistogrzywy!”. Bo widzicie, nowi użytkownicy przeważnie zamieszczali tylko jakiś nieśmiały post, zamiast od razu wziąć udział w debacie. Moje pojawienie się miało ciężar gatunkowy.

Dwa tygodnie później postanowiłam wprowadzić własny wątek. Poświęciłam trochę czasu na wybranie tematu; musiał przyciągać uwagę, ale nie wzbudzać oburzenia ani nie prowokować, bo wtedy uznaliby, że jestem trollem. Wybrałam temat, który od jakiegoś czasu chodził mi po głowie: czy człowiek może nie robić w życiu nic oprócz tego, co chce robić – na przykład grać w *World of Warcraft* – dopóki ma się za co utrzymać i nie robi nikomu nic złego.

Zaraz po zamieszczeniu postu spędziłam kilka nerwowych minut, obawiając się, że nikt tego nie przeczyta, ale bardzo prędko otrzymałam pierwszy komentarz. Wątek miał w sumie siedem komentarzy, czyli niezły wynik, dowiedziałam się później. Większość stałych użytkowników wystrzegala się nowych, czekając, aż dowiodą swego zaangażowania, zanim wdawali się z nimi w dyskusję. Ku mojemu zdziwieniu do wątku przyłączył się sam Adrian, zamieszczając opinię, że ci, którzy mają takie szczęście, że są zabezpieczeni bytowo, powinni wykorzystać swoją uprzywilejowaną pozycję, by pomóc tym, którzy mieli gorszy start w życiu.

Nie powiem, że uznałam debaty na Czerwonej Pigułce za coś łatwego od samego początku, ale udział w nich przychodził mi dość naturalnie. Podobało mi się to, że jak już się dysponowało narzędziami, to można ich było używać do prawie wszystkich tematów, w tym również takich, w jakich nie miało się żadnego doświadczenia. Na przykład wniosłam istotny wkład do dyskusji, czy bardziej etyczne jest adoptowanie dzieci czy ich rodzenie. Przez kilka następnych tygodni brałam udział w debatach i spędzałam większość wieczorów na stronach serwisu. Z czasem poznałam stałych bywalców.



Mimo że serwis miał blisko cztery tysiące zarejestrowanych użytkowników z całego świata, w debatach regularnie uczestniczyło zaledwie z pięćdziesiąt osób, i tych prędko zaczęłam rozpoznawać.

Do tego dość nielicznego kręgu można się było dostać, jeśli się wykazywało inteligencją i logiką. Oni z kolei stopniowo mnie akceptowali i w końcu nastąpiła taka szczęśliwa dla mnie chwila, kiedy w odpowiedzi nowicjuszowi, który zadał pytanie o jakąś kwestię etyczną, Nie-owca napisał: „Cienistogrzywy, potrzebujemy cię!”, bo wiedzieli, że jestem mocna w tym akurat obszarze.

Zaczęłam też czytać. Adrian opublikował listę książek – nazywał je kanonem – które jego zdaniem stanowiły podstawę dla każdego, kto chciał jak najlepiej skorzystać z serwisu; na tej liście były na przykład *Dialogi* Platona, Hume, Kartezjusz i Kant. Zamówiłam kilka tytułów na Amazonie. Wprawdzie sporo czytałam, ale głównie SF i fantasy, i dlatego z początku było mi trudno przebrnąć przez te książki, niemniej uparłam się i co wieczór wyznaczałam sobie godzinę na czytanie, podczas którego robiłam notatki.

Dostałam kilka wiadomości na priva – od samego Adriana. Pierwsza była powitalna, kiedy się zarejestrowałam, następna po trzech miesiącach mojego udzielania się na forach – wtedy pogratulował mi, że przetrwałam okres inicjacyjny (najwyraźniej większość użytkowników wcześniej odpadała). A potem, kiedy już od prawie sześciu miesięcy regularnie zamieszczałam posty, zachęcił mnie, żebym ubiegała się o tytuł myśliciela elitarnego.

Serwis działał w taki sposób, że jak się zamieściło piętnasty komentarz, to się awansowało z NO, czyli „nowo oświeconego”, na pełnoprawnego użytkownika. Większość ludzi pozostawała na tym etapie, ale pewną ich liczbę zapraszano do zrobienia testu online na myślicieli elitarnych. Oznaczało to, że Adrian uznał cię za osobę zdolną do bardziej zaawansowanego rozumowania, i jeśli ci się powiodło, zdobywałeś dostęp do specjalnego forum, na którym dyskusja toczyła się na wyższym poziomie. Za udział w tym forum płaciło się subskrypcję wynoszącą dwadzieścia funtów miesięcznie.

W tej prywatnej wiadomości Adrian napisał, że szczególne wrażenie zrobił na nim mój udział w debacie na temat różnicy między wstydem a winą.

„Naprawdę zrobiłeś na mnie wrażenie, Cienistogrzywy. Cholernie łąbska z ciebie osoba”. Muszę przyznać, że był to dla mnie dość ekscytujący moment.

Oczywiście zgodziłam się. Adrian przysłał mi link do testu, który składał się z dwóch części. W tej pierwszej miałam skomentować serię dylematów etycznych podobnych do tych, o których dyskutowałam na forum – na przykład czy zabiłabym jednego człowieka, żeby uratować pięcioro innych. Druga część testu była bardziej sprawdzianem osobowości – składała się z listy twierdzeń, na które należało odpowiadać prostym „tak” lub „nie”. „Trudno cię czymś poruszyć”. „Chętnie pomagasz ludziom, nie prosząc o nic w zamian”. „Łatwo dostrzegasz ogólną zasadę za konkretnymi wydarzeniami”.

Kilka godzin po tym, jak wypełniłam test, Adrian przysłał mi maila, w którym oznajmił, że zdałam i że zostaję przyjęta do myślicieli elitarnych. Od tego momentu większość czasu spędzałam na forum dla ME. Grupa liczyła około piętnastu bardzo aktywnych użytkowników, którzy kilka razy dziennie zamieszczali posty, i ja byłam jednym z nich.

I któregoś dnia przyszła tamta wiadomość.

Dostałam ją późnym popołudniem, w połowie sporządzania mocno spóźnionego raportu. Od czasu odkrycia Czerwonej Pigułki trochę jakby opuściłam się w pracy i tydzień wcześniej Damian przysłał mi maila, w którym oziębłym tonem radził, żebym może jednak dotrzymywała terminów, bo w przeciwnym razie będzie musiał mnie zwolnić, mimo że oczywiście rozumie mój żal po śmierci mamy.

Dlatego próbowałam dokończyć raport, ale i tak nie mogłam się oprzeć i otworzyłam wiadomość od Adriana. Natychmiast zrozumiałam, że to jest coś innego niż jego wcześniejsze maile. Na Czerwonej Pigułce byłam znana jako Cienistogrzywy, tutaj natomiast użył mojego prawdziwego imienia. Prawdopodobnie wziął je z danych karty kredytowej.

Wiadomość brzmiała następująco:

„Leila, z wielkim zainteresowaniem obserwuję twoje postępy. Miałabyś ochotę spotkać się w realu?”

Spotkanie w realu. Wyznaczył miejsce, okolice parku Hampstead Heath,

oraz czas, i to przypadkiem już następnego ranka.

Pamiętam, jak drętwiały mi palce na klawiaturze. Pierwsza moja myśl była taka, że zrobiłam coś złego, ale prędko to sobie zracjonalizowałam. Adrian był ważnym człowiekiem; dlaczego miałby zawracać sobie głowę spotkaniem, żeby mi powiedzieć, że dostaję bana, skoro mógłby to zrobić online? Poza tym, na ile wiedziałam, nie zrobiłam nic, czym mogłabym wzbudzić jego niezadowolenie. Przeciwnie, Adrian regularnie gratulował mi postów i zaledwie dzień wcześniej powiedział na forum, że mam „umysł najwyższej klasy”.

Inne możliwości były w pewnym sensie bardziej przytłaczające. Albo zastanawiał się, czy nie zrobić ze mnie moderatora forum, i to spotkanie miało być rozmową kwalifikacyjną, albo chciał ode mnie jeszcze czegoś innego. Pytanie tylko brzmiało – czego?

Dosyć na dzisiaj. Jest 4.40 i zaczęły mnie szczytać oczy. Powłoka namiotu robi się coraz jaśniejsza i po cudownym chłodzie nocy czuję już, że temperatura zaczyna rosnąć.

## Czwartek, 18 sierpnia 2011

Tego ranka obudziłam się zniecka po kilku godzinach snu, z uczuciem, że piekę się żywcem. Moje ciało było jak odfiltrowane z wody, a skóra jakby pokryta powłoką tłuszczu. Odsunęłam klapy namiotu i wytknęłam głowę na zewnątrz, ale zastałe powietrze nie przyniosło dużej ulgi, dlatego wyciągnęłam swój materac dmuchany w cień pobliskiego drzewa i próbowałam jeszcze zasnąć.

A jednak dziwnie się czułam, że jestem tak na widoku, i nie mogłam się umościć. Po jakiejś godzinie postanowiłam wstać i zacząć wreszcie rozpytywać ludzi.

Najpierw poszłam do toalety, a kiedy wracałam z krzaków, podeszła do mnie, gwałtownie gestykulując, drobna staruszka o bardzo krótkich siwych włosach. Mówiła z silnym, obcym akcentem i dopiero po chwili dotarło do mnie, że jest zła, bo nie poszłam na stronę tam, gdzie wszyscy.

– Jak się tu mieszka, to się przestrzega zasad – powiedziała srogim tonem.

Stwierdziłam, że zrobię najlepiej, jeśli nie zareaguję, i po prostu spytałam ją, czy była w komunie poprzedniego lata.

– Tak, byłam – odparła, krzywiąc się. – Przyjeżdżam tu od czternastu lat. Pomagałam tworzyć to cudowne miejsce i dlatego...

– Czy rozpoznajesz tę kobietę? – zapytałam, pokazując jej zdjęcie Tess.

Ledwie na nie zerknęła.

– Nie wiem – odwarknęła i oddaliła się energicznymi krokami.

Odnutowawszy w głowie, że będę musiała zapytać ją jeszcze raz, kiedy już się uspokoi, zaczęłam działać od północnego krańca obozowiska. Podchodziłam do każdego namiotu albo wozu i pokazując zdjęcie Tess

każdej dorosłej osobie, którą tam zastałam, pytałam, czy ją pamięta z poprzedniego lata. Odpowiedzi były rozczarowujące. Jeden mężczyzna z pięcioma kolczykami w wardze stwierdził, że być może zna ją „skądś”, ale nie był w stanie udzielić żadnych informacji. Inny był przekonany, że Tess to Hiszpanka o imieniu Lulu, która prowadziła bar na Ibizie przez ostatnie siedem lat.

Uderzył mnie zupełny brak zainteresowania. W ogóle nie musiałam opowiadać swojej wymyślonej historyjki. Nikt mnie nie zapytał, dlaczego jej szukam. Jakby to, że ktoś zaginął, było czymś najnormalniejszym na świecie. Ludzie wydawali się o wiele bardziej zainteresowani tym, jak się dostałam do komuny z lotniska. Kiedy odpowiadałam, że wzięłam taksówkę, jeden mężczyzna zapytał, ile kosztowała, a gdy mu powiedziałam, wytrzeszczył oczy, potrząsnął rękami i głośno wypuścił powietrze.

– Sto czterdzieści euro! – I powtórzył to jeszcze kobiecie obok, która zaplatała właśnie włosy. – Sto czterdzieści euro!

To kolejna właściwość tego miejsca. Wcześniej zbroiłam się wewnętrznie na „hipisowskie gadki”, gotowa gryźć się w język podczas dyskusji na temat „duchowości”, „znaków zodiaku”, „masaży” i tym podobne, ale rozmowy, które wpadają mi tu do ucha, ani trochę takie nie są. Ci ludzie głównie rozmawiają o cenach, o miejscach, z których pochodzą, albo o tym, dokąd pojedą później.

Przypuszczam, że ten brak zainteresowania pozostałymi mieszkańcami komuny dowodzi niejako sensowności decyzji Tess. Wiedziała, że może tu przyjechać i że nikt jej nie będzie prześwietlał, że nikt nie będzie zadawał niewygodnych pytań.

Kiedy szłam w stronę swojego namiotu, znowu usłyszałam cudowny szum generatora, który wyłapałam poprzedniego wieczoru, więc podążyłam śladem tego dźwięku do vana zaparkowanego na uboczu, z dala od pozostałych samochodów. Drzwi były otwarte, a w środku siedzieli kobieta karmiąca piersią dziecko i chłopczyk atakujący nożem melona. Zobaczyłam też ustawiony blisko dziecka wirujący wentylator. Kobieta miała odsłonięty biust, więc odwróciłam oczy i zapytałam ją o dane techniczne generatora. Wyraźnie się zdziwiła i odparła, że nie zna ich, więc wyszłam na zewnątrz i

mu się przyjrzałam. Miał moc zaledwie 1200 watów, więc uznałam, że gdybyśmy podłączyły zarówno wentylator, jak i mojego laptopa, to wentylator pewnie by się męczył z powodu redukcji mocy. Pomyślałam, że efekt nie byłby tak odczuwalny nocą, kiedy temperatura spadnie, a oni będą spali, więc wtedy mogłabym podładować laptopa.

Wyjaśniłam to wszystko kobiecie i zapytałam, czy będę mogła podpiąć swój zasilacz.

– Nie widzę przeszkód, pod warunkiem że się tu nie ugotujemy – powiedziała.

– Byłaś tu zeszłego lata? – zapytałam, myśląc o Tess.

– Nie, to nasz pierwszy raz – odparła i parsknęła śmiechem. – Ty pewnie też jesteś po raz pierwszy. A tak nawiasem, mam na imię Annie.

W porównaniu z pozostałymi ludźmi stąd Annie wygląda całkiem normalnie. Jest duża, różowa, a jej blond włosy są wprawdzie potargane, ale nieskołtunione ani wygolone tu i tam. Ubiera się niemal szacownie, pomijając kamizelkę z tak rozepchanymi otworami na ręce, że widać przez nie biustonosz.

Pomyślałam, że mogłabym przestawić namiot, żeby być tuż obok generatora. Zamiast jednak go składać, wyjęłam tylko zewnętrzne kołki i przeciągnęłam całą konstrukcję, razem z rzeczami w środku, kilkadziesiąt metrów, w pobliże wana Annie. Ona i jej dzieci byli teraz na zewnątrz, pod prowizorycznym baldachimem.

– Aha, to będziesz teraz tu obozowała? – zdziwiła się Annie.

Wydawało się to oczywiste, skoro zamierzałam się podłączać do jej generatora; nie wiem, czemu spytała. Skinęłam głową i zabrałam się do wbijania kołków, gdy tymczasem Annie i chłopczyk mi się przyglądali.

– Chcesz, żeby Milo ci pomógł? – zapytała. – Uwielbia rozbijać namioty.

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, chłopiec podszedł bliżej i mrucząc coś do siebie, zaczął oburącz wbijać kołki w ziemię. Miał włosy tej samej barwy co Annie i kiedy klękał, zauważyłam, jakie czarne od brudu są jego pięty.

Po tak wczesnej pobudce i porannej aktywności zamarzyła mi się

drzemka. Powietrze w namiocie było skwarne i okropne, dlatego zapytałam Annie, czy mogłabym ułożyć materac w cieniu jej baldachimu i tam poleżeć.

– Nie jesteś nieśmiała, co? – odparła, ale wykonała zamaszty gest, który odebrałam jako „tak”.

Wyciągnęłam materac, położyłam się na plecach z rękoma skrzyżowanymi na piersi i zamknęłam oczy. Nie czułam się taka skrępowana, gdy obok byli Annie z Milem, i niebawem odpłynęłam w dziwny półsen. Otaczające mnie dźwięki – ćwierkanie ptaków, szczekanie psów, bębnienie, nawet głosy Annie i Mila z odległości dwóch czy trzech jardów – były stłumione przez upał i mieszały się w coś w rodzaju ambientowej ścieżki dźwiękowej do moich myśli.

Normalnie nie pamiętam swoich snów i z pewnością nie przypisuję im żadnego znaczenia. Ale ten był czymś więcej niż tylko serią niepołączonych z sobą obrazów. Niektóre sceny miały oczywiste źródło: wczorajszy lot do Hiszpanii, moja pierwsza podróż samolotem; samolot tej samej pomarańczowej barwy co opakowanie chipsów Doritos; piekielny tłum na lotnisku w Luton, na którego widok omal nie zrobiłam w tył zwrot i nie pojechałam z powrotem do Rotherhithe. Ale śniły mi się też przypadkowe sceny z innych miejsc: idę przez Marks and Spencer przy Camden High Street, tuż za mamą, za jej znajomą sylwetką w beżowym żakiecie. Ciało Tess spadające wirowym ruchem z drzewa gdzieś w głębi lasu.

Płacz przebił się przez mój sen, więc obudziłam się i zobaczyłam Annie karmiącą dziecko i Mila mieszającego coś na maleńkiej kuchence. Annie powiedziała, że jest szósta po południu, i zapytała, czy chciałabym zjeść z nimi kolację. Przywiozłam z sobą chleb i herbatniki na cały tydzień, więc zasadniczo nie potrzebuję nic innego, ale przyjąłabym jej propozycję.

– To tylko wegetariańskie chilli – powiedziała. – Nic powalającego.

Miała rację.

Siedzieliśmy na okrągłych plastrach z pociętego pnia, które zostały wypolerowane i polakierowane, dzięki czemu stanowiły prymitywne siedziska. Annie wyjaśniła, że chce je sprzedawać turystom na jarmarkach. Odparłam, że turyści wracają do domów samolotami, dlatego takie stołki mogą stanowić problem przy ograniczeniach bagażowych: zauważyłam



wczoraj na lotnisku, że jest coś takiego jak limit bagażu.

– Och, no to pewnie ci ludzie będą musieli zostać w Hiszpanii – odparła Annie, najwyraźniej ani trochę się nie przejmując potencjalną utratą dużej liczby klientów.

Milo pochłonął żarłocznie swoją porcję i zaczął się bawić drewnianą zabawką na sznurku – podrzucał ją i próbował łapać – więc nie pozostało mi nic innego, jak ciągnąć rozmowę z Annie. Na szczęście głównie to ona gadała. Z własnej woli wyjaśniła, że jest z Connecticut w Ameryce i że przyjechała do Hiszpanii, bo postanowiła zrobić sobie taki prezent na czterdzieste urodziny.

Zdziwiłam się, usłyszawszy, że ma czterdzieści lat; Tess byłaby teraz zaledwie rok od niej młodsza. A Annie wydaje się o wiele bardziej dojrzała. Kiedy się uśmiecha, wokół oczu ma co najmniej dziesięć zmarszczek, podczas gdy Tess miała tylko cztery, a na jej zaczerwienionej klatce piersiowej widać mnóstwo owalnych bruzd, podobnych do słoików w drzewie.

Spytała, po co mi laptop, a ja wyjaśniłam, że piszę scenariusz filmowy. Potem Milo zaczął paplać jakieś bzdury, więc udawałam, że go słucham. I mogłam odetchnąć, bo nie chciałam mówić nic więcej.

I tak mi minął dzień. Teraz na zewnątrz jest ciemno i cicho, a ja siedzę w namiocie. A oto ciąg dalszy mojego dokumentu.

Adrian chciał się spotkać przy South End Green w Hampstead, który wielkim zbiegiem okoliczności był miejscem doskonale mi znanym. To taki mały skwer w cieniu szpitala Royal Free, jednej z placówek, w których leczyli mamę. Spędziłam wiele godzin na przyglądaniu się temu skwerowi z okien szpitala, gdy tymczasem mama przechodziła badania, i wysiadywałam w pobliskim Starbucksie, który służył za nieoficjalną poczekalnię dla krewnych pacjentów, dlatego był pełen bladych ludzi, udających tylko, że piją kawę.

Przyszłam trzynaście minut przed czasem i usiadłam na ławce, zadowolona, że mogę ulżyć stopom. Włożyłam pantofle mamy na wysokich obcasach, za małych na mnie o cały numer. Dzień był ciepły i pozostałe ławki zajmowali menele oraz pacjenci szpitala, którzy wyszli zaczerpnąć świeżego powietrza, mimo że autobusy krążące dookoła dawały na to



niewiele nadziei. Niektórzy pacjenci byli sami, innym towarzyszyli opiekunowie albo pielęgniarki. Pamiętam, że jeden mężczyzna włożył za sobą kroplówkę i miał skórę żółtą jak margaryna; była też mocno posunięta w latach kobieta na wózku, z tak opadającą głową, jakby wyjęto jej kości z szyi.

Na drugim krańcu mojej ławki menel popijał coś z puszki. Po chwili podszedł jeszcze jeden mężczyzna i usiadł obok mnie. Był dość młody, ale dziwnie zszarzały, i miał puste spojrzenie. Zapalił papierosa i wypalił go prędko, gapiąc się przed siebie. A potem wstał, rzucił niedopałek na ziemię i odszedł, pozostawiając paczkę z papierosami na poręczu ławki. Pochyliłam się, wzięłam te papierosy i zawołałam za nim:

– Pan coś zostawił!

Mężczyzna się nie odwrócił, więc wstałam i poszłam za nim z paczką, zakładając, że mnie nie usłyszał. Kiedy go dogoniłam, obrócił się i spojrzał na mnie dziwnie.

– Jest pusta – powiedział.

I poszedł dalej.

Wyrzuciłam paczkę do kosza i usiadłam z powrotem na ławce. A po chwili usłyszałam znajomy głos:

– Dobry z ciebie człowiek, Leila.

Obróciłam się i zobaczyłam go. Uśmiechał się do mnie.

Oczywiście widywałam już wcześniej Adriana na filmikach, do których linki znajdowały się na stronach serwisu. Rozpoznałam nawet koszulę, którą miał teraz na sobie: jedna z moich ulubionych, niebieski sztruks tego samego koloru co jego oczy, z półksiężycem białego T-shirta wystającym pod szyją. Pamiętam, jak pomyślałam, że zupełnie nie pasuje do tchnącego śmiercią skweru, bo wygląda zbyt zdrowo i wartościowo z tymi pucołowatymi, zaróżowionymi policzkami.

Zobaczywszy go, automatycznie podniosłam się z ławki.

– Zauważyłem, co zrobiłaś z fajkami tego faceta – mówił Adrian. Słowo „fajki” zabrzmiało dziwnie, kiedy je wypowiedział swoim ciepłym, amerykańskim głosem. – Bo wiesz, większość ludzi by tego nie zrobiła.

– Naprawdę nie? – spytałam.

– Naprawdę – odparł, po czym obszedł ławkę, stanął obok mnie, spojrzał mi w oczy i wyciągnął dłoń. Potrząsnęłam nią, a wtedy powiedział: – Niezmiernie miło mi cię poznać, Leila.

Menel siedzący obok nas jęknął przeciągle i cisnął swoją puszkę na ziemię, bez żadnego oczywistego powodu. Adrian uniósł brwi.

– Poszukamy jakiegoś zdrowszego miejsca? Możemy się przejść? – A po chwili dodał: – Piękne buty. Mam nadzieję, że nie jest ci w nich niewygodnie.

Adrian prowadził, lawirując między autobusami na jezdni, i po chwili wszedł na chodnik. Milczeliśmy przez kilka minut, idąc obok ciągu sklepów, aż wreszcie znaleźliśmy się na skraju wielkiej połaci zieleni.

– Hampstead Heath – powiedział Adrian. – Płuca Londynu.

Szliśmy po trawie, obok przykucających psów i urzędników z kanapkami, wystawiających twarze ku słońcu. Adrian zapytał, czy pochodzę z daleka, a ja w odpowiedzi zapytałam, czy on tu mieszka.

– Ha! Chciałbym. Znasz Brixton?

Oczywiście nie znałam, ale pomyślałam, że to gdzieś dalej, i zdziwiłam się, dlaczego zaproponował spotkanie właśnie w tym miejscu, tak daleko od naszych domów. Już otwierałam usta, żeby spytać, ale wtedy wyskoczył z innym pytaniem – co myślę o zbliżającej się letniej olimpiadzie w Londynie w 2012 roku.

– Jesteś za czy przeciw?

Nie zastanawiałam się tak naprawdę nad tym tematem i nie miałam tu żadnego zdania, dlatego odetchnęłam, kiedy on na jednym wydechu dodał:

– Oczywiście pod warunkiem, że świat będzie jeszcze wtedy istniał. Co myślisz o tych wyznawcach teorii, że w 2012 będzie armagedon, przekonanych, że ludzkość zostanie wtedy mocno przetrzebiona?

W tym obszarze czułam się bardziej pewna siebie. Entuzjaści scenariuszy dnia ostatecznego dominowali na czacie i znałam ich bzdurne argumenty. I miałam raczej pewność, że Adrian jest o nich podobnego zdania co ja –

ostatecznie ich przekonania trudno było opisać jako racjonalne – dlatego skorzystałam z szansy i odpowiedziałam dość dosadnie:

– Moim zdaniem są obłąkani.

Adrian aż zawył ze śmiechu.

– Prawda, prawda. W rzeczy samej – dodał ciszej – zawsze chciałem wymyślić własną teorię konspiracyjną, żeby po prostu dowieść, że ci debile łykną wszystko. Właściwie to mógłbym nawet od ręki taką wymyślić: powiedzmy, że Obama wywołuje kryzys bankowy. Daj mi jeden ranek na zbudowanie strony, wrzucę tam jakiś filmik i sfałszuję Wikipedię, a gwarantuję ci, że o piątej po południu będę miał za sobą tysiące fanatyków.

Nie wiedziałam nic o Obamie ani o bankowości, tak więc byłam zadowolona, że mój uśmiech wystarczył za odpowiedź. Potem zresztą Adrian gładko zmienił temat, pytając, czy jako dziecko wolałam sport, czy raczej byłam mołem książkowym tak jak on.

– Na podstawie jakości twojego umysłu domyślam się, że raczej to drugie.

I odtąd rozmowa płynęła jak rzeka, bo każda moja odpowiedź prowadziła do innego tematu, raczej nieznacznie wiążącego się z poprzednim.

Tym sposobem po mniej więcej piętnastu minutach zahaczyliśmy o sporą liczbę wątków konwersacyjnych i Adrian dowiedział się o mnie więcej niż ktokolwiek inny w całym moim życiu. Oprócz, oczywiście, mojej mamy, ale z nią to było inaczej, bo nasze rozmowy rozciągały się na całe tygodnie, miesiące i lata i przeważnie dotyczyły praktycznych, codziennych spraw. Tu z Adrianem wszystko było całkiem nowe, jeśli idzie o idee czy opinie, o których nawet nie wiedziałam, że je mam, dopóki nie usłyszałam, jak je wygłaszam. Kiedy tak przeskakiwaliśmy od jednego tematu do drugiego, sprawiało to wrażenie gry, w którą inni grali w szkole podstawowej, starając się nadepnąć na wszystkie płyty chodnikowe na placu zabaw w jak najkrótszym czasie.

Ta rozmowa, mimo że toczyła się tak prędko, nie sprawiała wrażenia ani wymuszonej, ani jednostronnej; Adrian nie zadawał pytań tylko po to, żeby je zadawać – wydawał się autentycznie zainteresowany moimi odpowiedziami.

Nie miałam czasu ani na refleksję, ani na zastanawianie się, czy to, co mówię, jest „właściwe”, niemniej jego pozytywne reakcje wskazywały, że takie było – zgadzał się ze mną i opowiadał o swoim podobnym doświadczeniu albo wyrażał jakąś własną myśl – a ja, zamiast czuć się zdeprimowana tym „ostrzałem”, byłam wręcz w doskonałym nastroju.

A potem, kiedy spacer trwał już ze dwadzieścia minut i akurat przechodziliśmy przez cienisty obszar porośnięty drzewami, powiedział coś zaskakującego, co natychmiast zaburzyło płynność naszej rozmowy. Dyskutowaliśmy akurat o wegetarianizmie – okazało się, że on też jest wegetarianinem – gdy wspomniał, że całkiem blisko, w Hampstead, jest dobra restauracja.

– Nie byłaś tam? – zapytał. – Koniecznie musisz iść. Zabierałem tam dawniej moją żonę Sandrę, to był nasz ulubiony lokal. I to nie tylko dlatego, że zawsze pomagali z jej wózkiem. Nie wiedziałam, że miał żonę, a już tym bardziej, że inwalidkę.

– RNSM – dodał, zanim zdążyłam coś powiedzieć.

I natychmiast zauważył, że brykający nieopodal pies jest uroczy, a potem spytał, czy lubię zwierzęta. I takim oto sposobem skierował nas na kolejny temat, a ten o żonie przykutej do wózka został zarzucony.

Dopiero później, kiedy miałam czas ocenić i przetrwać całe to doświadczenie, znaczenie naszej rozmowy stało się oczywiste. Adrian miał żonę, o której mówił w czasie przeszłym i która chorowała na stwardnienie rozsiane w postaci remitująco-nawracającej.

Ten drugi zbieg okoliczności sprawił, że nasze spotkanie wydało mi się tym bardziej niezwykle – jeszcze jedna rzecz, która nas łączyła. Uderzyło mnie to, że użył skrótu RNSM bez wyjaśnienia, jakby się spodziewał, że wiem, co to znaczy, choć nie wspomniałam, że mama na to chorowała, ani podczas rozmowy, ani na forum serwisu.

Mniej więcej wtedy właśnie zorientowałam się, że buty dość boleśnie obcierają mi pięty, i byłam zmuszona zwolnić krok. Adrian natychmiast zauważył, że jest mi niewygodnie.

– Biedactwo – powiedział. – Ależ wy, kobiety, potraficie cierpieć dla

urody. Usiądziemy?

Wskazał gestem pobliską ławkę, stojącą przodem do stawu. Usiedliśmy, on bokiem do mnie, z jednym ramieniem ułożonym na oparciu ławki. Uśmiechał się do mnie szeroko.

Gazety obsesyjnie rozpisywały się na temat tego, jak zwyczajnie wyglądał Adrian. Jeden z dziennikarzy napisał nawet, że przypominał „zastępcę kierownika w Dixonsie”, co brzmi nonsensownie: jak niby wyglądają zastępcy kierowników w sklepach Dixonsa? Był niezbyt wysoki i dość krzepki, ale nie gruby. To prawda, że nie miał specjalnie urodziwej twarzy – pełne, różowe policzki, sporawy nos, małe, głęboko osadzone niebieskie oczy – a jego najbardziej zauważalnym atrybutem były włosy, prawie czarne i zaczesane do tyłu. Miały nieco dziwną, jakby sprężynującą fakturę, której na ekranie się nie widziało.

A jednak było w nim coś, pewność siebie i to, że skupiał uwagę na drugiej osobie, co czyniło go zniewalającym i atrakcyjnym. Ja do tego przywykłam dzięki oglądaniu filmików, na których wpatrywał się w kamerę z takim wyrazem twarzy, jakby był starym znajomym osoby oglądającej, ale na żywo wyglądało to podobnie.

– No więc, Leila – powiedział. – Na pewno się zastanawiasz, dlaczego poprosiłem o to spotkanie. Pozwól, że wyjaśnię wprost. Jak już pisałem w liście, śledzę twoją aktywność na Czerwonej Pigułce i naprawdę zrobiłaś na mnie wrażenie. Zdradź mi, czym się zajmujesz zarobkowo.

Kiedy mu powiedziałam, że testuję programy, uśmiechnął się i nachylił ku mnie w konspiracyjny sposób.

– Nie mów nikomu, ale mimo że prowadzę serwis internetowy, jestem beznadziejny, jeśli idzie o komputery. Ironia losu, co? – Zaśmiał się. – Powinnaś udzielać mi lekcji. Udzielasz lekcji swoim rodzicom?

Wyjaśniłam, że moja mama nie żyje, a ojca nigdy nie poznałam, bo rodzice rozstali się, kiedy mama była w ciąży.

– A co z rodzeństwem?

– Jestem jedynaczką.

Uśmiechnął się.

– Cóż, mam nadzieję, że postrzegasz nas wszystkich z serwisu jako coś w rodzaju rodziny zastępczej.

– O tak! Pewnie! – odparłam. Pamiętam, że w tamtym momencie pomyślałam, że jestem przy nim zupełnie jak nie ja, bo taka jakaś podochocona, niczym te dziewczyny występujące w telewizji.

– Wiesz, Leila, nie ma dnia, żebyście, ty albo ktoś z pozostałych użytkowników, nie napisali na stronach serwisu czegoś tak mądrego i cudownego, że aż mnie to powala. Dosłownie krzyczę z radości. – Tu przeszedł do szeptu. – I coś ci wyznam. Często uważam się za pozytywnie myślącego faceta, ale od czasu do czasu czuję, że przez stan, w jakim znajduje się świat, nabawiam się lekkiej depresji. Przez tę banalność, przez to miałkie myślenie, które wydaje się normą. Rozumiesz, co chcę powiedzieć? Czy zdarza ci się czuć coś takiego?

Przytaknęłam entuzjastycznie.

– No przecież, oczywiście.

– Ale ja w takich chwilach – ciągnął – po prostu wchodzę do serwisu i widzę mądrych, pełnych pasji poszukiwaczy prawdy takich jak ty, zaangażowanych w sprawy, które naprawdę są ważne, i wiem, że wszystko będzie OK.

Uśmiechnął się do mnie. Pamiętam, że światło słońca padało na jego twarz, przez co jakby się jarzyła. Myślę, że dopiero wtedy dotarła do mnie realność całej sytuacji. Ten genialny człowiek, na którym wszyscy z Czerwonej Pigułki starali się zrobić wrażenie, był w tamtej chwili skupiony wyłącznie na mnie. Widziałam pory na jego twarzy i czułam zapach miętówek w jego oddechu. Kiedy spojrzałam na jego stopy, zauważyłam pasek skarpetek, które nosił do wsuwanych butów. Byłam blisko, miałam całkowity dostęp. Choćby taki FanRanda zabiłby, żeby się znaleźć na moim miejscu; tydzień wcześniej powiedział na forum, że dał sobie wytatuować na łydce ulubione motto Adriana: „Ważne jest nie osiągnięcie celu, tylko to, co napotyka się po drodze do niego”.

Mimo że dookoła nas byli jacyś ludzie, to jednak tak jakby się od nas

oddalili i pojawiło się to uczucie, że jesteśmy sami, tylko ja i on. Mój lęk przed tą rozmową też gdzieś zniknął – domyślałam się już, pamiętam, że chodzi o to, żebym została moderatorem na forum. I w tym momencie poczułam się doskonale szczęśliwa. Poczulałam wręcz, że znajduję się w przestrzeni, która jest dokładnie w tym rozmiarze, jakiego potrzebuję – to chyba najlepiej opisuje mój stan.

– No więc, Leila – Adrian oparł się wygodniej – co myślisz o serwisie? Proszę, bądź uczciwa. Naprawdę cenię sobie twoje zdanie.

Spodziewałam się tego pytania i powiedziałam mu, że moim zdaniem Czerwona Pigulka to oaza rozumu, prawdziwe forum dla dociekań intelektualnych i tak dalej. Podobnie jak wcześniej, Adrian wydawał się zafascynowany moimi ocenami.

– Naprawdę? – spytał. – Oj, dobrze to słyszeć.

A potem opowiedział mi trochę o historii powstania serwisu, którą zresztą zasadniczo już znałam: jak go uruchomił jeszcze w Ameryce, że libertarianizm jest tam rozumiany trochę inaczej, że Amerykanie są bardziej zainteresowani stroną ekonomiczną, podczas gdy my w Anglii bardziej się interesujemy aspektami filozoficznymi.

Pochylił się do przodu.

– Nigdy nie powiem tego nikomu innemu, ale mnie bardziej ciągnie do kwestii moralnych. Oczywiście nie chcę przez to sugerować, że ekonomia nie jest ważna. Ale to dzięki szukaniu odpowiedzi na pytanie „jak żyć najlepiej” czuję, że mi szybciej krąży krew.

– Mi też! – wtrąciłam.

– Na przykład ta debata o prawie do umierania, którą przeprowadziliśmy w zeszłym tygodniu – dodał Adrian. – Ty wyrażałaś się z ogromną pasją. Czy mam rację, twierdząc, że ten temat szczególnie cię interesuje?

– Tak – odparłam. Tu czułam się na pewnym gruncie. – Wierzę, że podejmowanie decyzji co do czasu i miejsca własnej śmierci to ostateczny wyraz władzy nad sobą. Dla mnie to raczej oczywiste, że ktoś, kto deklaruje wiarę w osobistą wolność, nie może być przeciwny samobójstwu. Wolność wyboru, jak umrzeć i kiedy umrzeć, to nasze fundamentalne prawo.



– A czy są z tym związane jakieś warunki, mówiąc w kategoriach moralnych? – spytał Adrian. – Czy kandydat na samobójcę powinien cierpieć na śmiertelną chorobę, abyśmy mu potem mogli wybaczyć jego postępowanie?

Potrząsnęłam przecząco głową.

– W życiu chodzi o jakość, a nie o ilość, i każdy człowiek ma prawo sam osądzić, czy jego życie jest warte życia czy nie.

Kiedy tak rozmawialiśmy, na ścieżce pojawiło się małe dziecko na chwiejnych nogach. Nosilo kapelusik chroniący od słońca i zaśmiewało się z zachwytu, obracając w stronę swojego ojca, idącego kawałek za nim. W odległości jarda, może dwóch od naszej ławki potknęło się i z pełnym impetem upadło na twarz. Po chwili zadarło głowę – drobiny żwiru wbiły mu się w buzię – i zaczęło upiornie wyć.

Pod wpływem tego hałasu Adrian wykrzywił usta.

– Przejdziemy się?

Nie czekając na odpowiedź, wstał i ruszył przed siebie, obchodząc płaczące dziecko. Poszłam za nim i przez chwilę spacerowaliśmy w milczeniu ścieżką między dwoma stawami. W jednym z nich pływali ludzie, od brunatnej tafli unosiły się śmiechy i pokrzykiwania. Adrian popatrzył w ich stronę i uśmiechnął się, najwyraźniej odzyskując jowialny nastrój po tym chwilowym zakłóceniu.

– Powiedzże mi, panno Leilo, czy znany ci jest argument z roszczenia.

A więc wracamy do rozmowy kwalifikacyjnej, pomyślałam. Niestety nie miałam pojęcia, o co pyta. Stwierdziłam, że dałabym radę rozpracować to rozumowo, gdybym miała chwilę, Adrianowi jednak najwyraźniej nie przeszkadzało, że nie odpowiedziałam, bo mówił dalej:

– Zgodnie z nim nie tylko nie mamy prawa przeszkadzać tym, którzy chcą zakończyć swoje życie, w uczynieniu tego, ale wręcz mamy obowiązek im pomóc, jeśli zostaniemy poproszeni.

– Jak w przypadku eutanazji? – zapytałam.

– No niby tak – zgodził się Adrian. – Ale to coś znacznie szerszego. I być



może nie ma nic wspólnego z prawdziwym aktem samego samobójstwa. Ujmijmy to w ten sposób: gdyby zaistniała sytuacja, że ktoś, kogo uważasz za zdrowego psychicznie, prosi o pomoc w odebraniu sobie życia, w taki czy inny sposób, to wtedy, zgodnie z argumentem z roszczenia, twoim obowiązkiem jest udzielenie mu tej pomocy.

– OK – powiedziałam. – Rozumiem. – Nadal miałam głowę zaprzątniętą tym, że nie wiedziałam od razu, co to jest argument z roszczenia.

– Właściwie to coś takiego, jak postawienie na głowie idei eutanazji w jej powszechnym rozumieniu – ciągnął Adrian. – Niektórzy ludzie są fizycznie zdolni do dokonania tego aktu samodzielnie, ale nie pozwala im się tego zrobić, bo niby tym wyrządziliby krzywdę rodzinie i przyjaciołom. – Urwał, żeby zaczerpnąć oddechu. – OK, a więc oto mam taki dla ciebie hipotetyczny dylemat. Pewna kobieta cierpi na schorzenie, które samo w sobie nie jest śmiertelne, ale niszczy jej życie i jest zasadniczo nieuleczalne. Po sporym namyśle kobieta dochodzi do wniosku, że chce odebrać sobie życie. Wie jednak, że bardzo zraniłaby tym i zdenerwowała rodzinę i znajomych, i dlatego się powstrzymuje. A jednak rozpaczliwie, rozpaczliwie chce się zabić, o czym jest przekonana od wielu lat. Przychodzi więc do ciebie i mówi, że się zastanawiała, jak tego dokonać, żeby nie zdenerwować rodziny i znajomych, ale nie uda jej się bez twojej pomocy. Co byś zrobiła? Pomogłabyś jej?

Pokiwałam głową.

– Oczywiście. Zgodnie z argumentem z roszczenia byłby to mój obowiązek.

Adrian potraktował mnie olśniewającym uśmiechem.

– Naprawdę jesteś niezwykła jak na tak młodą kobietę! Założę się, że twoje otoczenie nie docenia cię, jak powinno.

Poczułam, że się rumienię. Dotarliśmy do niewielkiej łąki opadającej stromo do stawu. Dookoła stali w grupkach rozweseleni ludzie, ich głowy i opalone kończyny ledwie wystawały ponad wysoką, złotą trawę, ale widziałam ich w dziwnym oderwaniu, jakbym po prostu mijala wielki obraz. Tylko rozmowa z Adrianem wydawała mi się w tamtym momencie realna.

– Nie wszyscy potrafią sobie radzić z tak zaawansowanymi teoriami, jak argument z roszczenia – powiedział Adrian. – Nawet niektórzy użytkownicy Czerwonej Pigułki nie są w stanie go ogarnąć. Mówią właściwe rzeczy, ale tak naprawdę potrafią jedynie wspiąć się na pewien poziom; nie są zdolni uporać się z wszystkimi implikacjami i rzeczywistością. Nadal trwają przy iluzjach i normach społecznych. Nie mogą się przebić przez tę barierę; nie są prawdziwie wolni. Osoba, która to potrafi, jest kimś rzadkim, wyjątkowym, Leilo. – Urwał. – Czy ty jesteś wolna?

Staliśmy teraz nad samym stawem. Patrzyłam na mężczyznę, który wrzucił frisbee do wody, i na pękatego, czarnego labradora, który skoczył jego śladem.

– Nie wiem – powiedziałam w końcu. – To znaczy nie wiem, czy już jestem. Wiem, że muszę się mnóstwo nauczyć, ale naprawdę tego chcę. Chcę być wolna.

Adrian uśmiechnął się i ścisnął mi ramię. Wskazał gestem, że znów ruszamy w drogę, i właśnie wtedy opowiedział mi o Tess.

Fakt jest taki, że wówczas nie wyjawiał mi jeszcze jej imienia. Powiedział tylko, że przyszła do niego kobieta, która rozpaczliwie pragnie odebrać sobie życie, ale nie chce, żeby dowiedzieli się o tym rodzina i przyjaciele. I że wpadła na pomysł, by zatrudnić kogoś, kto będzie ją udawał w sieci, dzięki czemu nikt się nie zorientuje, że ona nie żyje.

Oczywiście nie zgodziłam się tak od razu. Adrian nalegał, żebym dała sobie „co najmniej tydzień” na przemyślenie propozycji.

– To ogromna prośba, Leila. Ogromna – powiedział tamtego dnia w Heath, wyciągając ręce, by dodatkowo to podkreślić. – To ci zabierze mnóstwo czasu. Będzie też wymagało mnóstwo przygotowań i sił mentalnych. Będziesz musiała poświęcić na ten projekt co najmniej sześć miesięcy. A ponieważ, niestety, nie wszyscy wyznają takie oświecone poglądy jak ty, nikomu nie będziesz mogła powiedzieć, co robisz.

Pokiwałam głową, choć byłam pogrążona głęboko w myślach.

– Oczywiście dostaniesz jakąś rekompensatę finansową – ciągnął Adrian. – Omówimy to na następnym etapie. Obawiam się, że nie będzie to jakaś

zawrotna kwota, bo ta kobieta nie jest bogata, ale naprawdę chce ci zapłacić za twój czas. – Urwał na chwilę. – Gdybyś, teoretycznie, zdecydowała się jej pomóc, to ile byś za to chciała?

Pytanie padło tak niespodzianie, że w ogóle nie zastanowiłam się nad odpowiedzią. Niemniej, tuż po tym, jak się przeprowadziłam do nowego mieszkania, podsumowałam wszystkie swoje rachunki, koszt jedzenia i obliczyłam, że potrzebuję dokładnie 88 funtów tygodniowo na przeżycie. Z tego, co powiedział Adrian, wynikało, że praca dla Tess byłaby zajęciem na cały etat, a więc musiałabym przestać pracować dla Testers 4 U i byłby to mój jedyny dochód.

– Osiemdziesiąt osiem funtów tygodniowo? – powiedziałam.

Adrian uniósł brew i przytaknął.

– Brzmi to jak najbardziej racjonalnie. Jestem pewien, że to ją usatysfakcjonuje.

Kiedy rozstawaliśmy się przy wejściu do metra, Adrian położył dłonie na moich ramionach i przez kilka chwil patrzył mi w oczy, nic nie mówiąc. A potem uśmiechnął się i opuścił ręce.

– Do widzenia, Leila.

Pociąg do Rotherhithe tamtego dnia był zatłoczony. Nie miałam wyboru, musiałam stać wciśnięta w obnażone, spocone ramię jakiegoś mężczyzny i słuchać gđakania turystów. W normalnych okolicznościach wysiadłabym na najbliższej stacji i zaczekała na kolejny pociąg. Ale wtedy, tamtego dnia, nic mi nie przeszkadzało. Nic na mnie nie działało. Było tak, jakby podczas naszego spotkania Adrian dał mi płaszcz ochronny.

Przez kolejne trzy dni zastanawiałam się nad propozycją, badając ją z wszystkich stron. Sporządziłam listę wszystkich za i przeciw, tak samo jak wtedy, kiedy musiałam podejmować decyzje związane z mamą. Ta sytuacja sprawiała jednak wrażenie innej, jakbym tylko pokonywała kolejne etapy decydowania. Zanim wsiadłam do metra tamtego dnia po Heath, wiedziałam już, że powiem „tak”.

– Nie znam nikogo innego, kto posiadałby podobne zdolności umysłowe i jest na tyle empatyczny, żeby jej pomóc – powiedział Adrian. Obiecał też, że

zawsze będzie dostępny, kiedy tylko będę go potrzebowała. – Nie zostaniesz sama. Zawsze będę cię strzegł. Twój los jest moim priorytetem.

Oboje stwierdziliśmy, że lepiej się nie narażać na oceny ze strony mniej oświeconych, więc będziemy unikać odniesień do tego projektu na Czerwonej Pigułce, nawet w prywatnej korespondencji. Adrian powiedział, że jeśli postanowię się zaangażować, to mam go powiadomić przez zmianę swojej sygnatury pod wpisami na forach na jakiś cytat z Sokratesa. A jeśli zdecyduję, że jednak nie, to mam wpisać cytat z Platona. To będzie nasz tajny sygnał.

– I kiedy projekt już się zacznie, będziemy się komunikowali innymi kanałami – dodał. – Zakładam, że masz profil na Facebooku.

Bardzo chciałam znaleźć właściwy cytat z Sokratesa. Po namyśle zdecydowałam się na: „Nie tylko bezczynnym jest ten, co nic nie robi, lecz bezczynny jest także taki, kogo można by zatrudnić lepiej”.

Wbrew wewnętrznemu przekonaniu, że tego chcę, trzęsły mi się ręce, kiedy naciskałam klawisz, żeby to potwierdzić.

Podczas naszej pierwszej sesji Diana, psycholożka policyjna, zapytała: „A nie zastanawiałaś się, jak to właściwie ma wyglądać? Nawet w sensie czysto praktycznym – niby jak miałaś pozbyć się ciała?”. Powiedziałam jej wtedy, że te szczegóły to nie była moja sprawa i że swoje zadanie podjęłam dopiero po tym, jak sam akt został dokonany. Mówiłam prawdę, ale oczywiście tamtego dnia w Heath prawie od razu zapytałam, co się stanie z ciałem tej kobiety, żeby nikt go nie znalazł i nie zidentyfikował. Adrian wyjaśnił, że istnieją sposoby na takie popełnienie tego aktu, by ciało zostało znalezione dopiero po iluś miesiącach, jeśli nie latach, a poza tym nikt w tym przypadku go nie zidentyfikuje, ponieważ nikt nie zgłosi zaginięcia tej kobiety.

– Co roku tylko w tym kraju znajduje się pięć tysięcy niezidentyfikowanych ciał – powiedział. – I to ciało po prostu będzie jednym z nich.

Oczywiście tamtego dnia w Heath zadałam Adrianowi jeszcze inne pytania – wręcz go nimi zarzuciłam. Przyznał, że cały projekt będzie prawdopodobnie wymagał sporej brawury i olbrzymiego wkładu pracy.

– Ale na tym polega cała jego uroda – dodał. – Pamiętasz brzytwę Ockhama? Nawet jeśli ludzie stwierdzą, że chyba coś jest nie tak, to przecież nie wymyślą tego, że popełniła samobójstwo i poprosiła kogoś, żeby się w nią wcielił, prawda? Będą formułowali bardziej oczywiste wyjaśnienia.

W skrócie pomysł był taki: ta kobieta – Tess – poinformuje rodzinę i znajomych, że zamierza przeprowadzić się gdzieś za granicę, w jakieś odległe, niedostępne miejsce, żeby rozpocząć tam nowe życie. Przekaze wszelkie informacje, których będzie potrzebowała, żeby przekonująco wcielić się w nią w Internecie, poczynając od haseł, a kończąc na jej życiorysie. A potem, w dniu „lotu za granicę”, ona gdzieś zniknie i zadysponuje swoją osobą w jakiś dyskretny sposób, przekazując mi wodze swego życia. I wtedy ja przejmę jej tożsamość, czyli będę odpowiadała na jej maile, prowadziła jej profil na Facebooku i tak dalej, dzięki czemu jej bliscy nie będą mieli pojęcia, że ona już nie żyje. W ten sposób pomogę tej kobiecie zrealizować marzenie: będzie mogła odebrać sobie życie bez zadawania bólu przyjacielom i rodzinie, będzie mogła wymknąć się niezauważenie z tego świata.

– Naturalnie nasz najważniejszy problem, to czy ona jest zdrowa na umyśle – powiedział Adrian. – Cóż, znam Tess od jakiegoś czasu i zaręczam ci, że ona wie dokładnie, co robi. Czy jest barwną postacią? Tak. Szaloną? Zdecydowanie nie.

Po tym zapewnieniu mój umysł wrócił do spraw praktycznych. Uznałam, że jeśli będę miała do dyspozycji konieczne informacje, to logistyka naśladowania tej kobiety w sieci będzie dość prosta i oczywista: odpowiadanie od czasu do czasu na maile, kilka aktualności na profilu w tygodniu. Adrian powiedział mi, że ta kobieta ma już swoje lata, że dobiega czterdziestki – i całe szczęście, bo mogło to oznaczać, że nie opanowała nawet języka esemesów.

Przejmowałam się natomiast założeniami i zakończeniem całej operacji. Przede wszystkim czy ta cała Tess jest rzeczywiście osobą, która zdecydowałaby się na „nowe życie za granicą”? I druga, bardzo istotna kwestia: jak długo ten projekt miałby trwać? Przecież nie mogłabym się w nią wcielać w nieskończoność.

Adrian uspokoił mnie w obu sprawach. Tess pasuje do tego projektu idealnie, powiedział, zarówno pod względem sytuacji, jak i charakteru. A ja będę w to zaangażowana najwyżej przez rok, mniej więcej, i w trakcie zacznę się stopniowo oddalać od korespondentów Tess, ograniczając kontakt, aż wreszcie jej nieobecność stanie się ledwie zauważalna.

– Myśl o tym tak, jakbyś udawała ściemniacz do światła padającego na jej życie – powiedział.

Oczywiście nie wiedziałam wtedy, że to właśnie na tych środkowych elementach – maile i aktualności na jej profilu – zasadza się cały problem. I że nigdy tak naprawdę nie dotrę do końca.

Teraz, kiedy decyzja została podjęta, bardzo już chciałam zacząć projekt. Siedziałam przy swoim biurku i czekałam, aż Tess nawiąże kontakt – czekanie, jak się okazało, potrwało bardzo długie dwa i pół dnia.

Nie miałam pojęcia, w jaki sposób ona się do mnie odezwie. Myślałam, że pewnie pocztą mailową albo przez Facebooka, ale ponieważ podałam Adrianowi numer mojej komórki, istniała także możliwość, że zadzwoni. Otwarłam wszystkie niezbędne aplikacje w laptopie, położyłam obok naładowaną komórkę i próbowałam się zająć innymi rzeczami. Skończyłam raport z testu i bez celu surfowałam po necie, wchodząc w przypadkowe linki, ale wirtualny ruch przed moimi oczami sprawiał wrażenie podobnie dalekiego i nieinteresującego jak odgłosy samochodów hałaśliwie jadących przez tunel Rotherhithe za oknem.

Mimo prób zachowywania się normalnie podczas tego czekania niesamowicie się denerwowałam i dziś mogę przyznać, że pod koniec drugiego dnia zrobiłam się trochę irracjonalna. W głowie powoli wykwiłała mi myśl, że to wszystko jest pułapką i że lada chwila do moich drzwi załomocze policja.

Oczywiście teraz już wiem – zresztą wiedziałam to i wtedy – że przedłużający się stan podwyższonego napięcia zdziesiątkował mi rozum. Ale jak już mnie naszła ta wizja z policją, przestałam nawet surfować po przypadkowych stronach i tylko siedziałam przy biurku, nie skupiając się na niczym, a jedynie przysłuchując się dźwiękom z zewnątrz. Za każdym razem,

kiedy w oknie błyskały niebieskie światła – co w Rotherhithe zdarza się często – podrygiwały mi wnętrzności. W którymś momencie grupa dzieci zaczęła grać w piłkę obok restauracji i każdy łomot sprawiał, że podskakiwałam, jakbym pierwszy raz w życiu słyszała coś takiego.

Następnego ranka, po zaledwie kilku godzinach płytkiego snu, czułam się jeszcze bardziej zdenerwowana i roztrzęsiona. Stwierdziłam, że nie zniosę tego dłużej, i zaczęłam układać list do Adriana informujący, że rezygnuję z projektu, ale w tym momencie zerknęłam na dół ekranu i zobaczyłam to: [1] w mojej skrzynce odbiorczej.

Natychmiast otrzeźwiałam. Mail został przysłany z konta powachajtekawekotku@gmail.com. Uznałam wtedy, że Tess założyła nowe, anonimowe konto specjalnie dla projektu, okazało się jednak, że używała tego adresu od lat. Fraza nie miała szczególnego znaczenia; był to po prostu cytat z jakiegoś filmu, który leciał w tle w czasie, kiedy zakładała sobie konto na Gmailu w 2005 roku.

Z takimi właśnie rzeczami miałam do czynienia w przypadku Tess. Człowiek zazwyczaj uznaje, że ludzie robią to czy tamto z jakiegoś określonego powodu, że za ich działaniami stoi namysł i sens, ale w jej przypadku najczęściej tak nie było. I oczywiście bynajmniej nie ułatwiało mi to zadania.

Nie wpisała nic w temacie i nie napisała żadnego listu, ale za to były cztery załączniki – trzy dokumenty i jeden JPEG.

Najpierw otwierałam fotografię.

Naturalnie skonstruowałam sobie jakąś ideę Tess na podstawie informacji dostarczonych przez Adriana. Nie żeby powiedział mi jakoś wybitnie dużo: miała trzydzieści osiem lat, mieszkała w Bethnal Green we wschodnim Londynie i aktualnie pracowała w jakiejś galerii sztuki. Z powodu tego, co chciała zrobić, spodziewałam się zobaczyć kobietę w średnim wieku o martwych oczach i twarzy wynędzniałej z rozpacz.

Tymczasem kobieta na zdjęciu ani trochę taka nie była. Przede wszystkim wyglądała młodo. A raczej patrząc na nią, nie pomyślałoby się, że wygląda na swój wiek, bo była taka atrakcyjna. Nie była piękna jak księżniczka Buttercup z filmu *Naręczona dla księcia*, ale, zdaje się, zasługiwała na



miano „seksownej”.

Zdjęcie ukazywało ją prawie całą, stojącą w kuchni. Mimo że poza nią zdjęcie nikogo innego nie uwieczniało, najwyraźniej uczestniczyła w jakiejś imprezie: blat, przy którym stała, był zastawiony najrozmaitszymi butelkami i porozrzucanymi cząstkami limonek, a w ręku trzymała pustą torebkę z niebieskiego plastiku, która zachowała jeszcze kształt swojej zawartości.

Była ubrana w coś takiego, co wyglądało jak ogromny, biały T-shirt, tyle że nosiła go jako sukienkę ze złotym paskiem. To coś ześlizgnęło jej się z jednego ramienia i odsłoniło małą, podobną do guzika wypustkę na obojczyku, taką, jakie widuje się u dziewczyn w kolorowych magazynach. Była bardzo opalona – zresztą, jak dowiedziałam się później, była w połowie Chilijką i nawet zimą jej skóra miała odcień mocnej herbaty. Jej gołe nogi, chude i nieumięśnione, wyglądały na rzadko używane. Nogi uczennicy, tak nazwałaby je mama, choć ja takich nigdy nie miałam, nawet kiedy chodziłam do szkoły.

Włosy miała niemal czarne, gęste, sięgające ramion, z grzywką. Z kolei jej oczy były piwne i niezwykle szeroko rozstawione. Patrzyła w stronę aparatu, ale głowę miała lekko zwróconą w bok, dlatego widać było, że jej nos jest długi i płaski, a żuchwa wyraziście zarysowana. Uśmiechała się, ale nie normalnym uśmiechem osoby pozującej do zdjęcia, tylko takim, jakby właśnie zrobiła coś niegrzecznego, o czym nie wiedział nikt oprócz niej i fotografa.

Czy wtedy też tak pomyślałam? Czy raczej tak mówię, bo z czasem odkryłam, że rzeczywiście zrobiła właśnie coś niegrzecznego? Ta impreza to była parapetówka u jej przyjaciółki Tiny, organizowana w sierpniu 2007 roku, i zdjęcie zostało zrobione chwilę po powrocie z toalety, gdzie Tess wzięła kokainę razem z Dannym, mężczyzną, który był autorem fotografii.

I być może za pierwszym razem, kiedy ją zobaczyłam, wcale nie wydała mi się „seksowna”, i tylko teraz tak mówię, bo wiem, że inni ludzie ją za taką uważali.

Z wszystkich sił staram się być obiektywna i dokładna przy opisywaniu łańcucha zdarzeń i tego, jak je postrzegałam, żeby nie zaciemnić ich całą wiedzą, jaką zgromadziłam później, ale to niewdzięczne zadanie. Może więc

powiem bezpiecznie, że w tamtym czasie na pierwszy rzut oka Tess nie wywarła na mnie wrażenia kogoś, kto chce umrzeć.

Po dokładnym przyjrzeniu się zdjęciu ściągnęłam dokumenty. Nadal je mam na swoim komputerze. Pierwszy zawierał list zatytułowany: „Najpierw to”. Podaję go tu w całości:

*Hej Leila!*

*Ja cię. Słowo daje, nie umiem napisać jak ja się z tym czuję, że mi chcesz pomóc. Jakbyś się zgodziła uratować mi życie czy co. Wiem, że odjechany tekst w tych okolicznościach, ale nic tu nie ściemniam. Na bank ci będę dziękowała jeszcze miliony razy przez całe to wszystko, więc zaczynam już teraz. DZIĘKI CI WIELKIE!*

*Musimy jeszcze obgadać, jak sobie z tym wszystkim będziemy radziły. To wszystko jest dla mnie nowe – oczywiście – ale tak mi się pomyślało, że może powinnam ci najpierw przesłać jakieś różniste info, wszystko co się akurat nasuwa, a potem ty mi będziesz zadawała pytamnia i wypełnimy te dziury rzeczami, które na pewno mi umkną. Tak jest K?*

*Wiesz tak na oko, ile ci trzba czasu? Oczywiście musisz czuć że jesteś totalnie gotowa, ale żebyś wiedziała, chcę żeby to się stało jak najszybciej. Nie wiem ile ci powiedział Adrian, ale ja czekałam na to tak długo. Znaczą się, czy możesz zacząć zaraz?*

*Jeszcze jedno – adrian i ja myśliśmy, że będzie najlepiej, jak ty i ja nie spotkamy się w realu i tylko wszystko przygotujemy w majlach. Dzięki czemu sprawa będzie b. czysta i będzie ci łatwiej jak się nie zaangażujesz uczuciowo.*

*Dlatego siedzę tu i sobie myślę – dlaczego to dla mnie robisz? A właściwie to wie, Adrian mówił, że jesteś wyjątkowa. Mam nadzieję, że będzie ci z tym K. I ostrzeżenie: jestem porąbaną wariatką. Sorki.*

*K. Więc najpierw pomyślałam, że przyśle ci ten życiorys, który kazał mi kiedyś napisać psychiatra. Ma kilka lat, więc wyobraź sobie teraz, że jest gorzej, ale dostaniesz ogólny obraz. I od tego będzie można zacząć.*

*Nie wierze, że to się naprawdę dzieje. Od kurwa lat nie czułam się taka happy. MEGA DZIĘKI!!*

*Tess*

*xxxx*

*PS Niezłe jaja, ale widziałam się wczoraj z moja starą, była tą samą krową, co zawsze i pomyślałam – co ja sobie zawracam głowę żeby tb nie było przykro? Dlaczego nie zabić się jak każdy normalny człowiek zamiast się zabierać za taki skomplikowany plan? Ale po prostu nie mogę. Chyba nie nienawidzę jej aż tak bd.*

Następnym dokumentem było CV. Zawierało jej imię i nazwisko, adres, datę urodzenia i nadzwyczaj zróżnicowaną listę miejsc, w których była zatrudniona, bez żadnych dostrzegalnych związków, poczynając od menedżera zespołu o nazwie Matka Boska Bolesna, a kończąc na jej aktualnej posadzie, czyli osoby pilnującej w galerii sztuki w południowym Londynie. Nie podążała systematyczną ścieżką kariery, ujmując rzecz łagodnie.

Na końcu otworzyłam „życiorys”, który sporządziła na prośbę psychiatry. Zamieszczam go tutaj w całości, tylko najpierw poprawię w nim ortografię i interpunkcję; to dość długi tekst, a „unikalny” styl Tess potrafi być męczący.

*OK, a więc dzieciństwo. Nic tu ciekawego. Było OK. Byłam szczęśliwym dzieckiem, ładna, duża chata, rodzice w porządku. Pamiętam, że mama była trochę sztywna, nie chciała, żebyśmy się do niej przytulali, jak się wystroiła, albo dotykali jej antyków, bo mogliśmy je ufajdać, ale robiła to, czego się od niej wymagało. No to więc nie była toksyczna. Wiem, że to się nie zgadza z tym, w co wy wszyscy spece wierzycie, ale moim zdaniem wczesne dzieciństwo specjalnie nie ma znaczenia. Dorastanie to jest formatywny czas – kiedy do ciebie dociera, że to nie twoi rodzice kontrolują świat, i człowiek*

zaczyna widzieć rzeczy takie, jakie są, i zaczyna widzieć, jaki sam jest, że nie jest tylko ich przedłużeniem. Albo może ja miałam jakiś popsuty gen, który był uśpiony, dopóki nie zostałam nastolatką. Nie wiem. W każdym razie mogę tylko powiedzieć, że się czułam jak raczej normalne, szczęśliwe dziecko. Jeśli już, to raczej z moim bratem, Nicholasem, było coś nie tak. Był trzy lata starszy i znęcał się nad tym małym Seanem, który mieszkał przy naszej ulicy, bo kazał mu jeść stonogi i takie tam. Bił się, wykradał mamie kasę z torebki, żeby mieć za co grać na automatach w Three Tuns. I patrzcie na niego teraz, pan wszechświata z tą swoją porządnicką żonką i wyjazdami na polowania.

No więc wszystko szło, jak się należy, i nie wiem, co się dokładnie stało ani kiedy, ale wiem, że jak skończyłam piętnaście lat, to byłam już cieniem swojego dawnego ja. Wiem, że to banał, ale nie umiem tego lepiej ująć. Pamiętam, że poczułam to naprawdę po raz pierwszy w urodziny kumpla, Simona – wszyscy szli do tego pubu, w którym chcieli nas obsługiwać, i szedł też ten chłopak, któremu się podobałam, jeden z tych tak zwanych fajnych ludzi w naszej szkole. Ale zamiast tam iść, zamknęłam się w swoim pokoju i położyłam do łóżka. Starym powiedziałam, że mam grypę, ale tak naprawdę to naszło mnie to takie głębokie poczucie bezsilności. Trudno to wyjaśnić. Było tak, jakbym nie wiedziała, że cały czas chodziłam ze sznurem zawiązanym na szyi, a potem nagle otworzyła się pode mną zapadnia i już wisiałam.

A potem, kilka dni później, nastrój mi się nagle polepszył. Jakby mi dali zastrzyk z adrenaliny prosto w serce. Poczułam się nie tylko lepiej, poczułam się absolutnie świetnie. Świat stał przede mną otworem. Pomyślałam o tamtym chłopaku – nie pamiętam teraz, jak on miał na imię – i postanowiłam, że wskoczę na rower i pojedę do niego bez dzwonienia czy coś tam. Drzwi otworzyła jego matka i powiedziała, że teraz jedzą kolację, ale ja się uparłam, żeby go przywołała, i kiedy to zrobiła i on podszedł do drzwi, wyglądał na ogłupiałego, a ja nic nie powiedziałam, tylko zaczęłam go całować, tam i wtedy, na oczach jego matki. Byłam pociągająca, inteligentna, nikt nie mógł mi się oprzeć, każdy chciał być blisko mnie. A potem czułam, że zapadnia znowu się pode mną otwiera, i wtedy pełzałam do domu, zamykałam się przed światem w swoim pokoju i wpadałam do dziury.

I tak to wyglądało przez kilka lat, raz tak, raz siak. Wiedziałam, że

*nastolatki mają różne nastroje, więc uznałam, że to się właśnie ze mną dzieje, i rodzice też tak chyba myśleli. Ale mój brat czegoś takiego nie przechodził. Trzaskał drzwiami, bręczał coś i był małym gnojkiem, ale zawsze dawało się go wyciągnąć z deprechy, jak mu się dało trochę kasy albo pozwoliło oglądać Drużynę A w TV.*

*Kiedy miałam mniej więcej siedemnaście lat, zaczęłam rozumieć, że coś ze mną naprawdę nie tak, że nie jest normalnie. Zaczęłam się wikłać w różne trudne sytuacje, nie wracałam na noc do domu i dawałam każdemu, kto chciał. Któregoś razu obciągnęłam ojcu mojej kumpelki, Kelly, kiedy zostałam u niej na noc. Myłam zęby, a on akurat przechodził obok łazienki i zatrzymał się, żeby na mnie popatrzeć, a ja go wtedy wzięłam za rękę i wciągnęłam do środka. Innym razem moi znajomi i ja byliśmy w pubie w Edgware i o jedenastej oni chcieli już wracać do domu – mieliśmy powtarzać materiał egzaminów z A-level – a ja za to zadzwoniłam do taty i coś tam nawinęłam, że muszę zatrzymać się u kumpeli, ale zamiast tego wsiadłam do taryfy jadącej do Soho, zapytałam kogoś na ulicy, gdzie się najlepiej zabawić, i wylądowałam w tym klubie w podziemiach, gdzie chlałam wszystko, co mi dali, i gadałam z tymi zwariowanymi starymi facetami w kapeluszach i krawatach. Jeden z nich zaczął mnie głaskać po cyckach i potem poszliśmy do jakiegoś kąta, gdzie było ciemno, ale nie aż tak bardzo ciemno, wiadomo, co mówię, i tam się miętoliliśmy na stojąco. Do domu wróciłam, dopiero gdy znowu ruszyło metro, znaczy o 6 rano; poszłam prosto do szkoły i spałam na ławce przez dwie godziny, dopóki nie zadzwonił dzwonek.*

*Miałam w dupie jakieś uczenie się. Oblałam dwa egzaminy z A-level, ale za to zdałam ten ze sztuki i dzięki temu dostałam się na kurs przygotowawczy na Camberwell, czyli jak można sobie wyobrazić, idealne – i najgorsze – studia dla mnie. W szkole plastycznej nie tylko tolerowali wariactwo, ale wręcz do niego zachęcali. Pierwszego dnia ogoliłam się na łyso w stołówce i wszyscy natychmiast znali mnie już z imienia. Zorganizowałam też zbiorową imprezę zatytułowaną Topless, na której wszyscy, jak można się domyślić, musieli być topless. Boże, byłam żenująca. Śpiewałam w gównianej kapeli, a potem zostałam menedżerką jeszcze bardziej gównianej kapeli, Matka Boska Bezbożna. Chłopaki naprawdę mnie lubili. Z każdej imprezy wychodziłam jako ostatnia. Podczas epizodów maniakalnych – wiedziałam, kiedy się zbliżały, bo moje policzki robiły się jakby grube i mrowiło mnie w nich –*

autentycznie rzucałam się na pracę, byłam niesamowicie produktywna, przez całe dni nie wychodziłam ze studia, nie spałam, czasami w ciągu nocy malowałam dziesięć obrazów, słuchając na pełen regulator Pierścienia Nibelunga i wypalając tyle fajek, że rano ledwie potrafiłam wychrypieć dzień dobry, kiedy przychodziła sprzątaczką.

A potem, kiedy wszystko robiło się czarne, miałam wrażenie, że głowę wypełnia mi beton. Mogłam tylko spać, a kiedy nie spałam, leżałam w łóżku, myśląc o samych strasznych rzeczach, wymyślając jakieś potworne wizje śmierci swojej i znanych mi ludzi, którzy niby jakoś mnie znieważyli.

Czasami było to skrzyżowanie między wzlotem a upadkiem i robiłam się jednocześnie obłąkana i zirytowana. Wydzwaniałam po ludziach i darłam się na nich, a później, kiedy zaczął się Internet, pisałam długie maile do znajomych, którzy według mnie jakoś mnie zawiedli, albo do sklepów, w których była wyprzedaż filizanek, bo zobaczyłam te filizanki w jakimś czasopiśmie i strasznie je chciałam mieć.

Jedyną rzeczą, która trochę jakby wszystko łagodziła, była gorąca kąpiel, więc się kąpałam, czasami przez pół dnia, zużywając całą gorącą wodę w domu, w którym mieszkałam z innymi ludźmi, a jak woda wystygła, to wychodziłam z wanny, żeby nagrzać nową w czajnikach i garnkach.

Moi współmieszkańcy zmęczyli się mną raczej szybko, ciągle dochodziło do kłótni i w końcu zażądali, żebym się wyprowadziła. No to więc się wyprowadziłam do Jonny'ego, chłopaka, z którym byłam wtedy związana, ale po jakimś tygodniu strasznie się pozarliśmy nie wiadomo o co, więc wyrzuciłam wszystkie jego rzeczy przez okno i napisałam lakierem do paznokci CIPA na jego samochodzie. Tak, jestem kurewsko banalna. Następnego dnia nic nie pamiętałam – Jonny musiał mi przypomnieć.

Czasami tak mocno chciałam spokoju, że wskakiwałam do pociągu i jechałam do jakiejś depresyjnej pipidówki nad morzem, meldowałam się w jakimś pensjonacie, takim z porcelanowymi kotkami i szydełkowymi pokrowcami na krzesłach, żeby tylko być sama, a potem całą noc nie mogłam zasnąć pod zapoconą pościelą z nylonu i bladym świtem musiałam dawać nogę, bo nie miałam pieniędzy, żeby zapłacić za pobyt.

Kurwa, już od samego pisania o tym mam ochotę się zabić. Niezły



dowcip, ha, ha. Albo raczej taki sobie.

Przez cały czas myślałam o samobójstwie. Uznałam, że to jest rozwiązanie – dosłownie. Wysiadywałam w swoim pokoju i wyobrażałam sobie, że mam taki kalkulator, do którego wpisuję wszystkie szczegóły mojego życia, potem wciskam przycisk „równa się” i na wyświetlaczu pojawia się słowo „samobójstwo”, utworzone z czerwonych LED-owych liter. Raz próbowałam w liceum: pozbierałam wszystkie pigułki, jakie mi wpadły w ręce, a potem poszłam do szpitala, zamknęłam się w toalecie dla personelu i je połknęłam, uważając, że tam widok trupa nikogo nie zaszokuje i że będzie łatwo im się mnie pozbyć. Ale oczywiście nie przyszło mi do głowy, że jak mnie znajdą, to będą mieli sprzęt do pompowania żołądka, i tak to się właśnie skończyło. Nigdy nie byłam dobra z logicznego myślenia.

Przyjechali po mnie rodzice, żeby mnie zabrać do domu, i byli kompletnie ogłupiali i zdenerwowani, że sobie stworzyli taką istotę. To znaczy tato był ogłupiony, ale przymulony i miły jak zawsze, za to mama kompletnie odziczała. Jakby coś ją zbrzydziło. Ledwie potrafiła mnie dotknąć, umiała mówić tylko o tym, że potrzebuje fryzjera, albo jakimś zasranym nowym dostawcy lapis lazuli, którego znalazła w Tajlandii, i w ogóle o wszystkim, tylko nie o tym, co właśnie zrobiłam. To nie było tak, jakby się tym zdenerwowała, po prostu nie mogła tego znieść, była wściekła. Właśnie wtedy zrozumiałam, że ona jest toksyczna. Zrozumiałam to nagle i wtedy cała moja przeszłość stanęła mi przed oczami. I wyszło mi coś takiego, że jak byłam grzeczna, śliczna, milutka i zawsze jej przytakiwałam, to wtedy wszystko było OK, bo pasowało do jej wizji. Ale teraz, kiedy się pochorowałam, to się zrobiło tak, jakbym była jakimś uszkodzonym towarem, i stale powtarzała, że to nie jej wina, że nie odziedziczyłam tego z jej strony, po jej perfekcyjnej rodzinie chilijskich arystokratów. Pamiętam, jak raz mi wyrębała, że młodość sobie marnuję, że jestem popieprzona, że kiedy ona była w moim wieku, to już drugi raz była mężatką i urodziła dwoje dzieci. Powiedziałam jej, że nie mam ambicji wychodzić za mąż i dawać sobie zrobić brzucha w wieku siedemnastu lat, a potem rzucić biednego facia, kiedy się okaże, że nie odniósł takiego sukcesu, na jaki liczyłam, pojechać do Londynu i znaleźć miłego, cholernie bogatego gościa, który przygarnie mnie i mojego raczkującego syna, i potem spędzić resztę życia na braniu go pod pantofel, wydawaniu jego forsy i miotaniu się jak jakaś Frieda Kahlo z przeceny. Też z wąsami, ale bez



talentu. Można sobie chyba wyobrazić, że nie zostało to najlepiej przyjęte.

Chodziłam na psychoterapię, co się okazało do dupy – nic osobistego – i brałam różne kombinacje leków. Od tych pigułek robiło się ze mnie zombi, jakaś taka odrętwiała osoba, która tak naprawdę nic nie czuje, ani smutku, ani radości, ani w ogóle nic. Na prochach nie jestem człowiekiem, tylko kłodą drewna. Z początku była w tym jakaś nowość, że mam jakieś „normalne” życie, że chodzę do pubu, że oglądam TV, że jestem w stanie spać osiem godzin jak reszta świata. Ale brakowało mi tego szaleństwa. Bo ono było przynajmniej zabawne, wie pan? Poza tym stanowiło sporą część mnie. A bez niego robiło się tak, jakbym była zubożałą artystką, która mieszka w jakiejś wielkiej chałupie, gdzie większość pokoi jest zamknięta na klucz i gdzie wszystko jest nakryte pokrowcami, a ja siedzę w wyiębionym salonie. Ja nie żyłam, ja tylko istniałam.

A potem leki przestały być takie skuteczne i zaczynałam się wymykać, to wtedy próbowali innych kombinacji i tak to trwało miesiącami, latami, to wypróbowywanie leków, które miały okropne skutki uboczne albo po prostu nie dawały kopa, więc mnie z nich zdejmowali i wtedy znowu miałam odpały, były te wariackie, niesamowite noce i wyniszczające doły. Znajdowałam pracę, traciłam ją, miałam chłopaków, robiłam ich w wała, przeprowadzałam się gdzieś, musiałam brać się w garść. I wszystko takie kurewsko powtarzalne.

I mniej więcej w tym czasie zrozumiałam coś – że cokolwiek by mi mówili, jakiegokolwiek tabletki bym brała albo jaką terapię bym przechodziła, to w najlepszym razie problem tylko zostaje zamaskowany. To coś w mojej głowie, czymkolwiek wtedy było, zostanie już w niej na zawsze. Terapia to same gówna, tak jak gówniane są diagnozy. Któregoś dnia mówił pan o „pokonywaniu” psychozy maniakalno-depresyjnej, że to jak smok, którego trzeba zabić czy coś, ale ja tak tego nie czuję. To jest coś, co jest częścią mnie, ukorzenione w moim charakterze, i będę musiała z tym żyć aż do śmierci. Nie ma innego wyjścia. Tak właśnie. Natrafiłam kiedyś na taki cytat: „Nie ma nadziei, że ktoś kiedyś wymyśli lek na bycie mną”, i dokładnie tak się czuję.

Każdego dnia po przebudzeniu muszę podejmować decyzję, czy jestem czy nie jestem w stanie z tym żyć. Chodzi o to, że teraz już znam scenariusz.

Wiem, co się ze mną stanie. Kiedy jestem nawalona, może mi się nawet wydawać, że idę równym kursem, ale jestem tylko półżywa. Ja tylko istnieję. Cały mój ogień i kreatywność gdzieś znikają. A potem, kiedy wchodzę w fazę maniackalną, jestem za bardzo żywa. Ale im jestem starsza, tym fazy maniackalne są krótsze, a te depresyjne stają się coraz częstsze.

Nie mogę się pochwalić żadną karierą – miła dziewczyna z klasy średniej, tyle tych pieniędzy na wykształcenie, wszystkie te możliwości. Zmarnowałam to wszystko, tak powiedziałyby moja matka.

Jak nie biorę pigułek, to mi odbija, wyrządzam ludziom krzywdę i chcę umrzeć. A jak biorę pigułki, to brakuje mi mojego ognia i niczego nie odczuwam głęboko, tylko człapię przez życie jak wszyscy, zużywając zapasy, jedząc jedzenie i srając nim. To przez nie myślę nie tak jak należy o różnych rzeczach – mam te same opinie co gazety, idę po linii najmniejszego oporu. Któregoś dnia w pubie moi znajomi się pokłócili na temat tego, czy w restauracjach powinno się dawać napiwki, nawet jeśli obsługa jest beznadziejna, i mnie nawet się nie chciało zajmować stanowiska. Byłam kiedyś kelnerką, to temat, na który powinnam mieć własne zdanie, ale po prostu brak mi woli i energii, żeby się jeszcze angażować. Żyję zwyczajnym życiem, żeby tylko żyć. Gdzie tu sens?

I kiedy patrzę w przyszłość, widzę tylko dalszy ciąg tego samego starego gówna, tyle że jestem starsza. Kiedy teraz oglądam swoją twarz w lustrze, widzę początki bruzd – staruszki takie mają i miałyby je moja mama, gdyby nie przeszła tylu operacji plastycznych – i dokładnie w nich jest przyszłość, wyłożona przede mną jak na tacy. Pewnie zostało mi jeszcze kilka lat, zanim twarz zacznie mi się rozpadać i stanę się kobietą w średnim wieku. Już się zdarza, że faceci nie zatrzymują na mnie wzroku. Wyobrażam sobie swoją twarz jako temat filmu poklatkowego: zmarszczki robią się coraz głębsze, usta opadają, robiąc grymas, dziąsła się cofają, coraz więcej siwych włosów. I w końcu obracam się w proch. Ale przedtem, jak mogłabym zapomnieć – starczość. Całe tamto życie, doświadczenie i wspomnienia przemienione w pulpę i kończę tak, że ściągam spodnie przy stoisku z gazetami jak mój tato. Moje ciało pogrzebie mnie żywcem, a ja tego nie chcę.

Pytał mnie pan kiedyś o dzieci. Nie zamierzam mieć dzieci, nie zaufałamby sobie. Nie jestem w stanie zadbać o siebie, to jak mogłabym mieć

dzieci?

*I pan dobrze wie, że co się zabawiłam, to moje. Niby wszystko gównie warte, niby skrzywdziłam tylu ludzi, niby zmarnowałam tyle czasu i przez te wszystkie noce w śmierdzących klubach w Soho i przez błędy, które popełniłam, a jednak przynajmniej żyłam, czego o bardzo wielu ludziach się nie powie. Ale teraz wiem, jak to jest, i już tego nie chcę. I nie patrzę na to jak na jakąś szczególnie smutną rzecz. Po prostu nie widzę sensu w powtarzaniu wszystkiego bez końca, w robieniu się coraz bardziej niewidzialna, w kładzeniu się spać i wstawaniu, bez zaufania we własne instynkty, czując się albo w połowie tylko żywa, albo bez kontroli nad sobą. Po prostu nie chcę już tego więcej.*

W tym miejscu tekst się urywał. Po chwili utworzyłam nowy dokument w komputerze. Zauważyłam pewną nieścisłość w tym życiorysie: w swoim CV Tess napisała, że była menedżerem zespołu Matka Boska Bolesna, a tutaj, że to była Matka Boska Bezbożna. Zanotowałam więc, że muszę ją zapytać, która nazwa jest poprawna. A potem napisałam do niej maila z potwierdzeniem, że dostałam dokumenty i że możemy przystąpić do działania.

## Piątek, 19 sierpnia 2011

Tego popołudnia wydarzyły się dwie rzeczy. Dwoje ludzi, którzy sprawiali wrażenie stosunkowo przytomnych, powiedziało, że chyba pamiętają Tess, a poza tym weszłam do Internetu.

Mój dzień miał lepszy start. Żeby uniknąć powtórki z nieprzyjemnym przebudzeniem, jak poprzedniego dnia, poszłam spać przy rozchyłonych klapach namiotu, kładąc się na plecach z głową w połowie wysuniętą na zewnątrz i opuszczoną na szyję maską na oczy. Kiedy obudził mnie blask słońca, wyslizgnęłam się z namiotu i przeniosłam materac w cień drzewa, gdzie nałożyłam maskę na oczy i natychmiast na powrót zasnęłam. Przerwa była minimalna i obudziłam się potem dopiero o drugiej po południu, czując się zasadniczo wypoczęta.

Po zjedzeniu trzech herbatników i prędkim umyciu się chusteczkami odświeżającymi wzięłam zdjęcie Tess i zrobiłam rundę dookoła obozowiska. Blisko głównej polany jacyś nowi ludzie rozstawiali namioty. Nie było od razu jasne, kto z tej pary jest mężczyzną, a kto kobietą; oboje mieli długie, oklapnięte, ciemne włosy i byli chudzi, przy czym dziewczyna w kwestii biustu raczej nie miała się czym pochwalić. Mężczyzna nosił w płatkach uszu czarne kółka wielkości jednego euro.

Zapytałam ich, czy byli tu minionego lata. Potwierdzili, więc pokazałam im zdjęcie. Skonsultowali się z sobą w jakimś obcym języku i w końcu mężczyzna powiedział, że rzeczywiście pamiętają jakąś samotną Angielkę, która wyglądała podobnie, ale miała dłuższe włosy, i byli dość pewni, że raczej nie przedstawiała się jako Tess, tylko jakimś dłuższym imieniem zaczynającym się na S.

Oczywiście brałam pod uwagę, że Tess mogła używać innego imienia, kiedy tu była. Poprosiłam ich, żeby sobie przypomnieli jakieś szczegóły w związku z jej ubraniem albo tym, co mówiła. Nic nie pamiętali, ale obiecali,

że mi powiedzą, jak im coś przyjdzie do głowy. Nie będę się tym podniecała. Potrzeba więcej dowodów.

Później wróciłam na swój materac pod drzewem i ledwie co się zdrzemnęłam, kiedy poczułam, że coś mnie lekko szarpie za rękę. To był Milo.

– Annie się pyta, czy chcesz do nas przyjść – powiedział.

Annie zasunęła tylne drzwi vana i siedziała za kierownicą. Powiedziała, że wybiera się do miasteczka, bo musi iść do banku, i pomyślała, że może też chcę się przejechać, żeby kupić sobie coś do jedzenia.

– Kobieta nie może żyć samymi herbatnikami – stwierdziła.

– A będzie tam jakaś kawiarenka internetowa? – spytałam.

– Pewnie tak – odparła. – To nadmorska miejscowość, turyści ciągną tam jak muchy do gnoju.

Usiadłam na przedzie razem z Milem; młodsze dziecko zostało umieszczone na tylnej kanapie. Jeździłam już kiedyś vanem, gdy przewoziliśmy meble mamy do magazynu, ale tym razem wyglądało to inaczej. Przede wszystkim to był wyjątkowo stary wóz, a niemiłosiernie gorące powietrze w jego wnętrzu nieprzyjemnie cuchnęło, jakby plastikiem, mlekiem i starymi skarpetami piekącymi się w piekarniku. Podłogę pokrywała gruba warstwa książek, broszur i płyt CD, a okna były zalepione podartymi kolorowymi naklejkami. Z lusterka zwisało coś dziwnego i futrzastego, a kiedy Milo zauważył, że się temu czemuś przyglądam, powiedział, że to łapka jego królika.

– To była naturalna śmierć – wyjaśniła Annie, skręcając kierownicą z jakby wielkim wysiłkiem.

Z głębi vana wydobywały się niepokojące odgłosy, które przypomniały mi poranne odchrząkiwania mamy.

Kiedy zaczęliśmy pełznąć po wyboistej drodze, Annie zapytała:

– No to o co chodzi z tą znajomą, której szukasz?

Oczywiście raz już opowiedziałam Annie swoją historyjkę, tamtego pierwszego dnia, kiedy pokazałam jej zdjęcie Tess, ale teraz zaczęłam

ponownie recytować, że szukam dawnej przyjaciółki, która gdzieś tu według mnie teraz jest. Annie przerwała mi.

– Nie, ja wiem, że jej szukasz. Ale dlaczego? – Zerknęła na mnie z chytrym uśmieszkiem. – Kochasz ją? – A kiedy nie odpowiedziałam, dodała: – Dla mnie OK, jeśli ją kochasz, wiesz?

Stwierdziłam, że lepiej nie odpowiadać na jej pytanie, więc tylko wyjrzałam za okno. Podziałało, bo Annie zmieniła temat, podając informacje na własny temat. Mimo że nie byłam szczególnie zainteresowana, kiedy zrozumiałam, że sama nie mam nic w zamian do powiedzenia, trochę się odprężyłam i było coś kojącego w tym przyglądaniu się scenerii i wsłuchiwaniu się w zaśpiew jej głosu.

Jej amerykański akcent przypomniiał mi Adriana, a kiedy zamknęłam oczy, w uszach zabrzmiały mi jego podkasty, choć oczywiście to, co mówiła Annie, nie było ani trochę równie interesujące. Opowiadała o swoim życiu w Connecticut, gdzie miała niewielką firmę produkującą ręcznie drewniane meble i mieszkała z jeszcze jedną samotną matką. Opowiedziała też o ojcu Milo. „Posłała go w diabły”, kiedy Milo miał dwa lata, ale widywał się z synem od czasu do czasu.

– Założę się, że ciekawi cię to małe, co? – zapytała, wskazując gestem niemowlę przypasane do fotelika na tylnej kanapie, choć wcale zaciekawiona nie byłam. Powiedziała, że pragnęła jeszcze jednego dziecka, ale nie miała ochoty zawracać sobie głowy mężczyzną, dlatego „w samą porę dała się puknąć” jakiemuś obcemu facetowi. Zwierzyła się, że czasami się martwi, czy to nie będzie miało złego wpływu na dzieci, że w ich życiu nie ma ojca.

– Moim zdaniem ojcowie nie są tacy ważni – rzuciłam.

– Naprawdę?

Powiedziałam jej, że nigdy nie poznałam swojego ojca, że zniknął, kiedy moja mama była jeszcze w ciąży, i nic złego mi się przez to nie stało. Annie najpierw wydała z siebie jakieś niezrozumiałe „hmm”, a potem zapytała:

– Czy twojej mamie przeszkadzało, że nie ma partnera?

– Ani trochę – odparłam. – Miałyśmy siebie. Zawsze mówiła, że nie potrzebuje nic więcej, dopóki ma mnie.

Annie zapytała jeszcze o mojego ojca, więc powiedziałam jej tyle, co wiem: że sprzedawał samochody w Irlandii, że marzył o własnym koniu wyścigowym i że miał eleganckie dłonie, takie jak moje.

W trakcie jazdy zauważyłam, że krajobraz się zmienia. Zostawiłyśmy za sobą góry i byliśmy teraz na płaskim terenie, a zamiast drzew pojawiły się wielkie, niskie namioty ze zniszczonego, białego plastiku – jeden za drugim, przez co tworzyły jakby jedną, niekończącą się konstrukcję. Zapytałam Annie, co to takiego, a ona wyjaśniła, że to cieplarnie, w których hodują warzywa do supermarketów.

– To stąd są twoje pomidory – dodała.

Mogłam jej powiedzieć, że nie jadam pomidorów, ale nie powiedziałam.

Kiedy Annie zatrzymała samochód, bo Milo chciał się wysiusiać, przyjrzałam się tym cieplarniom dokładniej. Plastik był nieprzezroczysty, ale widziało się cienie w środku, a poza tym płachty były miejscami porzrywane albo poodrywane od wspierającej je konstrukcji, więc dawało się zajrzeć do wnętrza. Widziałam niekończące się szeregi roślin i ciemne sylwetki mężczyzn garbiących się pośród tej zieloności. Musiało tam być niemiłosiernie gorąco. Szczególnie zauważalna była cisza. Wszelkie miejsca z ludźmi pracującymi fizycznie, które do tej pory widziałam, były dość hałaśliwe, a tymczasem tutaj nie słyszałam żadnych głosów ani też muzyki, tylko cichy syk zraszaczy. Annie powiedziała mi, że na tych terenach panuje susza – rzeka płynąca nieopodal komuny prawie że wyschła – dlatego to się wydawało takie dziwne, że w tych cieplarniach zużywają tyle wody. Było to wręcz niemoralne.

Kiedy wsiedliśmy z powrotem do vana, Annie wyjaśniła, że tutejsi robotnicy są z Afryki, że to głównie nielegalni imigranci. Ten odcinek wybrzeża Hiszpanii to jednocześnie część Europy znajdująca się najbliżej Afryki, dlatego ci ludzie wsiadają do łodzi i potajemnie, po nocy, pokonują morze w poszukiwaniu lepszego życia. Niektórzy ryzykują wyprawę w głąb Europy, ale większość zostaje tutaj i pracuje w cieplarniach, bo nie mają żadnych dokumentów.

Po godzinie i piętnastu minutach dotarliśmy do miasteczka. Annie zaparkowała ukośnie na poboczu drogi i powiedziała, że spotkamy się w tym



miejscu za godzinę, po czym poszła z dziećmi do banku. Ja z kolei ruszyłam w kierunku, gdzie – jak mi się wydawało – mogło być centrum. Miasteczko było rozległe, pokryte kurzem i pełne niskich budynków, sprawiało wrażenie dziwnie cichego i opuszczonego. Znalazłam znak z falami i uznawszy, że wskazuje morze, skierowałam kroki w tamtą stronę. Im bliżej plaży, tym budynki stawały się wyższe, co mi się wydało niewłaściwe, jakby wysocy ludzie stali na przedzie tłumu i blokowali wszystkim widok.

Bliżej nabrzeża na ulicach zrobiło się tłoczniej, bo było tam pełno ludzi przebywających na wakacjach. Nie mogli się bardziej różnić od mieszkańców komuny. Mieli na sobie normalne ubrania, szorty, kamizelki i byli albo bardzo biali, bardzo różowi albo przesadnie opaleni, ale nie aż tak, żeby od tego wyglądać bardziej atrakcyjnie. Ludzie siedzieli też w ogródkach kawiarnianych i pili piwo, mimo że było dopiero wpół do piątej. W sklepach, z których dudnił pop, sprzedawali tandetny, plastikowy sprzęt plażowy. Ale w jednym, o dziwo, zauważyłam całe mnóstwa tosterów i kuchenek mikrofalowych. Wszystkie napisy na sklepach i restauracjach były po angielsku; gazety wyłożone przed sklepami też były angielskie.

Nie wiem, czy przypadkiem po prostu mi nie ulżyło, że znalazłam się poza komuną, tak czy owak całe to miejsce uznałam za dość przyjemne. Od morza wiała bryza niosąca mieszaninę kojących zapachów – frytek i balsamów do opalania – i wszyscy wyglądali znajomo, jak ludzie w Tesco Extra, tyle że szczęśliwsi i bardziej zrelaksowani.

Po kilku minutach takiego błądzenia w kółko znalazłam kawiarenkę internetową. Zapłaciłam dwa euro i zalogowałam się. Przy komputerze obok mojego stanowiska potwornie gruba kobieta, która miała problem z oddychaniem, oglądała zdjęcia kosiarek na eBayu. Najpierw zabrałam się do Facebooka, ale po wprowadzeniu loginu uświadomiłam sobie, że zapomniałam hasła, bo wyparło je z mojej głowy to do konta Tess. Dopiero po trzech próbach przypomniało mi się, że hasłem był drugi z kolei ulubiony serial telewizyjny mamy, „inspektormorse”.

Jak już się zalogowałam, ciąg aktualności na mojej stronie znaczył dla mnie tak niewiele, że równie dobrze mógł być po rosyjsku. Nawet twarze i nazwiska „znajomych” wydawały mi się nieznanymi; już wtedy, gdy widywałam ich w szkole, tak naprawdę wcale ich nie znałam, a teraz równie

dobrze mogli być kompletnie obcymi ludźmi. Tash, Emma, Karen – przypadkowe imiona przypisane do przypadkowych, głupich, młodych dziewczyn, które lubiły to albo tamto, podniecały się to tym, to owym.

Wylogowałam się i sprawdziłam swoją pocztę. Czternaście wiadomości, i zresztą sam spam.

Później tylko po prostu siedziałam, wpatrując się w pasek narzędziowy Google'a na ekranie. Ja tu po całych dniach zastanawiałam się, jak wejść do sieci, a tymczasem teraz, kiedy już weszłam, nie wiedziałam, co robić. Raczej nie mogłam zacząć grać w *World of Warcraft*; nawet gdybym sobie przypomniała, jak się tam logowałam, to zostało mi tylko czterdzieści osiem minut do spotkania z Annie przy samochodzie, czyli ledwie starczyłoby mi czasu na włożenie mojemu awatarowi zbroi. Naszła mnie barwna wizja, że awatar odmawia współpracy, że jest napastliwy, obrażony po tylu miesiącach zaniedbywania go i że za nic nie chce, żebym go odziała w kolczugę, a kiedy wkładam mu miecz w dłonie, rozprostowuje palce.

Wylogowałam się, mimo że zostało mi jeszcze siedemnaście minut z wykupionego czasu. Tuż obok kawiarenki znajdował się niewielki supermarket, więc weszłam tam. W środku było lodowato, więc natychmiast dostałam gęsiej skórki na rękach. I było trochę tak jak w sklepach sieci Londis, tyle że tu połowę lokalu wypełniał alkohol. Bałam się, że wszystkie produkty będą opisane po hiszpańsku albo że to będzie jakieś dziwne, zagraniczne jedzenie, ale większość stanowiły znane mi produkty angielskie, jak keczup Heinza albo chipsy Walkersa. Kupiłam trzy duże opakowania chipsów i dwa opakowania herbatników Hobnobs.

Po zrobieniu zakupów nadal miałam pół godziny do spotkania z Annie, więc pod wpływem impulsu postanowiłam zjeść gofra w jednej z kawiarni, przyciągnięta tam wielkimi, kolorowymi zdjęciami jedzenia wywieszonymi na zewnątrz. Kelnerka mówiła po angielsku. Przy stoliku obok mnie siedział staruszek na wózku inwalidzkim, którego kobieta w jego wieku karmiła, zdaje się, kanapką z kiełbasą. Sprawili, że zaczęłam się zastanawiać, czy jednak nie należało się bardziej postarać i wyjechać z mamą na jakieś wakacje w tych ostatnich latach. Temat był poruszany, ale stwierdziłyśmy, że to będzie za bardzo skomplikowane – podróżowanie z całym sprzętem i dźwiganie go. A jednak na widok tej pary pomyślałam, że to przecież mogło

się udać. Nie byłybyśmy w stanie pojechać do kraju, gdzie jest tak gorąco jak w Hiszpanii, bo przez stwardnienie mama nie tolerowała upałów, ale może udałby się wyjazd do Kornwalii. Miała taki ulubiony serial, który został nakręcony w kornwalijskiej wiosce, a zresztą zawsze chciała zwiedzić Kornwalię.

O 17.30 spotkałam się z Annie przy wozie i ruszyliśmy w drogę powrotną. Kiedy dotarliśmy na parking przy komunie, usłyszałam muzykę dobiegającą z wnętrza vana, którego wcześniej nie zauważyłam, a więc przyjechali jacyś nowi. Poprosiłam Annie, żeby pozwoliła mi wysiąść, i poszłam do nich. Drzwi vana były otwarte, w środku siedzieli w niedbałych pozach młodzi mężczyźni; w każdym razie zobaczyłam kłębowisko brązowych, włochatych nóg. Byli cudzoziemcami – chyba Włochami – i mimo że mieli ten wygląd, który nazywam „komunowym”, czyli potargane włosy, obnażone torsy i naszyjniki z drewnianych paciorków, to jednak nie wyglądali na tak zapuszczonych jak pozostali mieszkający tu ludzie. Opowiedziałam im swoją historyjkę o Tess i pokazałam jej zdjęcie. Zebrali się dookoła, żeby je obejrzeć. A potem jeden z nich powiedział:

– A tak, Luigi ją pamięta, no przyznaj się, Luigi? – Po czym kopnął kumpla siedzącego obok.

Wszyscy zaczęli się śmiać. Jeden z nich powiedział po włosku coś, czego nie rozumiałam, i zamachał rękami, wykonując, zdaje się, jakiś wulgarny gest. Musiałam im zadać kolejne pytania, dość stanowczym tonem, żeby się upewnić, że jednak nie, nie znali Tess, tylko po prostu robili sobie żarty.

Zauważyłam, że piją wino prosto z butelki, dlatego też odchodząc, poinformowałam ich, że na terenie komuny nie pije się alkoholu.

Pozostałą część wieczoru spędziłam pod drzewem, potem coś tam zjadłam i umyłam się chusteczkami odświeżającymi. Jest teraz 21.46. Wróciłam do namiotu. Odgłos bębnienia ustał, za to zaczęły hałasować owady.

Po rozpoczęciu projektu „Tess” dość szybko zrozumiałam, że jeśli mamy kiedyś osiągnąć zamierzony skutek, to będę musiała wziąć sprawy w swoje ręce. Przez kilka następnych dni przysyłała mi tak jakby przypadkowo wybraną korespondencję mailową, zdjęcia i wpisy do pamiętnika, bez

żadnych dodatkowych informacji czy też kontekstu. Wyglądało to tak, jakby ktoś pakował się na wakacje, grzebiąc po omacku w szafie i wrzucając do walizki pierwsze lepsze rzeczy, które mu się nawinęły. Nie było w tym żadnego porządku.

Tylko jeden przykład: na samym początku przysłała mi zdjęcie siebie i jakiejś kobiety z podpisem „Ja i Debbie”. Ale nie podała kontekstu – kiedy to zdjęcie zostało zrobione, kim jest Debbie, jaka jest historia ich znajomości – a bez tego zdjęcie było niemalże bezużyteczne. A kiedy już coś objaśniała, często nie miało to żadnego sensu. Na przykład w odpowiedzi na moje pytania Tess ujawniła, że ona i ta Debbie były bliskimi przyjaciółkami przez jakiś czas, dopóki pewnego dnia podczas spaceru Debbie nie chciała się zatrzymać i pogłaskać kota, którego minęły na ulicy. Tess najwyraźniej uznała, że to wystarczający powód do zakończenia skądinąd bliskiej przyjaźni. Jak mówię, człowiek naturalnie zakłada, że ludzie robią różne rzeczy z jakiegoś powodu, że za ich postępowaniem stoi namysł i jakiś cel, ale w przypadku Tess najczęściej niczego takiego nie było.

Co więcej, informacje, które mi dostarczała, były pełne sprzeczności. Matka Boska Bolesna/Bezbożna stanowiła zaledwie początek. (Okazało się, że to jednak była „Bezbożna”). Szczegóły przedstawiała mętnie, jakby one nic nie znaczyły. Och, kiedyś tam latem, mówiła, Jim Jakiśtam. Po części odpowiedzialna za to była jej „rozpadająca się” osobowość, po części, jak podejrzewałam, jej stan. Trochę poczytałam na temat zaburzenia afektywnego dwubiegunowego i zorientowałam się, że częstym jego objawem są luki w pamięci. Objawy te potęgowały leki; w przypadku Tess lit. „Energia ulega znacznemu rozproszeniu, zdolność myślenia jest wyraźnie ograniczona”, przeczytałam. Postanowiłam zapanować nad rozdrażnieniem i przejąć kontrolę nad sytuacją.

Utworzyłam arkusz kalkulacyjny z tym, czego musiałam się od niej dowiedzieć i w jakim porządku. I na początek zażądałam podstawowych, praktycznych informacji: imiona i nazwiska, adresy, numery telefonów, daty urodzin jej samej i członków jej rodziny, dane kont bankowych i inne rzeczy tego typu.

Zgodzicie się, że dość prosta prośba. A jednak nawet z tym wyraźnie miała trudności. Twierdziła, na przykład, że nie rozumie, po co mi jej numer

ubezpieczenia – Mój brat raczej nie będzie o niego pytał, prawda? – a potem, kiedy ją przycisnęłam, powiedziała, że nie zna tego numeru i nie wie, gdzie znaleźć taką informację. Żeby przyspieszyć sprawy, kazałam jej zadzwonić do urzędu skarbowego. Kiedy minął dzień, a ona jeszcze tego nie zrobiła, sama do nich zadzwoniłam i wydostałam ten numer, udając, że jestem nią.

Poprosiłam Tess także o hasła do jej poczty – miała dwa, czyli powachajtekawekotku@gmail.com, które było jej głównym kontem, oraz stary adres z Hotmaila – a także konto na Facebooku. Dzięki Bogu nie wchodziła na Twittera: po kilku tygodniach entuzjazmu w lipcu 2010 roku straciła zainteresowanie. Oczywiście te hasła miały mi być potrzebne od chwili, gdy zabiorę się właściwie do rzeczy, ale na razie postanowiłam tylko przeczesać jej konta i wyłuskać z nich informacje.

Zacząłam od Facebooka, żeby uzyskać jakiś pogląd o życiu Tess. Jej strona sprawiała wrażenie doskonale normalnej, z pozoru. Na swoim zdjęciu profilowym była w jakiejś galerii – później dowiedziałam się, że to był paryski Luwr – w tej samej pozie co rzeźba, obok której stała, z jedną ręką na czole, jakby dramatycznie mdlała. Miała 367 znajomych, ale jak się popatrzyło na ich profile, liczba ta wyglądała na przeciętną dla jej pokolenia. Była zapisana do układających się w długą listę grup i polubiła mnóstwo zdarzeń przypadkowej natury – solidarność z mnichami tybetańskimi, ratowanie starej sali koncertowej we wschodnim Londynie, kampania o to, by Pizza Express znowu zaczęła stosować swój oryginalny przepis na sos pomidorowy, wspieranie jakichś mało znanych zespołów muzycznych – a do tego książki, restauracje, przedsięwzięcia i niezliczone tajemnicze „sprawy”, takie jak „Niech Aisling przestanie nosić tę żółtą parkę!”, „Podoba mi się sposób, w jaki Huw Edwards wymawia słowo Liverpool” – przez co zaczęłam podejrzewać, że raczej nie jest wybredna, jeśli idzie o rzeczy, wobec których deklaruje przywiązanie.

Została oznaczona na stu czterdziestu zdjęciach; znacznie mniejsza liczba niż na profilach większości ludzi w moim wieku, ale najwyraźniej w przypadku jej pokolenia to także była przeciętna. Tess i jej znajomi zresztą nie pozwaliły tyle do zdjęć – większość przedstawiała „spontaniczne” momenty uchwycone na imprezach, piknikach i w pubach – a na tych

pozowanych ludzie uśmiechali się do aparatu w naturalny sposób albo robili głupie miny, ale nie przekrzywiali głów i nie zasysali policzków, jak to robiły dziewczyny z mojej szkoły. Inną wielką różnicą były dzieci; albumy znajomych Tess wypełniały niekończące się, niemal identyczne wizerunki ich samych, ich partnerów i przyjaciół w towarzystwie małych dzieci; kilkoro miało nawet zdjęcia niemowląt w charakterze swoich zdjęć profilowych.

Mimo że Tess sama specjalnie nie przepadała za dziećmi – podczas naszych rozmów potrafiła nazywać je „gnojkami” i „sraluchami” – to jednak nie zdołała uciec przed najwyraźniej obowiązkowymi interakcjami: doliczyłam się dwudziestu ośmiu zdjęć, na których trzymała na rękach dzieci znajomych. Najczęściej pojawiał się na nich, od wczesnego niemowlęctwa aż po piąte urodziny, chrześniak Tess – Mowgli, syn Justine, jednej z jej najlepszych przyjaciółek.

Na niektórych zdjęciach zrobionych przez samą Tess nie było ludzi, tylko zbliżenia trawy i zachody słońca, para dłoni, krople wody na umywalce w łazience; wyraźnie stanowiły dowody jej „artystycznej natury”. Jeszcze bardziej interesujące były ziarniste zdjęcia z dawnych czasów, z epoki przedcyfrowej, które prawdopodobnie zostały zeskanowane. Jedno z nich przedstawiało Tess jako młodą kobietę, mniej więcej w moim wieku – „pewnie po dwudziestce”, tyle tylko mi powiedziała, kiedy usiłowałam wydusić z niej datę. A cała scenka była zabawna: Tess i jej dwie koleżanki w jakimś przedsionku, chichoczą, przygotowując się do wyjścia. Tess dawało się rozpoznać dopiero po chwili, bo wszystkie trzy wyglądały bardzo podobnie, z kędzierzawymi włosami i płaskimi brzuchami, każda w tenisówkach, małym topie przypominającym biustonosz sportowy i ciasnych legginsach w jaskrawym kolorze albo w szortach. Stwierdziłam, że pewnie szły do jakichś grupowych ćwiczeń, ale kiedy spytałam o to później Tess, rzuciła ze śmiechem: „A to urocze!” i wyjaśniła, że szły na jakiś „rave”.

Powiedziała mi to podczas naszej rozmowy na Skypie. Tamtego wieczoru Tess była w dobrym nastroju i wzmianka o owym „rave” najwyraźniej przywołała jakieś jej szczęśliwe wspomnienia. Zaczęła wykonywać dziwne ruchy rękoma, zakreślając w powietrzu kwadraty i powtarzając: „Big box, little box, big box, little box”. W ten sposób zmarnowałyśmy co najmniej

dwie minuty, a kiedy poprosiłam, żeby mi wyjaśniła te dziwactwa, odparła: „Ach, nieważne”.

Inne z tych starych zdjęć łatwiej było umiejscowić w czasie, nawet na podstawie skąpej wiedzy, jaką wówczas posiadałam: zbliżenie Tess z bardzo krótkimi włosami, ledwie półcalowej długości. Musiało to być tuż po incydencie z goleniem głowy w szkole plastycznej, o którym wspomniała w swoim życiorysie. Nawet wtedy jednak wyglądała dobrze; w ostrych konturach twarzy i ciemnych, szeroko rozstawionych oczach był ten jej niespotykany styl, a poza tym z przekonaniem uśmiechała się do obiektywu. Na podstawie tego zdjęcia – i w ogóle żadnego, które zamieściła na Facebooku – nikt by się nie domyślił, że może nie być szczęśliwa.

Kiedy już wstępnie obejrzałam jej profil, próbowałam posuwać się dalej w systematyczny sposób. Najpierw poprosiłam ją o listę najbliższych krewnych i najważniejszych znajomych. Potem utworzyłam arkusz i wpisałam do niego tych krewnych – matkę Marion, ojca Jonathana i przyrodniego brata Nicholasa. Nicholas był produktem pierwszego małżeństwa Marion z jeszcze innym Anglikiem – Marion pochodziła z Chile – którego zostawiła, gdy Nicholas był mały, i wyszła za Jonathana, starszego od niej o czternaście lat. Tess urodziła się w następnym roku. Nicholas ożenił się z kobietą o imieniu Isobel i miał z nią dwójkę dzieci, sześciolletnią Poppy i pięcioletniego Luke’a.

W kolumnach zatytułowanych „wiek”, „zawód”, „życie domowe”, „cechy osobowości” itp. najpierw wpisywałam to, co wiedziałam o jej krewnych na podstawie informacji dostarczonych przez Tess. Potem przejrzałam maile Tess pod kątem wiadomości od każdego z nich i jej odpowiedzi i dodawałam to, co wynalazłam na ich temat, do kolumn zatytułowanych „dodatkowe informacje”, „częstotliwość maili”, „styl pisanie” i tak dalej. Tess miała swoje konto na Gmailu od sześciu lat, a na Hotmailu od dziesięciu, dlatego dużo było tego brodzenia. Potem zabrałam się do jej trojga najbliższych przyjaciół – Simona, Justine i Shony.

Poprosiłam Tess, żeby mi przysłała co najmniej jedną, a najlepiej dwie fotografie każdej z tych osób. Oczywiście większość ważnych dla niej ludzi znajdowała się na Facebooku, gdzie mogłam znaleźć dziesiątki zdjęć, ale nie wszyscy, w tym jej rodzice. Poza tym zdawałam sobie sprawę, że zdjęcia



zamieszczane na Facebooku są często starannie wybierane, by pokazać daną osobę jak najkorzystniej, podczas gdy te robione od niechcenia są prawdopodobnie bardziej bliskie rzeczywistości i ujawniają coś z charakteru danej osoby. Oprócz zapisania ich na komputerze wydrukowałam po jednym zdjęciu każdej z ważnych osób i umocowałam je nad biurkiem, opatrując imionami i podstawowymi szczegółami. Przestrzeń nad moim biurkiem zaczęła przypominać tablice ze śledztw w sprawie morderstw z seriali o policyjnych detektywach.

Tess przysłała mi grupowe zdjęcie swojej rodziny. Zostało zrobione w letnim domu Nicholasa i Isobel na południu Francji przy okazji siedemdziesiątych urodzin Jonathana; nawet Tess o tym pamiętała. Cała rodzina pojechała tam wtedy na weekend, razem z najlepszym przyjacielem Jonathana, człowiekiem, którego Tess nazywała wujkiem Frankiem, mimo że nie był jej prawdziwym wujkiem. „Był kiedyś gliniarską szyczą, ale zaliczył wylotę, bo brał w łapę”, tak go opisała. Ostatecznie rozszyfrowałam, że wujek Frank to były nadinspektor policji, który został zmuszony do przejścia na wcześniejszą emeryturę, ponieważ zakwestionowano jego uczciwość.

Na zdjęciu zostali uwiecznieni wszyscy – z wyjątkiem Tess, która je robiła – jak siedzą dookoła stołu na wolnym powietrzu, pod koniec jakiegoś posiłku. Marion, jej matka, siedziała w środku. Była dość podobna do Tess, bo miała takie same ciemne włosy i karnację, ale nawet kiedy siedziała, rzucało się w oczy, że jest niższa i chudsza. Tess powiedziała mi, że Marion jest anorektyczką. Miała na sobie białą bluzkę z kołnierzykiem postawionym na sztorc oraz naszyjnik z wielkich, zielonych kamieni, pod którymi widać było kości klatki piersiowej wystające jak krata grilla. Tess powiedziała mi, że Marion uważa swoją biżuterię za własny „sygnalny styl”, cokolwiek to oznaczało, i że otrzymawszy wiele komplementów od znajomych, założyła małą firmę zajmującą się jej importem z Chile i sprzedażą w Internecie. Włosy miała upięte na czubku głowy w wysoki kok przypominający bułkę, a usta umalowane na mocną czerwień. Wszyscy na zdjęciu unosili kieliszki w stronę aparatu; o ile kieliszki pozostałych były do połowy opróżnione, o tyle kieliszek Marion był jeszcze pełny, a jej uśmiech sprawiał wrażenie skąpego i sztucznego.

Obok niej siedział Jonathan. Było to na krótko przed tym, jak

zdiagnozowano u niego demencję. Tess powiedziała mi, że podczas tamtej wyprawy zapomniał, gdzie jest łazienka, mimo że był w tym domu wiele razy, i że z wielkim wysiłkiem przypominał sobie słowo „ser”, ale wszyscy myśleli, że to takie zwyczajne rozmiękczenie z powodu podeszłego wieku. Włosy miał białe jak czarodziej Gandalf, krótkie, schludnie zaczesane, i uśmiechał się szeroko; jego policzki były różowe i błyszczące. Przypominał mi odległe Richarda Briera, tego aktora, o którym moja mama zawsze mówiła, że chciałaby być jego żoną.

Obok Marion siedział Nicholas, który był ciemny jak ona i Tess, ale miał bardziej zwyczajną twarz, ciastowatą i pozbawioną wyrazistych rysów. Nosił cienkie okulary bez oprawek i podobnie jak Marion uśmiechał się w kontrolowany sposób. Siedząca po jego drugiej stronie Isobel miała włosy koloru blond sięgające ramion i twarz o rysach tak regularnych i niezapadających w pamięć, że równie dobrze mogła być wygenerowana przez komputer. Luke, który był podobnie jasny, siedział jej na kolanach, a Poppy, o nieco ciemniejszych włosach, na krześle obok. Oboje byli śliczni i czysti jak dzieci w telewizji. Facebookowe zdjęcia Isobel przedstawiały rodzinę oddającą się różnym aktywnościom: na jednym płynęli łódką, na innym szli po śniegu ze swoim wielkim psem; dzieci nosiły na tym zdjęciu identyczne, czerwone kombinezony.

Tess nie układało się dobrze z Isobel. Opisywała bratową jako „nadętą WASP-owską sukę” – dowiedziałam się, że ten skrót pochodzi od White Anglo-Saxon Protestant, ale że nazwanie kogoś „białym anglosaskim protestantem” może mieć pogardliwy wydźwięk – która wyznaczała sobie limit dwóch kieliszków wina tygodniowo i kazała swoim dzieciom wkładać kaski ochronne, kiedy bawiły się we wspólnych ogrodach pod ich domem w Holland Park. Po wyjściu za Nicholasa Isobel zrezygnowała z pracy i przejęła kontrolę nad wynajmem ich nieruchomości. Kiedy Tess zapytała, czy może skorzystać z ich domu we Francji, żeby tam urządzić swoje trzydzieste piąte urodziny, Isobel zrobiła wielką aferę z tego, że wyznacza jej „rodzinną stawkę”, czyli zaledwie 10% regularnej ceny. Udawała, że jest zazdrosna o „dzikie życie” Tess: „Chciałabym mieć tyle czasu i energii”, mawiała.

Tess była szczególnie zła z tego powodu, że Nicholas i Isobel zaczęli w pewnym momencie kolekcjonować sztukę współczesną, faworyzując to, co

Tess nazywała „fałszywymi, konceptualnymi śmieciami” – czyli przeciwieństwo obrazów, które sama malowała, i dlatego uważała je za snobistyczne. Isobel udawała, że interesuje ją opinia szwagierki na temat współczesnych artystów: „Kogo oceniasz teraz wysoko, Tess?”, na co Tess odpowiadała „Dürera” albo „Otto Dix’a”, którzy najwyraźniej są dawniejszymi artystami, a przecież Isobel nie o takich pytała.

Stosunki z Nicholasem także były napięte i lektura ich korespondencji mailowej to potwierdziła. Tess podpisywała swoje listy do niego pocałunkami w formie iksów, podczas gdy on kończył wiadomości chłodnym „Pozdrawiam”. W jednym z maili Tess poskarżyła mu się na matkę, a tymczasem Nicholas bronił Marion, twierdząc, że zawsze bardzo się starała dla swoich dzieci. Tess odpowiedziała gniewną diatrybą, że to on był ulubieńcem Marion, jej złotym dzieckiem, i dlatego nic nie rozumie, i fakt, że Marion pozuje na tak artystowską i niekonwencjonalną, a jednak zachwyca się sukcesami Nicholas’a w City, dowodzi tylko jej szpanerstwa. Nicholas na to nie odpowiedział – albo odpowiedział, tylko Tess usunęła tego maila. Twierdziła, że nie pamięta.

Tess widywała brata i bratową jedynie podczas spotkań rodzinnych, a ponieważ w sieci nie było śladów ich kontaktów, stwierdziłam, że w przyszłości nie będą stanowili dla mnie wielkiego wyzwania. Przejmowałam się natomiast Marion. Niezależnie od tego, jak źle było między nią a Tess, wydawało się mocno nieprawdopodobne, a nawet wręcz niemożliwe, by w którymś momencie nie zechciała porozmawiać z Tess przez telefon. Nawiązuję tu do tego, że moja mama, jeszcze za życia, dzwoniła do mnie kilka razy na godzinę, kiedy byłam poza domem, mimo że zdarzało się to nader rzadko.

Kiedy podczas naszego spotkania wygłosiłam swoje obawy, Adrian zapewnił mnie, że Marion woli kontaktować się mailowo niż telefonicznie, ponieważ jest zasadniczo głucha.

Tess podobnie zlekceważyła mój niepokój.

E tam, będzie zadowolona, że ma mnie z głowy, napisała. Zresztą i tak prawie z sobą nie rozmawiamy.

Wydawało mi się to dziwne, ale kiedy przeczesalam maile, które napisały

do siebie Tess i Marion, zorientowałam się, że to rzeczywiście niezwykajny, trudny związek. Tych maili było sporo, to znaczy w sporadycznych seriach; większość była krótka i rzeczowa – co każda z nich robi, jak się miewa Jonathan. Z tą różnicą, że sprawozdania Tess z jej życia były często dalekie od prawdy. Zwykle zapewniała matkę, że wszystko jest świetnie i że znalazła się, jak to nazywała, w „dobrym miejscu”, a jednak mail posłany tego samego dnia do któregoś z przyjaciół malował zupełnie inny obraz, bo opisywał popołudnie spędzone na płakaniu w wannie, dopóki woda nie wystygła i Tess nie dostała skurczu w nogach, albo zawierał wiadomość, że poszła samotnie do jakiegoś baru, upiła się i straciła przytomność, po czym dochodziła do siebie na kanapie w mieszkaniu mężczyzny, którego nigdy wcześniej nie widziała na oczy.

Mniej więcej raz na pół roku dochodziło między nimi do długiej, emocjonalnej i gorzkiej wymiany maili, w których Tess ostro krytykowała Marion, mówiąc jej, jaką jest złą matką (Zinternalizowałam twoje szaleństwo, przez ciebie czuję się tak, jakbym nie miała prawa istnieć) i że jest tylko żoną-trofeum, a dość niedawno oskarżyła ją, że brzydzi się Jonathanem, bo dostał Alzheimera i musi się nim opiekować. Były też odniesienia, których nie rozumiałam: nienawistne tony przy kolacji, zrujnowane Boże Narodzenia i tym podobne. Kiedy przyjechałaś, żeby mnie zabrać z mojego mieszkania po szpitalu, nie chciałam, żebyś to robiła, bo wiedziałam, że będziesz to do końca życia wykorzystywała przeciwko mnie jako dowód, jaką to wspaniałą jesteś matką, napisała Tess.

Jonathan przysparzał mniej powodów do obaw. Tess i on wymienili z sobą zaledwie trzydzieści dwa maile, wszystkie czułe, ale formalne, głównie dotyczące pieniędzy: on przez lata udzielił jej kilku pożyczek, które, o ile mogłam się zorientować, nie zostały zwrócone. Tess powiedziała mi, że zanim Jonathan dostał Alzheimera, rzadko rozmawiali mailowo, a teraz już w ogóle nie mógł ich pisać. Nie martw się, dodała, za kilka miesięcy nawet nie będzie pamiętał, że ma córkę.

Zacząłam prowadzić osie czasu, żeby zrekonstruować wydarzenia w życiu Tess. Jedna oś była przeznaczona na te ważne zdarzenia, o których jej rodzice musieli wiedzieć: zmiany pracy, przeprowadzki, śmierć dziadka, ślub

brata i narodziny jego dzieci. Druga była przeznaczona na te rzeczy, o których jej rodzina raczej nie wiedziała: przypadkowe spotkania z mężczyznami, kłótnie z przyjaciółmi, branie narkotyków i tak dalej. Przy każdym wydarzeniu tworzyłam kolumnę z listą ludzi, którzy, na ile się orientowałam, wiedzieli o nim, i odnotowywałam, co dokładnie wiedzieli i co na ten temat myśleli, na ile potrafiłam to wywnioskować.

Stwierdziłam, że samo zapisywanie różnych rzeczy na moim komputerze nie wystarczy, bo tyle było tych informacji do przetworzenia. Ideałem mogłaby być praca na dodatkowym ekranie, ale nie było mnie na niego stać, dlatego ostatecznie zaczęłam prowadzić wykres na wielkim arkuszu papieru, na którym rysowałam strzałki łączące jeden element z drugim; umocowałam ten arkusz na ścianie, obok zdjęć.

Jak zapewne sobie wyobrażacie, to wszystko zabierało sporo czasu. Życie Tess było chaotyczne i prędko stało się oczywiste, że różnym ludziom opowiadała różne wersje zdarzeń. A jeśli dodać do tego fakt, że myliły jej się imiona i miejsca, to łatwo sobie wyobrazić, w czym problem.

Było wiele rzeczy, które nie miały żadnego sensu ani też nie składały się w całość. Niektóre dotyczyły dość istotnych faktów – w jednym miesiącu, na przykład, zapewniała dwie różne osoby, że mieszka w Shoreditch i w Bethnal Green, mimo że nigdzie nie zostało odnotowane, że się przeprowadzała. Były też drobne odniesienia, które mogłam wyjaśnić z pomocą Google'a – Farrow & Ball, Groucho Club, dom, w którym mieszkała Virginia Woolf, ale były też inne, które pozostały niezrozumiałe. Na przykład w jednym mailu opisała jakąś kobietę, że ma włosy z Teatru Narodowego; w innym powiedziała Simonowi, swojemu przyjacielowi, że bardzo jej się podoba to, jak chłopaki zdejmują swoje bluzy.

W innych przypadkach same fakty były jasne, ale nie potrafiłam zrozumieć jej reakcji na nie. Na przykład była wymiana maili z 17 sierpnia 2005 roku między Tess i jej przyjaciółką Zanthi. Kłóciły się, bo Zanthi najwyraźniej zatrzymała się na weekend w mieszkaniu Tess i wyrzuciła jakieś zwiędłe kwiaty, które Tess zachowała z powodu ich piękna. Tess, zdaje się, uznała, że Zanthi nie rozumie, iż to dowodzi, jak bardzo nie ogarnia jej charakteru, a także tego, co ona nazywała poezją życia, i oświadczyła, że

Zanthi już nie może być jej przyjaciółką. Dziwne zachowanie samo w sobie, ale dwa tygodnie później obie wesoło do siebie mailowały, jakby gdyby nigdy nic.

Kiedy pytałam Tess o te sprawy, najczęściej nie pamiętała szczegółów ani nawet tego, że się w ogóle zdarzyły. Powiedziałam ci, napisała. Mój mózg jest popaprany. A któregoś razu rozwinęła to: Powiem ci, jak to jest. Znasz te chciwe, mechaniczne łapy w salonach gier, za pomocą których próbujesz złapać jakiegoś żenującego misia? To tak jak ze mną, kiedy słabymi ruchami próbuję się uczeplić jakiejś idei albo wspomnienia. I jak już mi się udaje je schwycić, to się okazuje, że to jakaś tandeta.

Co więcej, było też mnóstwo kompletnie pustych okresów, okresów, kiedy nie komunikowała się w ogóle z nikim, kiedy – o ile wiem – miała poważną depresję i nie potrafiła wykrzesać z siebie energii, by choć odgarnąć włosy z twarzy, a co dopiero napisać maila.

Na boku tego wszystkiego odnotowywałam bezosobowe maile, które czasem dostawała. Przychodziły też rachunki za bilety do teatru i kina, a także za zakupy na Amazonie; wszystkie katalogowałam w pliku dotyczącym jej upodobań. Sporo kupowała w Internecie i to, co kupowała, często było albo zagadkowo drogie – majtki za 230 funtów – albo bardzo tanie, jak „podkładka pod szklankę. Vintage” na eBayu za 20 pensów. Zdarzały się dni, kiedy wydawała mnóstwo pieniędzy, tysiące funtów, na rzeczy, których raczej nie potrzebowała albo które kupowała w zdumiewających ilościach. Zapamiętałam dobrze jeden taki paragon za dwadzieścia białych ścierek, po 12 funtów sztuka.

Przy każdym takim nabytku odnotowywałam datę i szczegóły transakcji na oddzielnym arkuszu. Jak mogła sobie pozwolić na słoiczek kremu nawilżającego za 120 funtów, kiedy pracowała jako modelka jakiegoś malarza za 60 funtów tygodniowo? Potem konfrontowałam taki nabytek z wyciągami z banku, sprawdzając, czy zaciągnęła pożyczkę, czy też zrobiła debet.

Owocem mojego wstępnego wyszukiwania informacji w jej skrzynce odbiorczej była długa lista pytań do Tess, a priorytetem stały się ogromne

luki w jej biografii. Niestety, jej odpowiedzi były najczęściej niesatysfakcjonujące. Zadawałam na przykład doskonale proste pytanie o to, które programy telewizyjne oglądała, kiedy miała trzynaście lat, a ona nie odpowiadała na nie przez ileś dni albo robiła się zła i mówiła, że nie pamięta, względnie wymieniała program, który, kiedy go sprawdzałam, był transmitowany po raz pierwszy, gdy miała piętnaście lat.

Ze wszystkich sił starałam się być profesjonalna w naszych mailach, ale czasami potrzebna była stanowczość. Przypominałam jej o powadze przedsięwzięcia i moich wymaganiach w związku z tą pracą. W odpowiedzi pisała: O boże, nie jedź po mnie, nie pamiętam, do kurwy nędzy! Albo, jeśli akurat była w smutniejszym, bardziej refleksyjnym nastroju, przepraszała wielokrotnie, mówiąc, że jest straszną osobą i że nie zasługuje na moją pomoc.

Po kilku tygodniach czułam się raczej sfrustrowana. Nadal zajmowałam się testowaniem programów, ale coraz częściej odsuwałam pisanie sprawozdań na bok i zamiast tego tylko czekałam na jej maile. Tess dla odmiany stale mówiła o tym, że chciałaby, żeby było już po wszystkim, że rozpaczliwie chce się „wymeldować” – takiego słowa właśnie obie używałyśmy. Ale stało się oczywiste, że jeśli będziemy dalej przez to brnąć w takim tempie, że ona potrzebuje iluś dni, żeby odpowiedzieć na maila, a potem i tak nie odpowiada, jak należy, to upłynie wiele miesięcy, zanim znajdziemy się w punkcie bliskim gotowości.

I tak oto wpadłam na pewien pomysł. Umówiłyśmy się, że nie będziemy się spotykały twarzą w twarz, ale wydawało się, że nie ma powodu, dla którego nie mogłybyśmy rozmawiać. Miało to znacznie przyspieszyć sprawy, a gdybyśmy korzystały ze Skype’a, nic by to nie kosztowało. Zastanawiałam się, czy nie spytać najpierw Adriana, stwierdziłam jednak, że nie warto mu tym zawracać głowy. Niemniej pamiętałam, że tamtego dnia w Heath podkreślał, że ja i Tess musimy koniecznie „ograniczać zaangażowanie emocjonalne”, i dlatego zdecydowałam, że postąpimy najlepiej, jeśli podczas tych rozmów będziemy wyłączały kamery.

Napisałam wiadomość do Tess, proponując taki układ, i ona się zgodziła. Umówiłyśmy się, kiedy zadzwonię, to znaczy o dwudziestej trzeciej.



Utworzyłam listę pytań, które do tej pory mi się nasunęły:

1. W mailu z datą 27.12.08 Nicholas napisał: „Dziękuję ci za zrujnowanie lunchu”. W jaki sposób zrujnowałaś lunch? I dlaczego on ci dziękuje?

2. Czy spotkałaś się z „Petem Zaopatrzeniowcem” w Walentynki 2006 roku na St. Wenceslas Square, jak to obiecałaś w mailu wysłanym 2.10.05?

3. Czy przydomek „Cycuszki” jest używany powszechnie czy tylko przez Stevena Gatemana?

4. Jakie są prognozy dla twojego ojca w związku z Alzheimerem?

5. W mailu z maja 2009 roku, w którym jest mowa o randce z mężczyzną o imieniu Jamie, napisałaś: „był intelektualnie poniżej mnie”. A jednak sama zdałaś tylko jeden egzamin A-level, ze sztuki. Jakie były jego kwalifikacje?

6. Nie ma żadnych maili ani też śladów po tobie między lutym a kwietniem 2008 roku. Gdzie byłaś i co robiłaś w tym czasie?

7. W różnych momentach twierdzisz, że twoją ulubioną piosenką wszech czasów jest: *You're Nobody till Someone Loves You* Dinah Washington albo *Natural Woman* Arethy Franklin, albo *I Want You Back* The Jackson Five. No to w końcu która nią jest?

8. W mailu do Shony w związku z kolacją, na którą zostałaś zaproszona poprzedniego dnia, piszesz, że nienawidzisz gospodyni tego przyjęcia, bo twierdzi, że lubi „gotować dla relaksu”. Dla mnie to stwierdzenie nie ma w sobie nic obraźliwego. Możesz mi to wyjaśnić?

9. W mailu do swojej matki z datą 3.06.07 piszesz, że była okropną matką, kiedy ty byłaś jeszcze małą, a tymczasem w swoim życiorysie napisanym dla psychiatry mówisz, że miałaś stosunkowo normalne, szczęśliwe dzieciństwo. Czyli jakie ono było?

10. W lutym 2005 roku zarejestrowałaś się na stronie najdzdtowarzystwo.com. Po co ci była ta strona i jak często z niej korzystałaś?

11. 16.05.08 napisałaś do Miry Stollbach, że nie możesz się doczekać jej wesela zaplanowanego na lato, ale potem w mailu do Justine z 2 czerwca tego samego roku napisałaś, że „nienawidzisz pierdolonych wesel”. Możesz to wyjaśnić?

12. W tej samej wymianie maili, w odpowiedzi na jej dylematy, czy powinna zostać z mężczyzną, z którym jest związana, mimo że uważa go za nie takiego jak trzeba pod wieloma względami, radzisz jej, żeby się jeszcze nie „statkowała”. Justine ci odpowiada: „Łatwo ci tak mówić”. O co jej chodzi?

13. Podpisujesz się niespójnie, nawet w korespondencji z jedną osobą. Raz kończysz wiadomość jednym „całusem”, innym razem dwoma, czasami wieloma i bywa, że żadnym. Jakie zasady tym rządzą? Czy to się zmienia zgodnie z poziomem twoich uczuć do danej osoby w danym momencie?

14. W mailu do jo@samaritans.org z 17.09.10 napisałaś, że twoim zdaniem nie przeżyjesz nocy. Czy tamtego wieczoru próbowałaś popełnić samobójstwo?

Byłam dziwnie zdenerwowana przed pierwszą rozmową z Tess. Musicie zrozumieć, że w tym momencie miałam za sobą trzy tygodnie, podczas których pograżyłam się bez reszty w jej życiu, czytając jej maile, oglądając zdjęcia jej i jej przyjaciół, starając się skatalogować chaos jej przeszłości. Z perspektywy czasu nawet na tak wczesnym etapie prawdopodobnie wiedziałam o niej więcej niż ktokolwiek inny, bo ona zdawała tak różne relacje na swój temat różnym ludziom. A ponieważ wszystko powstawało drogą elektroniczną, niemal mi się wydawało, że Tess nie jest prawdziwą osobą.

Stwierdziłam, że będzie najlepiej, jeżeli nagram naszą rozmowę i później dokonam transkrypcji, zamiast próbować wynotowywać informacje w trakcie, gdy Tess będzie mówiła. Tym sposobem skupię całą uwagę na niej; nigdy nie byłam dobra w robieniu dwóch rzeczy jednocześnie. Czytałam kiedyś, że nagrywanie kogoś poza jego wiedzą jest niezgodne z prawem, ale postanowiłam nie informować Tess, że rejestruję naszą rozmowę, na wypadek gdyby zaczęła irracjonalnie wydziwiać i jeszcze bardziej hamować sprawy.

Była dwudziesta trzecia, wtorek. Trzymałam swoją listę w pogotowiu. Laptop Tess zadzwonił osiem razy, zanim odpowiedziała, a jej „Halo?” zabrzmiało czujnie. Kiedy się przedstawiłam, wyraźnie się zdziwiła, mimo że przecież byłyśmy umówione na tę rozmowę. A potem roześmiała się i powiedziała:

– O ja cię, sorry! Spodziewałam się Sylvie.

Wcześniej nie słyszałam żadnej wzmianki o Sylvie, dlatego jeszcze nim zaczęłyśmy przerabiać moją listę z pytaniami, musiałam z niej zbroczyć i od razu zagadnąć ją o tę nową postać. W trakcie rozmowy przeszukałam znajomych Tess z Facebooka i znalazłam Sylvie: miała pociągłą, smutną twarz i gęste, ciemnorude włosy podobne do lisiego ogona, które przerzucała na jedno ramię.

Niby nie wyobrażałam sobie niczego w związku z głosem Tess, ale jednak jakieś wyobrażenia musiałam chyba mieć, bo pamiętam, jak mnie zaskoczył. Był głęboki, czysty i wytworny, ani trochę zbolący.

Kiedy już opowiedziała mi co nieco o Sylvie – nauczycielka, która nie

cierpiała swojej pracy, była żoną Włocha starszego od niej o dwadzieścia lat i rozmyślała, czy wdać się w romans z kimś z pracy – zaczęłam zadawać pytania z mojej listy. Z zadowoleniem stwierdziłam, że moja propozycja ze Skype'em okazała się uzasadniona, bo była o wiele bardziej skuteczna niż maile. Kiedy Tess zaczynała mi się wymykać, mogłam naprowadzić ją z powrotem na temat.

Pierwsza sesja trwała dwadzieścia minut, zanim Tess się zmęczyła i przestała się skupiać. Umówiliśmy się na Skypie ponownie na następny wieczór o tej samej porze i wtedy była bardziej wygadana. Właściwie to aż za bardzo wygadana: cały czas zmieniała temat, prawie nad tym nie panując. Zapytałam ją o pracę w Threads, sklepie z ciuchami vintage w Bethnal Green, którym zarządzała od czterech miesięcy, a ona niepostrzeżenie przeszła do długiej relacji z festiwalu, na którym wszyscy byli ubrani w ciuchy vintage, a potem rozwodziła się o wszystkim i niczym, aż doszła do tego, że jej matka zachowała całe mnóstwo swoich ubrań od projektantów z czasów własnej młodości i się rozczarowała, bo okazały się za ciasne na Tess: „Odziedziczyłaś ramiona po ojcu, powiedziała”.

Podczas naszej trzeciej rozmowy była zdenerwowana. Poszła tego popołudnia do teatru i jakaś kobieta siedząca rząd przed nią zachowała się wobec niej po chamsku. Nie mogła przestać o tym mówić. Wręcz paplała, powiedziałabym. Kiedy była w określonym nastroju, tego typu drobiazgi bardzo ją denerwowały: nawet gdy myślałam, że odciągnę ją od danego tematu, ona i tak wielokrotnie do niego wracała. Niekiedy wystarczył byle akt bezmyślności albo chamstwa (mimo że jak na ironię sama Tess też potrafiła być bardzo bezmyślna i chamska). Na przykład nienawidziła, jak ludzie przechodzili obok niej na peronie metra, żeby zdobyć dobre miejsce zaraz po otwarciu się drzwi. „Nie cierpię odgłosu tych ich kłapiących obcasów, kiedy szukają numeru jeden”, powiedziała. Obrażała się, jeśli podczas czekania przed przejściem dla pieszych inni ludzie stawali obok niej i wciskali przycisk – bo uważali, że ona jeszcze tego nie zrobiła? Że jest taka głupia?

Kiedy później transkrybowałam te nagrania, wsłuchałam się w jedną z takich męczących dygresji i zauważyłam, że wspomniała szczegół, o którym jeszcze nie wiedziałam: Jonathan mieszkał kiedyś w Singapurze. Wtedy przyszło mi do głowy, że właściwie to nawet jeśli te jej tyrady nie są

bezpośrednią odpowiedzią na moje pytania, a ja w naturalny sposób odfiltrowuję wszystko, co nie jest faktem, to mogą być całkiem użyteczne. Nie tylko dlatego, że przypadkowo dostarczają szczegółów, ale również dlatego, że mówią coś na temat jej charakteru.

Innymi słowy, zrozumiałam, że te dygresje mogą być równie ważne jak fakty, które gromadziłam. Jeśli miałam „być” Tess, to musiałam wynotować wszystkie aspekty jej charakteru.

Podczas naszej następnej sesji Tess znów była w innym nastroju. Tym razem refleksyjnym. I po raz pierwszy zaczęła zadawać pytania o mnie. Zapytała, ile mam lat, gdzie mieszkam i dlaczego to dla niej robię. Nie czułam się komfortowo, mówiąc o sobie, świadoma, że każda chwila, jaką przegadamy w związku ze mną, będzie oznaczała mniej czasu dla niej na odpowiadanie na pytania. Ale powiedziałam jej, że robię to, bo wierzę, że człowiek jest panem samego siebie i dlatego ma prawo przejąć kontrolę nad własną śmiercią. Zapytała mnie, co myślę o Adrianie, a ja odparłam, że to wspaniały człowiek i że dzięki Czerwonej Pigułce otworzyłam swój umysł na nowe sposoby myślenia. Rzuciła wtedy coś, czym mnie zaskoczyła:

– Masz rację. Rzeczywiście muszę tam kiedyś zajrzeć.

A ja przecież zakładałam, że ona zna Adriana z portalu. Oczywiście z perspektywy czasu wiem, że z tym swoim mętным, nielogicznym myśleniem nie wytrzymałaby nawet minuty na Czerwonej Pigułce, ale nie przyszło mi do głowy, że poznała go gdzie indziej, w jakimś innym kontekście.

– To w takim razie skąd znasz Adriana, jeśli nie z serwisu? – zapytałam.

Jej odpowiedź była typowo dla niej nieprecyzyjna.

– Och, nie pamiętam dokładnie. Poznałam go na jakiejś imprezie czy coś.

Nie umiałam sobie wyobrazić Adriana na imprezach tego typu, na jakie chadzała Tess, więc próbowałam wydusić z niej jakieś szczegóły, ale twierdziła uparcie, że nic sobie nie przypomina.

A potem, ponieważ wyskoczyła ta Czerwona Pigułka i nasza rozmowa przyjęła jakby bardziej intymny obrót, zapytałam ją o coś, czego nie było na liście pytań, ale o czym myślałam od czasu, kiedy zaczęłyśmy wdrażać projekt. Tess dużo opowiadała o tym, że te mroczne i maniackalne nastroje to

część niej, że jest uszkodzona, że – używając jej ulubionego cytatu – „Nie ma nadziei, że ktoś kiedyś wymyśli lek na bycie mną”. To mi dało do myślenia: skąd ona wie, że te ekstremalne stany to jej prawdziwy charakter? Może stanowią coś, co zmienia „prawdziwą ją”, jakby została opętana przez jakąś zewnętrzną siłę.

Kiedy jej to wyłożyłam, Tess odparła, że jest pewna, że to „prawdziwa ona”. Wskazałam, że przecież nie może być tego pewna – że może tylko zajmować jakieś stanowisko. Jej ton zmienił się wtedy, stając się twardszy.

– Myślałam, że jesteś tu po to, żeby mi pomóc, a nie żeby mnie od tego odwozić.

Tak więc musiałam wytłumaczyć, że rzeczywiście jestem tu po to, by pomóc, i że nie mam zamiaru jej od tego odwozić. Że po prostu interesuje mnie dyskusja na ten temat. Było oczywiste, że ona nigdy wcześniej nie zajmowała się żadną filozofią, dlatego powiedziałam jej, że ja właśnie lubię to robić, badać rzeczy z wszystkich ujęć.

W tym momencie znowu się rozluźniła, a potem powiedziała jeszcze jedną rzecz, która mną wstrząsnęła. Powiedziała mianowicie, że jej „mąż” uważał, że to coś, co ją czasem dopada, to jakieś opętanie, i nazywał jej nastroje „bestią”.

Momentalnie utraciłam panowanie nad słowami, a potem poprosiłam ją, żeby potwierdziła, że rzeczywiście powiedziała to, co powiedziała. Że rzeczywiście była mężatką. Wyraźnie się zdumiała.

– Och, to ja o tym nie wspominałam? – spytała takim tonem, jakby to była jakaś błażostka.

Okazało się, że bardzo krótko była mężatką – „jak miała dwadzieścia kilka lat”. Wydusiłam z niej dokładną datę i dopiero po jakimś czasie przypomniała sobie, że to się stało, kiedy miała dwadzieścia cztery lata. Jej mężem był Australijczyk o imieniu Lee, którego poznała w kolejce w banku w Delhi i za którego wyszła za mąż w Londynie pięć tygodni później. Rozstali się po roku i Lee wrócił do Australii. „Jakiś czas potem” wzięli rozwód. Tess powiedziała, że to była „chwila szaleństwa”, i najwyraźniej uznała, że nie warto się nad nią rozwodzić. Dodała, że teraz już z sobą wcale nie rozmawiają i że mało prawdopodobne, by on próbował nawiązać kontakt.

– Mówiłam ci – powiedziała. – Narobiłam w życiu mnóstwo głupot.

Dziwne było to, że wyszła za mąż za Lee, a nawet nie zaliczała go do swoich „wielkich miłości”. Numer jeden na tej liście zajmował mężczyzna imieniem Tivo, DJ, z którym była przez rok, kiedy miała dwadzieścia siedem lat. Zdjęcie przedstawiało dość niskiego, ciemnego mężczyznę w kapeluszu z wąskim rondem; Tess siedziała mu na kolanach i wpatrywała się w niego z uwielbieniem, rzeczywiście wyglądając na szczęśliwą.

– On po prostu dotarł do mnie – oznajmiła. – Oboje do siebie dotarliśmy.

Poprosiłam, żeby to rozwinęła.

– Och, no wiesz – powiedziała.

– Nie, nie wiem.

– No że kiedy byliśmy razem, rzeczy miały sens. On rozumiał wszystko, co mówiłam, nawet to, czego sama do końca nie rozumiałam. Mogłam mu wszystko powiedzieć i on to połykał. Ale wiedział też, kiedy mi powiedzieć, że mam się zamknąć i przestać wydurniać.

Wszystko się skończyło, kiedy Tess przespała się z kimś innym – „największy błąd mojego życia” – i on się dowiedział.

Najdłużej chodziła z Mattem, bo była z nim od dziewiętnastego do dwudziestego trzeciego roku życia. „Miły chłopak”, stwierdziła Tess, ale takim tonem, jakby to było coś złego. Marion uważała, że powinna była wyjść za niego za mąż – odnosił teraz sukcesy w hotelarstwie, o czym stale jej przypominała – i że przegapiła swoje szanse.

Pomijając Tivo, Tess nie miała wysokiego zdania o mężczyznach. Uważała, że są słabi i prostacy; zazwyczaj rzucała ich za przewinienia, które moim zdaniem były nieszkodliwe. Kiedy zapytałam ją o Charliego, z którym chodziła przez sześć miesięcy w 2004 roku, powiedziała tylko tyle, że podczas podróży do Rzymu kazał na lotnisku, żeby mu owinęli walizkę w folię. Najwyraźniej to wystarczyło, żeby go rzucić.

Małżeństwo Tess nie było jedyną niespodzianką. Okazało się, że w 1997 roku zrobiła bardzo krótką karierę w telewizji jako współgospodyni nocnego „programu lajfstajlowego” Channel 4 zatytułowanego *Gazowanie*, w którym



przeprowadzała wywiady z „bezmózgowcami z celebryckiej żęzy”. Nakręcili tylko odcinek pilotażowy i program nigdy nie powstał.

Nie tylko większość doświadczeń Tess była dla mnie obca, ale także jej podejście do nich. Często lamentowała, że się starzeje, obawiała się, że straci urodę i „stanie się niewidzialna”. Kiedy wskazałam, że to bezrozumne i bezsensowne, tak się bać czegoś, co jest nieuniknione i przydarza się każdemu, zaśmiała się sucho i powiedziała: „Tylko zaczekaj”.

Kiedy indziej potrafiłam zrozumieć jej podejście, ale nie racje, jakie za nim stały. Podobnie jak ja nie lubiła jeździć metrem, ale o ile dla mnie po prostu były to niewygody z powodu tłumów, przepychanek i kłótni, o tyle jej wyjaśnienia były zdumiewające: czuła za dużo „empatii” wobec współpasażerów.

– Patrzę na tych ludzi i wyobrażam sobie całe sceny z ich życia. Na przykład facet w kombinezonie to na pewno robotnik. Od razu wyobrażam go sobie w pubie, nad piątym kuflem danego dnia, jak mówi: „Każą robić, to się robi, co nie?”. Albo jak widzę dziewczynę z rudymi włosami, to wyobrażam sobie jakąś obleśną babę z jej biura, która na imprezie gwiazdkowej mówi: „No to powiedz, Lucy, bo wszyscy się zastanawiamy, uważasz, że te mankieciki naprawdę pasują do kołnierzyka?”.

Któregoś razu opisała staruszka w kaszkiecie, który wyjął paczkę herbatników Bourbon ze swojej siatki z zakupami, popatrzył na nie i schował z powrotem; na ten widok, powiedziała, łzy same jej naszły do oczu.

– Po prostu nie mógł się doczekać herbaty. Takie proste przyjemności. Ja chyba jestem zbyt wrażliwa na ten świat. Wiesz, co chcę powiedzieć?

Nie wiedziałam, ale od czasu do czasu zdarzały się sytuacje, kiedy rozumiałam zarówno jej podejście, jak i to, co za nim stało. Na przykład którejś nocy powiedziała mi o tym, że poprzedniego wieczoru była na kolacji u przyjaciółki i siedziała obok jakiejś nudnej kobiety.

– Dosłownie pół godziny głądziła, w jakich krajach była, łącznie, uważaj teraz, z lotniskami, na których miała międzylądowania, jakby one się też liczyły.

Powiedziałam jej, że Tash Emmerson robiła to samo w szkole i że mnie

to podobnie irytowało. Tash nawet wylistowała te kraje na swoim profilu na Facebooku.

– Ja cię pieprzę – powiedziała Tess. – Natychmiast wyrzuć ją ze swoich znajomych. Dlaczego ty trzymasz z takimi ludźmi?

Wyjaśniłam, że nie lubię Tash i nawet się z nią nie widuję, ale tak już jest, że wszyscy ze szkoły zapraszają pozostałych do swoich znajomych na Facebooku, bo chcą mieć ich jak najwięcej.

– Tak, może tak jest z tymi głupimi niuniami – rzuciła Tess – ale ty jesteś od nich fajniejsza, prawda? Po prostu ignoruj tę bandę.

Powiedziałam jej, że jeśli wyrzucę ze znajomych wszystkich, z którymi nie jestem blisko, to zostanie mi tylko Rashida. Postanowiłam nie wspominać, że z nią też już się nie widuję.

– No i co? – odparła. – A kogo to obchodzi? Otwórz się bardziej. Bądź cool.

Doceniłam, co powiedziała. Ostatecznie byłam wolnomyślicielką. Ale i tak naszła mnie wizja mojego profilu: Znajomi (1).

– Nie mogę – stwierdziłam.

– Boże, jak ja się cieszę, że Internet nie istniał w czasach, kiedy byłam młodsza – stwierdziła Tess.

W tym rzadkich momentach, kiedy skupiała się na mnie, zamiast mówić o sobie, nie mogłam się opędzić od przeświadczenia, że marnujemy czas, dlatego bardzo starałam się pozostać profesjonalistką i nakierować rozmowę z powrotem na nią. Ale przyznaję, że nawet mi się to podobało, kiedy postanawiała zwrócić uwagę na mnie; czułam, że jest naprawdę zainteresowana, że ja ją obchodzę.

Którejś nocy postanowiła udzielić mi kilku porad.

– Nie mam córki, ty jesteś kimś najlepszym w zastępstwie – orzekła. – Cały dzień się nad tym zastanawiałam.

Zacząłam protestować, ale ona i tak uparcie ciągnęła swoje.

– Po pierwsze – powiedziała – nie jesteś wcale aż taka żenująca, jak

myślisz.

– Wcale nie jestem żenująca! – oburzyłam się.

Uciszyła mnie i kontynuowała:

– Zaczekaj, aż facet będzie rozwiedziony od roku, zanim się do niego zbliżysz. Możesz nie lubić swojej rodziny, nie ma w tym nic złego. Uważaj z koką, bo czasami można spędzić życie na uganianiu się za tym uczuciem, jakiego człowiek doznaje po pierwszej kresce. Warto wydać kupę kasy na dobre obcięcie.

Powiedziałam jej, że nic z tego się do mnie nie stosuje, a zresztą nawet sobie nie wyobrażam, że mogłabym robić takie rzeczy – i dodałam, że wprawdzie doceniam tę troskę, ale jej energia zostanie lepiej spożytkowana, jeśli sobie przypomni, gdzie była między lutym a majem 2008 roku.

Zaśmiała się.

– Ach, jesteś taka młoda, masz jeszcze czas. Tylko poczekaj. – A potem westchnęła i jej nastrój się zmienił, jak to często bywało. – Ale z kolei zanim się zorientujesz, będziesz stara. Życie jest koszmarnie krótkie, wiesz?

– Cóż, zwłaszcza dla ciebie – odparłam bezmyślnie. Zapadła długa cisza i poczułam, że powiedziałam coś nie tak. Gapiłam się na mały czarny kwadrat Skype'a na ekranie, dopóki nie wymyśliłam, co teraz powiedzieć: – Ciągłe się wydaje, że jest czwartek.

Chciałam tym samym, żeby Tess poczuła, że nie jest sama, że ja ją rozumiem, ale przypadkiem to też była prawda. Dni po prostu umykały: ciągle się wydawało, że jest trzecia po południu, a potem, że znowu jest czwartek i że minął kolejny tydzień, kolejny miesiąc.

Czasami jednak, jak już wspominałam, nasze rozmowy nie udawały się od samego początku. Kiedy była w złym nastroju, ledwie potrafiłam z niej wydobyć bodaj strzępek informacji. Na wszystko reagowała krótkimi, opryskliwymi odpowiedziami typu: „Nie wiem” i ogólnie zachowywała się dziecinnie. Biadoliła: „Och, kiedy to się wreszcie skończy! Chcę, żeby już było po wszystkim. Obiecywałaś, że do tej pory skończymy!”. Musiałam jej przypominać, że nie powiedziałam nic takiego: na tym etapie data ukończenia projektu nie była jeszcze wyznaczona. Zdarzało się, że musiałam

z nią rozmawiać dość ostro.

Potrafiła też być złośliwa. Zdarzyła się taka jedna szczególna noc, kiedy próbowałam ustalić pewien szczegół – zdaje się to, czy jej przyjaciółka Katy Wilkins to ta sama osoba co „Katie Katatoniczka”, o której wspomniała w innym mailu – a ona na mnie napadła:

– Nie masz nic lepszego do roboty? Takie jest twoje życie? Czym ty się właściwie zajmujesz?

Zadręczała mnie dłuższy czas, po czym nagle przestała i potężnie westchnęła, jakby była czymś znudzona.

– Nieważne. Zdaje się, że to w moim interesie, żebyś była niedojdą – powiedziała.

Muszę się przyznać, choć nie jestem z tego dumna, że nie zachowałam się wtedy profesjonalnie.

– No cóż, może przestanę to robić – odparowałam. – Nie mylisz się, mam lepsze rzeczy do roboty. – I zakończyłam rozmowę.

Cała się trzęsłam ze zdenerwowania, dlatego kiedy próbowała znów nawiązać połączenie, zignorowałam ją. Pozwoliłam jej dzwonić cztery razy.

Kiedy wreszcie odebrałam, zaczęła mnie przeproszać, po czym powiedziała:

– Czekaj.

I zanim się zorientowałam, włączyła kamerę. I nagle ją zobaczyłam, na małym ekraniku Skype’a, patrzącą prosto na mnie. Zdaje się, że wyrwał mi się z gardła okrzyk, bo taka byłam zdziwiona, że ona naprawdę tu jest. Właściwie to było tak, jakbym zobaczyła ducha, co zresztą nie znaczy, że wierzę w duchy. Nosila tego dnia białą kamizelkę, mocno odznaczającą się na tle jej skóry, i miała spiętą grzywkę. Wyglądała bardzo młodo. Trzymała twarz blisko kamery i krzywiła się, przez co cienka kreska między jej brwiami mocno się uwidoczniła.

– Proszę, wybac mi, słońce – powiedziała.

Przeprosiła za ten „opieprz”; ma za sobą niedobry dzień, wyjaśniła. A potem dodała:

– Ja ciebie potrzebuję. Wiesz o tym. Naprawdę cię potrzebuję.

Podniosła rękę i lekko dotknęła kamery, jakby mnie błogosławiła.

Od tego dnia, mimo że nie poddałyśmy tego pod dyskusję, pozostawiała kamerę włączoną na czas naszych rozmów. Ja swoją nadal wyłączałam. Oczywiście widziałam do tej pory całe mnóstwo zdjęć Tess, ale przyglądanie się jej jako żywej, oddychającej osobie było czymś zasadniczo innym. Przeważnie oglądałam jej twarz od dołu; zazwyczaj wyciągała się na łóżku, kładąc sobie laptop na kolanach. Na ścianie za nią widziałam róg plakatu przedstawiającego chyba ogromnego pajaka. Poprosiłam Tess, żeby przesunęła kamerę tak, abym mogła obejrzeć całość; zrobiła to i wyjaśniła, że to jest dzieło artystki Louise Bourgeois. Zanotowałam to sobie, a podczas naszej następnej sesji poprosiłam, żeby objechała kamerą cały pokój, bo chciałam lepiej zobaczyć, jak go urządziła.

Jej pokój był tak zavalony rzeczami, a właściwie to śmieciami, że aż mi się zrobiło niedobrze – zakurzone pawie pióra, stosy czasopism, sterty ubrań na podłodze przypominających mi to, co nocami wyrzuca się pod sklepem Ligi Ochrony Kotów w Kentish Town. Na komodzie leżały poprzewracane słoiczki, niektóre otwarte, a dookoła okna wisiały lampki choinkowe. Zauważyłam też różne niezwykle przedmioty i poprosiłam, żeby mi opowiedziała, skąd się wzięły – ogromna, biała muszla wielkości poduszki, którą kupiła w sklepie z antykami w Islington, malowane, drewniane słońce na pół ściany, które zrobiła sama na potrzeby jakiegoś przedstawienia. Na szafce nocnej stał mały, złoty Budda i nawet za pośrednictwem kamery widziałam, że jest cały pokryty popiołem z kadzidełek.

Zobaczywszy jej rzeczy w takim stanie, chcąc nie chcąc, pomyślałam sobie: co Tess zrobi z całym tym majdanem, kiedy już się „wymelduje”? Wiedziałam, że takie dociekania wiodą w stronę zakazanego terytorium – mimo że nie istniała żadna oficjalna umowa w tej kwestii, Tess ewidentnie unikała dyskusji na temat praktycznych szczegółów swego samobójstwa – dlatego zapytałam dość ostrożnie:

– Masz jakieś plany co do swoich rzeczy?

Przez chwilę wyraźnie nie rozumiała, o co pytam. Po czym zrozumiała.

– Och, nie – odparła. – Jeszcze nie. Nie zastanawiałam się nad tym.

Powiedziałam jej, że ja korzystam z magazynu, w którym są dość sensowne opłaty, więc jak chce, to dam jej telefon do nich. Przytaknęła niejasno, toteż później przesłałam jej ten numer w mailu.

Kamera się przydawała, ponieważ mogłam lepiej wychwytywać nastrój Tess, kiedy widziałam wyraz jej twarzy: aczkolwiek muszę stwierdzić, że gdy miała „doła”, to było często oczywiste, bo jej głos robił się wtedy głuchy i ciężki, jakby pozostawała pod wpływem środków odurzających. Odnotowałam też różne drobiazgi. Na przykład zauważyłam, że jest leworęczna i że oprócz kreseczki między brwiami ma też po jednej takiej kreseczce po obu stronach ust; były cienkie i delikatne jak rzęsy, które wypadły z powieki. Którejś nocy zauważyłam maleńką, czerwoną plamkę nad wargą. Zapytałam o nią i Tess powiedziała, że to febra. Mogłabym nie wiedzieć, że miewa febrę, gdybym jej nie zobaczyła na własne oczy – i zanotowałam, że powinnam w różnych momentach przyszłości „dawać” jej febrę. Tess potrafiła sprawić, że nawet febra wyglądała u niej dobrze, jak znamię piękności.

Zazwyczaj też paliła podczas rozmowy ze mną. Zakładałam, że to są papierosy, ale któregoś dnia zauważyłam, że wkrusza coś do tytoniu, i zorientowałam się, że to konopie. Poprosiłam o potwierdzenie, że to są narkotyki, co ją rozśmieszyło.

– Jesteś zaszokowana, Mary Whitehouse <sup>1</sup>?

Usłyszawszy precyzyjne wyjaśnienie, do czego piła – Tess powiedziała, że Mary Whitehouse to „wiecznie skrzywiona starucha, która ma usta jak kocia dupa” – odparłam, że ja się ani trochę na to nie krzywię i że ona ma absolutne prawo robić, cokolwiek chce, ze swoim ciałem. Ale dodałam, by moje stanowisko było jasne:

– Gdyby to działało na kogoś, gdyby na przykład w pomieszczeniu było małe dziecko, to nie mogłabym pochwalać twoich czynów. Ale tak, proszę cię bardzo, pal sobie do woli.

– Ależ dziękuję ci – odparła Tess. – Jesteś bardzo uprzejma. – Była wyraźnie rozbawiona tą rozmową i uśmiechnęła się, jednocześnie liżąc bibułkę papierosa.

– Ile to kosztuje? – zapytałam.

– Nie wiem – przyznała. – Dziewczyny nie muszą kupować sobie same prochów, prawda?

– Cóż, ty może nie – powiedziałam – ale jestem pewna, że niektóre dziewczyny jednak muszą. Zapewne się zdarza, że ktoś daje ci narkotyki za darmo, jeśli mu się podobasz i chce, żebyś go lubiła, ale nie wszyscy są tacy seksowni jak ty. Ty już to wcześniej robiłaś; kiedy mówisz „dziewczyny”, tak naprawdę chcesz powiedzieć „dziewczyny takie jak ja”.

Już od jakiegoś czasu miałam ochotę potraktować ją czymś takim i poczułam satysfakcję, bo Tess była wyraźnie lekko wstrząśnięta. Mocno się zaciągnęła papierosem i odparła:

– Może masz rację.

Wyraźnie wzbudziłam jej ciekawość, bo znowu zaczęła mnie bombardować pytaniami o dzieciństwo, rodziców i tak dalej. A kiedy opowiedziałam o mamie i o stwardnieniu, była naprawdę poruszona.

– Jak z tatą. Boże, co za gówno! I jak sobie radziłaś?

Powiedziałam jej, że moim zdaniem Alzheimer jest pewnie gorszy, z jednego powodu: mama zawsze była *compos mentis* i pozostała sobą do końca, podczas gdy jej tato, Jonathan, bezpowrotnie utracił tożsamość. Kiedy myślałam o Jonathanie, w oczach miałam pudełko z cukierkami Quality Street, tymi, które się w dzieciństwie dostawało pod choinkę, tyle że w środku byłyby same puste papierki. Nie powiedziałam tego Tess; powiedziałam tylko tyle, że pewnie było jej bardzo ciężko, kiedy przyglądała się bezradnie, jak z jej ojca wycieka powoli pamięć, aż wreszcie zapomniał, że w ogóle miał córkę.

Tess pokiwała głową.

– Tak – przyznała. – Zasadniczo zmarł już wiele lat temu. – Po czym, gasząc papierosa w małej popielniczce zrobionej z muszli, dodała: – Cieszę się, że się nie zestarzeję.

Moje arkusze stopniowo się zapełniały, a praca nabrała przyjemnego rytmu: nocami odbywałyśmy nasze rozmowy, a następnego dnia



transkrybowałam taśmy z nagraniami, katalogowałam fakty i robiłam notatki z pobocznych, ale przydatnych szczegółów objawiających się przy okazji, jak niezwykle słowa, których użyła, albo cechy charakteru, które nieodmiennie zdradzała.

Im więcej informacji gromadziłam, tym bardziej rosła moja pewność siebie, ale nadal pozostawał obszar, który mnie niepokoił: telefony. Wbrew zapewnieniom Adriana i Tess, wydawało się prawdopodobne, że w przyszłości będą takie sytuacje, kiedy telefon od Tess, nawet jeśli niekoniecznie niezbędny, okaże się pożądanym – na przykład z okazji różnych świąt i uroczystości, względnie gdyby doszło do jakiegoś wypadku.

A potem, któregoś dnia, kiedy odsłuchiwałam nasze nagrania, coś mi wpadło do głowy. Wydawało się, że nie ma powodu, by nie przygotować jakichś ogólnych wiadomości, które odgrywałabym przez telefon na pocztę głosową odbiorcy w momentach, kiedy dana osoba na pewno nie mogłaby odebrać.

Przedstawiłam pomysł Tess jeszcze tego samego wieczoru i zgodziła się ze mną.

– Teraz jest najlepszy moment! – powiedziałam.

Trochę to potrwało i musiałam stale się dopraszać, żeby powtórzyła, bo jej ton nie był właściwy, ale ostatecznie sporządziłyśmy kilka różnych nagrań. Jedno było z okazji urodzin, jedno na Gwiazdkę, a potem jeszcze trzy natury ogólnej, to znaczy różne wariacje na temat „Cześć, to ja, szkoda, że cię nie zastałam”. Do swoich przyjaciół Tess mówiła slangowo – „Heja, kocie” – a do osób z rodziny bardziej formalnie. Zmusiłam ją, żeby spisała mi listę godzin, kiedy jej najbliższa rodzina i znajomi zazwyczaj przełączają telefony na pocztę głosową; jej matka na przykład w każdy środowy wieczór szła na spotkanie klubu czytelniczego – nazywała to „swoim czasem” – podczas gdy znajomi mający dzieci popołudniami byli zajęci odbieraniem ich ze szkoły.

Stwierdziłam też, że porobimy zdjęcia Tess, żeby później nakładać na nie sceny z miejsc, do których się będzie wybierała, żeby je potem zamieszczać na Facebooku. Któregoś wieczoru poprosiłam, żeby pokazała mi swoje ubrania, więc ustawiła laptopa obok łóżka i zaczęła je wyciągać, jeden ciuch

po drugim, przykładając je do siebie. Kiedy już wybrałyśmy różne stroje nadające się na różne pory roku i warunki pogodowe, zaczęła je kolejno wkładać, nie ukrywając się zresztą przed kamerą, więc widziałam, jak się rozbiera do majtek.

W trakcie, gdy się przebierała, ja przyglądałam się jej ciału. Było zupełnie inne niż moje. Ponieważ w ogóle nie miała tłuszczu, zauważyłam te części jej szkieletu, których nigdy nie widziałam u siebie: wypustki na kręgosłupie i klatce piersiowej, kiedy się pochylała, kości biodrowe, kiedy podnosiła ręce, by włożyć jakiś top. Można było odnieść wrażenie, że jej kości są okryte cienkim prześcieradłem, a moje są zagrzebane pod grubą kołdrą.

Kiedy wreszcie włożyła pierwszy zestaw, pokazałam jej, jak się używa samowyzwalacza w kamerze, i potem robiła sobie zdjęcia w różnych strojach na tle pustej ściany w pokoju, w najrozmaitszych pozach. Później przesłała je do mnie mailem do sprawdzenia.

Tess ta sesja najwyraźniej się spodobała, bo radośnie przetrząsała swoje ubrania i podnosiła niektóre do kamery, żebym mogła je ocenić. Gdy przypadkiem natrafiła na ulubioną marynarkę, którą myślała, że zgubiła, aż krzyknęła z zachwytem. Mnie ubrania zupełnie nie interesują i przeważnie nie miałam pojęcia, o czym ona mówi – „vintage Ossie, mój stary top od Driesa” – ale też się nawet nieźle bawiłam. Cieszyłam się, że widzę ją szczęśliwą. Pamiętam, że pomyślałam o tym zdjęciu na Facebooku, które przedstawiało ją i jej przyjaciółki szykujące się do wyjścia, i zastanawiałam się, czy teraz doświadczam czegoś podobnego. „Dziewczyńska zabawa”. Czułam się bliska Tess i było to miłe uczucie.

Niedługo potem jednak wydarzyło się coś, co na nowo umiejscowiło nasze relacje na płaszczyźnie profesjonalnej i przez co zaczęłam się czuć tak, jakbym jej wcale nie znała. Któregoś ranka jak zawsze zalogowałam się na jej konto na Facebooku i zobaczyłam, że wysłała zaproszenia na imprezę do wszystkich znajomych ze swojej listy. Musiała to zrobić po naszej rozmowie przez Skype’a poprzedniego wieczoru.

„Pożegnalna fiesta u Tess”, tak brzmiało zaproszenie. „Przyjdźcie się ubzdryngolić, zanim pożegluję na nowe pastwiska”. Wyznaczyła spotkanie

na najbliższy piątek w jakimś pubie w Bethnal Green. Zaproszenie zdążyło przyjąć osiemnaścioro ludzi i jej aktualności były pełne postów od zdumionych znajomych: „Zaraz, to ty wyjeżdżasz?”, „Dokąd?”, „Kiedy?”, „O co tu chodzi?”, „Dlaczego nic mi nie powiedziałaś?”.

Natychmiast napisałam do Tess, pytając, dlaczego nie skonsultowała się ze mną przed takim ważnym przedsięwzięciem, ale przez cały dzień nie odpowiadała i musiałam czekać do wieczornej sesji na Skype, żeby usłyszeć jej wytłumaczenie.

– A tak – rzuciła rozwścieczająco nonszalanckim tonem. – Pomyślałam, że przyda mi się jakaś odprawa.

– Dlaczego mi nic nie powiedziałaś?

Wzruszyła ramionami, nie patrząc do kamery.

– To było tak pod wpływem chwili. A zresztą teraz już wiesz, prawda?

– Ale ty jeszcze nie możesz robić imprezy pożegnalnej! Jeszcze nie wymyśliłyśmy, dokąd się wybierasz ani kiedy, ani... – Słyszałam sama, że zacznym krzyczyć, dlatego umilkłam na moment, żeby ochłonąć. – Co ty im wszystkim powiesz?

– Och, coś wymyślę – odparła z wyraźną irytacją w głosie i odwróciła się ode mnie. – Powiem, że wyprowadzam się za granicę. Przestań tak histeryzować.

– Chcesz powiedzieć, że to ja coś wymyślę – odparowałam niemal bezgłośnie, ale Tess prędko zerknęła do kamery zmrużonymi oczyma i wiedziałam, że usłyszała.

– Och, a poza tym powiedziałałam wszystkim, że wyjeżdżam za miesiąc – dodała i uśmiechnęła się słodko.

Jak pewnie sobie wyobrażacie, to mną trochę wstrząsnęło. Do tej pory nie podjęłyśmy nawet dyskusji na temat daty jej „wymeldowania”, a poza tym przewidywałam, że cały proces gromadzenia informacji potrwa jeszcze co najmniej dwa miesiące. Nie widziałam żadnych dowodów, ani w jej mailach, ani na Facebooku, które wspierałyby to nowe stanowisko Tess, i przeszło mi przez myśl, że właśnie wymyśliła sobie termin ostateczny, żeby mnie

wytrącić z równowagi. Zresztą przyczyny nie są tu ważne, bo jak już raz to powiedziała, zaparła się jak osioł, że musimy wszystko zakończyć w cztery tygodnie.

– W takim razie – wycedziłam – zaczynamy planować twoją przyszłość, koniecznie.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Twoje nowe życie – wyjaśniłam, robiąc, co mogłam, żeby zachować rozsądek i umiar. – Gdzie chcesz mieszkać, co chcesz robić, wszystko. Musimy to wszystko przepracować. – Mam to gdzieś – odparła z niecierpliwym westchnieniem. – Nie będzie mnie tu, i już, prawda?

To była prawda, oczywiście, i na tym etapie prawdopodobnie posiadałam już dość wiedzy na jej temat, by podjąć przemyślaną decyzję odnośnie do miejsca, do którego mogłaby się udać, pracy, którą mogłaby podjąć, i tak dalej. A jednak zirytowałam się i jednocześnie poczułam się zraniona jej bezceremonialnym podejściem.

– No bo przecież po to właśnie tu jesteś, co nie? – dodała, dolewając oliwy do ognia.

Doprowadziłam rozmowę do końca na dość niedobrych zasadach, ale prędko doszłam do siebie. Musiałam zachowywać się profesjonalnie; miałam zadanie do wykonania. Usiadłam więc i starając się być racjonalna, zastanowiłam się, dokąd Tess mogłaby pojechać. Musiałam trochę poszperać w Internecie, zanim znalazłam odpowiedź.

Oczywiście głównym kryterium było to, że miejsce musiało być gdzieś daleko. Adrian podczas naszego wstępnego spotkania wspomniał, że Australia jest daleko, ale jakoś tego nie widziałam. Pomijając nawet ten nowo poznany, a istotny fakt, że jej eksmąż, Lee, był Australijczykiem, wiedziałam, że tamtejsze duże miasta to częsty cel podróży. Uznałam więc, że nawet gdyby Tess zamieszkała gdzieś poza którymś z tych wielkich miast, to ktoś z członków jej rodziny albo znajomych, kto wybrałby się w dwudziestoczwierogodzinną podróż do, powiedzmy, Sydney, prawdopodobnie mógłby się zdobyć na ten dodatkowy wysiłek, by chcieć się z nią zobaczyć.

Poza tym, żeby to wszystko sprawiało wrażenie autentycznego, musiał

istnieć powód, dla którego Tess wybrałaby sobie miejsce, w którym zamieszka. Powiedziała mi, że jest „bardzo wrażliwa na otoczenie”, że musi być „blisko piękna”, i w związku z tym byłoby to do niej niepodobne, gdyby pojechała byle gdzie. A zatem musiało być w takim miejscu coś, co by ją przyciągnęło.

Tak więc, podsumowując, musiało to być miejsce, do którego trudno się dostać, pełne „czaru”, by Tess zechciała tam osiąść, ale też nie takie, o którym ludzie pomyśleliby: „Och, zawsze chciałem tam jechać i oto nareszcie mam okazję”.

Co więcej, byłoby to sensowne, gdyby Tess przeprowadziła się do miejsca kompletnie różniącego się od Bethnal Green, w którym mieszkała teraz. I, zrozumiałam, byłoby sensowne, gdyby przeniosła się gdzieś, gdzie panuje „uduchowiona atmosfera”.

Cała ta „duchowość” była tą stroną Tess, z którą nie bardzo sobie radziłam. Skwapliwie przysposabiała sobie różne mistyczne wymysły, nabawiając się obsesji na punkcie homeopatii i kryształów, i z żarem opowiadała mi o stawianiu baniek i liniach geomantycznych. Szczerze powiedziawszy, te wymysły mnie obrażały, i kilka razy podważyłam nawet to, co mówiła – „Gdzie są dowody?” – a jednak uparcie twierdziła, że czuje się od nich lepiej.

Tak więc, mając to na uwadze, znalazłam kilka stron internetowych poświęconych New Age, zajrzałam też na różne fora. Wynotowałam, o czym ci ludzie gadają, i kiedy ktoś wspomniał jakieś miejsce, sprawdzałam je. I tak oto dowiedziałam się o Sointuli.

Miasteczko Sointula znajduje się na wyspie położonej blisko innej wyspy – Vancouver. W latach siedemdziesiątych hipisi założyli tam swoją kolonię, „socjalistyczną utopię”. Z czasem Sointula stała się znów nieco bardziej normalnym miejscem, osadą rybacką, aczkolwiek do dziś zachowała trochę z dawnego ducha i była celem podróży ludzi „zainteresowanych duchowością”. Na zdjęciach wyglądała całkiem przyjemnie, z pustymi plażami i prostymi, niskimi budynkami. Liczba mieszkańców dawała nadzieję na znalezienie sobie pracy, ale jednocześnie panował tam spokój, więc mogło to być przekonujące ustronie dla osoby tak „uszkodzonej” jak Tess.

Przede wszystkim jednak szalenie trudno się tam dostać. Trzeba polecieć do Vancouveru, przesiąść się na samolot do Port Hardy, stamtąd pokonać pół godziny drogi taksówką do jeszcze innego portu i tam wsiąść na prom. Nie było mowy, by jej rodzice dali radę wybrać się w taką podróż, biorąc pod uwagę stan Jonathana. Liczyłam zresztą, że odstręczy to najbardziej zapalonych podróżników spośród jej znajomych, nawet Sharmi, która przecież była aż w Papui-Nowej Gwinei. Poza tym Tess miała oczywiście dać jasno do zrozumienia, że nie życzy sobie, by ktoś do niej przyjeżdżał, że chce zacząć wszystko od nowa.

Kiedy już zdecydowałam się na Sointulę, spędziłam cały dzień na szkicowaniu życia Tess w tym miejscu. Przejrzałam agencje nieruchomości i znalazłam dla niej lokum – przyjemne mieszkanie na parterze wolnostojącego drewnianego domu z prawem do części ogrodu. Zdjęcia prezentowały przestronne, jasne pokoje z oknami od podłogi z białych desek do sufitu, na których wisały zasłony w kratkę. Mieszkanie było urządzone bardzo skromnie – absolutne minimum: zgrabna, niewielka kanapa, okrągły stół dla czterech osób – a jednak sprawiało wrażenie przytulnego.

Kiedy tak przyglądałam się tym zdjęciom, przez krótką chwilę czułam ukłucie zazdrości: sama chciałabym tam mieszkać. Pamiętam, że była to piątkowa noc i za oknem na Albion Street panował okropny hałas, a do mojego mieszkania przesączał się smród cebuli i jeszcze od pubu dochodziły odgłosy tłuczenia szkła i pijackiego śmiechu.

Na stronie agenta nieruchomości wyczytałam, że to lokum w Sointuli znajduje się na parterze domu, w którym mieszka także jego właścicielka. Postanowiłam, że będzie to owdowiała pani Peterson, osoba bardzo podobna do mojej mamy.

Po znalezieniu mieszkania dla Tess – czy wręcz apartamentu, powinnam powiedzieć – zabrałam się do szukania jej tam pracy. Jak już wspomniałam, miała dość barwną historię zatrudnienia i byłoby najbardziej wiarygodnie, gdyby podjęła pracę niewymagającą większych kwalifikacji, na przykład jako kelnerka w jednej z restauracji na wyspie. Ale taki pomysł nie bardzo mi odpowiadał. To miało być jej „nowe życie” i chciałam dla niej czegoś lepszego. Poza tym pomyślałam sobie, że w razie jakiejś naglącej sytuacji w domu, gdy ktoś będzie chciał pilnie nawiązać z nią kontakt, bardzo szybko

odszuka nazwy tych kilku restauracji na wyspie i zadzwoni tam, żeby z nią bezpośrednio rozmawiać.

Dlatego więc rozważyłam inne opcje. W Sointuli był sklep odzieżowy „U Moiry” oraz niewielka biblioteka. Zastanawiałam się nad tą biblioteką, ale kiedy tak przeglądałam swoje pliki z informacjami o Tess w poszukiwaniu inspiracji, przypomniał mi się jej krótki pobyt w szkole plastycznej i oto wymyśliłam. Tess mogła zostać prywatną nauczycielką rysunku jakiegoś dziecka.

Przyznaję, że byłam z siebie zadowolona – Tess miałyby powody, by wyłączać telefon na dłuższy czas i dlatego być nieosiągalna. Komórką Tess w jej nowym życiu trochę się przejmowałam, bo nie tylko był tu oczywisty problem, że miałyśmy inne głosy, ale również zorientowałam się, że za granicą sygnały telefoniczne są inne i każdy, kto zadzwoni do Tess, połapie się, że ona jest wciąż na terenie Zjednoczonego Królestwa. Dlatego byłam taka zadowolona, że znalazłam powód, by Tess mogła nie mieć stale włączonego telefonu.

Po znalezieniu domu i pracy złożyłam pakiet informacji dla Tess, ze zdjęciami wyspy i szczegółami dotyczącymi mieszkania, jakbym jej to wszystko sprzedawała. Nietypowo dla niej prędko napisała zwrotnego maila, po raz któryś zmieniając ton ze zrzędlwego na pochwalny. Napisała, że strasznie jej się podoba ten pomysł z Sointulą, że mieszkanie wygląda bosko i że koncept z udzielaniem lekcji to przebłysk geniuszu.

Bombowo, niemal chciałabym tam pojechać!, napisała. Kochanie, jesteś gwiazdą.

Naprawdę się cieszyłam, kiedy była dla mnie miła.

1. Mary Whitehouse (1910–2001) – brytyjska aktywistka o poglądach konserwatywnych znana z wystąpień przeciwko liberalizmowi i permissywizmowi obyczajowemu (wszystkie przypisy tłumaczki). [\[wróć\]](#)



## Sobota, 20 sierpnia 2011

Wyglądało na to, że dzisiaj w komunie jest „dzień masażu”. Podczas gdy ja robiłam swój obchód, spora część mieszkańców leżała na brzuchach jak trupy, a inni siedzieli na nich okrakiem, czy też mówiąc wprost na ich tyłkach, i z milczącym skupieniem ugniatali ich brunatne ciała. Nigdy wcześniej nie widziałam, jak wygląda poprawny masaż – czasami masowałam mamę, ale tylko dłonie albo stopy – i ten obrazek był dla mnie cokolwiek żenujący. A poza tym przysparzało mi to niewygód, bo musiałam podchodzić blisko, żeby móc przyjrzeć się sprasowanym twarzom masowanych i sprawdzić, czy ich rozpoznaję czy nie.

Ostatecznie upewniłam się, że to są sami „starzy” ludzie, którym już pokazywałam zdjęcie Tess – dopiero w połowie popołudnia pojawiło się trzech nowych, młodzi Francuzi w terkoczącym, pomarańczowym vanie. Kiedy do nich podeszłam, oświadczyli, że nie było ich tu zeszłego lata i że w ogóle są w komunie po raz pierwszy, ale i tak pokazałam im zdjęcie Tess.

– *Non*, sorry – powiedzieli, a jeden z nich dodał jeszcze: – *Mais, très belle*.

Zrozumiałam go dzięki temu, że uczyłam się francuskiego w szkole. Miał potworny trądzik, małe czerwone wulkany pokrywające twarz i splezające przez szyję aż do włosów porastających obnażoną klatkę piersiową. W mojej wyobraźni ten trądzik rozprzestrzenił się dalej po jego ciele niczym powoli rozlewająca się lawa, aż w końcu pokryje go w całości, pozostawiając wolne jedynie podeszwy stóp. Wzdrygnęłam się mimo woli. Zastanowiło mnie też, jak on się z tym czuje, że do niego nikt nigdy nie powie, że jest *très belle*.

Jego widok przypomniiał mi, że od czasu przyjazdu do komuny nie sprawdzałam ani razu, jak sama wyglądam, dlatego po powrocie do namiotu pożyczyłam lusterko od Annie. I przeżyłam lekki szok: mimo że spędzałam większość dnia pod drzewem, moja skóra była jak truskawkowy mus Angel

Delight. To pewnie od tej wczorajszej wyprawy do miasteczka. Annie, która mi się przyglądała, uparła się, że posmaruje mi policzki i nos czymś, co się nazywa aloes i według niej posiada „własności lecznicze”, mimo że bez Internetu nie jestem w stanie tego potwierdzić.

– Osioł – powiedziała. – Z taką karnacją powinnaś używać filtra pięćdziesiąt. Mama ci nigdy nie powiedziała, żebyś używała kremów chroniących przed słońcem?

Poinformowałam ją, że w Kentish Town coś takiego jest niepotrzebne, zwłaszcza jeśli się rzadko wychodzi z domu.

Wiem, że nie wspominałam dotąd, jaką rolę odgrywał Adrian na etapie przygotowań. Nie wspominałam, bo zasadniczo nie angażował się w sprawę, a w każdym razie nie w takim stopniu, jak zakładałam. Spodziewałam się, że będę musiała mu podsyłać sprawozdania z postępów w gromadzeniu informacji, ze stanu umysłu Tess i tak dalej, dlatego więc prowadziłam obszernie notatki, ale mijały dni, tygodnie, a on ani razu o nic nie zapytał.

Pod koniec drugiego tygodnia projektu, kiedy nadal nie było żadnej wiadomości od Adriana, zaczęłam się zastanawiać, czy przypadkiem nie oczekuje, że to ja nawiążę z nim kontakt – że to jest coś w rodzaju testu inicjacyjnego. Dlatego więc sporządziłam raport z postępów i już byłam gotowa wysłać mu go mailem, kiedy się połapałam, że przecież nie wiem, na jaki adres. Tamtego dnia w Heath powiedział mi, że nie powinniśmy odnosić się do sprawy na Czerwonej Pigułce, nawet na privie; tłumaczył, że część użytkowników to wytrawni hakerzy, tak oddani serwisowi, że mogą nawet zhakować jego skrzynkę pocztową, byle tylko przeniknąć do jego procesów intelektualnych. Ale z kolei nie podał mi ani innego adresu mailowego, ani numeru telefonu.

Zapamiętałam, co powiedział podczas naszego spotkania w Hampstead Heath: „Zakładam, że masz profil na Facebooku”, dając w ten sposób do zrozumienia, że on też go ma, a jednak po wpisaniu jego imienia i nazwiska nikogo takiego nie znalazłam. Dlatego więc nie miałam wyboru, tylko musiałam przesłać ostrożnie sformułowaną wiadomość na Czerwoną Pigułkę.

*Adrian,*

*Tak się tylko pytam, czy chcesz może ode mnie jakichś informacji à propos bieżącego projektu.*

*Leila*

Odpowiedział po siedmiu i pół godzinach.

*Wierzę w ciebie na sto procent, jestem pewien, że masz wszystko pod kontrolą. Wiadomości na privie to nie jest dobry pomysł.*

Jak już powiedziałam, zdziwiłam się, że on nie zajmuje bardziej aktywnego stanowiska wobec projektu, ale byłam też zadowolona, że jego zdaniem można mi zaufać i dać mi wolną rękę. I coś naprawdę się zmieniło: od tej pory w każdą środę dostawałam od niego maila na priva – bez wzmianki o projekcie, ale za to zawierającego jakiś pojedynczy, inspirujący cytat i nic więcej, jakby w ten sposób udzielał mi wsparcia z daleka. „Wielcy ludzie są jak orły, które wysoko na skałach gniazdo sobie ścielą” albo: „Każdy człowiek wie swoje życie, lecz niewielu ma o nim jakieś pojęcie”.

Oczywiście „widywałam” go codziennie, na forach Czerwonej Pigułki. Zgodnie z naszą umową nadal pojawiałam się na stronach serwisu, logując się codziennie i wnosząc swój wkład do najciekawszych dyskusji. Ale nie miałam już do tego serca, bo tak mnie pochłaniał projekt i czułam się oddalona od tego, co się tam działo, od tych wszystkich dysput na abstrakcyjne tematy.

Czułam się dziwnie, oglądając publiczną twarz Adriana i dzieląc z nim sekret, wiedząc o nim rzeczy, których inni nie wiedzieli. Na przykład podczas dyskusji na temat podcastu poświęconego rywalizacji między rodzeństwem Adrian odnosił się do swojej „siostry”. Tymczasem ja wiedziałam, bo mi powiedział o tym w Heath tamtego dnia, że jest jedynakiem, tak samo jak ja. Rozumiałam, że napisał o „siostrze”, by mieć czym wesprzeć swój wywód,

ale pozostali użytkownicy prawdopodobnie zakładali, że on naprawdę ma siostrę. Świadomość, że tylko ja pośród użytkowników o tym wiem, była, przyznaję, ekscytująca i zarazem niepokojąca, czułam jednak, że nie jest to teraz czas na oddawanie się ekstremalnym uczuciom. Musiałam mieć porządek w myślach i rozumować jasno, bo tego wymagał projekt.

Był jeszcze bardziej prozaiczny powód, dla którego nie angażowałam się w pełni w aktywność na Czerwonej Pigułce: w tych ostatnich tygodniach przygotowań miałam coraz mniej czasu. Już sama praca na rzecz Tess mogła bez trudu wypełnić każdą godzinę między wstaniem a położeniem się spać, ale swoje 88 funtów pensji miałam zacząć dostawać dopiero po jej „wymeldowaniu” i dlatego tymczasem musiałam wykonywać testy dla Damiana.

Przez następny miesiąc prawie nie wychodziłam z mieszkania. Siedziałam przy komputerze, w cieniu restauracyjnego szyldu, osiemnaście godzin na dobę, a czasami nawet dwadzieścia. I muszę przyznać, że im bliżej było do 14 kwietnia, tym bardziej czułam się podminowana, co skądinąd nie leży w mojej naturze. Dotarło do mnie, że poznanie życia Tess od podszewki to niekończące się zadanie, jak próba zapełnienia dziury, która nie ma dna.

Czasami podczas tych ostatnich dni odnosiłam wrażenie, że to nie ma znaczenia. Nie potrzebowałam właściwie aż tylu informacji, żeby udawać Tess: ludzie przeważnie interesują się tylko sobą, a nie innymi, nawet bliskimi przyjaciółmi. W następnej chwili czułam się tak, jakbym była zupełnie nieprzygotowana i jakbym miała zaraz zostać namierzona. Lawirowałam między tymi dwoma uczuciami jak między dwoma poziomami głośności, tym najcichszym i tym ogłuszającym.

Oś czasu życia Tess stopniowo się wypełniała, ale teraz miałam nową fiksję polegającą na dowiadywaniu się, co ona sądzi na temat różnych rzeczy. W niektórych przypadkach łączyło się to z dostarczonymi przez nią informacjami. Na przykład kiedy powiedziała mi, że jej przyjaciółka Susie niedawno porzuciła pracę w reklamie, bo postanowiła wrócić na uniwersytet, to z jej komentarza – „Zuch dziewczyna” – wynikało jasno, że pochwała ten krok. Ale w zakresie wielu innych tematów nie wyrażała jasno swoich poglądów, a ja byłam tak skupiona na przetwarzaniu faktów, że zapomniałam o to spytać.

Zacząłam tworzyć kolejną długą listę pytań, które musiałam jej zadać. Nasze sesje na Skypie się wydłużyły. Na kogo głosowała w ostatnich wyborach? Jaki jest jej ulubiony kwiat? Czy słodzi herbatę? I, o dziwo, inaczej niż dotychczas Tess nie niecierpliwiła się, kiedy ją tak wypytywałam. Podczas tych ostatnich dwóch tygodni znajdowała się w jakimś dziwnym stanie, była uprzejma, a jednak wyalienowana i czymś pochłonięta.

To znaczy z wyjątkiem tamtego jednego wieczoru, kiedy płakała.

– Kurewsko się boję – powiedziała wtedy.

A teraz przypominam sobie jeszcze inne fragmenty tej rozmowy. Pamiętam, jak streszczałam to, co miał do powiedzenia Sokrates na temat śmierci. „Bo albo tam niejako nic nie ma i człowiek po śmierci nawet wrażeń żadnych nie odbiera od niczego, albo jest to, jak mówią, przeobrażenie jakieś i przewodniczka duszy stąd na inne miejsce”<sup>1</sup>. W ten sposób wyjaśniłam jej, że nie ma się czego bać.

Kiedy jednak nie przestawała płakać, zacytowałam Marka Aureliusza: „Jest to jedna z najszlachetniejszych funkcji rozumu wiedzieć, czy to już czas opuścić ten świat czy też nie”.

Jakby mnie nie słuchała.

– To tylko... ta pustka... rozumiesz? – Pociągnęła nosem, otarła oczy i jeszcze raz powtórzyła, bardziej wyraźnie: – Rozumiesz?

Chciała, żebym włączyła kamerę, a ja musiałam jej przypomnieć, że Adrian to odradzał.

– Pieprzyć Adriana – rzuciła.

– Nie uważam, żeby to był dobry pomysł.

A wtedy obcym, cichym głosem powiedziała:

– Ja nie mogę tego zrobić.

– Oczywiście, że możesz – odrzekłam.

Co jeszcze mogłam powiedzieć?

Na policji mnie zapytali:

– Czy kiedykolwiek wyrażała jakieś wątpliwości w związku ze swoją decyzją? Czy choć raz chciała odstąpić od decyzji?

Potrząsnęłam wtedy przecząco głową.

Mogę tylko powiedzieć, że była zdenerwowana, a ja ją pocieszałam w taki sam sposób, w jaki mama mnie pocieszała, kiedy mówiłam, że nie dam sobie bez niej rady. „Ależ poradzisz sobie – mówiła mi. – Jesteś moją mądrą, silną córeczką. Dasz sobie radę i to lepiej, niż myślisz”. Nie uważałam, by to było sprzeczne z pragnieniem Tess popełnienia wiadomego aktu – strach wydawał się tu nieodłącznym elementem. I wcale to nie było tak, jakby decyzję o samobójstwie podjęła pod wpływem chwili. Tess wielokrotnie podkreślała, że od lat marzy, by to zrobić. Gdyby podczas jednej z naszych rozmów stwierdziła zdecydowanie, że nie chce przez to przechodzić, to naturalnie całą duszą wspierałabym taką decyzję. No przecież.

Tamta rozmowa uwypukliła fakt, że choć wiedziałam o niej wiele, to jednak było coś, co przede mną ukrywała. Jak podkreślam, nigdy nie umawialiśmy się, że będziemy unikały tematu jej samobójstwa – to znaczy jego praktycznych aspektów – ale było takie niewypowiedziane porozumienie, że tej jednej rzeczy nie będziemy poddawały pod dyskusję. Była to, przypuszczam, ta jedna prywatna rzecz, którą sobie zostawiła.

Podczas tych ostatnich tygodni zdawałam sobie jednak sprawę, że w trakcie gdy ja będę finalizowała szczegóły mojego planu, ona w sekrecie będzie postępowała podobnie w kwestii swojego planu.

A potem, na dwa dni przed czternastym, rozmawialiśmy na Skypie i poprosiłam ją, żeby jeszcze raz sprawdziła pisownię nazwisk swoich znajomych, którzy pracowali na uniwersytecie. Zrobiła to, po czym na chwilę umilkła. A potem spojrzała w moją stronę i popukała w kamerę.

– Dostałaś już wszystko, czego ci trzeba? – Powiedziała to drętym tonem kasjerki w banku.

Pamiętam, że akurat wpatrywałam się w arkusz zawieszony nad moim biurkiem, który do tej pory miał już z sześć stóp długości. Dokleiłam do niego dodatkowe kartki i cały był gęsto zapisany. Miałam też mnóstwo

materiałów w komputerze, oczywiście, ale ten arkusz pozostający stale w zasięgu mojego wzroku dostarczał podpowiedzi i kluczowych słów. Wiedziałam, że mogę tak go rozbudowywać w nieskończoność, doklejać kolejne kartki, aż w końcu arkusz z życiem Tess wypełni wszystkie powierzchnie w moim mieszkaniu, a potem wyleje się przez frontowe drzwi na Albion Street, przez tunel Rotherhithe i jeszcze dalej, ale doprawdy musiał istnieć taki punkt, w którym będzie go można wreszcie zakończyć.

Dlatego powiedziałam:

– Tak, raczej tak.

Głęboki smutek, jaki w tym momencie poczułam, był, o dziwo, jeszcze gorszy niż ten, który czułam pod sam koniec z mamą; chyba dlatego, że cierpienie Tess nie rzucało się w oczy, a poza tym wyglądała znacznie młodziej i zdrowiej niż mama. Wydawało się to niemożliwe, że już jej nie będzie na świecie, że ktoś, kogo poznałam tak blisko, niedługo zniknie.

Oczywiście nie mogłam tego powiedzieć. I dlatego nic nie powiedziałam. A potem nagle stało się – to była nasza ostatnia rozmowa. Jej ostatnie spojrzenie do kamery, salut, ona dziękowała mi, ja idiotycznie dziękowałam jej, a potem już tylko wpatrywałam się w nią, spijałam jej obraz, nos, kości policzkowe, usta, aż wreszcie podniosła wzrok, pochyliła się do przodu i wyłączyła kamerę.

14 kwietnia, kiedy się „wymeldowała”, był w sumie „normalnym” dniem. Nie mogłam jeszcze zacząć zadania, bo Tess miała spędzić cały dzień w podróży do Kanady, dlatego musiałam poczekać do następnego dnia, żeby wysłać pierwsze maile i esemsy zawiadamiające, że dotarła bezpiecznie do Sointuli. I też nie tak od razu następnego ranka, bo z powodu różnicy czasu nie mogłam zacząć pracować jako Tess aż do piątej po południu piętnastego, bo wtedy w Sointuli była dopiero dziewiąta.

Ale oczywiście to nie był normalny dzień. Tamtego ranka stwierdziłam, że nie jestem w stanie nic zrobić, że mogę tylko leżeć na kanapie. Oczy miałam otwarte, ale one tak naprawdę nic nie widziały, i czułam się tak, jakbym została zdezaktywowana. Nie byłam nawet głodna. Nie mogłam myśleć o niczym innym, jak tylko o tym, co robiła teraz Tess, choć nie miałam pojęcia, jak ona to robiła. Mój umysł pracował na najwyższych



obrotach, ale nie miał się czego uczepić, więc zamiast tego wytwarzał pokaz slajdów z wyimaginowanych scenek. Tess pełznąca na czworakach przez ciasną jaskinię wśród jakichś dalekich gór, z fiolką z pigułkami w kieszeni i butelką wódki. Upija ostatni łyk, zwija się w kłębek i zamyka oczy, promienie zachodzącego słońca wpełzają do jaskini i opromieniają łuną jej twarz. Tess pojawiająca się na szczycie najwyższego budynku w Londynie, wiatr targa jej włosami we wszystkie strony, a ona po raz ostatni spogląda na rozpościerające się pod nią milczące miasto, po czym z wdziękiem wykonuje skok, głową w przód jak pływaczka. Tess w samym środku nocy włamująca się do ogrodu zoologicznego i powoli zanurzająca rękę w terrarium ze śmiercionośnymi skorpionami. I kiedy wreszcie zostaje ukąszona, prawie bez grymasu pada bezwładnie na posadzkę.

Wiedziałam oczywiście, że scenariusz z jaskinią jako jedyny zawiera w sobie choć mikroskopijne prawdopodobieństwo, bo bezwzględnie musiała zastosować taką metodę, by jej ciało nie zostało znalezione. Wiedziałam też, i to aż za dobrze, że śmierć bynajmniej nie jest czymś romantycznym. Niemniej mój umysł wolał się zabawiać takimi właśnie wizjami.

Leżałam jeszcze wiele godzin w stanie obezwładnienia, a potem nagle, bez ostrzeżenia, moje wnętrzności wywróciły się jakby do góry nogami i dostałam biegunki, najstraszniejszej z możliwych, tak strasznej, że zdyszałam się i nie byłam w stanie podnieść się z sedesu.

Rankiem w którymś momencie zadzwonił dzwonek do drzwi, co już samo w sobie było zaskakującym wydarzeniem, nawet w powszednie dni, a poza tym byłam tak spięta, że aż okrzyk wyrwał mi się z ust. To był listonosz z listem poleconym dla mnie. W środku znalazłam 88 funtów gotówką owinięte w gazetę: cztery banknoty dwudziestofuntowe, jeden pięćofuntowy i trzy monety jednofuntowe, naklejone taśmą na kawałek kartonu. Pod monetami ktoś narysował usta, dzięki czemu tworzyły oczy i nos uśmiechniętej buzi. Wydawało się raczej nieprawdopodobne, by zrobił to Adrian, dlatego domyśliłam się, że ta pierwsza wypłata pochodzi bezpośrednio od Tess. W żadnej z kolejnych przesyłek z pieniędzmi nie znalazłam takich smileyów.

Otrzymanie pieniędzy trochę mnie ożywiło – projekt „Tess” był teraz oficjalnie moim zajęciem zarobkowym – dlatego podeszłam do biurka i

posłałam maila do Damiana: Niniejszym wymawiam stosunek pracy ze skutkiem natychmiastowym. A potem próbowałam się rozerwać graniem w *Warcraft*, ale tym razem jakoś nie potrafiłam się wciągnąć; zaprowadzanie porządku wśród tabunów pikseli wydawało się pozbawione sensu. Dlatego więc weszłam do poczty i na facebookowe konto Tess. „Tess” wprawdzie nie mogła wysyłać żadnych wiadomości, ale nadal przychodziły do niej maile i nic nie mogłoby mnie powstrzymać przed ich przeczytaniem, a także sporządzeniem odpowiedzi, które miały zostać wysłane dopiero następnego dnia.

Zalogowałam się na jej konto na Facebooku. W tym czasie hasła Tess wpisywałam już odruchowo; wahałam się natomiast przy własnych. Wspólnie jeszcze zdecydowałyśmy, jak będzie brzmiał jej ostatni post, i Tess zamieściła go poprzedniego wieczoru: „No to się zbieram! Nowe życie czeka. Kocham was wszystkich”. Pod spodem były już dwadzieścia trzy komentarze, same wariacje na temat: „Powodzenia!” i „Będę za tobą tęsknić!”. Tamtego dnia dostała ponadto pięć maili, nie licząc spamu; w czterech życzone jej wszystkiego najlepszego w podróży, a jeden napisała kobieta o imieniu Marnie, która najwyraźniej nie wiedziała, że Tess wyjeżdża, bo zapraszała ją na swoje czterdzieste urodziny do Clapham pod koniec miesiąca – przepisowy strój: baranina udająca jagnięcinę.

Dopiero później sprawdziłam wiadomości, które dostałam na Czerwonej Pigułce, i wtedy znalazłam list od Adriana. Zawierał tylko cytaty z Arystotelesa: „Dzielność etyczna jest skutkiem przyzwyczajenia. [...] Stajemy się sprawiedliwi, postępując sprawiedliwie, umiarkowani przez postępowanie umiarkowane, mężni przez mężne zachowywanie się” <sup>2</sup>.

Jak już powiedziałam, teraz mam jakieś pojęcie o tym, co się wydarzyło tamtego dnia, dzięki policji, która podążyła śladem paszportu Tess. Otóż najpierw pojechała do Portsmouth, gdzie wsiadła na nocny prom do Bilbao. Dotarła do Hiszpanii następnego dnia w porze lunchu i w porcie sprawdzono jej paszport. Od tego czasu nikt nie wie, dokąd się udała ani co robiła. Zniknęła.

Sprawdziłam *Dumę Bilbao*, prom, którym musiała płynąć do Hiszpanii. Na YouTube jest kilka filmików nakręconych przez ludzi, którzy nim

płynęli, i obejrzałam je wszystkie. Wygląda okropnie. Kajuty są tak prymitywne jak szpitalne poczekalnie. Pasażerowie są albo bardzo starzy i w milczeniu wysiadują z filiżankami herbaty w klubie, albo młodzi i w grupkach skrzeczących idiotów jednej płci wylewają na siebie piwo z plastikowych kubków. Jest mnóstwo automatów do gier, a także sklep pamiątkarski, w którym można kupić tandetne przytulanki oraz drażetki czekoladowe Minstrels. Zupełnie nie miejsce, w jakich lubiła bywać Tess.

Najbardziej oczywistym wyjaśnieniem wyboru tak nieprawdopodobnego transportu jest to, że postanowiła wyskoczyć za burtę w samym środku nocy, a kiedy przyszło co do czego, to straciła odwagę. Wyobraziłam ją sobie samotną na ciemnym pokładzie, opartą o poręcz i ze spuszczoną głową, niezdolną nawet spojrzeć na morze, ale słyszącą, jak ono się przewala, gotowe ją przyjąć.

Jeśli zamierzała się wtedy zabić – to dlaczego tego nie zrobiła?

Często rozmyślałam o Tess na tym promie, leżącej w maleńkiej, plastikowej kajucie, na płaskiej poduszce, wsłuchanej w pijackie pokrzykiwania dobiegające z korytarza. Na jednym z filmików widać delfiny płynące równoległe do statku. Mam nadzieję, że zobaczyła chociaż kilka.

Jak powiadam, dotarła do Hiszpanii i tu ślad się urywa.

Ale wracając do dnia „wymeldowania”. Ostatecznie nie mogłam ścierpieć, że tylko tak czekam godzinę za godziną, z głową pełną wirujących, bezproduktywnych myśli, i późniejszym popołudniem zrobiłam coś, czego nigdy wcześniej nie robiłam: wzięłam jedną z tabletek nasennych, które zostały mi po mamie, i uśpiłam się przemocą.

Obudziłam się półprzytomna w porze lunchu, piętnastego, w końcu zrobiła się siedemnasta, czyli pora, by zacząć. Zalogowałam się do poczty Tess, po czym wysłałam swoje przygotowane z góry wiadomości do jej matki oraz do przyjaciół, Simona i Justine. Główny korpus wszystkich listów był ten sam: że właśnie dotarłam, że to była niekończąca się podróż, że z promu dostrzegłam fokę, że wyspa jest piękna i że wynajęłam pokój w pensjonacie o ulicę od morza. Na użytek Simona i Justine dodałam, że kiedy prom zawitał do brzegu, na molo był człowiek grający na ukulele, jak jakiś komitet powitalny, jakby wiedział o moim przybyciu, że

pensjonat okazał się czarująco zwariowany, z bawełnianymi zasłonkami w kratkę i zwierzątkami z betonu w ogrodzie.

Potem uaktualniłam jej profil na Facebooku. Z tym byłam bardziej nerwowa, bo w odróżnieniu od maili tu działałam „na żywo”. Post brzmiał tak: „Nareszcie wylądowałam! Wykończona, ale szczęśliwa. Widziałam swoją pierwszą fokę!”. Słowo „szczęśliwa” napisałam jako skrót – „szczęśl.”, bo Tess tak mogłaby napisać.

Niemal natychmiast ludzie zaczęli reagować radosnymi komentarzami wyrażającymi podniecenie i życzliwość. Wcześniej zadecydowałam, że nie będę odpowiadała od razu, bo po wejściu na Facebooka, żeby zamieścić post, poszłam – to znaczy Tess poszła – spać, żeby się uporać z jet lagiem.

Może to zabrzmieć dziwnie, ale nowe życie Tess w Sointuli od samego początku sprawiało wrażenie prawdziwego. Wcale nie było tak, że miałam bujną wyobraźnię, tylko po prostu pozbierałam tyle materiałów na temat jej i wyspy, że wszystko zostało dopracowane w najdrobniejszych szczegółach. Pamiętam, że po wylogowaniu się z Facebooka tamtego pierwszego dnia położyłam się na podłodze i zamknęłam oczy. Odgłosy dobiegające z Albion Street przycichły i byłam teraz Tess, która leży w łóżku w pensjonacie, odczuwając skutki jet lagu, bardzo śpiąca, oddalona o tysiące mil od wszystkich, którzy ją znają. Nie zaciągnęła zasłon do końca i słońce późnego popołudnia rozświetliło wąski fragment pokoju, wprawiając w ruch kurz unoszący się w powietrzu. Słyszałam wrzaski mew od strony oceanu i co jakiś czas za oknem wolno przejeżdżał samochód.

Wiedziałam dokładnie, jak będzie wyglądał dalszy przebieg tego dnia. Obudziła się z niespokojnego snu, włożyła dżinsowe szorty, mimo że na dworze wcale nie było aż tak ciepło, i powędrowała do głównej drogi przecinającej wyspę, kilka przecznic dalej. Weszła do sklepu spożywczego i stanęła przed szeregami półek wypełnionych obcym, kanadyjskim jedzeniem, myśląc w duchu, że niebawem te egzotyczne rodzaje chleba i zup staną się znajome i niewarte uwagi. Wyobrażałam ją sobie, jak idzie ulicami, zaglądając przez okna do wnętrz drewnianych domów, i że zauważy napis „Do wynajęcia” namalowany na tablicy zrobionej z kawałka drewna wyrzuconego przez morze na brzeg i zastanawia się, czy to może być jej nowy dom.

Oczywiście wiedziałam już, gdzie Tess wynajmie mieszkanie – zaplanowałam to wszystko i dokładnie sprawdziłam – i ono wcale nie znajdowało się w tym miejscu. A jednak ta Tess w moim umyśle tak jakby jeszcze o tym nie wiedziała. Wyobrażałam to sobie, jakby ona wciąż jeszcze żyła i to się działo naprawdę; jakby była postacią, która naprawdę wyruszyła po tę przygodę, na tę „wyprawę w nieznane”. Jakby nie wiedziała, że to ja steruję jej losem.

Te pierwsze tygodnie nowego życia Tess w Sointuli były najbardziej pracowite pod względem ilości korespondencji, ale także najprostsze. Wszystkie maile, które wysyłała i otrzymywała, były mniej więcej podobne: impresje z wyspy, naszpikowane wykrzyknikami wyrazy zachwytu, że widziała albatrosa, oraz dla nie aż tak bliskich znajomych, którzy jeszcze ich nie poznali, pełne zapału wyjaśnienia, dlaczego rozpoczęła to nowe życie i że nazwa Sointula to po fińsku „miejsce, gdzie panuje harmonia”. Spędziłam tyle czasu na przygotowywaniu wszystkich szczegółów jej nowej sytuacji, że nie musiałam teraz niczego tworzyć. To była tylko kwestia racjonowania informacji, taki jakby egzamin, do którego mogłam przystąpić, bo znałam odpowiedzi na wszystkie pytania.

Oczywiście było kilka wiadomości, które nie pasowały do szablonu. Na przykład po dziesięciu dniach od wyjazdu Tess otrzymała maila od kobiety imieniem Jennifer, która nie używała Facebooka i najwyraźniej nie miała pojęcia, że Tess przeniosła się do Sointuli, a za to twierdziła, że widziała Tess poprzedniego dnia w Alhambrze, atrakcji hiszpańskiej Grenady. Już miałam podejść i powiedzieć cześć, ale Ned akurat mi się totalnie załamał, napisał. I zanim zrobiłam z nim porządek, ty już zdażyłaś zniknąć. PS Strasznie mi się podobają twoje nowe włosy! Zastanawiałam się, czy nie napisać w odpowiedzi, że pomyliła mnie z kimś innym, ale nie miałam żadnych notatek na temat tej Jennifer, nie było też jasne, czy Ned to jej dziecko czy mąż, więc pozostawiłam maila bez odpowiedzi.

Przez pierwsze kilka tygodni w Sointuli Tess odpoczywała i zwiedzała wyspę. Odkryła wiele czarujących miejsc, jak sauna publiczna i sklep spółdzielczy, w którym w zamian za produkty w obniżonej cenie pracowali po dwie godziny tygodniowo ochotnicy. Na wyspie był jeden bankomat oraz

bar prowadzony przez leciwego staruszka, który przedstawił się jej, kiedy akurat przechodziła obok (ale nie piła alkoholu w tym barze, bo postanowiła, że w swoim nowym życiu zostanie abstynentką). Często używała słowa „staroświecki”. Kupiła używany rower za trzydzieści dolarów. Przy śniadaniu złożonym z naleśników z mąki gryczanej kobieta, u której wynajmowała mieszkanie, powiedziała, że dzień przed przybyciem Tess ludzie widzieli blisko brzegu orkę. Tess była zachwycona tym spokojem i leniwym tempem życia: „Tak się czuję, jakbym po raz pierwszy od lat mogła oddychać”, napisała. Nie miała wątpliwości, że przyjeżdżając tutaj, podjęła właściwą decyzję.

Czwartego dnia zmieniałam jej zdjęcie profilowe na nowe, na którym stała na plaży. Stworzyłam je w ten sposób, że starannie wycięłam zdjęcie Tess w szortach, które sobie zrobiła w swoim pokoju, i nałożyłam je na zdjęcie plaży w Sointuli, które znalazłam na Flickr.

Po sześciu dniach Tess znalazła sobie mieszkanie i przeprowadziła się tydzień później. Wymyśliłam kwiecisty opis tego nowego domu: że mieszkanie jest maleńkie, ale urocze, że z okna w kuchni widać kawałeczek morza. Tess uznała też, że jej płytki wanna jest staroświecka.

W tym pierwszym tygodniu była jedna rzecz, która nie okazała się łatwa. Piątego dnia pozostawiłam nagraną zawczasu wiadomość dla matki Tess. Tess mnie zapewniła, że Marion w każdy środy wieczór chodzi na spotkania klubu czytelniczego, i rzeczywiście nikt nie odebrał telefonu, ale na wszelki wypadek ukryłam swój numer. Wszystko poszło zgodnie z planem. Marion nie podniosła słuchawki, odezwała się sekretarka i we właściwym momencie odegrałam swoją wiadomość. A jednak głos Tess – „Hej, to ja, chciałam wam tylko powiedzieć, że jestem cała i zdrowa” – wywarł na mnie nieoczekiwany wpływ, bo sprowadził z powrotem te same myśli, które tłumiałam od dnia „wymeldowania”. Ona gdzieś leży martwa. Jak to zrobiła? Gdzie jest ciało? A może ktoś ją znalazł? Obrazy, które zalały mój umysł, nie były już sentymentalne: słoneczne ciepło dawno temu opuściło jaskinię; drobne, skręcone ciało Tess było zimne i sztywne. Bycie martwym musi się wiązać ze straszną samotnością, pomyślałam irracjonalnie.

Bardzo się jednak starałam nie oddawać takim rozmyślaniom, bo podczas tych pierwszych kilku tygodni byłam wprost zawałona pracą. Pograżyłam się

po uszy w budowaniu życia Tess, wyobrażając sobie, co ona włoży danego dnia, co zje na lunch i jaką kolejną rzecz kupi sobie do mieszkania. To było jak posiadanie awatara, tylko znacznie lepiej.

Istniały jednak zasady, a raczej jedna główna zasada. Cokolwiek robiła „Tess”, musiało to być coś, co zrobiłaby prawdziwa Tess. Musiałam pozostać wierna jej charakterowi, nawet w odniesieniu do drobiazgów, których jej tutejsi znajomi by nie zauważyli.

Na przykład: w trakcie zbierania materiałów odkryłam, że w Sointuli jest sklepik z antykami, tuż obok głównej ulicy. Mieścił się w pokoju od frontu zwykłego domu i był otwarty tylko po uprzednim umówieniu się z właścicielką. Mogłam z łatwością nie wspominać o tym miejscu w żadnym z maili – mnie antyki nie interesowały, poza tym nikt z rodziny ani znajomych Tess nie był w temacie mądrzejszy. Ale wiedziałam, że ona by go odkryła. Lubiała chodzić, a że wyspa była taka mała, to najprawdopodobniej przeszłaby się po tej ulicy, zauważyłaby tabliczkę w oknie i zadzwoniłaby do właścicielki domu, żeby się umówić na oglądanie tych dóbr. Dlatego kazałam jej to zrobić i napisałam długiego maila do Justine o tym, co Tess tam znalazła. Najcenniejszym nabytkiem była cynowa mydelniczka w kształcie muszli świętego Jakuba. Tę mydelniczkę wypatrzyłam na stronie internetowej sklepu i stwierdziłam, że zajmie poczesne miejsce obok wanny.

Na tej samej zasadzie stwierdziłam, że muszę wiedzieć wszystko, co Tess będzie robić albo w co będzie ubrana, zamiast tylko tej odrobiny, którą musiałam znać w związku z Facebookiem i pocztą elektroniczną. Wydawało się, że trzeba koniecznie znać każdy szczegół jej dnia, nawet jeśli miał pozostać niewykorzystany.

Zawsze taka byłam. Kiedy myślałyśmy, że może pójde na studia, mama powiedziała, że na rozmowę kwalifikacyjną mam włożyć garsonkę, pojechałyśmy ją kupić w sklepie Evansa w Brent Cross. Marynarka znalezionej przez nas garsonki miała jaskraworóżową podszewkę, ale tylko przy kołnierzyku i mankietach, więc po włożeniu wydawało się, że ta podszewka jest na całości, ale jak się zdjęło marynarkę, to się widziało pod spodem odwrotną stronę nylonu. Wcale mi się to nie podobało i zapytałam mamę, czy możemy kupić taką z podszewką na całości, mimo że kosztowała o 20 funtów więcej. Mama powiedziała, że to nie ma znaczenia, bo przecież

podczas rozmowy kwalifikacyjnej nie będę zdejmowała marynarki, ale mi chodziło o to, że ja jednak bym pamiętała, że tej podszewki nie ma wszędzie. To był jeden z tych nielicznych razów, kiedy fundamentalnie się z nią nie zgadzałam.

Biorąc pod uwagę różnicę czasu, mogłam być „Tess” tylko wieczorami i nocą, dlatego prędko narzuciłam sobie harmonogram pracy od siedemnastej do ósmej rano, co się wiązało z tym, że sypiałam za dnia i wstawałam o piętnastej, żeby przygotować się do zajęć, które miałam wykonywać do następnego dnia. Słyszałam kiedyś, że aktorzy w teatrze dostają przed wejściem na scenę pół godziny dla siebie, które spędzają w garderobie, żeby się „żyć” ze swoją postacią. Ale taka sztuka w teatrze trwa najwyżej dwie godziny, a oni swoje kwestie biorą z gotowego tekstu. Tymczasem ja, w chwili, gdy w Sointuli wybijała dziewiąta rano, wkraczałam na scenę jako Tess i pozostawałam na niej przez następne szesnaście godzin. Musiałam improwizować w biegu i cała opowieść mogła pójść w dowolnym kierunku.

Oczywiście wcale nie było tak, jakobym cały czas, nieprzerwanie, wysyłała i otrzymywała maile, ale nawet kiedy nie byłam online, to jednak pracowałam. Musiałam obmyślać swoje odpowiedzi, sprawdzać szczegóły, szukać anegdot do wykorzystania kiedy indziej. Musiałam także wymyślać jej następne posunięcia, co wymagało sporo namysłu. Znalazłam stronę dla pisarzy, a na niej podpowiedź, że należy przygotowywać „poboczne wątki” w życiu swoich bohaterów, by w razie czego móc ich ożywiać, i dlatego postanowiłam, że stworzę taki poboczny wątek z każdej nowej osoby, która zaistnieje w życiu Tess. Z początku szło mi z tym jak po grudzie, ale pewnego dnia dotarło do mnie, że mogę przecież pożyczać sobie różne rzeczy od ludzi, których znam. Dlatego Jack, starszy pan, z którym Tess ucięła sobie pogawędkę przed budynkiem sauny, stracił żonę, która umarła, mając trzydzieści siedem lat, na raka jajników, a oprócz tego codziennie o piątej po południu wypijał duży kieliszek baileya i nałogowo, potajemnie uprawiał hazard – tak jak pan Kingly, menedżer mamy w Blustonie. Z kolei matka uczennicy Tess, Natalie, została stworzona na podobieństwo naszej sąsiadki Ashley, która mieszkała dwa domy dalej przy Leverton Street. Hodowała świnki morskie i w swoim ogrodzie często słyszałyśmy ich popiskiwanie.



Musiałam także ćwiczyć pisanie w stylu Tess. Miałyśmy zupełnie inny styl – ona rzadko kiedy pisała pełnymi zdaniami, na przykład, i trzeba było sprawdzać nawet najprostsze, używane na co dzień słowa, żeby brzmiały autentycznie. Musiałam się ograniczać do jak najkrótszych, prostych maili i postów na profilu. Na ogół zwracała się do swojego odbiorcy emfatycznie, używając wykrzykników i czasami wielkich liter – „NINA!” – i często jakiegoś przydomka – Kociątko, Pauly, Duży J. Oprócz pomyłek w pisowni i gramatyce stosowała też nieznaną mi slang – „No to zajebicie!”, „łoiłaś całą noc?”. Czasami, nawet szeroko zakrojone szukanie w Google’u w żaden sposób nie wyjaśniało frazy i musiałam daną rzecz zgadywać na podstawie własnej wiedzy. Do teraz nie mam pojęcia, czy nazwanie kogoś „fafciem” to komplement czy raczej nie.

Podczas etapu poprzedzającego wymeldowanie ćwiczyłam pisanie pod nadzorem samej Tess. Dzięki temu, że miałam dostęp do jej maili i konta na Facebooku, które sprawdzałam w ciągu dnia znacznie częściej niż ona, zwykle jako pierwsza wiedziałam, że przyszła do niej wiadomość albo że ktoś zamieścił posta na jej profilu. Tak więc opracowałyśmy system, na podstawie którego pisałam jako Tess odpowiedź na wiadomość do niej i zapisywałam ją jako tekst roboczy. A potem ona logowała się na swoje konto, sprawdzała moje wysiłki i krytykowała je przez Skype’a danego wieczoru, jakby była moją nauczycielką.

– Nie używaj „jo” na powitanie, kiedy piszesz do Mishy Jennings – mówiła. – Ja tak piszę tylko do Daniela Woolly’ego, to taki nasz kod. Do Mishy na ogół piszę na początku „Laska”, a za to podpisuję się „la di da”. To aluzja do filmu *Annie Hall*.

Albo:

– To, że napisałam do Alexa, że impreza u Steve’a była O.B.L.E.D.N.A., jeszcze nie znaczy, że masz pisać kropki w byle przymiotniku, którego użyłam. Robię to tylko czasami dla zabawy, nie z nawyku.

Było wiele drobiazgów do nauczenia się, kody, prywatne żarty, zwyczaje i mimo że notowałam wszystko w swoich plikach, nadal nie czułam się dostatecznie pewna, żeby pisać jak ona bez wspierania się odnośnikami albo dokładnego sprawdzania. Oczywiście były też zagadki, które nigdy nie

znalazły rozwiązania: na przykład w 2008 roku kilkakrotnie wspomniała o kimś, kogo nazywała „the Zetty”, ale w żaden sposób nie mogłam się doszukać, kim jest ta osoba ani dlaczego Tess użyła tu rodzajnika określonego.

Potem były jeszcze zdjęcia. Musiałam znaleźć stosowne obrazy na Flickr, które, niezbyt wyraziste, uszłyby za widoki Sointuli, a na dodatek ukazywałyby właściwą porę roku i warunki pogodowe panujące aktualnie na wyspie. I oczywiście musiały pasować do pólz, jakie przybierałaby na nich Tess.

Tak więc podczas tamtego pierwszego miesiąca wychodziłam z domu tylko po to, żeby zaopatrzyć się w jedzenie. Tesco Extra było otwarte całodobowo, dlatego raz w tygodniu mogłam oderwać się od pracy i iść na zakupy w samym środku nocy, o czwartej nad ranem, kiedy byłam tam tylko ja, pracownicy ze słuchawkami na uszach, którzy układali towary na półkach, oraz jedna samotna kasjerka, zbyt przemęczona, by inicjować pogaduszki. Tym samym mój kontakt ze światem w „realu” był ograniczony do punktu, w którym mogłam skutecznie ignorować jego istnienie.

Własne życie, takie, jakim było, odłożyłam na bok. Nadal sprawdzałam swoje konto pocztowe i konto na Facebooku, to pierwsze na wypadek, gdyby Adrian przysłał wiadomość, to drugie z nawyku. Oprócz cotygodniowych cytatów, które dostawałam od niego przez Czerwoną Pigułkę, nie miałam z nim kontaktu od „wymeldowania” – a właściwie to już jakiś czas przedtem. Jedyne jego adres, jaki posiadałam, to był ten z serwisu, ale on dał jasno do zrozumienia, że nie powinniśmy tam dyskutować o naszej sprawie z obawy przed podsłuchującymi hakerami. Wiedziałam, że Adrian może znaleźć mój zwykły adres mailowy w formularzu rejestracyjnym serwisu, i dlatego zakładałam, że w ten sposób będziemy się kontaktować w sprawie projektu.

Dotychczas nie potrzebowałam jego pomocy i przypuszczałam, że zostawił mnie w spokoju, by zademonstrować, że żywi do mnie zaufanie. Byłoby jednak dobrze, stwierdziłam, gdyby istniał jakiś kanał komunikacyjny w razie potrzeby z mojej strony: ostatecznie tamtego dnia w Heath wyraźnie powiedział, że jeśli podejmę się tego zadania, to on będzie mi cały czas towarzyszył i zawsze będzie dostępny, by udzielić mi rady i wsparcia.

Nie było jednak nic, aż wreszcie któregoś wieczoru, szesnastego dnia projektu, sprawdziłam pocztę, nie spodziewając się niczego więcej oprócz spamu, a tymczasem znalazłam wiadomość, że ktoś chce, bym go dodała do znajomych na Facebooku.

Nie było to wydarzenie codzienne. Minęło kilka miesięcy od czasu, gdy dostałam wiadomość, że ktoś mnie zaprasza do grona znajomych, a zresztą ten ktoś pomylił mnie z kimś – nieznanym mężczyzną, który tytułował mnie „lalunią” i twierdził, że „świetnie wyglądałam” poprzedniego wieczoru.

To nowe zaproszenie też było od kogoś, kogo nie rozpoznałam: od kobiety, która nazywała się Ava Root. Było to wyraziste nazwisko, które z pewnością bym zapamiętała, gdybym się na nie kiedyś natknęła, i już miałam usunąć tę wiadomość, kiedy zauważyłam, że do zaproszenia jest dołączona wiadomość: Hej tam, jak leci?

Niewinne pytanie, ale w tym „Hej tam” było coś, co brzmiało znajomo, i chwilę później przypomniałam sobie, że tej frazy używał Adrian na początku każdego swojego podcastu. Zasadniczo było to jego powiedzonko i za każdym razem wypowiadał te słowa inaczej – czasami z zaśpiewem, jak gospodarz jakiegoś teleturnieju, a czasami prędko i cicho, żadnemu ze słów nie nadając emfazy.

Nie myślałam dotąd, że mógłby kontaktować się ze mną przez Facebooka, ale tylko dlatego, że nie znalazłam na portalu żadnego Adriana Dervisha. Nie przyszło mi na myśl, że mógłby utworzyć fałszywy profil, żeby się ze mną skontaktować, mimo że teraz nabrało to sensu: ostatecznie dlaczego jacyś hakerzy mieliby się interesować wiadomościami, jakie wymieniam z moją dawną znajomą Avą?

Moje przypuszczenia okazały się słuszne, kiedy zaakceptowałam zaproszenie i obejrzałam profil Avy Root. Był pusty, pozbawiony jakichkolwiek informacji oprócz jej nazwiska i ja byłam jej jedyną znajomą. Nawet wybór „Avy Root”, przyszło mi teraz do głowy, sygnalizował, że kryje się za nim Adrian: nazwisko miało tyle samo liter i brzmiało podobnie do nazwiska Ayn Rand, która była jego idolką.

Poczułam zadowolenie i ulgę, że wreszcie zainicjował kontakt – chociaż, jak mówię, czułam, że ze swojej strony radzę sobie z sytuacją, i nie miałam

żadnych szczególnych pytań ani spraw do omówienia. Odpowiedziałam na jego wiadomość krótkim streszczeniem dotychczasowego przebiegu projektu, posługując się odpowiednio eliptycznymi terminami dla zachowania bezpieczeństwa. Gdyby ktoś jakimś sposobem natknął się teraz na tę wiadomość, nie miałby pojęcia, o czym piszę. „Obiekt dotarł na miejsce przeznaczenia bez problemów; zadamawia się i zwiedza wyspę. Matka: siedem wymian maili do tej pory i jedna prośba o telefon, odrzucona przez obiekt” – tak to mniej więcej brzmiało. Pod koniec dodałam: „Tylko dla potwierdzenia, komunikujemy się teraz przez ten kanał, a nie przez Cz.P., tak?”

Odpowiedź przyszła dzień później: „Dobra robota. Tak, komunikujemy się tutaj”.

W następnym tygodniu doszło do mniej przyjemnej inwazji z zewnętrznego świata. Akurat drzemałam po południu na kanapie i nagle brutalnie obudził mnie dzwonek do drzwi. Nie miałam pojęcia, kim jest dzwoniący: to był czwartek i pieniądze za tamten tydzień już dostałam. Otworzyłam drzwi i zobaczyłam Hindusa w poplamionej, białej koszuli, który wyjaśnił, że przychodzi z restauracji pode mną.

– Powstał problem z wodą – powiedział.

Nie wiedziałam, o czym on mówi, dlatego na jego polecenie włożyłam szlafrok na piżamę i zeszłam za nim do restauracji, do której wcześniej nie zaglądałam ani razu. Była dopiero trzecia i jeszcze nie otwarli lokalu, dlatego brakowało gości, a na gołych stołach leżały tylko papierowe obrusy. Na ścianach wisiały lampki choinkowe przyklepione taśmą izolacyjną, w powietrzu unosił się zastarzały zapach, jakby drożdży.

Mężczyzna wskazał gestem bar, który inny kelner wycierał zwiniętymi ręcznikami papierowymi. Powiedział, że z mojego mieszkania cieknie – i rzeczywiście, zobaczyłam wielką, mokrą plamę na suficie, w miejscu, nad którym chyba znajdowała się moja łazienka. Wyjaśnił, że woda dostała się do przewodów i sprzętu elektronicznego przy barze i że teraz nie działa ani telefon, ani czytnik kart, a oni nie mogą bez nich funkcjonować. Wyraźnie się spodziewali, że coś z tym zrobię.

Oszczędzę wam szczegółów tego, co działo się potem, ale ujmując rzecz

w skrócie: jeden z kelnerów zadzwonił do hydraulika, który doszedł do tego, że ciekłą rurę pod moją łazienką. I że musi zedrzeć podłogę, żeby to naprawić. A kelner mi powiedział, że będę musiała zapłacić za zniszczenia w restauracji. W sumie miało to kosztować około 600 funtów.

– Odzyska to pani z ubezpieczenia – powiedział hydraulik, przesadnie radosny mężczyzna z guzowatą głową ogoloną na zero.

Problem był taki, że nie miałam ubezpieczenia. Nie pomyślałam o tym, kiedy kupowałyśmy mieszkanie. I nie miałam żadnych oszczędności. Pieniądze, które dostawałam za pracę w roli Tess, ledwie wystarczały na pokrycie kosztów utrzymania; nie przyszło mi wcześniej do głowy, że mogę czegoś potrzebować na jakąś sytuację awaryjną. Sprawdziłam w Google’u, jak zdobyć prędko gotówkę, i wyskoczyło mi kilka firm oferujących pożyczki. Zadzwoniłam na pierwszy z brzegu numer i rozmawiający ze mną człowiek zgodził się pożyczyć mi 600 funtów z absurdalnie wysokimi odsetkami.

Było oczywiste, że w celu spłacenia tej pożyczki będę potrzebowała jakichś dodatkowych dochodów. Napisałam maila do Damiana, z pytaniem, czy mogę wrócić do pracy dla niego, i otrzymałam krótką odpowiedź, że nie ma dla mnie pracy i że tak nawiasem, uznał sposób, w jaki złożyłam wypowiedzenie, za chamski i nieprofesjonalny. Dlatego zaczęłam szukać w sieci zleceń dla testerów oprogramowania, które mogłabym wykonywać w domu. Ale niestety, nieliczne oferty łączyły się z pracą w biurze, a poza tym wszyscy, zdaje się, wymagali dyplomu, którego nie posiadałam, i referencji, których Damian raczej by mi nie dał. Zdaje się, że nie doceniłam tego, że pracę dla Testers 4 U, jakkolwiek nudną, mogłam wykonywać w domu w wybranych przeze mnie porach.

Podjęcie innej, „normalnej” pracy nie wchodziło w grę. Przede wszystkim po prostu nie miałam czasu. Praca z Tess zajmowała mi większą część nocy i dlatego za dnia musiałam spać. Ale nawet gdyby czas nie stanowił problemu, to poprzednie doświadczenia dowiodły, że nie nadaję się do pracy z innymi ludźmi. Pierwsze było takie, że podczas wakacji, zaraz po egzaminach na koniec liceum, próbowałam zostać wolontariuszką w sklepie charytatywnym Ligi Ochrony Kotów przy Kentish Town Road. Jeden z wolontariuszy był grubasem i palił, a kiedy wracał do sklepu po wyjściu na

papierosa, smród nikotyny przemieszanej z zatęchłymi, starymi ubraniami był tak odstręczający, że wytrzymałam tam ledwie jeden ranek.

Potem był tydzień w Caffè Nero. Dali mi siatkę na włosy i przypisali do działu ciastek. Klient zamawiał kawę u kolegi przy kasie, chłopaka imieniem Ashim, który pytał go wtedy, czy życzy sobie może jakieś ciastko, i jeśli klient mówił tak, to musiałam wziąć wybrany produkt szczypcami i zapakować go do torebki albo położyć na talerzyku, w zależności od tego, czy ciasto miało być na wynos czy na miejscu. Poza zasięgiem wzroku klientów znajdowała się przyklejona taśmą, laminowana karta ze zdjęciami wszystkich produktów.

Już po godzinie chciałam powiedzieć kierownicze, że nie jestem przygotowana do dalszego pełnienia swojej roli, ale kierowniczka przyszła jako pierwsza, opieprzyć mnie za zjedanie listków ciasta, które odpadły od croissantów – mimo że, jak wskazałam, tych luźnych listków ciasta nie dałoby się sprzedać. Zmieniła mi wtedy zakres obowiązków, posyłając do zmywania, co było lepsze, bo mogłam stać tyłem do gości, ale nie minęło dużo czasu i znowu doszukała się czegoś, co robiłam źle. Bo żeby złagodzić jakoś nudę, postanowiłam nucić coś sobie i sprawdzić, czy jestem w stanie utrzymać tę samą nutę w czasie, kiedy myję dane naczynie, i to podobno przeszkadzało gościom. Postanowiłam jednak nie przestawać nucić, tylko stopniowo zmniejszałam głośność, aż wreszcie kierowniczka przestała przychodzić ze skargami.

Podczas piętnastominutowych przerw wysiadywałam w kanciapie na tyłach, na pudle z papierowymi ręcznikami, słuchając łomotu muzyki dobiegającej ze słuchawek Ashima, który w tym czasie esemesował do znajomych, i przyglądając się Lucy, baristce, która wytrząsała z rękawów kurtki próbki produktów do makijażu ukradzione w Superdrug.

Odeszłam stamtąd, ale wcale nie zrobiłam wielkiej, dramatycznej sceny; nie zdarłam z głowy siatki i nie wypadłam stamtąd jak burza. Któregoś dnia podczas lunchu wyszłam sobie kupić chipsy i po prostu nie wróciłam. To był piątek i byli mi winni za tydzień pracy, ale nie zażądałam tej wypłaty. Mama mnie zrozumiała. I chyba była zadowolona, że znowu ma mnie przy sobie.

Tess podała kiedyś kawiarnie jako przykład, jak różne nastroje wpływają

na jej zachowanie. „Bo to jest tak, że jak mnie nosi, to się targuję z facetem przy kasie w Starbucksie, żeby wydębić 50 pensów upustu na podwójnym espresso – wyjaśniła. – Tylko dla zabawy, żeby dowieść swojego wdzięku. A jak mam doła, to czuję się tak, jakbym nawet nie była godna odebrać reszty”.

W każdym razie wracając do sprawy: nie istniała możliwość, żebym dostała „normalną” pracę. I wtedy właśnie wymyśliłam, żeby wziąć sublokatora.

Pewnie nie muszę dodawać, że pomysł, by ktoś u mnie mieszkał, nie był kuszący. I nie chodziło bynajmniej o to, że musiałam wyprowadzić się ze swojej sypialni i odtąd pracować i spać w dużym pokoju; to mi nie przeszkadzało. Po prostu nie podobała mi się wizja, że będę musiała wdawać się w bezsensowne pogawędki z kimś obcym i jeszcze zaspokajać jego wymagania. W mieszkaniu wszystko było tak, jak lubiałam, ale zdawałam sobie sprawę, że to, jak żyję, wcale nie musi się podobać innym ludziom, że mogą chcieć mebli, zasłon i więcej niż tylko dwóch łyżeczek. To oznaczało również, że będę musiała być bardziej ostrożna przy wykonywaniu pracy z Tess. Jak już wspomniałam, do tej pory mogłam jawnie wieszać swoje notatki na ścianie nad biurkiem, a teraz byłabym zmuszona założyć zamek w drzwiach, by móc je zamykać na czas, gdy będę wychodziła z domu, i być może w ramach dodatkowego zabezpieczenia przypinać na notatkach mój wielki plakat z *Władcą Pierścieni*, kiedy będę w domu.

Tak czy owak, sublokator wydawał się najbardziej logicznym wyjściem – a właściwie to moim jedynym wyjściem. Stwierdziłam, że najlepiej będzie, jeśli dam ogłoszenie, że wynajmę pokój za niski czynsz, czyli to minimum, jakiego potrzebowałam, żeby spłacić pożyczkę, ale w zamian dam jasno do zrozumienia, że sublokator będzie musiał zgodzić się na pewne zasady.

Zamieściłam ogłoszenie na Gumtree, w części „Pokoje do wynajęcia”.

Mała sypialnia we wspólnym mieszkaniu w Rotherhithe. Osoba wynajmująca musi mieć spokojny charakter i spędzać dużo czasu poza domem. W mieszkaniu mamy „nie wchodzić sobie w drogę”. Miłośnicy curry będą mieli znakomitą aprowizację. 60 funtów tygodniowo.

W ciągu dziesięciu minut otrzymałam siedem ofert. Pod koniec dnia było ich ponad sto. Nie miałam wcześniej pojęcia, że tanie mieszkania w Londynie cieszą się takim popytem. Utworzyłam krótką listę kandydatów, wybierając ich na chybił trafił, to znaczy z co dziesiątego maila, i zaprosiłam ich wszystkich, żeby przyszli obejrzyć mieszkanie. Spotkania umawiałam na piętnastą, kiedy zapach cebuli z restauracji osiągał szczyt, aby później uniknąć narzekań, kiedy dopiero odkryją ten element. I rzeczywiście, niektórzy wymawiali się już po kilku minutach. Z kolei dla innych kwestią sporną było pojedyncze łóżko.

Większość jednak nie była taka wybredna i nawet starali się powiedzieć coś pozytywnego na temat mieszkania. „Bardzo minimalistyczne!”, rzucił jeden mężczyzna w średnim wieku i potem zaczął się szalenie długo i niepotrzebnie rozwodzić nad tym, że on też znalazł się w „fazie przejściowej” swojego życia. Zapytał, czy się zgodzę, by jego czteroletnia córka spędzała u niego co drugi weekend. Odparłam, że się nie zgadzam. Jedna dziewczyna z Polski próbowała wciągnąć mnie w rozmowę, pytając, jaką muzykę lubię i tak dalej, aż w końcu do mnie dotarło, że tak naprawdę to ona robi mi przesłuchanie, żeby sprawdzić, czy będzie nam się układało. Musiałam jej dać jasno do zrozumienia, że nie potrzebuję przyjaciółki. Że chcę tylko kogoś, kto będzie płacił czynsz i większą część czasu spędzał poza domem.

Często sama przerywałam te rozmowy w połowie, kiedy wszystko wskazywało, że nic z tego nie będzie. Jeden kandydat, starszy mężczyzna, który byłby kompletnie łysy, gdyby nie wianek włosów dookoła głowy podobny do pierścienia Saturna, i od którego biło zastarzałym zapachem ciała, poinformował mnie, że jest „za dużymi dziewczynami”. Inny, młody Afrykańczyk, miał Biblię w kieszeni sztruksowej marynarki, co go wykluczało, mimo że poza tym spełniał inne kryteria; ledwie wypowiedział słowo i tylko albo kiwał głową, albo się uśmiechał.

Większość kandydatów pochodziła z zagranicy, głównie byli to studenci z Afryki albo Europy Wschodniej. Nie potrafiłam zdecydować, czy lepiej przyjąć obcokrajowca, bo jego angielski będzie ograniczony, czy też gorzej, bo będzie koniecznie chciał się uczyć języka i zechce ćwiczyć na mnie. Po namyśle stwierdziłam, że lepszy będzie obcokrajowiec: na moją korzyść zadziała to, że taka osoba nie będzie znała brytyjskich obyczajów i nawyków,



dlatego z większą łatwością zaakceptuje moje.

Jak na ironię losu, ostatecznie stanęło na Jontym, który nie tylko jest Anglikiem – to znaczy Walijczykiem – ale prawdopodobnie także najbardziej gadatliwą osobą, jaką w życiu poznałam. Nie miałam o tym pojęcia, kiedy zgodziłam się, żeby to on się do mnie wprowadził, bo po prostu wywarł mylące pierwsze wrażenie. Podczas naszej rozmowy był nietypowo dla siebie cichy; później dowiedziałam się, że miał kaca i bał się, że zacznie wymiotować, jeśli otworzy usta. Wyglądał osobliwie, ale nie jakoś niesympatycznie: niski i kanciasty, z nieproporcjonalnie szerokimi barkami pod budrysówką i sterczącymi włosami koloru ciemny blond. Powiedział, że ma dwadzieścia pięć lat, ale z twarzy sprawiał wrażenie znacznie młodszego.

Pokiwał twierdząco głową, kiedy zapytałam, czy będzie często wychodził, i pokiwał jeszcze raz, kiedy tłumaczyłam, że moja praca wymaga znacznego skupienia, że muszę pracować w nocy i potem śpię cały dzień, dlatego jeśli szuka „kumpla”, to w takim razie trafił pod niewłaściwy adres. Potrząsnął przecząco głową, kiedy spytałam, czy ma dużo rzeczy. Mieszkanie, zdaje się, autentycznie mu się spodobało, co było dziwne. Nie przeszkadzało mu pojedyncze łóżko – „i tak nie mam szczęścia w te klocki”, brzmiała jedna z nielicznych informacji, jakich udzielił – nie wyraził zdziwienia z powodu braku zasłon i innych mebli. Dlatego zadecydowałam od razu, że się nada. Byłam już zmęczona oglądaniem tych wszystkich ludzi, bo to zabierało mnóstwo czasu, który powinnam była poświęcać Tess, a poza tym kończyły mi się już pieniądze.

W dniu, w którym się wprowadził, z tylko jedną sportową torbą – brak rzeczy był jedyną kwestią, w której nie minął się z prawdą – okazał się, ku mojemu przerażeniu, znacznie bardziej gadatliwy. Zapukał do moich drzwi i prawie nie czekając na odpowiedź, wtargnął do środka, jakby rozmowa w mojej sypialni stanowiła element z góry zaaranżowanego rozkładu dnia. Dzięki Bogu byłam na tyle przezorna, że zakryłam plakatem swoje notatki związane z Tess. Usiadł na kanapie, która teraz służyła mi za łóżko, i opowiedział wszystko o sobie. Pochodził z Cardiff, gdzie zrobił karierę w dziale sprzedaży American Express, ale postanowił zrezygnować z tej posady i przyjechać do Londynu, żeby zostać aktorem. Przytoczył długą anegdotę o „chwili objawienia”, która go naszała, gdy akurat przekonywał jakąś kobietę,

żeby wzięła jeszcze jedną kartę kredytową, i nagle do niego dotarło, że musi zrobić ze swoim życiem coś bardziej wartościowego: „spełnić swoje marzenia i takie tam pierdoły”. Zapisał się do szkoły teatralnej w King’s Cross i dał sobie rok na jej skończenie, czyli tyle czasu, na ile miały mu starczyć oszczędności.

Jonty sprawiał takie wrażenie, jakby nie był w stanie nic zrobić bez poinformowania mnie o tym. Pierwszego wieczoru w mieszkaniu zapukał do moich drzwi i obwieścił, że wybiera się „zbadać sąsiedztwo”. Powiedziałam mu, przez drzwi, że nie potrwa to długo, bo w Rotherhithe nie ma nic do oglądania. Kilka godzin później usłyszałam, jak wraca, ale kiedy wyszłam z pokoju, żeby iść do łazienki, jego drzwi się otworzyły i zaczął paplać o tym, jak spędził wieczór. „Nie powiedziałaś mi, że mieszkamy tak blisko rzeki!”, powiedział – nie miałam o tym pojęcia – i dalej gadał o „niesamowitym” pubie Królowa Pszczół przy następnej ulicy, który był, cytuję, „pełen tych obłąkanych, starych gostków, autentycznie oldskulowych”. Jeden z nich postawił mu marynowane jajo ze słoja na barze. Wiedziałam, że lepiej mu nie mówić, iż nie zapuszczałam się dotąd dalej niż do Tesco Extra, bo to tylko doprowadzi do dłuższej, wyczerpującej rozmowy.

Bo tak to właśnie jest z Jontym. Wszelka odpowiedź, jakiej mu udzielasz, choćby tylko zwyczajne „Doprawdy?”, jest jak wrzucenie drewna do ognia. Dlatego kiedy wracał do domu z tymi wszystkimi opowieściami o swoich przygodach na terenie Londynu – że znalazł sklep z wypchanymi zwierzętami w Islington, że pływał w otwartym basenie w Brockwell Park – kiwałam głową, ale nie odpowiadałam. Twierdził ponadto, że nie zna nikogo w Londynie, a jednak bardzo prędko nawiązywał znajomości. Którejś nocy, zaledwie kilka tygodni po jego przyjeździe, nowi koledzy ze szkoły teatralnej wsadzili go do kubła na śmieci i sturlali ze zbocza Primrose Hill. Ponoć był to wyraz przyjaźni z ich strony.

Na szczęście jego pragnienie, by „wysać cały szpik z Londynu”, skutkowało tym, że prawie wszystkie wieczory spędzał poza domem, ale i tak musiałam stosować środki ostrożności, bo nigdy nie wiedziałam, kiedy wróci. Ukryłam oś czasu życia Tess za trzema wielkimi plakatami z *Władcy Pierścieni* i założyłam zamek w drzwiach. Zdarłam ponadto wykładzinę z korytarza, dzięki czemu słyszałam odgłosy jego kroków na gołych deskach.

Wraciał w samym środku nocy, kiedy ja byłam zajęta pracą. Słyszając jego kroki, zastygłam w miejscu i przestawałam stukać w klawiaturę. I potem nasłuchiwałam, jak się zatrzymuje przy moich drzwiach i wreszcie chowa do swojego pokoju.

Tak czy owak, codzienne praktyczne kwestie związane ze wspólnym mieszkaniem stanowiły wyzwanie. Na całe szczęście rozkład dnia Tess był taki, że mogłam używać kuchni w nocy, kiedy Jonty spał, ale zdarzyło się raz czy dwa, że jeszcze nie spał i kiedy mnie usłyszał, natychmiast przyszedł na „pogawędkę”, ubrany w same spodnie od dresu. Czasami zamawiał sobie jedzenie na wynos z restauracji na dole i kelnerzy przynosili je do mieszkania; kiedy za pierwszym razem odezwał się dzwonek, o mały włos nie spadłam z krzesła. Tymczasem on prędko poznał ich wszystkich i nie raz słyszałam jego głos dobiegający z ulicy, kiedy rozmawiał z nimi podczas ich przerwy na papierosa. Opowiadał im o swoich przesłuchaniach w teatrach i wypytywał ich o różne rzeczy, jakby się z nimi przyjaźnił.

Nawet wtedy, kiedy go nie było, czuło się jego obecność. Lubił sobie gotować skomplikowane posiłki, używając do nich dziwnych składników kupowanych w etnicznych supermarketach, i często znajdowałam na drzwiczkach szafki kuchennej plamę po jego ostatnim daniu albo w lodówce słoik z niedokreconą zakrętką, z jakimś intensywnie pachnącym sosem. W umywalce w łazience twardniały grudy jego pianki do golenia przemieszane z cętkami zarostu.

Dawniej raczej nie miałam kontaktów z mężczyznami, a tymczasem teraz miałam aż z dwoma. A to dlatego, że niedługo po pojawieniu się Jonty’ego dostałam pierwszego maila od Connora.

Było to sześć i pół tygodnia po „wymeldowaniu” Tess. W Sointuli wszystko szło gładko. Tess wprowadziła się do swojego mieszkania i podjęła pracę w charakterze nauczycielki rysunku małej Natalie, którą rodzice uczyli w domu. Chadzała ponadto trzy razy w tygodniu na jogę i ku swemu zdumieniu zainteresowała się łowieniem ryb. Poza tym nawiązała kilka nowych przyjaźni i w dniu, w którym Connor napisał maila, postanowiłam, że wybierze się na cały dzień na stały ląd ze swoją nową przyjaciółką Leonorą, starszą kobietą, która prowadziła „staroświecką” kawiarenkę na wyspie.

Jej post na Facebooku wprowadzony tamtego dnia brzmiał tajemniczo: „Chciałam ananasa, dostałam stopy”. Tess lubiła zamieszczać enigmatyczne posty, dlatego sama też starałam się co jakiś czas taki zamieścić, mimo że mi się nie podobały – po części dlatego, że ich nie pochwalam z zasady, ale także dlatego, że nieodmiennie wywoływały osobliwe reakcje ze strony jej przyjaciół, na które Tess musiała z kolei odpowiadać.

A zdarzyło się to, że poprzedniego wieczoru Tess i Leonora piły herbatę w domu tej drugiej. Tess wyraziła swój zachwyt dla wiaderka do lodu w kształcie ananasa i zapytała Leonorę, skąd je wzięła. Leonora odparła, że kupiła to wiaderko w pewnym sklepie na stałym lądzie, w którym sprzedawali niedrogie, „ekscentryczne” meble i drobiazgi służące do urządzania wnętrz. Tess, której mieszkanie było wciąż zbyt skąpo umeblowane, miała ochotę tam zajrzeć i postanowiły, że następnego dnia zrobią sobie wycieczkę.

Obie wsiadły na prom o 9.20 i dotarły na miejsce o 10.30. Potem pojechały autobusem na Main Street, gdzie mieścił się sklep. Nie było już wiaderek do lodu w kształcie ananasa, ale Tess wypatrzyła podpórki do książek, które jej się spodobały – parę męskich stóp wyrzeźbionych z kamienia. Wiem, że brzmi to ohydnie, napisała w mailu do Justine jeszcze tego samego dnia, ale z ręką na sercu, są obłędne. Patrzysz na nie i myślisz – gdzie te stopy były? Kupiła też narzutę z czerwonego jedwabiu na swoje łóżko, w rozmiarze osiemdziesiąt na czterdzieści cali.

Był tam także błękitny fotel, który jej się spodobał, ale nie miała pewności, czy się zmieści w jej mieszkaniu, więc poprosiła właściciela sklepu, żeby go dla niej zatrzymał do czasu, aż wróci do domu i zmierzy to miejsce, gdzie fotel miałby stanąć. Umówiła się, że zadzwoni późnym popołudniem i powie, czy go chce. A potem razem z Leonorą zwiedziły jeszcze kilka innych sklepów przy tej samej ulicy. Tess rozważała kupno swetra w tęczowe paski, ale się powstrzymała. Tu jest do bólu folkowato, napisała do Justine. Muszę się mocno powstrzymać, żeby się nie przerobić na starą hipiskę z owłosionym podbródkiem i w mokasynach.

Zjadły lunch w knajpce Palisander; Tess zamówiła tam sobie sałatkę z komosy ryżowej. Było to wprawdzie trudne, mimo to uparcie trzymała się weganizmu: stwierdziła, że dzięki temu jest spokojniejsza, że trawi lepiej i że przysięgłaby – rozjaśniły jej się białka w oczach. Poza tym czuła, że to „moralnie słuszne”. Kiedy Tess wspomniała w mailu do Justine, że została weganką, Justine dopatrzyła się sprzeczności między odrzuceniem mięsa a nowo odkrytym zainteresowaniem łowieniem ryb. A kiedy to ja byłam konsekwentna?, odparła Tess. Z tego to byłam nawet dumna.

W każdym razie w bistro Palisander obie kobiety rozmawiały o nowym chłopaku Leonory, który pochodził z wyspy, był życzliwy, przystojny i prowadził wycieczki dla chcących obserwować wieloryby, ale problem z nim polegał na tym, że tak jakby nie chciał się „zaangażować”. Tess zwierzyła się Leonorze na temat swojego krótkiego małżeństwa z Australijczykiem – polubiła Leonorę, mimo że była to dość poważna osoba i pewnie w Londynie by się z nią nie zaprzyjaźniła. To ma coś wspólnego z tym miejscem. Człowiek ma szersze horyzonty, zastanawia się nad rzeczami, które normalnie miałyby w głębokim poważaniu.

Po lunchu obie kobiety wsiadły na prom odpływający do Sointuli o 14.30 i Tess resztę popołudnia spędziła na czytaniu rosyjskiej powieści zatytułowanej *Anna Karenina*, którą zawsze chciała przeczytać i którą się bardzo wzruszała. O 19.40 obejrzała czarno-biały film pt. *Dziewczyna Piętaszek* na CBS Canada i zjadła ryż ze smażonym tofu i kapustą, po czym położyła się spać o 22.30.

Kiedy jednak przyszedł mail od Connora, nic z tego jeszcze się nie wydarzyło. W Sointuli była wtedy 12.58 i Tess nie siedziała w Internecie, tylko jadła lunch w Palisandrze. Ja siedziałam przy swoim komputerze i przygotowywałam relację z wycieczki, żeby ją wysłać do Justine, kiedy ta wróci już do domu. Sprawdziłam maile Tess, bo robiłam to kilka razy na godzinę, i wtedy właśnie zauważyłam nadawcę, którego nie znałam – Connora Devine’a. W temacie było tylko to: No to powiedz...

Dalszy ciąg tego maila brzmiał następująco: ...Czy pamiętasz swoją teorię na temat Benny’ego? Otóż muszę stwierdzić, że miałaś rację. Z całą pewnością posuwał je obie.

I na tym koniec. Ani słowa pożegnania, w ogóle nic. Adnotacja na samym dole wskazywała, że mail został wysłany z telefonu marki BlackBerry.

Jak pewnie sobie wyobrażacie, byłam zdumiona. Nadawcy nie znałam, treści maila nie rozumiałam, a przy tym ten mail został napisany w bardzo nieformalny i bezpośredni sposób, jakby jego autor i Tess po prostu sobie ot tak rozmawiali. Próbowałam znaleźć to nazwisko na obu kontach mailowych Tess, ale nie namierzyłam żadnego śladu po Connorze Devinie, również w notatkach z naszych sesji na Skypie. Wiedziałam, że nie jest jej znajomym z Facebooka, ale sprawdziłam, czy przypadkiem nie jest znajomym któregoś z jej znajomych. Nazwisko okazało się zaskakująco pospolite – w samym Londynie było trzydziestu ośmiu Devine’ów – ale żaden nie miał powiązań z nikim, kogo znała Tess. Poszukałam w swoich plikach „Benny’ego”, ale również nie pojawiło się nic w związku z tym imieniem. Szukałam w Google’u, ale jak już powiedziałam, było wiele wyników w związku z zapytaniem o Connora Devine’a i nie mogłam znaleźć żadnego oczywistego powiązania z Tess.

Nie był to pierwszy mail do Tess od nadawcy, którego nie znałam. Kilka tygodni wcześniej przyszła wiadomość z Facebooka od jakiejś Chandry Stanley, ale to było standardowe Cześć, jak się masz, wow, jak tam w Kanadzie? i mogłam na to odpowiedzieć w standardowy sposób. Tu jednak sprawa była trudna. Nadawca napisał swój tekst „figlarnym” tonem i treść wyraźnie odnosiła się do jakiegoś ich prywatnego żartu.

Postanowiłam zignorować tego maila, uznając, że pewnie został wysłany przez pomyłkę. A tymczasem następnego popołudnia Connor Devine znowu się odezwał.

Masz chętkę najeść się szpiku w St John? Bez pietruszki?

Pietruszka zaliczała się do tych rzeczy, których Tess nie lubiła, więc wydawało się prawdopodobne, że nadawca ją znał i że ten pierwszy mail to jednak nie była pomyłka. Nazwa „St John” też brzmiała znajomo. Osiem lat wcześniej Tess była w krótkim związku z kucharzem, który miał na imię Toby i pracował w restauracji St John we wschodnim Londynie. Był to jakiś obrzydliwy z opisu lokal, bo podawano tam kawałki zwierząt, których nie

powinno się jeść. Toby był bardzo gruby, powiedziała mi któregoś wieczoru Tess; przespała się z nim, bo nigdy wcześniej nie była z grubasem i chciała zobaczyć, jak to jest. Podobno chwytanie jego ciała całymi garściami „przypominało wchodzenie na ścianę wspinaczkową”, a jego skóra pachniała słodkawo i drożdżowo, trochę jak pełnoziarniste herbatniki. Lubiła go, bo był taki „ujmująco wdzięczny”, ale urok nowości prędko przestał działać.

Zaciekawiona przejrzałam notatki z tamtego okresu jej życia, kiedy mieszkała z Katie Katatoniczką i zarządzała sklepem z ciuchami vintage w Spitalfields. Często wchodziła w związki z różnymi mężczyznami, ale o tym Connorze nie było ani jednej wzmianki. Nie znalazłam też żadnych powiązań między nim a restauracją.

Odkryłam ponadto, że restauracja została otwarta w 1994 roku i danie zawierające szpik wspomniano w recenzji w gazecie z tego samego roku, dlatego więc zakres czasowy bynajmniej mi się nie zawęził: Connor i Tess mogli tam jeść w dowolnym momencie przez ostatnie siedemnaście lat.

Oczywiście wiadomość zdradzała jedną rzecz: Connor Devine raczej z całą pewnością nie wiedział, że Tess jest w Kanadzie. Postanowiłam mu odpisać.

Świetny pomysł, ale nie aż tak świetny, żeby wyprawiać się w podróż liczącą 10 000 mil w obie strony.

Odpowiedział prostym: ?

Wysłałam więc krótkiego maila, w którym tłumaczyłam, że przeniosłam się – to znaczy Tess – do Kanady, cały czas posługując się tym narzuconym z góry figlarnym, niezobowiązującym tonem. Zawczasu przygotowałam kilka wersji tego „wprowadzającego” maila, które wykorzystywałam w zależności od odbiorcy. Ich treść miała różny wydźwięk, poczynając od zwyczajnego „zachciało mi się zmiany i pieję teraz z zachwytem!” dla nie aż tak bliskich znajomych, a kończąc na przemyślanych, intymnych relacjach, pełnych odniesień do jej depresji, dla tych, którym ufała i którzy już znali jakiś kontekst. Dla bezpieczeństwa w przypadku Connora wybrałam tę pierwszą opcję, ponieważ nie wiedziałam na ile on zdaje sobie sprawę z problemów Tess.

I dobrze zrobiłam, ponieważ z jego odpowiedzi wynikało, że nie miał pojęcia ani o depresji Tess, ani o jej zasięgu. W kolejnym mailu wyraził zdziwienie i znowu zawarł, jak przypuszczałam, prywatne aluzje, bombardując ją pytaniami, które wysyłał pojedynczo, przez co skrzynka odbiorcza Tess była stale aktywna. Jak ty przetrwasz bez porządnego whiskey sour? Gdzie będziesz kupowała podwiązki? Naprawdę nie wyobrażam sobie, jak dziergasz dla siebie berety na drutach...

I oto w piątym takim mailu składającym się z pojedynczej linijki tekstu znalazłam najważniejszą z dotychczasowych wskazówek. A co z Joan?, napisał. Przemyciłaś ją w bagażu podręcznym?

Joan była kotką, którą Tess miała między 2000 a 2003 rokiem; została tak nazwana na cześć jakiejś aktorki nazwiskiem Joan Crawford. Joan zniknęła pewnej nocy i był to incydent, który spowodował dwutygodniową zapaść. Tak więc na podstawie tego odniesienia ustaliłam, że Connor nie rozmawiał porządnie z Tess od co najmniej dziewięciu lat.

Kilka maili później otrzymałam drugą użyteczną informację, która jeszcze bardziej zawężyła zakres czasowy. Kiedy wspomniałam, że do Sointuli można się dostać wyłącznie promem, odpisał:

No tak, już my dobrze wiemy, jak ty lubisz promy... czy raczej w tle musi dojść do jakiejś potężnej katastrofy?

To, uznałam, musiało być odniesienie do pewnego incydentu z 11 września 2001 roku, kiedy w Nowym Jorku akurat doszło do wiadomych ataków. Tess podróżowała ze swoją przyjaciółką Juliet na grecką wyspę Patras i właśnie znajdowały się na promie płynącym z Włoch, kiedy usłyszały wieści o tych samolotach od innego pasażera. Przeprowa przez morze trwała dwanaście godzin i tamtej nocy Tess uprawiała seks z obcym mężczyzną, którego poznała na pokładzie, osiemnastoletnim uczniem prywatnej szkoły. Chłopak miał na imię Rollo, kręcone włosy koloru blond „jak anioł Botticellego” i przyznane warunkowo miejsce w Oksfordzie. Tess i Rollo robili to na pokładzie, pośród innych, śpiących dookoła pasażerów.

A więc Connor musiał poznać Tess po 2001 roku, ale ich kontakt się urwał przed 2003, kiedy zniknęła kotka. Nadal jednak nie posiadałam wiedzy



na temat tego, co tak dokładnie ich łączyło. I w rzeczy samej, dlaczego kontaktował się z nią ponownie po tylu latach. Ton jego maili od samego początku miał w sobie intymność niewspółmierną do ich relacji w ostatnich latach – bo te, zwracam uwagę, były nieistniejące. Pisał w taki sposób, jakby na moment nie utracili kontaktu i znajdowali się w samym środku jakiejś fascynującej rozmowy. Miał naprawdę osobliwy... jak to nazwać? Tupet? Był także dość bezpośredni wobec Tess, w sposób, w jaki inni ludzie nie byli. Myślę, że wielu znajomych Tess trochę się jej bało – albo w najlepszym razie pobłazali jej, gdy wygadywała różne głupie albo szalone rzeczy.

Był też nadzwyczaj zaciekawiony, bo zadawał pytania, które zmusiły mnie do szperania w bardziej ubocznych notatkach na temat Tess. Nadał uważasz, że Aha są mocno niedoceniani? Czy Shauna w końcu została menedżerem tego pensjonatu na Sri Lance? Albo przysyłał jakiś dowcip i domagał się, żebym dopisała puentę, względnie załączał linki do głupich filmików na YouTube. Do tego momentu był autorem najczęstszych maili do Tess i zauważyłam, że spędzam sporo czasu na zastanawianiu się, co do niego napisać.

Z początku przyjąłem taką taktykę, że ignorowałem jego pytania i zamiast tego zadawałem mu własne, starając się zgromadzić nieco więcej informacji. Początkowo jego odpowiedzi były niepoważne i nie dawały żadnej wiedzy: tak jakby nie był w stanie udzielić prostej odpowiedzi. Spytałam go na przykład, czym się teraz zajmuje, a on na to odpisał: wciąż za dużo zarabiam i walczę z debilami, co mi w niczym nie pomogło. Po kilku takich przekomarzankach stwierdziłam, że zaryzykuję i poproszę, żeby odpowiadał mi wprost.

K, facet – Tess miała taki zwyczaj, że pisała OK bez „O” – zlituj się i wal prosto z mostu. Nie widziałam cię od wieków, więc pisz normalnie, co u ciebie. Wprawdzie Tess nie miała w zwyczaju formułować pytań tak dosadnie, ale stwierdziłam, że tym razem to ujdzie, bo tyle czasu minęło, odkąd kontaktowali się po raz ostatni.

Strategia podziałała. Następny mail od Connora był znacznie dłuższy i mimo że też utrzymany w beztroskim tonie, to jednak dostarczył paru faktów. Otóż Connor pracował jako prawnik dla dużej firmy z siedzibą w Temple,

specjalizował się w prawie własnościowym i mieszkał w Kensal Rise. Był żonaty, ale rozszedł się ze swoją żoną Chrissie rok wcześniej. Mieli dwoje dzieci, pięcioletnią Mayę i dwuletniego Bena, i opiekę nad nimi przyznano im po równo. Nie napisał, jak długo był żonaty, mimo że poznał Chrissie w czasie, kiedy kontakt między nim a Tess już się urwał.

Był to zwięzy, rzeczowy mail, ale później, o 23.30 czasu w UK, przysłał jeszcze jedną wiadomość, z tematem Ciąg dalszy.

Zastanawiasz się, czemu znowu się do ciebie odezwałem. No więc posłuchaj. Wiesz, że kiedy byłem z tobą, był to najszczęśliwszy czas w moim życiu. Tak, tak, możesz się nabijać, ile wlezie; wiem, że to nie trwało długo. Ale szczerze mówię, wspominam te miesiące, jakby to były wakacje w innym życiu, takim życiu, jakie sobie wyobrażałem, kiedy byłem nastolatkiem. Pełne szaleństwa, wyzwń i ryzyka, tego uczucia, że wszystko jest możliwe. Ty nie miałaś żadnych zobowiązań. Rozmawialiśmy o wielkich sprawach, o ważnych rzeczach, o tym, jak najlepiej jest żyć. Inspirowałaś mnie. Zachęcałaś, żebym traktował swoje fotografowanie serio, żebym się nie sprzedawał, żebym żył odważnie.

Nie staram się wzbudzić w tobie poczucia winy, chcę tylko być uczciwy. To ty sprawiasz, że chcę być uczciwy. Byłem zrozpaczony, kiedy to zakończyłaś. Załamane się, albo nawet jeszcze gorzej. Ale udawałem, że to nic takiego, że się zgadzam, że do siebie nie pasujemy, że podpisuję się pod wszystkimi gównianymi argumentami, których użyłaś - „Przy sobie nie jesteśmy najlepszymi wersjami samych siebie”, czy jakoś tak. A jednak sprawiałaś, że byłem „najlepszą” wersją samego siebie. Wiedziałem wtedy, powiem ci otwarcie, że jesteś moją szansą na takie życie, jakiego chciałem, i że to spieprzyłem (choć do dziś nie wiem, jak dokładnie to zrobiłem). I wiedziałem, że reszta mojego życia będzie kompromisem.

Chrissie okazała się pomyłką. Poznałem ją jakiś miesiąc po rozstaniu z tobą, podczas imprezy zorganizowanej przez mojego kumpla Dennisa, który chciał, żebym się rozerwał, bo nadal byłem rozwalony przez tę aferę z tobą. Ci moi znajomi byli miłymi ludźmi, ale, rozumiesz, dość nudnymi. Jak to prawnicy. Chrissie też była taka jak oni - urocza, miła, ładna, nie rzucała wyzwania i doskonale jej wystarczał status quo. Nie miała żadnych innych ambicji oprócz tych zwyczajnych. I nie wiem, czy byłem tylko wykończony i chciałem jakiegoś bezpieczeństwa, czy raczej jakoś tak dziwacznie uznałem, że w ten sposób wezmę na tobie odwet (choć wiem, że i tak miałabyś to w dupie). Pomyślałem - no to OK, zrobię to. Mogę taki być. Ustatkuję się, odpuszczę sobie. Może oni mają rację, a to ja się mylę, i takie stałe, osiadłe życie to klucz do szczęścia. Zgodnie ze statystykami aranżowane małżeństwa gwarantują najwyższy poziom szczęścia itd., itp.

Zdumiewające, naprawdę, jak łatwo wleźć w coś takiego. Bo to jest tak, że kiedy dobiegasz połowy trzydziestki, a zwłaszcza gdy jesteś facetem, jest taki moment, kiedy przestajesz wojować i nagle odkrywasz, że po prostu niesie cię w stronę małżeństwa, dzieci i rodzinnego samochodu. Ja zacząłem umawiać się z Chrissie i proszę bardzo, chadzaliśmy na spacer po South Bank, zabieraliśmy butelkę Wolf Blass na prośzone kolacje, jeździliśmy na weekendy do rybackich chat w Whitstable, gdzie nocleg kosztuje 200 funtów, i jeszcze dawałem odciągać się na bok przez jej przyjaciół i mówić sobie, że powinienem traktować ją poważnie, bo nie wolno niszczyć życia kobietom po trzydziestce, no wiesz... i że z niej będzie taka dobra matka, bo jest taka macierzyńska z natury... dawałem się zabierać do jej nadętych starych w Gloucester, a ona mi się zwierzała z kłopotów, jakie miała z jedzeniem jako nastolatka, bla bla bla. I takim sposobem

przeleciał rok, więc nadszedł czas, by zamieszkać razem. No to zamieszkaliśmy razem. Potem były wyprawy do sklepów Habitat, kupowanie filmów na CD w zestawach. Grupowe wypadki na niedzielny lunch do gastropubów, przewidywalne opinie zaczerpnięte z „Guardiana”, shaker do przypraw Jamiego Olivera.

Po prostu poddałem się temu wszystkiemu, wybrałem linię najmniejszego oporu. Wiem, że nie masz szacunku do takich zachowań i że to jest sprzeczne z wszystkim, w co wierzysz. Dlatego ryzykuję wiele, mówiąc ci to, bo przecież naprawdę nie chcę, żebyś uważała mnie za jakieś zero.

Powinienem przyznać, że nie byłem nieszczęśliwy przez cały czas. Zdarzało się, że myślałem, że może właśnie o to chodzi, i czułem zadowolenie z życia. Zwłaszcza kiedy pojawili się Maya i Ben. Są naprawdę cudowni, pokochałabyś ich. Bardzo się starałem przez wzgląd na nich, ale Chrissie i ja coraz bardziej oddalaliśmy się od siebie i w końcu to się stało nie do zniesienia. Kiedy wracałem z pracy, ona nie była tą osobą, z którą chciałem rozmawiać. Nie chciałem jej się zwierzać z tego, co sobie myślałem, nie chciałem opowiadać, co mnie rozśmieszyło albo zasmuciło na ulicy. Wiedziałem po prostu, że ona tego nie zrozumie, bo ona nie rozumiała rzeczy, które są skomplikowane albo zagmatwane, i nigdy nie zadawała pytań. Widziała świat tylko w bieli i czerni, szare obszary jej nie interesowały. I ostatecznie dotarło do mnie, że w życiu liczy się tylko to, żeby znaleźć kogoś, z kim cię coś naprawdę łączy, kogoś, kto cię rozumie. Bo w przeciwnym razie jaki sens żyć?

I dlatego oszedłem. Nie była to decyzja, którą podjąłem ot tak. Wałkowałem ją całymi miesiącami. Poszedłem do psychiatry. Rozmawiałem z przyjaciółmi. I wszyscy próbowali mnie od tego odwieść, ale ja musiałem to zrobić dla własnego

zdrowia psychicznego.

Nie powiem, że ty byłaś powodem, dla którego to zrobiłem. Ostatecznie nie rozmawialiśmy z sobą od lat. Ale naprawdę dużo o tobie myślałem, o tym, co reprezentujesz, i chyba to mi dało siłę, żeby to zrobić. Byłaś - jesteś - jedyną znaną mi osobą, która ma odwagę żyć niekonwencjonalnie.

PS Zdaję sobie sprawę, że nie będziesz wiedziała, jak na to zareagować, więc proszę, nie odpowiadaj. Nie oczekuję od ciebie niczego; chciałem ci tylko powiedzieć.

Następnego dnia od samego rana znowu pisał wesołe, niewiele znaczące, jednolinijkowe maile, jakby gdyby nigdy nic. Niemniej po południu poprosił, żebym przysłała mu zdjęcie. Wskazałam, że zamieściłam swoje zdjęcie na Facebooku i zaprosiłam go do swoich znajomych; ku mojemu zdziwieniu odpisał, że nie „bawi się” w Facebooka.

Śmieciarstwo. Oldskulowa poczta elektroniczna to jedyna słuszna droga.

No więc posłałam mu zdjęcie Tess, na którym opiera się o poręcz w porcie Sointuli – moje największe osiągnięcie uzyskane z pomocą Photoshopa. Ja cię chrzanię, napisał, jesteś jeszcze piękniejsza, niż byłaś dziewięć lat temu. Jak ci się to udało? Ponieważ nie znalazł się wśród moich znajomych na Facebooku, nie wiedziałam oczywiście, jak sam wygląda – a w tym momencie to nawet byłam ciekawa. Tak czy owak, sprawdziłam go, na wypadek gdyby mówiąc, że „nie bawi się”, chciał powiedzieć, że nie lubi Facebooka, a nie, że go tam wcale nie ma. Jak już mówiłam, znalazłam kilkudziesięciu Connorów Devine’ów z Londynu i nie miałam pojęcia, który to z nich – o ile był wśród nich. Na dodatek kilka profili nie miało zdjęć – albo miały takie zdjęcia, na których nie widać twarzy danej osoby, tylko sylwetkę albo tył głowy – więc było też możliwe, że on jest jednym z nich.

Jasne, że nie mogłam ryzykować i pytać go, który profil jest jego, bo mógł to być właśnie taki ze zdjęciem jego twarzy, nie mogłam też ryzykować i wysyłać zaproszenia do wszystkich prawdopodobnych Connorów

Devine'ów, na wypadek gdyby któryś z nich je przyjął. Informacja pojawiłaby się na moim profilu i wyglądałoby to podejrzanie.

Odpisałam, pytając, czy też mógłby mi przysłać swoje zdjęcie – No dalej, ty mnie zobaczyłeś, bądź uczciwy – i po półgodzinie dostałam maila z załącznikiem.

Na zdjęciu zobaczyłam bliskie ujęcie mężczyzny, najwyraźniej w jakimś parku. Nosił okulary słoneczne, a oprócz tego szalik zapętlony na szyi, dlatego uznałam, że mogło być zrobione wiosną albo jesienią, kiedy świeciło słońce, ale ciągle jeszcze było chłodno. Poza tym miał krótkie, ciemne włosy z uformowaną kępką nad czołem, jak taka jedna postać z kreskówki – nie pamiętam teraz, jak się nazywała, a bez dostępu do Internetu nie znajdę – i odstające uszy. Jego brwi były gęste, miał także gęsty, ciemny zarost. Uśmiechał się prosto do aparatu, ale za tymi okularami nie widziałam oczu. Jeżeli był rówieśnikiem Tess, to w takim razie dobiegał czterdziestki.

Jest mi dość trudno pisać o Connorze w obiektywny sposób, niezabarwiony emocjami czy też wiedzą, którą uzyskałam później, ale się staram. Pamiętam, jak mnie to zaskoczyło, kiedy czytałam ten jego mail z wyznaniem, że związek może oznaczać tak wiele dla jednej osoby, a tak mało dla drugiej. Tu Connor mówił, że czas, który spędził z Tess, był najbardziej podniecającym okresem w jego życiu, a tymczasem prosiłam Tess bez końca, żeby mi opowiedziała o wszystkich osobach, z którymi była w związku, nieważne, jak krótkim i nieznaczącym, i ona ani razu o nim nie wspomniała. Nie sądzę, by to z jakiegoś powodu ukryła: ostatecznie opowiedziała mi mnóstwo okropnych rzeczy, które kiedyś zrobiła, i raczej się nie przejmowała tym, co o niej myślę. Prawdopodobnie kompletnie zapomniała o Connorze.

Któregoś wieczoru powiedziała mi przez Skype'a mniej więcej coś takiego: „To takie dziwne, sama przyznaj, że można się z kimś przespać tylko raz i nigdy go nie zapomnieć, a z kimś innym być przez, na przykład, pół roku, i to nie pozostawia w tobie żadnego śladu. Związek się kończy i w jednej chwili zapominasz o wszystkim. Zgadzasz się ze mną?”.

– Mmm – odparłam.

Oczywiście Tess i ja skrajnie się różniłyśmy. Ale czułam, że gdybym to

ja robiła coś z tych rzeczy, o których Connor opowiadał, jak robił je razem z Tess – taniec na stołach w hiszpańskim barze w Soho, wejście bez zaproszeń na ceremonię rozdania nagród dla monterów gazowych w jakimś lepszym hotelu, wyjazd do Paryża tylko na lunch – albo gdyby ktoś mi powiedział, że jestem najbardziej niezwykłą osobą, jaką w życiu poznał, to na pewno bym go zapamiętała.

W komunie zdarzyło się dzisiaj jeszcze coś. Nie zamierzałam o tym wspominać, ale przyznaję, że to mną trochę wstrząsnęło i być może pomogę sobie, jeśli o tym napiszę.

Obudziłam się tego ranka jak zawsze oblepiona potem, ze sztywnymi i posklejanymi włosami. Czułam, że tym razem moje chusteczki odświeżające tu nie poradzą i w ogóle naszła mnie ogromna ochota, żeby się porządnie umyć w wodzie. Przypomniało mi się, jak Annie opowiadała poprzedniego dnia, że była z dziećmi nad rzeką, żeby się wykąpać, więc ją spytałam, jak tam dojść. Natychmiast zaproponowała, że pójdzie ze mną, ale odmówiłam; sądząc po tym, jak beztrzesko wystawiała na pokaz swój biust, podejrzewałam, że chciałyby, abyśmy wszyscy rozebrali się do naga.

Droga, którą mi wskazała, sprawiała wrażenie niepotrzebnie skomplikowanej. Stwierdziłam w końcu, że przecież chyba się nie zgubię, jeśli po prostu będę szła w dół z boczka. Wyruszyłam wąską, skalistą ścieżką obrzeżoną krzaczastymi roślinami, która biegła od południowego krańca obozowiska, i niebawem odgłosy komuny, bonga i szczekanie zostały daleko w tyle. Słońce stało wysoko na niebie i prażyło. Zapomniałam włożyć swój kapelusz i prędko poczułam się osłabiona od tego upału, a na domiar po kostkach drapały mnie ostre krzaki. Najpierw szłam po prostej linii w dół, ale grunt był nierówny i ciągle z jakiegoś powodu zaczynałam iść z powrotem pod górę. Słońce teraz to już smagało mi głowę, włosy wydawały się ciężkie jak kask, a moje kończyny były jak napuchnięte kawały mięsa doczepione do ciała. Powoli traciłam orientację w terenie, dlatego zaczęłam szukać jakiegoś cienia pod drzewami. Trochę mi ulżyło od tego słońca, ale problem teraz był taki, że nie widziałam, dokąd idę, właśnie z powodu tych drzew. Do tej pory dźwięki napływające od strony komuny całkiem przycichły, wyparte przez zapalczywe świergotanie owadów, ale gdzieś w tle słychać było odległy szmer wody, albo tylko to sobie wyobrażałam. I to właśnie wtedy, w tym

lesie, naszło mnie jakieś dziwne wrażenie. Poczułam się zniecka do głębi samotna, bardziej niż kiedykolwiek w życiu, nawet wtedy, kiedy umarła mama. Właściwie było to całkiem inne uczucie – bardziej strach niż pustka.

Trudno mi to opisać.

Pamiętam, jak Tess raz powiedziała, że czasami, kiedy ma depresję, to czuje się tak, jakby była tylko sumą wszystkich swoich części, swojego wychowania i wpływów – że nie istnieje nic, co by z natury rzeczy, ze względu na swój unikalny charakter było „nią”. Wtedy nie rozumiałam, o czym ona mówi. Ale w tym momencie zrozumiałam. I potem naszło mnie to nagłe, dojmujące zrozumienie, że któregoś dnia już nie będę istniała. Miałam ochotę wrzeszczeć, ale nawet wrzask, najgłośniejszy, jaki potrafi wydać z siebie człowiek, nie wystarczyłby mi, żeby wyrazić, co czułam. I po tym, jak naszła mnie ta myśl, zbyt wielka, bezkształtna i okropna, żeby ją uchwycić, zaczęłam myśleć o malutkich, specyficznych rzeczach: że po mojej śmierci ktoś inny wprowadzi się do mojego mieszkania i ustawi swój komputer pod oknem, że w Tesco Extra nadal będą sprzedawali namioty, że inni starszycy będą jedli marynowane jaja w pubie Królowa Pszczół. Ludzie i rzeczy będą wciąż istniały na świecie, w którym ja już istnieć nie będę i w którym już nikt nigdy o mnie nie pomyśli.

A skoro tak, to po co w ogóle istnieć? Mogłabym wyzionąć ducha właśnie tu, pod tym drzewem. Wyobraziłam sobie własne ciało po jakimś czasie, jak rozkłada się i wsiąka w glebę, aż wreszcie po kilku sekundach nie pozostaje po mnie ani śladu.

Może, pomyślałam, to jest dokładnie to miejsce, gdzie umarła Tess – było to całkiem możliwe. Mogła już tu być, pod ziemią, a ja mogłabym do niej dołączyć i nasze cząsteczki zmieszałyby się w tej glebie. Ta myśl nie była nawet niesmaczna.

Muszę podkreślić, że wcale nie poczułam się tak, jak bym chciała umrzeć – tylko raczej, że to wcale nie musi być takie straszne, jeśli nie jest się osobą żywą. Przecież Tess nie była żywa. Mama też nie była żywa.

Nie wiem dokładnie, jak długo byłam w tym lesie. W którymś momencie włączył się, jak przypuszczam, instynkt samozachowawczy i zaczęłam iść w stronę słońca, poza granice lasu, w górę zbocza, aż w pewnym momencie



hałas dobiegające z komuny zrobiły się głośnie i wróciłam wreszcie do namiotu. Annie, która gotowała właśnie kolację, spytała mnie pogodnym tonem, jak mi poszło.

– Udało ci się znaleźć wodę? Został tylko strumyczek. Smutne, prawda? Nie wiem, jak te biedne zwierzęta sobie radzą. Jeżeli nie zaczną wreszcie padać, to ten potok zupełnie wyschnie. Zjesz z nami?

Byłam w stanie tylko pokręcić przecząco głową.

1. Platon, *Obrona Sokratesa*, przeł. Władysław Witwicki. [\[wróć\]](#)
2. Arystoteles, *Etyka nikomachejska*, przeł. Daniela Gromska. [\[wróć\]](#)

## Niedziela, 21 sierpnia 2011

Dzisiaj, kiedy się obudziłam, w komunie było prawie pusto. Annie wyjaśniła mi, że w niedzielę w pobliskim miasteczku jest jarmark i wszyscy stąd usiłują sprzedać turystom te tandetne śmieci, które tu wytwarzają przez cały tydzień. To znaczy ona nie użyła takiej frazy, tylko powiedziała, że to są „rękodzieła”. Sama nie pojechała, bo jej młodszemu dziecku coś dolegało. W obozowisku było upiornie cicho i stąd to wrażenie, jakbyśmy zostały tu tylko my dwie: miewałam takie samo uczucie, kiedy zamiast iść do szkoły, zostawałam z mamą w domu.

Prawdopodobnie źle zrobiłam, że nie pojechałam na jarmark; byłoby to dobre miejsce do pokazywania zdjęcia Tess. Ale nie pojechałam. Trochę z tego powodu, że byłby to wielki wysiłek w tym upale, ale także dlatego, że powoli do mnie dociera, że całe to przedsięwzięcie jest pozbawione sensu. Bo nawet jeśli rzeczywiście znajdę kogoś, kto zidentyfikuje Tess, powie, że widział ją tu zeszłego lata, i jeszcze wesprze swoje twierdzenie jakimiś dostatecznymi dowodami, to co wtedy? Żeby wypełnić swoją misję do końca, będę musiała znaleźć jej ciało, a jak ja mam to zrobić? Raczej nie mogę przeszukać całej góry, zwłaszcza nie przy tych temperaturach. I nawet jeśli faktycznie spędziła swoje ostatnie dni w komunie, to kto wie, czy nie pojechała gdzieś indziej, żeby dokonać tego aktu, i jej ciało leży w innym lesie, na innej górze, względnie w jakimś jeziorze, dwadzieścia, osiemdziesiąt albo dwieście mil dalej?

Dlatego zamiast pojechać na jarmark, położyłam się i przyglądałam, jak Annie robi swoje stołki. Wyglądała plastry drewna w cieniu vana, korzystając z pomocy Mila. Monotonne ruchy szlifierki na powierzchni drewna były wręcz hipnotyczne, a praca wyglądała na satysfakcjonującą i niezbyt uciążliwą, dlatego po jakiejś chwili zapytałam, czy mogłabym też spróbować. I kiedy tak pracowałyśmy razem, opowiedziałam Annie, jak czasami pomagałam mamie malować jej miniaturki, co było zdecydowanym

przeciwieństwem tego, co teraz robiłyśmy – mikroskopijne, krótkie muśnięcia pędzelkiem zamiast takich wielkich, zamaszystych ruchów – ale zajęcie relaksowało podobnie.

W którymś momencie Milo zaczął opowiadać o swojej szkole, jak to już nie może się jej doczekać, ale że nie radzi sobie na lekcjach matematyki. Przy czym mówił „matmatyka” zamiast „matematyka”. Sama byłam bardzo dobra z matematyki, dlatego spytałam, co mu przysparza trudności, i pogadaliśmy o tym trochę.

– Fajnie, że rozmawiasz z nim jak z dorosłym – stwierdziła Annie. – Mało kto tak robi.

Krótką chwilę później, kiedy każda z nas kończyła już obrabiać swój plaster drewna, Annie powiedziała do Mila:

– Myślę, że już czas obciąć ci włosy, synuś.

Wyjęła niewielkie nożyczki i zaczęła ciąć jego loki. Przyglądałam się temu i myśl o tym, że mogłabym poczuć powiew powietrza na karku, była tak kusząca, że spytałam, czy mi też mogłaby obciąć włosy.

– Jak najbardziej – odparła i skończywszy z Milem, podeszła bliżej i usiadła za mną z nożyczkami. – Czy dzisiaj tylko wyrównujemy, szanowna pani?

– Nie – powiedziałam. – Dotąd. – I wskazałam miejsce tuż pod uszami.

– Jesteś pewna? – zapytała. – Przecież zapuszczałaś je, zdaje się, od lat.

Miała rację, tak było. Przytaknęłam. Annie cięła powoli i starannie; dopiero pół godziny później stanęła przede mną z przekrzywioną krytycznie głową, żeby sprawdzić, jak wyglądam od przodu.

– OK, wydaje mi się, że nie potrafiłabym bardziej równo. Wyglądasz, zdaje się, jak... jak się nazywała ta gwiazda starego kina? Ta z tymi ciemnymi, krótkimi włosami?

Zaproponowała, że przyniesie lusterko, żebym mogła się przejrzeć, ale powiedziałam, że nie, nie muszę. Miałam wrażenie, że jestem o dobre kilka funtów lżejsza, i cały czas gładziłam się po odsłoniętym karku – tej części mojego ciała, która od tylu lat nie widziała światła dziennego.

Problem z posiadaniem wielkich ilości wolnego czasu i jednoczesnym brakiem Internetu jest taki, że do głowy napływają bezproduktywne myśli. Nie mówię tylko o tym, co zdarzyło się wczoraj w lesie, ale także o drobniejszych sprawach.

Tego samego popołudnia, po obcięciu włosów, zajmowałam swoje zwykłe stanowisko pod baldachimem Annie, kiedy znienacka przypomniało mi się coś, co Tess powiedziała kiedyś o Adrianie. To było po tym, jak powiedziała mi, że jestem smutna i żałosa, a potem próbowała mi to wynagrodzić w ten sposób, że była miła i zapewniała, jakie to ona ma szczęście, że mnie ma, i jak ja doskonale wykonuję swoje zadanie. „Adrian nie jest głupi”, powiedziała. „Dobrze odrobił lekcje”.

Wtedy jakoś szczególnie o tym nie rozmyślałam, ale dzisiaj, kiedy tak leżałam na materacu, tamto wspomnienie połączyło się z jeszcze innym, jak te bąbelki, które podnosiły się i zlewały z sobą w mojej lampie lava. Chodziło o spotkanie z Adrianem pod szpitalem. Znowu zaczęłam się zastanawiać nad tym zbiegiem okoliczności, że z wszystkich miejsc w Londynie wybrał akurat to, które tak dobrze znałam, i że jego żona chorowała na SM. A potem przyszło mi do głowy, że może to jednak wcale nie był zbieg okoliczności.

Bo widzicie, dwa lata temu, kiedy mama jeszcze używała obu rąk, podsunęłam jej pomysł, żeby zaczęła się udzielać na forum serwisu poświęconego SM. To było po tym, jak sama zaczęłam pisywać do działu Opiekunowie, i pomyślałam, że byłoby dla niej dobrze, gdyby nawiązała kontakt z innymi ludźmi w podobnym położeniu. Była dość aktywna na tym forum przez jakieś pół roku, dopóki nie zaczęła mieć kłopotów z pisaniem, i wspominała, że ją badają w szpitalu Royal Free. Zamieściłam wpis na podstronie „In memoriam”, kiedy umarła: nic wymyślnego, tylko gołe fakty towarzyszące jej śmierci razem z notką, że „była najlepszą z wszystkich matek, jakie kiedykolwiek chodziły po tej ziemi”.

Serwis był publiczny, dlatego Adrian mógł go teoretycznie znaleźć, jeżeli mnie szukał na Google’u. Przyszło mi na myśl, że być może poprosił o spotkanie pod Royal Free w związku z mamą. Żeby mi przypomnieć o jej chorobie i w ogóle o tym, jakie to nieszczęście, gdy kogoś sztucznie podtrzymują przy życiu. W ten sposób chciał zwiększyć

prawdopodobieństwo, że spodoba mi się ten pomysł, iż ktoś pragnie przejąć kontrolę nad własnym umieraniem.

Stwierdziłam, że oczywiście miejsce mogło zostać wybrane całkowitym przypadkiem, tak samo jak to zakładałam wtedy. Ale nawet jeżeli nie – jeżeli rzeczywiście zbierał informacje na mój temat – czy to miało znaczenie? Można powiedzieć, że to nie ukazywało Adriana w negatywnym świetle, że w rzeczy samej pokazało jego wielkie zaangażowanie w sprawę Tess, bo przecież zrobił, co tylko mógł, żeby mnie nakłonić do udzielenia jej pomocy. I byłam niemal pewna, że to nie wpłynęło na wynik spotkania. Zastanawiałam się przecież nad tą propozycją drogą niezależnego myślenia. Nawet gdyby przedstawił mi ten pomysł w, powiedzmy, jakiejś winiarni, to raczej też zgodziłabym się przyjąć tę pracę. Tak więc fakt, że mógł być bardziej wyrachowany, niż na to wyglądał, w istocie nie wpłynął na przebieg zdarzeń, prawda?

Rozmyślałam dziś także o horoskopowym epizodzie z Connorem. Jak on zmienił rozwój wypadków i czy doszłoby do tego wszystkiego, gdybym w końcu nie znalazła oryginalnych maili, które wymienił z Tess.

Na podstawie informacji udzielonych mi przez Connora zbudowałam sobie obraz tego, co się między nimi wydarzyło. Byli z sobą w bardzo krótkim związku, między 2001 a 2002 rokiem: ona to zakończyła, a on się załamał. Nadal jednak nie dawało mi spokoju, że w swoich plikach z informacjami o Tess nie mogę znaleźć żadnego dowodu, że ten związek istniał. A czułam, że muszę takie dowody posiadać. Za każdym razem, kiedy Connor dawał mi w mailu jakąś nową wskazówkę, natychmiast szłam jej śladem, przeszukując swoje notatki.

Do przełomu doszło w dwa tygodnie po tym, jak Connor po raz pierwszy nawiązał kontakt. Napisał jakiś nieważny, żartobliwy komentarz, że jest „byłym megaszajbusem”, i to określenie zabrzmiało znajomo. Przeszukałam pliki i znalazłam je w folderze zatytułowanym „Mężczyźni nieważni”, zawierającym krótkie wymiany korespondencji mailowej, głównie ze starego konta Tess na Hotmailu, z mężczyznami, których nie mogła sobie przypomnieć albo twierdziła, że się nie liczyli. „Taki tam facecina. Słowo daję, szkoda czasu”.

Connor używał wtedy adresu: megaszajbus72@yahoo.com. Nie napisali do siebie wielu maili, w sumie tylko osiemnaście, co należy tłumaczyć tym, że romans trwał głównie latem. W owym czasie Tess nie pracowała „za biurkiem”, tylko malowała dekoracje na festiwale, dlatego głównie wymieniali z sobą esemesy. I to oczywiście działo się jeszcze przed Facebookiem.

Tak więc teraz znałam już więcej szczegółów ich związku. Poznali się na jakiejś imprezie w Brixton – Nie oberwałaś przypadkiem po nosie za tę wyprawę na południowy brzeg rzeki?, napisał w pierwszym mailu – i było oczywiste, że za nią szalał. Jego maile nie były wprawdzie „listami miłosnymi” w dosłownym sensie i starał się pisać je w niezobowiązującym tonie, a jednak widać w nich, ile myślenia wkładał w nawet najkrótsze wiadomości, jak starannie wybierał dowcipy i linki, które załączał, i jak prędko odpowiadał na jej maile.

Maile, które pisała do niego Tess, były mniej przemyślane, styl zresztą też, ale z początku reagowała podobnie na frywolność Connora. Także wysyłała w odpowiedzi jakiś dowcip albo link i starała się być zalotna.

A jednak z upływem tygodni dawało się zauważyć stopniowy zanik zainteresowania, przebiegający według tego samego wzoru jak w wielu jej innych związkach. Zaczęła się mniej starać, odczekiwała kilka dni z odpowiedzią, nie reagowała na jego żarty. Niejako robiąc z niego głupca.

Dobrze to można zilustrować pewną wymianą dość dziwacznych maili. W poniedziałek 17 czerwca 2002 roku, o godzinie 10.13, Connor napisał do Tess wiadomość składającą się z jednej linijki:

*Pragnę wylizać cię pod pachami.*

Na co Tess odpowiedziała tak:

*Nie goliłam ich od pięciu dni.*

A Connor jej wtedy odpisał:

*Tym lepiej. Pragnę każdego fragmentu ciebie, do jakiego uda mi się dobrać. Masz może przypadkiem trochę obciętych paznokci? xxxx*

Tess nie odpowiadała na to przez piętnaście godzin, a w końcu napisała tylko: B1e. I żadnych „x” symbolizujących pocałunki.

Kolejna różnica była taka, że przedtem, podczas ich wstępnych zalotów, mieli zwyczaj nie odpowiadać sobie wprost na zadane pytania – wszystko musiało być jakoś „skręcone” w stosunku do sedna sprawy, żartobliwe albo udziwnione. Ale w miarę jak Tess traciła zainteresowanie, stawała się coraz bardziej rzeczowa. I moim zdaniem była też dla niego dość niesprawiedliwa.

Na przykład: na samym początku Connor starał się wszystko organizować, kiedy się spotykali, dopóki Tess nie powiedziała mu bez ogródek, że nie lubi planowania, że woli być „spontaniczna” (co zakrawa na pewną ironię, biorąc pod uwagę nasz projekt). Później Connor napisał do niej, jaki jest podekscytowany, że ją zobaczy wieczorem, i dodał, fantazyjnie i pogodnie: Świat to nasza ostryga, Heddy. Schlejemy się w Claridgesie? Wskoczmy do pociągu do Brighton? Innymi słowy, robił dokładnie to, czego się domagała, był żądny przygód i spontaniczny. A jednak nie chciała się w to bawić. W swojej krótkiej odpowiedzi stwierdziła, że nie wie, jak się będzie czuła tego wieczoru.

Pod koniec, w ostatnich dniach lipca 2002 roku, nawet jej się nie chciało odpowiadać na jego wiadomości i on oczywiście wyczuł, że coś jest nie tak.

Czy coś cię wczoraj męczyło? Byłaś dziwnie milcząca.

W odpowiedzi napisała:

Musimy pogadać.

I to były ich ostatnie maile.

Czytając to wszystko, czułam, że Tess nie potraktowała Connora zbyt miło, i trochę go zaczęłam żałować. I być może to właśnie doprowadziło do zdarzenia z horoskopami.

Jak już wcześniej wspominałam, w pracy w związku z Tess stosowałam jedną żelazną zasadę. Cokolwiek robiłam albo napisałam jako Tess, musiało to być coś, co ona by zrobiła albo napisała, na ile znałam jej charakter. I, o czym też napomykałam, miała w sobie coś takiego, że wierzyła we wszelkie czary-mary. Czasami tylko przechodziła jakąś fazę, na przykład z homeopatią

albo reiki – a przez siedem miesięcy nawet z chrześcijaństwem, po tym, jak poszła na jakiś tajemniczy Kurs Alpha do któregoś z kościołów we wschodnim Londynie. Przede wszystkim jednak żywiła niezłomną, irytującą wiarę w horoskopy. Może niekoniecznie w codzienne wróżby z gazet – chociaż je też czytała – ale w to, że cechy osobowościowe są w jakiś sposób narzucone nam przez gwiazdy.

Podczas naszych rozmów prosiłam ją często, żeby opisała jakąś osobę, a ona wtedy rzucała coś typu: „Och, no wiesz, to był po prostu typowy Lew”, jakbym wiedziała, co to jest typowy Lew i jakby to cokolwiek oznaczało. Próbowałam raz zakwestionować te jej przekonania, wyjaśnić, dlaczego to są bzdury i że uważam takie przypisywanie komuś domniemanych cech za zrzekanie się odpowiedzialności za własne czyny. Nie zareagowała dobrze. Była tamtego dnia w podłym nastroju i powiedziała mi, że jeśli chcę, to mogę się zaraz od niej odpieprzyć.

I tak pewnego dnia, trzy tygodnie po tym, jak podjęliśmy korespondencję, Connor opowiedział mi o rozmowie, którą odbył poprzedniego wieczoru na imprezie zorganizowanej na cześć odchodzącego z kancelarii kolegi. Rozmawiał z żoną innego kolegi, która była, cytując: „napruta jak omnibus” – czyli po prostu pijana – i ta kobieta opowiedziała mu z kolei długą historię o tym, jak to jej najstarsza córka chciała wyjść za swojego chłopaka, a ponieważ ona sama była amatorką astrologii, stwierdziła, że sporządzi dla nich obojga wykres. Podobno wyszło jej, że znak tego mężczyzny nie pasuje do znaku córki, i dlatego poradziła córce, żeby nie wychodziła za mąż. Córka jej wtedy odparła, że ma się nie wydurniać, i jak to się skończyło? Ano para rozwiodła się po pół roku.

W odpowiedzi napisałam:

No co za głupia krowa.

A Connor mi na to:

Czyżby lampart zmienił cętki? Myślałem, że cię rajcuja te rzeczy. Zawsze mi zarzucałaś, że jestem, o ile dobrze pamiętam, „niespontaniczny i drętwy” jak każdy Byk.

W tym momencie mogłam się jakoś wymigać. Mogłam rozmydlić sprawę



i powiedzieć, że chodziło mi o to, że ta kobieta nie wiedziała, co robi, i że znaki tych dwojga tak naprawdę były idealnie zgodne czy coś w tym guście. Ale nie napisałam tak.

Ano oświeciło mnie, napisałam.

Po chwili wahania wdusiłam „wyślij”, czując napływ lęku przemieszanego z podnieceniem. Poprzez świadome wymuszenie na Tess, żeby zrobiła coś, czego prawdopodobnie nie zrobiłaby w prawdziwym życiu, złamałam tę jedną, główną zasadę, którą kierowałam się dotąd w swojej pracy. Odebrałam to tak, jakbym wsiadła do wehikułu czasu i dokonała ingerencji w przeszłość – tyle że oczywiście to była teraźniejszość.

Kiedy kilka minut później przyszła odpowiedź od Connora, moje obawy wyparowały.

Oj, Heddy, Heddy – to było przezwisko, które sam wymyślił dla Tess; nigdy się nie dowiedziałam, skąd mu się to wzięło – jak ty mi dzisiaj dobrze robisz. Nie pogniwaj się, ale przy tobie stale musiałem się pilnować. Zawsze uważałem, że te horoskopy to przedpotopowe kretynizmy. Witaj w świecie ludzi racjonalnych!

Na widok słowa „racjonalny” przeszył mnie dreszcz; wyglądało to na kolejne potwierdzenie słuszności mojej decyzji. Odpisałam tak, jak odpisałaby Tess:

No, no, tylko nie przeginaj!

A jednak było tak, jakbym coś odczarowała. Od tej pory zaczęłam wnosić więcej z siebie do tej korespondencji.

Nie chcę tu przesadzać. To nie było tak, jakbym z dnia na dzień porzuciła Tess i zaczęła odpisywać jako ja. Nie zrobiłam nic, co wzbudziłoby podejrzenia. Na tym etapie po prostu zdarzały się takie momenty, kiedy odpisywałam mu bardziej jak ja niż jak Tess, kiedy tak akurat pasowało. To były same drobiazgi i, jak mówię, głównie te rzeczy, które zazwyczaj wolałam omijać szerokim łukiem: jej irracjonalność, jej „mistycyzm”. A poza tym odpisywałam bezzwłocznie na jego maile, zamiast zostawiać sobie na to godziny albo i dni, tak jak ona to robiła. Odpowiadałam na jego pytania. Nie

rozводziłam się bez końca na temat swoich uczuć i snów.

Czasami musiałam improwizować, kiedy Connor zadawał mi pytanie, na które nie znałam odpowiedzi. Na przykład początkowo chciał koniecznie wspominać przeszłość, kiedy on i Tess byli razem. Tak więc na pytanie typu Pamiętasz tamtego człowieka z kotkiem na Dean Street?, odpisywałam Jasne, mimo że Tess prawdopodobnie by nie pamiętała.

Co jakiś czas zadawał bardziej podstępne pytania, takie jak: Ty sobie naprawdę nie żartowałaś z tym, co powiedziałaś o tych zdjęciach z Hampton Court? I tu nie miałam bladego pojęcia, o czym on mówi i czy tamten pierwotny komentarz był negatywny czy pozytywny. W takich przypadkach zazwyczaj go czymś zbywałam.

Miał także tendencję do opowiadania różnych anegdot, względnie wygłaszania spostrzeżeń na temat swoich dzieci, których z kolei używał potem jako punktu wyjścia do wypytywania o moje dzieciństwo. Na przykład opowiedział mi historyjkę o tym, jak jego córka Maya spytała go, czy mu się podobało, jak miał pięć lat, i że nie mógł sobie nic z tego czasu przypomnieć, po czym zapytał, co ja pamiętam z czasu, kiedy miałam pięć lat.

Jeżeli nie znałam odpowiedzi, jakiej zdecydowanie udzieliłaby Tess, odpowiadałam jako ja sama, w razie konieczności dopasowując szczegóły. Na przykład podstawiałam Kentish Town High Street pod Dulwich, gdzie Tess mieszkała z rodziną od trzeciego do jedenastego roku życia. To roztrząsanie mojej przeszłości było nawet całkiem interesujące. Nigdy wcześniej tego nie robiłam. Nawet nie rozmawiałam o tych sprawach z mamą. Dużo z sobą rozmawiałyśmy, ale głównie o drobiazgach, sprawach do załatwienia, o szkole albo o tym, co pokazali w telewizji. Nie rozmawiałyśmy o minionych zdarzeniach, pewnie dlatego, że obie w nich uczestniczyłyśmy i nie było takiej potrzeby.

Bardzo mi pomagała różnica czasu. Kiedy Tess się budziła w Sointuli, w Londynie była 16.30 i Connor przysyłał trzy lub cztery maile w ciągu dnia. I wtedy Tess bezzwłocznie na nie odpisywała. A ponieważ mogłam przeczytać maile Connora zaraz po tym, jak je przysłał, więc oczywiście miałam czas na ewentualne poszukanie czegoś i sformułowanie odpowiedzi, zanim „Tess” się obudziła, bo dopiero wtedy wciskałam „wyślij”. Zauważyłam, że sypiam

coraz mniej w ciągu dnia, bo nie mogłam się oprzeć, żeby raz po raz nie sprawdzać skrzynki odbiorczej Tess.

Z początku się przejmowałam, że napiszę coś pozostającego w sprzeczności z tym, co Connor wiedział o Tess. Prędko jednak stało się oczywiste, że znał niewiele szczegółów z jej życia rodzinnego. Albo nigdy o nich nie rozmawiali, albo zapomniał. Na przykład myślał, że ona ma siostrę, a nie brata, i że dorastała w Greenwich, a nie w Dulwich. Dowiedziawszy się tego, poczułam, że mam podstawy do większej swobody, ponieważ a) było jasne, że nie znał Tess aż tak dobrze, b) nawet gdyby zadawał jej te same pytania osiem lat temu, to mało prawdopodobne, że pamiętałby odpowiedzi, i c) Tess była znana z tego, że jej się odmieniało, że zmieniała wersje różnych historii i że miała kłopoty z pamięcią.

I, było nie było, widzieli się po raz ostatni dziewięć lat temu. Naturalnie musiała się zmienić przez taki czas. Zasadniczo uważam osobiście, że nikt z nas nie jest taki sam jak dziewięć lat wcześniej: wszystkie nasze komórki uległy odnowieniu, nie mówiąc już o naszym nastawieniu do różnych spraw i o doświadczeniach ze światem. Skarpetki Locke'a – tak to się nazywa. Dyskutowałam o tym z ludźmi na Czerwonej Pigułce i któregoś wieczoru poruszyłam nawet tę kwestię w rozmowie z Connorem o tym, w jakim wieku zaczynają się formować wspomnienia z dzieciństwa. Wydawał się bardzo zainteresowany tym, co miałam do powiedzenia na ten temat, i odpowiadał w inteligentny, przemyślany sposób.

I w tym sedno sprawy, chyba sami rozumiecie. Connor i ja mieliśmy z sobą o wiele więcej wspólnego niż on i Tess. Mieliśmy podobne umysłowości. On, będąc prawnikiem, musiał rozumować na zimno, analizować sprawy z drobiazgowością patologa sądowego, definiować słabe punkty, zmierzać z argumentami w stronę logicznej konkluzji. Nie mógł sobie pozwolić, żeby emocje zaciemniały mu pole widzenia. I kiedy ja stałam się odrobinę mniej podobna do Tess, a odrobinę bardziej taka jak ja sama, zauważyłam, że ton jego maili się zmienił. Tak to wyglądało, jakby Connor się rozluźnił i już nie uważał, że musi się bardzo starać. Jakby zdjął za ciasny garnitur i włożył spodnie od dresu. Przemawiał bardziej szczerym i intymnym głosem.

Zdarzało się, bardzo rzadko zresztą, że przypominała mi się dzieląca nas

różnica wieku. Connor używał niekiedy odniesień do programów telewizyjnych i piosenek z lat osiemdziesiątych – na przykład do *Bagpuss* albo Spandau Ballet – które musiałam sprawdzać w Google’u. Ale musiałam też sprawdzać w Google’u odniesienia do zjawisk istotnych dla mojego pokolenia, więc byłam do tego przyzwyczajona.

W przeciwieństwie do innych maili wysyłanych i otrzymywanych przez Tess, a przeważnie polegających na czystej wymianie informacji, te nasze rzadko kiedy zawierały jakieś pragmatyczne, nudne treści. Pisaliśmy o własnych przemyśleniach i spostrzeżeniach. Często też było to zaledwie kilka linijek, jakbyśmy siedzieli blisko siebie i prowadzili rozmowę. Bywały wiadomości głupie i bywały głębokie. Na przykład Connor napisał któregoś razu, że pewnego ranka w drodze do pracy zauważył w okolicach mostu Londyńskiego bezdomnego, który płakał, i że zrobiło mu się strasznie pod wpływem tego widoku. Albo przysłał mi wiersz, który sam spłodził, kiedy siedział tamtego ranka w sądzie i się nudził. Był sobie raz pewien adwokat z Walencji, który do zamyśleń miał tendencje...

Czasami, kiedy wiedział, że jestem online, przełączał się na komunikator i zarzucał mnie serią jednowierszowych pytań, z pozornie przypadkowych tematów: Twixy czy Snickersy? Czy to obciach, nie interesować się współczesnym tańcem? Ponieważ nie miałam wtedy czasu na przetworzenie jego wiadomości i przygotowanie swoich odpowiedzi, te sesje stanowiły spore wyzwanie, ale z kolei narzucane tu tempo było emocjonujące. Nigdy w życiu z nikim tak nie rozmawiałam i bardzo mnie bawiło używanie tych „nowych mięśni”.

Najbardziej interesujące w tym wszystkim było to, że nie istniało coś takiego, jak niewłaściwa odpowiedź. Connor najwyraźniej uważał wszystko, co powiedziałam, za zabawne albo mądre, jakby przy każdej odpowiedzi klikał w lajka.

Powinam wskazać, że bynajmniej nie zanieczywałam pozostałych aspektów życia Tess z powodu tak częstych kontaktów z Connorem. Odpowiadałam na maile, które do niej przychodziły, wprowadzałam aktualności na Facebooku. Co kilka tygodni puszczałam nagrane zawczasu wiadomości po usłyszeniu automatycznej odpowiedzi z telefonu jej mamy, a

raz odtworzyłam życzenia dla jej przyjaciółki Susie, kiedy ta miała urodziny. Całe trzy godziny szperałam w materiałach o rzeźbie współczesnej, by móc sformułować kompetentną, a zarazem sarkastyczną opinię na temat pewnego nowego artysty, w którego chciała zainwestować Isobel. I nadal spędzałam sporą część dnia na obmyślaniu kolejnych fabuł dla Tess oraz przetrząsaniu tych obszarów jej życia, w których nie byłam najlepsza.

Po Connorze drugą z kolei osobą, z którą korespondowałam najwięcej, była przyjaciółka Tess, Shona. Shona, z którą znała się od czasów szkolnych, była mężatką i matką piętnastomiesięcznego Rufusa. Miała rzadkie włosy koloru blond i ostry nos, a na swoim zdjęciu profilowym trzymała Rufusa na ręku i patrzyła na niego w taki sposób, że przypominało to stare obrazy o treści religijnej. Jak się człowiek przyglądał jej profilowi, to gotów był pomyśleć, że ona uwielbia być matką, ale z jej wiadomości do Tess przebijało coś innego. Bo napisała, na przykład, że jest w żałobie po swoim dawnym ja. Twierdziła też, że istnieje powszechne przekonanie, jakoby macierzyństwo było czymś, w czym kobieta się spełnia, a tymczasem gdyby tylko mogła wrócić do dawnego życia w pojedynkę, kiedy to wychodziła z domu, gdy tylko chciała, zrobiłaby to na pstryknięcie palców. Wyjazd Tess do Sointuli stawał się powoli przedmiotem jej obsesji – żyjesz moimi marzeniami, napisała – i przez pierwsze kilka tygodni pisała do niej niemal codziennie, skarżąc się, że utknęła w domu, przy dziecku, i koniecznie chciała, by Tess mówiła jej szczegółowo o wszystkim, co robi. Odnosiłam wrażenie, że ona się torturuje, jak ktoś, kto umiera z głodu i chce, żeby mu barwnie opisać jakieś danie. Dlatego więc, jeśli idzie o Shonę, musiałam nie tylko wymyślać nowe i interesujące rzeczy na temat Sointuli, ale także pocieszać ją w jej udrękach bycia matką, co, jak pewnie zrozumiecie, nie było moją mocną stroną. Znalazłam jednak w Internecie forum dla rodziców i przejrzałam ich komentarze. Pierwsze lata zawsze są piekielne, napisałam. Ale już niedługo twój synek stanie się małym człowiekiem, z którym będziesz mogła rozmawiać, i wtedy uznasz, że było warto.

Pilnie sporządzałam raporty z postępów dla Adriana, czy też „Avy”, i przesyłałam je za pośrednictwem Facebooka. Po tamtym wstępnym „Hej tam” ustanowiliśmy system na pół regularnej wymiany wiadomości. To

znaczy ja wysyłałam swoje wiadomości regularnie, a on niekoniecznie. Dwa razy w tygodniu posyłałam mu podsumowanie tego, co porabiała Tess, listę wszelkich kontaktów, jakie nawiązywała z przyjaciółmi i rodziną, a także nowe plany, jakie obmyślałam na jej przyszłość. Jego odpowiedzi były natomiast o wiele bardziej niesystematyczne. Czasami w ogóle nie odpowiadał na moje raporty albo kilka dni później dostawałam coś takiego: Dobra robota! Z tego, co mówisz, wynika, że masz wszystko pod kontrolą. Wiedziałem, że jesteś właściwą osobą do tego zadania. Te jego wiadomości często sprawiały wrażenie pisanych naprędce, zdarzało się wręcz, że były niechlujne pod względem ortografii i interpunkcji. Wiedziałam, że Adrian jest zapracowanym człowiekiem, i dlatego nie oburzałam się, dostając takie nieregularne i skrótowe odpowiedzi, ale byłam zadowolona z tych rzadkich okazji, kiedy najwyraźniej miał więcej czasu na zastanowienie się, co do mnie napisać. W swoich wiadomościach skupiał się na sprawach, o których go poinformowałam, i zadawał dodatkowe pytania, jakby naprawdę się interesował. Na przykład jeśli wspominałam, że Tess jeździła konno w weekend, to potrafił zapytać, jakiej maści był koń i czy podczas jazdy przeskakiwali przeszkody.

A potem znowu Tess jakby wcale go nie obchodziła, bo pytał mnie, co porabiam, jak się „trzymam”, tak jakby z prawdziwym zainteresowaniem i troską. Wtedy przypominało mi się tamto nasze spotkanie w realu w Heath: te wiadomości to był taki elektroniczny ekwiwalent tamtych chwil wypełnionych silnym kontaktem wzrokowym, bo przecież wpatrywał się w moją twarz jak nikt inny przedtem, nawet mama. Czuję się dobrze, odpowiadałam. Bardziej niż dobrze. Jestem szczęśliwa. Tak, ta praca nad wyraz mi odpowiada.

W każdym razie jak już powiedziałam: biorąc wszystko pod uwagę, te pierwsze sześć tygodni projektu „Tess” wcale mnie aż tak bardzo nie obciążało. Jest to dziwne, ale ludzie tak naprawdę chcą bardzo niewiele od kogoś, kogo nie widzą. Nawet wiadomości od Shony po kilku tygodniach zaczęły się opóźniać, a ci, którzy z początku koniecznie domagali się rozmów na Skypie, jak Simon, zrezygnowali, kiedy podałam kilka wymówek. Nikomu się nie chciało dopraszać po raz trzeci. Prawdopodobnie wykreśliłabym się kilkoma aktualnościami tygodniowo.

Tak czy owak, przyznaję, że przejmowałam się ilością czasu, jaki poświęcałam Connorowi. Wiedziałam, że im bardziej intensywnie z nim koresponduję, tym mniej jest prawdopodobne, że robię coś, co robiłaby Tess. Ostatecznie to ona zakończyła ten związek i uznała cały romans za tak mało ważny, że nawet mi o nim nie wspomniała. Co więcej, pomijając jej pierwszego chłopaka, Michaela „Rzyga” Collingwooda, nie wierzyła w przyjaźń z „dawnymi miłośnikami”, jak ich nazywała. Nie ma powrotów, taki miała pogląd. Tak więc istniało spore prawdopodobieństwo, że wcale nie byłaby taka otwarta na te dążenia Connora do ponownego nawiązania kontaktu. Być może kilka razy uprzejmie coś by napisała, ale wątpliwe, by poświęciła tyle czasu na mailowanie co ja.

Właśnie z tego powodu nie wspomniałam o Connorze w moich raportach dla Adriana; był wprawdzie oficjalnie korespondentem Tess, ale to raczej wyglądało tak, jakby stanowił bardziej część mojego życia w Londynie niż jej w Sointuli. I z tego samego względu zdecydowałam, że czas najwyższy dać Tess własnego chłopaka.

Zrozumiały pomysł, bo zamiast siedzieć w domu i pisać do Connora, najprawdopodobniej zwiedzałyby wyspę i poznawała nowych ludzi. I wydawało mi się możliwe, że poznałaby do tego czasu jakiegoś nowego mężczyznę. Tess zdawała się poznawać mężczyzn wszędzie; często w publicznych miejscach zagadywali ją jacyś aspirujący zalotnicy. Któregoś razu jeden taki podszedł do niej, kiedy akurat wysiadała z wagonu metra, i dał jej książkę, którą właśnie czytał – był to *Alchemik* – z numerem swojego telefonu w środku. A kiedy pracowała w sklepie odzieżowym i galerii sztuki, to niemal codziennie ktoś z klientów chciał się z nią umówić: dla niej takie wyrazy zainteresowania były więc czymś całkowicie rutynowym i nieznaczącym.

Skoro więc dla Tess było to coś zwyczajnego, że wszędzie i zawsze znajdowała sobie chłopaka, zaplanowałam wstępnie, że znajdzie go po trzech miesiącach od przybycia na wyspę. Teraz jednak, w tych okolicznościach, stwierdziłam, że trzeba przyspieszyć to wydarzenie o miesiąc. Poinformowałam Adriana o takim rozwoju sytuacji w swojej kolejnej wiadomości. Znakomity pomysł, najwyższy czas!, odpisał. A kim będzie ten szczęśliwiec?

Miałam już z grubsza naszkicowaną postać Wesa Provosta: Kanadyjczyk, trzydzieści trzy lata – Tess lubiła młodszych mężczyzn. Jego wygląd oparłam na wyglądzie murarza o imieniu Mike, który pewnego lata pracował przy domu sąsiadującym z naszym na Leverton Street. Miał grube, krótkie przedramiona i dziwnie czerwone usta, jak dziewczyna. Kiedy poznał moje imię, za każdym razem, kiedy mnie widział, śpiewał: „Zwalasz mnie z nóg”, co jak mi wyjaśniła mama, było fragmentem jakiejś znanej piosenki pt. *Layla*. Wskazałam Mike’owi, że moje imię i tytuł piosenki pisze się inaczej, ale on i tak nadal ją śpiewał.

Mike stale dostawał mandaty za niewłaściwe parkowanie i słyszałam, że się denerwował, kiedy je znajdował pod wycieraczką swojego vana. Gdy więc wchodził na rusztowanie, ja obserwowałam ulicę z okna i gdy zauważałam, że strażnik miejski zostawia kolejny mandat, to wybiegałam na zewnątrz, wyciągałam mandat spod wycieraczki i wrzucałam go do studzienki ściekowej, zanim Mike zdążył się zorientować. Porobiłam mu też zdjęcia swoim telefonem, kiedy on tego nie widział, a potem zmontowałam je i dodałam muzykę, dzięki czemu wyglądało to jak teledysk. To było tylko dla mnie, nie zamieściłam tego na YouTube czy gdzieś.

Pod koniec lata, kiedy Mike rozbierał już rusztowanie, przyznałam mu się, co robiłam z mandatami: że wyrzuciłam ich aż pięć – dla niego. Przypuszczam, że w ten sposób chciałam mu przekazać, że czuję do niego to samo co on do mnie. Spodziewałam się, że będzie zadowolony, a tymczasem twarz mu zbieleła i jakoś tak, na krótką chwilę, się skurczyła. Potem uśmiechnął się blado i powiedział: „Dzięki, bardzo ładnie z twojej strony”. Następnym razem, kiedy mnie zobaczył, nie zaśpiewał już swojej piosenki i potem opuścił naszą ulicę bez pożegnania.

W każdym razie wykorzystałam tylko wygląd Mike’a do stworzenia Wesa, za to resztę postaci wymyśliłam sama, bo powoli stawałam się coraz bardziej kreatywna. Wes pracował na łodziach dla turystów, którzy chcieli obserwować wieloryby, razem z Rogerem, chłopakiem Leonory. Takim właśnie sposobem on i Tess się poznali. Dawniej mieszkał na łodzi, w miejscowości Edmonton, ale cztery lata temu przeprowadził się do Sointuli razem ze swoją dziewczyną, bo chciał być bliżej natury. Związek się rozpadł i dziewczyna wróciła do Edmonton, ale Wes polubił wyspę i został, po czym



wszedł we wspólny biznes z Rogerem. W wolnym czasie lubił słuchać ścieżek dźwiękowych z musicali i gotować, a zwłaszcza piec placki. Pił tylko białe wino, bo od czerwonego dostawał migreny. Podczas pierwszej randki on i Tess poszli na piwo imbirowe do Waterside Cafe i od tego czasu mieli jeszcze trzy spotkania. Tess z początku bała się, że on jest „zbyt” dobroduszny – Wszystko, co robię albo mówię, jest „wspaniałe!” – ale im bliżej go poznawała, tym bardziej go lubiła.

Potrzebne było zdjęcie. Zwłaszcza Simon, przyjaciel Tess, koniecznie chciał je zobaczyć. Wrzuć fotę, tak brzmiała jego standardowa odpowiedź, kiedy w przeszłości Tess pisała mu o jakimś nowym mężczyźnie. Sprawdziłam, czy przypadkiem nie mam jakiegoś zdjęcia Mike’a, ale potem przypomniałam sobie, że zdeleteowałam je w dniu, w którym wyniósł się bez pożegnania, a zresztą wszystkie przedstawiały go jako murarza na rusztowaniu, gdy tymczasem Wes pracował na łodziach w Kanadzie, dlatego do niczego by się nie nadały.

Zrozumiałam, że będę musiała wykorzystać fotografię innego mężczyzny. Myślałam, że znajdę jakieś odpowiednie na Flickr, i spędziłam całą wieczór na kompilowaniu listy kandydatów, ale nie mogłam wyzbyć się obaw, że ponieważ zdjęcia są w domenie publicznej, ktoś ze znajomych Tess mógł przypadkiem już je wcześniej widzieć. Ryzyko było niewielkie, to prawda, ale istniało. Dlatego wymyśliłam, że postąpię najlepiej, jeśli sama zrobię takie zdjęcie, bo będzie się znajdowało pod moją kontrolą.

I wtedy właśnie pomyślałam o Jontym. Ryzyko, że ktoś ze znajomych Tess wpadnie na niego na ulicy i go rozpozna, było niewielkie (sprawdziłam jego znajomych z Facebooka, ale nie doszukałam się żadnych związków ze znajomymi Tess). Był od nich o piętnaście lat młodszy i dopiero co przyjechał do Londynu. Obracał się w zupełnie innych kręgach niż znajomi Tess, wśród których wielu miało współmałżonków, względnie pozostawało w długoletnich związkach, sporo też miało dzieci, a poza tym ci ludzie mieszkali przeważnie na zamożnych przedmieściach Londynu. Ponadto znajomi Tess rzadko wychodzili „imprezować” na mieście; jeśli już gdzieś szli, to raczej do kina albo na zajęcia z pilatesu, albo na wielkie grupowe lunche w jakimś pubie, podczas których, jak to wynikało z maili wymienianych później, ktoś zawsze zostawiał jakiś element niemowlęcego

stroju lub nie uiszczal swojej należności w ramach wspólnego rachunku. Z kolei kiedy Jonty wychodził na miasto z kolegami z uczelni, to na ogół szli na kebab w Dalston albo przemierzali się między sportowymi barami w centralnym Londynie, zazwyczaj starając się trafić na happy hour.

Ponadto, rozumowałam, gdyby ktoś przypadkiem jednak wpadł na niego w samym środku Londynu i uznał, że wygląda znajomo, to zgodnie z działaniem brzytwy Ockhama nie pomyślałby, że to Wes, który przecież znajdował się właśnie w Sointuli. A nawet gdyby taki ktoś zagadnął Jonty'ego i zapytał, czy on jest Wesem, to oczywiście Jonty nie miałby pojęcia, o czym ta osoba mówi. Dlatego w najgorszym razie skończyłoby się na wiadomości posłanej do Tess, że ktoś widział kogoś, kto bardzo przypomina jej nowego chłopaka.

Wiedziałam, że Jonty'ego będę mogła tak ustawić, jak zechcę, żeby go potem zamieścić na tle Sointuli z pomocą Photoshopa, i że w razie czego będę go mogła wykorzystać kolejny raz. Miał wprawdzie dwadzieścia sześć lat, dlatego był odrobinę za młody, żeby być Wesem, ale stwierdziłam, że zrobię mu podobne zdjęcie, jak ktoś zrobił Connorowi, czyli w okularach słonecznych, dzięki czemu nie będzie widać wyraźnie jego twarzy. Poza tym Jonty nie był równie przystojny jak inni mężczyźni, z którymi wiązała się Tess, ale stwierdziłam, że tak będzie całkiem stosownie. Ostatecznie w Sointuli jest na pewno znacznie mniejsza pula mężczyzn do wzięcia i to, że on wygląda tak zwyczajnie, będzie tylko dowodziło, że Tess rzeczywiście ma teraz nowe, nie takie płytkie podejście do życia i że zależy jej bardziej na wnętrzu człowieka niż na jego wyglądzie.

Jak już zdecydowałam, że wykorzystam Jonty'ego, to chciałam jak najprędzej zrobić te zdjęcia. A tymczasem za sprawą ironii losu, kiedy ten jeden raz go potrzebowałam, to akurat dokądś wyszedł i musiałam czekać półtora dnia, zanim wreszcie wrócił do mieszkania. Było to niedzielne popołudnie i Jonty wyjaśnił mi, że impreza na cześć dnia świętego Jerzego organizowana w piątek, cytuję, „przemieniła się w niezły melanż”. On i jego znajomi najwyraźniej uważali nawet najbardziej nieokreślone okazje za wymówkę, żeby móc się upić. Zaczekałam, aż zamknie się w swoim pokoju i włączy muzykę, po czym zapukałam do jego drzwi. Od czasu, kiedy się wprowadził, ani razu jeszcze nie nawiązywałam z nim kontaktu jako

pierwsza, dlatego otworzył mi drzwi z zaskoczoną miną.

– A cześć!

Ja z kolei przeżyłam szok, ponieważ był ubrany w samą bieliznę i pierwszym, co rzuciło mi się w oczy, była jego pierś porośnięta gęstwiną jasnych włosów. Odwróciłam wzrok i rozejrzałam się po wnętrzu. Nie oglądałam pokoju od czasu, kiedy się wprowadził, i teraz widziałam, że Jonty przeobraził to zasadniczo pozbawione wyrazistych cech pomieszczenie w coś, co mogłam określić jedynie mianem obrzydliwego śmietniska. Nie przypominało to bałaganu w pokoju Tess, gdzie mimo panującego chaosu można było przynajmniej stwierdzić, że jej dobytek to rzeczy dobrej jakości; tutaj patrzyłam na standardowy, tani chlew. Ściany były wytapetowane zdjęciami przedstawiającymi Jonty’ego i jego znajomych, a także zdjęciami wyciętymi z czasopism. Zauważyłam też wielki plakat z kotem w okularach słonecznych i jeszcze jeden z zespołem o nazwie The Stone Roses. Na łóżku leżała kołdra nienakryta żadną narzutą, a poza tym w ścianie ziały spore dziury w miejscach, gdzie wydłubany został tynk.

Jonty zauważył, że patrzę na ścianę, i wyjaśnił, że próbował zawiesić półkę, ale mu spadła, bo te ściany są takie miękkie.

– Zrobię z tym porządek – dodał. – Sorry, sorry, sorry.

Odparłam, że mi to nie przeszkadza, chociaż przeszkadzało, a potem chrząknęłam i powiedziałam, że z racji tego, że dzień jest ładny, postanowiłam przejść się na spacer i chciałam spytać, czy może ma ochotę się przyłączyć. Jonty zdziwił się jeszcze bardziej i był najwyraźniej bardziej zachwycony, niż ta propozycja na to zasługiwała.

– Super! – powiedział. – Chodźmy na plażę!

– Jaką plażę?

– Tę nad Tamizą, o której ci opowiadałem. To tylko pięć minut stąd.

Nie pamiętałam, żeby mi opowiadał o jakiejś plaży, i uznałam, że pewnie coś mu się pomyliło, ale pokiwałam głową. – Jest dość mocne słońce – wskazałam. – Może powinieneś wziąć okulary słoneczne.

– Pewnie – odparł. – Nigdy się z nimi nie rozstaję.

A zatem na razie wszystko szło po mojej myśli.

Zgodnie z jego sugestią wstąpiliśmy do Londisa, żeby kupić coś na „piknik”. Ja wybrałam torebkę chipsów i butelkę soku Ribena, on natomiast wypełnił swój koszyk po brzegi najrozmaitszymi rzeczami: słoiczkami z oliwkami i pastami do smarowania chleba, bagietką oraz kilkoma puszkami piwa. Przywitał się z mężczyzną stojącym za ladą, jakby go znał. Kiedy wyszliśmy ze sklepu, szepnął:

– Zauważyłaś, że Manu chowa biały ocet winny do lodówki, obok chardonnay?

A potem poprowadził mnie jakąś boczną uliczką w kierunku przeciwnym do Tesco, w jakieś zupełnie mi nieznane rewiry. Minęliśmy pub, przed którym wystawiono tablicę z napisem: „Dziś wieczorem: Clive Stevens na żywo!”. Dość prędko nasze otoczenie wyładniało, asfalt na drodze ustąpił miejsca kamieniom brukowym, a zamiast domów z nowej, czerwonej cegły pojawiły się starsze, jakby wykoślawione i białe. Jonty bez chwili przerwy komentował naszą przechadzkę historią Rotherhithe, którą najwyraźniej zgłębił.

Po kilku minutach znaleźliśmy się nad rzeką. Nie miałam pojęcia, że to tak blisko mieszkania; jak już wspominałam, moja wiedza o Rotherhithe ograniczała się do metra, Tesco Extra oraz Albion Street. Wzdłuż rzeki biegła ścieżka, poza tym widać było z oddali most Tower oraz wysokie budynki należące do City. Było tam nawet ładnie.

I Jonty miał rację – za ścieżką znajdowała się plaża, do której schodziło się po drabinie, z wyglądu raczej chwiejnej. Plaża okazała się niewielka i kamienista, poza tym walało się na niej sporo śmieci wyrzuconych przez rzekę, plastikowe butelki i tym podobne, niemniej była to plaża.

Wcześniej planowałam, że sfotografuję Jonty’ego na tle nieba, ale przyszedł mi do głowy nowy pomysł: ta plaża mogła przecież udawać plażę w Sointuli – też była kamienista. Gdybym tak zrobiła Jonty’emu zdjęcie z bliska, wycinając otoczenie, to prawie wcale nie musiałabym używać Photoshopa.

Byłam zadowolona tym nieoczekiwanym i szczęśliwym rozwojem wypadków, ale zachowałam swoje podniecenie dla siebie. Najpierw

zeszliśmy po drabinie i usiedliśmy na kamieniach, żeby urządzić sobie nasz piknik. Przyszło mi na myśl, że to jest mój pierwszy posiłek w życiu, który jem sam na sam z mężczyzną, i trochę się bałam, że nie będziemy mieli o czym rozmawiać. Ale okazało się, że bez powodu. Jonty paplał radośnie o historii dzielnicy, o piratach i statkach wielorybnych.

– Wyobraź sobie to wszystko, co się tu działo, na tej plaży – powiedział.  
– Czysty obłąd.

Wyjaśniłam, że raczej nie rozmyślałam o takich rzeczach i że historia nie bardzo do mnie przemawia. Zareagował przesadnym zdziwieniem.

– To ciebie nie interesuje, jakie jest w tym twoje miejsce? – zapytał.

– Nigdy się nad tym nie zastanawiałam – odparłam obojętnie, bo byłam rozkojarzona wspomnieniem czegoś, co raz powiedziała mi Tess: że poszła na przyjęcie do jakiegoś mieszkania z widokiem na Tamizę, upiła się, a potem weszła w błoto na brzegu, niszcząc sobie sukienkę. Przyglądałam się domom stojącym nad wodą, z rzędami pustych, małych balkonów, i zastanawiałam się, czy to mogło być któreś z tych mieszkań. Wyobraziłam ją sobie, jak stoi oparta o poręcz, z szeroko rozpostartymi ramionami, jak w tej scenie z *Titanica*, ignorując usilne błagania znajomych, żeby wracała do środka.

Jonty tymczasem rozgadał się na temat swoich zajęć z aktorstwa, opowiadając, jak wykonywali ćwiczenie, w ramach którego całą grupą poszli do londyńskiego zoo i tam każdy wybierał sobie jakieś zwierzę, a potem przez całe popołudnie musiał odgrywać to zwierzę na oczach wszystkich. Jonty zdecydował, że będzie małpą.

– No bo to chyba oczywiste, prawda? Czym jeszcze mógłbym być? – zapytał.

A potem dorzucił anegdotę o „zdeminiastykowanej” dziewczynie z jego grupy, która postanowiła zostać gazelą. Wieść się natychmiast rozeszła i w dniu, w którym ćwiczyli swoje role, aż czterech mężczyzn postanowiło, że będą lwami, i potem przez całe popołudnie próbowali ją upolować.

Była to dość zabawna historyjka, więc postanowiłam, że wieczorem

opowiem ją Connorowi. Jej autorstwo zamierzałam przypisać Leonorze, która kiedyś tam była aspirującą aktorką.

– Jesteś dobry jako aktor? – zapytałam.

Parsknął śmiechem.

– Nie bardzo. Wychodzi na to, że umiem być tylko sobą i nikim więcej, a to jest raczej mało optymalne. Ale zgłosiłem się do reklamy pewnej firmy ubezpieczeniowej i oddzwonili. Zależy im, cytuję, „na przygłupim facecie”. To potrafię, więc nawet się podjarałem sprawą.

Wskazałam, że to zakrawa na ironię losu: porzucił pracę w firmie, która oprócz kart oferuje ubezpieczenia, żeby grać, a teraz może będzie taką firmę reklamował.

– W ogóle tak o tym nie myślałem – powiedział. – Ale tak, możliwe, że jestem hipokrytą. – Z tonu jego można było wnosić, że ani trochę się tym nie przejmuje. – A ty opowiesz coś o sobie? Co ty tam robisz w swoim pokoju całymi dniami?

Przygotowałam się na to pytanie, więc teraz wyjaśniłam mu, że piszę scenariusz filmowy.

– No nie gadaj! – zawołał, szeroko otwierając oczy. – O czym to będzie?

– Romans – odparłam.

Westchnął wtedy potężnie i położył się na kamykach. Pewnie musiały go nieźle zaboлеć plecy.

– Nic mi nie mów o miłości. W tym to jestem totalnie beznadziejny. Po prostu dostaję obsesji i potem taka myśl, że jestem walnięty. Stale się zakochuję w dziewczynach, które nie chcą nic, tylko się trochę zabawić.

Do tego czasu zjadłam już wszystkie swoje chipsy, ale Jonty wciąż jeszcze przeżuwał bagietkę – miał zwyczaj składania sobie każdego kęsa w taki sposób, że brał po odrobinie wszystkich tych dodatków, które kupił; po prostu wspierał się na łokciach i konstruował maleńką wieżyczkę z sera, szynki i smarowidła. Robiłam, co mogłam, żeby ukryć zniecierpliwienie, i w chwili, w której przestał wreszcie przeżuwać, wyjęłam telefon i zapytałam, czy mogę zrobić mu zdjęcie.

Zgodził się bardzo chętnie – „pod warunkiem że mi je podeślesz” – i przybrał zrelaksowaną pozę, odchylając się w tył. Zasugerowałam, żeby włożył z powrotem okulary, bo zdjął je na czas jedzenia.

– Tak, chyba lepiej zamaskować tego kaca.

Kiedy je włożył, tak jakby od niechcienia odsunęłam na bok nasz prowiant, żeby nie było widać angielskich opakowań, i zrobiłam zdjęcie z góry, dzięki czemu w tle widziało się samą plażę. A potem Jonty uparł się, że też mi zrobi zdjęcie, na co mu pozwoliłam, żeby nie uznał całej sprawy za dziwną.

Potem powędrowaliśmy z powrotem do mieszkania. Jonty był najwyraźniej zachwycony tą naszą krótką wycieczką.

– Dobrze jest sobie połążyć – stwierdził.

Pozwoliłam mu sobie uściskać, starając się przy tym nie okazać, jak bardzo mi się to nie podoba.

Kiedy wróciłam do swojego pokoju, przygotowałam zdjęcie – miałam rację, wystarczyła tylko odrobinka Photoshopa – i napisałam maile do Justine, Shony i Simona. OK, no więc poznałam jednego gościa... Do Marion też zamierzałam o tym napisać, tylko później i bardziej formalnym językiem.

Justine odpisała natychmiast. Ożeż kurwa nie wierzę. Albo nawet wierzę, tylko to TAKIE NIESPRAWIEDLIWE! Ja się od dwóch lat nikogo nie dorobiłam, a ty jeszcze nie rozpakowałaś kosmetyczki, a już kogoś masz.

W międzyczasie odpowiedział też Simon, w swój typowy, bezceremonialny sposób.

Całkiem milutki, ale muszę go zobaczyć bez okularów. Oczy = okno duszy i tak dalej.

Nie zwróciłam na to szczególnej uwagi w owym czasie. Simona lubiłam najmniej spośród znajomych Tess. Podczas gdy wszyscy inni najwyraźniej brali każdą rzecz, jaką mówiła Tess, za dobrą monetę, Simon, zdaje się, uważał, że jego rola polega na podważaniu wszystkiego, jakby znał Tess

lepiej niż ona siebie. Oczywiście cenię ludzi, którzy dużo myślą i którzy wyrażają sprzeciw wobec aktów głupoty, ale on nie robił tego w inteligentny sposób; on po prostu reagował odruchowo. Był też bardzo płytki: socjalizował się z ludźmi, którzy są „cool”, i osądzał innych wyłącznie na podstawie tego, w co się ubierali. Robił to nawet wobec osób, które rzekomo przyjaźniły się z nim i Tess, na przykład Joy, której nie aprobował, bo stale nosiła dzinsy typu bootcut. Opisując w mailu do Tess wieczór na mieście, oznajmił, że klub nie okazał się wcale taki elegancki, jak liczył, bo było w nim pełno ludzi z suburbiów, w tym wielu w rozmiarze dwanaście. Miał dziewięciuset trzydziestu znajomych na Facebooku, a jego posty były banalne i budziły irytację, bo na przykład zawierały linki do piosenek, które wszyscy mieli natychmiast odsłuchać, bo on tak sobie życzył, względnie po prostu pisał, gdzie akurat jest – Vauxhall. U siebie. Berlin – jakby świat miał zaraz przestać istnieć, jeżeli nie pozna dokładnie jego miejsca pobytu.

Ale ten jego komentarz utkwiał mi w głowie, bo pobrzmiewało w nim to samo coś, co nie dawało mi spokoju w związku z Connorem: tak naprawdę to wcale nie wiedziałam, jak on wygląda. Na jedynym jego zdjęciu, jakim dysponowałam, tym zrobionym w parku, on też nosił okulary. Wiedziałam, że w tłumie innych ludzi raczej bym go nie zauważyła. Owładnęło mną nagle, przemożne pragnienie, żeby zobaczyć jego twarz.

Potem przyszło mi do głowy, że przecież obejrzenie Connora we własnej osobie to rzecz najprostsza pod słońcem i że niczego nie ryzykuję, jeśli to sobie załatwię. Wiedziałam, że pracuje w kancelarii prawniczej Asquith & Partners w Temple. Wiedziałam mniej więcej, jak wygląda. I na podstawie naszych maili dość dobrze znałam jego rozkład dnia.

Mój plan zatem polegał na tym, że przejdę się obok jego biura w porze lunchu, w taki dzień, kiedy wiedziałam, że on będzie tam właśnie, a nie w sądzie, i zaczekam, aż wyjdzie na lunch. Wtedy będę mogła mu się dobrze przyjrzeć. A zrationalizowałam to sobie w ten sposób, że przecież mogłoby to wspomóc moją pracę dla Tess, gdybym gruntownie poznała jednego z jej korespondentów. Wszelkie informacje, jakie zdobyłabym na temat Connora, byłyby szalenie istotne dla mojej pracy.

Tamtego wieczoru, kiedy sobie mailowaliśmy, zapytałam go, co będzie



robił następnego dnia, czy się wybiera do sądu. Odpowiedział, że utknął w biurze, że pracuje nad jakąś szczególnie nudną sprawą. Po czym zapytał mnie, co ja będę robiła, a ja odpisałam, że czeka mnie podwójna sesja z Natalie, tą dziewczynką, którą uczę u niej w domu, bo przygotowuję ją do egzaminów stypendialnych do szkoły plastycznej w Vancouverze.

Następnego dnia obudziłam się dopiero w południe, bo nie usłyszałam budzika nastawionego na 11, a ponieważ nie miałam czasu iść po swoje rzeczy do pralni, włożyłam spodnie dresowe i T-shirt, które nosiłam poprzedniego dnia. Uznałam, że mój strój tak naprawdę nie ma znaczenia: ostatecznie Connor i tak się nie zorientuje, kim jestem; może nawet mnie nie zauważy. Wsiadłam z metra na stacji Temple i mapa w Google'u kazała mi zboczyć z głównej ulicy w jakiś stary pasaż, niewiele szerszy ode mnie, na którego końcu otworzyła się przede mną przestrzeń – taka, na której widok wydałabym głośny okrzyk zachwytu, gdyby to było w moim stylu. Bo to miejsce miało wygląd sekretnego, magicznego miasta. Ulice były brukowane, a budynki nadzwyczaj stare; stał tam też piękny kościół zbudowany z kamieni koloru Werther's Originals. Widziałam bardzo niewiele samochodów i w ogóle śladów współczesności – to mogło być miejsce z któregoś z filmów o Harrym Potterze. Poza tym panowały tam cisza i spokój, a bodajże wszyscy ludzie, których zauważyłam, nosili wyjściowe ubrania w ciemnych kolorach, jakby gdzieś znajdował się znak doradzający dress code, którego ja przy wchodzeniu tam nie zauważyłam. Trudno było uwierzyć, że to miejsce znajduje się naprawdę w Londynie, i pamiętam, jak poczułam przelotny żal, że mama nigdy mnie nie zabierała do takich dzielnic, że cały czas spędzałyśmy w domu.

Trochę to potrwało, zanim znalazłam biura Asquith & Partners, które mieściły się w wąskim i krzywym budynku. Obok czarnych drzwi wejściowych wisiała tabliczka z kilkoma nazwiskami. Connora wśród nich nie było, ale wiedziałam, że on jeszcze nie został partnerem kancelarii, więc być może dlatego go nie zamieścili. Naprzeciwko znajdował się niewielki park, więc usiadłam tam na ławce, żeby poczekać.

Była wtedy 12.50. Zakładałam, że Connor wyjdzie na lunch gdzieś między trzynastą a czternastą, ale oczywiście nie mogłam być tego pewna. Miałam przy sobie darmową gazetkę, którą wzięłam sobie w metrze, i

udawałam teraz, że ją czytam, na moment jednak nie spuszczać oka z wejścia do tego budynku.

Ławka stała niedogodnie, bo tyłem do siedziby kancelarii Connora, dlatego stale musiałam się okręcać. Oczywiście bardzo dokładnie obejrzałam sobie jego zdjęcie, ale i tak się bałam, że go przeoczę, bo mężczyźni w garniturach wyglądają dość podobnie. Poza tym nie miałam pojęcia, kiedy to jego zdjęcie zostało zrobione, i uznałam, że od tego czasu mógł obciąć włosy i przytyć albo schudnąć.

Okazało się jednak, że natychmiast go rozpoznałam. Była 13.17 i właśnie czytałam pobieżnie artykuł o nastolatku zadźgany nożem, kiedy drzwi się otworzyły i zobaczyłam go.

Nie byłam przygotowana na to, jaki wpływ wywrze na mnie widok Connora we własnej osobie. Omalże zakręciło mi się w głowie i zaczęło mi łomotać serce; kiedy podnosiłam się z ławki, miałam wrażenie, że brakuje mi kości w nogach. Myślę, że to był tylko taki wybieg; pamiętam, że miałam mniej więcej takie samo uczucie, kiedy obserwowałam Mike'a zza zasłony przy Leverton Street.

Connor był w towarzystwie starszego mężczyzny, obaj mieli na sobie ciemne garnitury. Najwyraźniej toczyli ożywioną rozmowę, idąc ulicą. Connor trzymał ręce w kieszeniach spodni; starszy mężczyzna wyciągnął papierosa i zapalił go, nie zatrzymując się.

Ruszyłam za nimi, nadal na słabych nogach, przyspieszyłam jednak kroku, żeby dystans między nami zmniejszyć do około dziesięciu jardów. Dla uspokojenia powtarzałam sobie, że Connor żadną miarą nie wie, kim jestem. Oczywiście mogłam oglądać zasadniczo jedynie tył jego głowy. Jego włosy różniły się od tych na zdjęciu; teraz wyglądały jak mokre i były gładko zaczesane do tyłu. Co jakiś czas obracał się, żeby powiedzieć coś do idącego obok mężczyzny, i wtedy przelotnie widziałam jego profil, ale oczywiście absolutnie nie mogłam przyjrzeć się dokładnie jego oczom.

Zastanawiałam się, czy ten drugi mężczyzna to może być Colin, ten kolega, o którym Connor często wspominał w mailach. Colin, pisał Connor, był „porządnym gościem”, ale bywał też pedantem i nudziarzem i Connor uwielbiał go wkurzać. Nie wspomniał jednak, że Colin jest palaczem, i jakoś

teraz chyba nie uważał tego człowieka za nudnego. Wprost przeciwnie, zaśmiewał się serdecznie z czegoś, co powiedział Colin. Kiedy obracał głowę, widziałam zmarszczki w kącikach jego oczu, gdy się śmiał.

Brzmi to dziwnie, wiem, ale kiedy widziałam ich, jak śmieją się tak razem, czułam lekkie ukłucie niezadowolenia, że Connor uważa jakąś inną osobę za zabawną i godną rozmowy z nim. Powiedział mi któregoś razu, że pisanie do mnie to główna atrakcja jego dnia, i dlatego przypuszczam, że spodziewałam się zobaczyć go bardziej nieszczęśliwego, niż wyglądał. Ale równie prędko, jak ta myśl wpadła mi do głowy, udzieliłam sobie reprimendy, że jestem taka bezrozumna. Należało się cieszyć, że on lubi swoje miejsce pracy i towarzystwo kolegi.

Pokonali na tej jednej ulicy jakieś sto jardów, a potem skręcili w bok w mniejszą, brukowaną uliczkę, po czym zatrzymali się przy jakimś barze. Musieli tam chyba sprzedawać bardzo dobre sandwicze, bo kolejka skrzycona niczym wąż wylewała się za drzwi. Connor i ten drugi ustawili się na samym końcu. Zawahałam się i w trakcie gdy tak stałam beczynn timer, jakaś kobieta ustawiła się tuż za nimi. Prędko zajęłam miejsce za nią.

Właściwie to dobrze się stało, że nie znalazłam się bezpośrednio za Connorem; serce biło mi bardzo głośno i bałam się, że wszyscy w kolejce to usłyszą. W żołądku miałam dziwną pustkę, niby inną od uczucia głodu, a jednak podobną.

Nawet mimo dzielącej nas kobiety stałam dostatecznie blisko, by słyszeć strzępy rozmowy między Connorem a jego kolegą. Zdaje się, że rozmawiali o jakimś piłkarzu, który bardzo źle się spisał poprzedniego wieczoru.

– Co za jajcarz – powiedział Connor. – Nie uwierzę, że nie zauważył pola karnego.

– Szkolny błąd – zgodził się z nim kolega.

Z takiej bliskości czułam cytrynowy zapach, który, zdaje się, bił od Connora, zauważyłam też, że jest taki obszar wielkości ciastka Wagon Wheel na jego głowie, gdzie rzedną mu włosy. Kark miał świeżo wygolony i naszła mnie ta dziwna, przelotna ochota, żeby dotknąć jego skóry w tym miejscu. Przyjrzałam się też uszom, które odstawały identycznie jak na zdjęciu, i tak sobie wyobraziłam, że gdybym zrobiła krok w przód,

mogłabym powiedzieć do nich szeptem rzeczy, od których przeżyłby największy szok w życiu. Różne prywatne rzeczy, o których pisał mi w mailach. Wyznał na przykład, że kiedy był nastolatkiem, to podkochał się w piosenkarce z popowego zespołu T'Pau i że do teraz dostawał dreszczy, kiedy słyszał tę nazwę. Mogłam wyszeptać mu właśnie tę nazwę do ucha. Mogłam mu powiedzieć, o czym myślał w sądzie poprzedniego dnia, podczas wysłuchania tego Polaka, który kradł w sklepie: że myślał o artykule z czasopisma „GQ” o badaczu Antarktydy, który musiał jeść pingwiny cesarskie, żeby przeżyć.

Oczywiście nie powiedziałam nic z tego. Kolejka krok po kroku zbliżała się do lokalu, w którym za szklaną ladą tężały sterty składników kanapek. Byłam ciekawa, co wybierze Connor, i stwierdziłam, że pewnie coś rybnego: powiedział mi, że jest zazdrosny o te świeże owoce morza dostępne w Sointuli. Nie mogłam się powstrzymać i uśmiechnęłam się przelotnie, kiedy przyszła jego kolej i poprosił o pszenną bagietkę z majonezem krabowym. I wiedziałam, z niemal stuprocentową pewnością, że do sandwicza zje chipsy serowo-cebulowe, bo zwierzył mi się podczas którejś z naszych „ironicznie trywialnych” żartobliwych rozmów, iż boi się, że autentycznie się od nich uzależnił, bo czuje się chory, jeśli nie zje paczki dziennie.

Nie przyszło mi natomiast do głowy, że niebawem będzie moja kolej i że energiczny mężczyzna za ladą zapyta, czego sobie życzę. Tak więc zostałam wzięta z zaskoczenia i poprosiłam o pierwszą lepszą rzecz, jaka mi przyszła do głowy, czyli paczkę chipsów serowo-cebulowych.

Dopiero gdy ten mężczyzna zażądał w zamian 50 pensów, dotarło do mnie, że przecież nie zabrałam z sobą pieniędzy. Przypomniałam sobie jednak, że często znajdowałam jakieś monety pod podszewką mojej kurtki, bo wpadały tam przez dziury w kieszeniach, dlatego obmacałam palcami materiał, sprawdzając, czy nic tam się nie ukryło. Natrafiłam na kilka obiecująco twardych krążków, ale musiałam je przesuwając przez podszewkę i w końcu wyborowałam palcem trochę większą dziurę, żeby zdobyć do nich dostęp.

Byłam tak pochłonięta tym zadaniem, że ledwie zarejestrowałam głośne westchnienie mężczyzny zza lady i jego „Słucham, co podać?”, kiedy przyjmował zamówienie od osoby stojącej za mną. Po jakiejś minucie

wyskubałam wreszcie pięć monet spod podszewki. Kiedy je ułożyłam na szklanej ladzie, zorientowałam się, że wszystkiego jest trzydzieści osiem pensów.

W tym czasie mężczyzna obsługiwał już kolejne osoby z kolejki, a chipsy zostawił obok monet. Przeliczałam je kolejny raz, kiedy zdarzyło się coś zdumiewającego: Connor podszedł bliżej. On i jego kolega stali dotąd z boku, czekając, aż ich kanapka zostanie zgrillowana, i pewnie przyglądał mi się, jak tak gmeram pod podszewką. Położył monetę dziesięciopensową i dwupensową obok moich monet.

– I problem z głowy – powiedział i obdarzył mnie cudownym uśmiechem.

Zapatrzyłam się na niego. Jego oczy były jasnoniebieskie i prawie znikwały, kiedy się uśmiechał. Potem mężczyzna zza lady wręczył jego koledze sandwicza spakowanego do papierowej torebki i Connor obrócił się, żeby wyjść z baru.

Kusiło mnie, żeby iść za nimi w stronę kancelarii, ale byłam tak wzburzona wewnątrz, że skierowałam się w drugą stronę i ruszyłam brukowaną ulicą, starając się uspokoić. Nie byłam nawet w stanie jeść swoich chipsów. Przez jakieś dwadzieścia minut błąkałam się bez celu. A potem przysiadłam na krawężniku i zalogowałam się na konto Tess na Gmailu.

Czułam straszliwą potrzebę zobaczenia maila od Connora. Musiałam się dowiedzieć, czy wspomni o spotkaniu ze mną w barze kanapkowym. Za pierwszym razem, kiedy się zalogowałam, nie było od niego nowej wiadomości, ale dwadzieścia minut później już była. Zawierała jednak tylko link do jakiegoś klipu na YouTube, z wiadomością: Moim zdaniem jest do ciebie podobna. Nie napomknął o incydencie podczas lunchu. Byłam wprawdzie lekko rozczarowana, ale wyciągnęłam wniosek, że Connor pewnie systematycznie uprawia takie drobne akty dobroci: ten nie był dla niego wart wzmianki.

Po powrocie do domu uruchomiłam ten link. Był to teledysk z jakąś piosenkarką wykonującą skomplikowany, hipnotyzujący taniec w towarzystwie tłumu ludzi ubranych w bardzo kolorowe trykoty. „One, two, three, four, tell me that you love me more”<sup>1</sup>, śpiewała ta kobieta. Miała

trochę cech łączących ją z Tess – szczupła, ciemne oczy, grzywka – ale nie była aż tak atrakcyjna.

A moim zdaniem ja jestem ładniejsza, odpisałam.

To się rozumie samo przez się, odpisał na to Connor.

Jest już 5.20 nad ranem i ikonka mojej baterii błyska na czerwono. Namiot jest jeszcze zamknięty na zamek, ale wiem, że robi się już jasno; płótno nabrało barw i ptaki zaczęły swój obłąkańczy świergot. Przed chwilą zauważyłam jakiś kształt przemykający obok i aż się wzdrygnęłam, ale myślę, że to był pewnie jeden z tutejszych psów albo Milo szedł do latryny. Oby tak było. Dobranoc.

1. „Raz, dwa, trzy, cztery, powiedz, że mnie kochasz bardziej” to słowa z piosenki wykonywanej przez Leslie Feist. [\[wróć\]](#)

## Poniedziałek, 22 sierpnia 2011

Tego wieczoru opowiedziałam Annie o mamie. Nie miałam wcale takich intencji i teraz przejmuję się nie tyle możliwymi konsekwencjami – nie sądzę, że komuś to powtórzy – co raczej faktem, że mi się to wymknęło. Chyba musiałam być pod wpływem narkotyków. Nie żebym je zażywała, oczywiście, tylko zażywali je wszyscy dookoła i powietrze było gęste od słodkawego dymu, którego nie dawało się nie wchłaniać, i być może to właśnie osłabiło moje władze umysłowe.

Wszystko zaczęło się od tego, że mniej więcej około 15.30 Annie obudziła mnie i poinformowała, że najwyższy czas zacząć przygotowania do „święta pełni”. Dowiedziałam się, że zawsze kiedy jest pełnia, wszyscy mieszkańcy komuny wspólnie gotują posiłek, który potem wspólnie spożywają, i że każdy powinien „zakasać rękawy”. Wyjaśniłam jej, że nie znam tego zwyczaju i że nie będę w nim uczestniczyć, ale wtedy odparowała:

– Och, weź ty się zamknij.

I tak ostatecznie wyszło, że wstałam ze swojego materaca i poszłam za nią i jej dziećmi na główną polanę.

Przed wielkim tipi zorganizowano kuchnię polową, na którą składała się zardzewiała, prymitywna aparatura do gotowania oraz stoły na trójnogach, na których stały wiadra pełne warzyw. Dookoła kręciło się kilku mieszkańców komuny, zajętych siekaniem, taszczeniem różnych rzeczy i w ogóle zużywaniem większej ilości energii niż normalnie przez cały tydzień. Teraz już, po swoich dociekaniach, rozpoznawałam większość z nich: Davidego w kusych szortach; Niemkę Johannę ze srebrnymi kolczykami w brwiach; Marię, która miała grube, kolorowe pęczki na włosach opasane tulejkami przypominającymi palce; Francuza obsypanego okropnymi pryszczami. Wszystkimi procedurami zawiadywała najwyraźniej Deirdre, jedna z nielicznych osób w komunie, która nie była chuda – tylko wysoka i zwalista

jak lodówka. Deirdre obwieściła, że gotujemy gulasz z warzyw. Pokazano mi wiadro i kazano kroić marchewki, razem z Annie, Milem oraz drobnym Hiszpanem o pseudonimie Bandyta.

Jak już zaczęłam, to odkryłam, że siekanie nawet mi się podoba. Skupiłam się na cięciu identycznych krążków, mniej więcej grubości centymetra. Układałam je potem jak te żetony, które mają w kasynach, po dziesięć w każdej kupce. Monotonny, metodyczny charakter tej pracy wprowadził moje myśli w dryf i wtedy zaczęły mi się przypominać lunche u babci Margaret. Razem z mamą odwiedzałyśmy ją trzy razy w roku, w drugi dzień świąt Bożego Narodzenia, w Wielkanoc i w jej urodziny, a babcia zawsze podawała marchewkę z puszki. Tylko wtedy jadałam warzywa. Mama mówiła, że to całkiem niezły układ; ostatecznie większość rodziców zmuszała swoje dzieci do jedzenia warzyw codziennie.

Nie wiem, dlaczego nazywałyśmy ją babcią Margaret, bo przecież nie miałam żadnej innej babci, od której trzeba by ją było odróżnić. Mieszkała w domu opieki w Kent i zawsze miała włączone ogrzewanie, nawet podczas Wielkanocy. Kiedy mama zaczęła źle znosić wysokie temperatury, babcia nie zgodziła się skrócić kaloryfera. „Wszyscy mamy swoje dolegliwości”, powiedziała, jakby jej reumatyzm był tym samym co SM mamy. Mieszkała w Dworku pod Wiązem od tak dawna, jak sięgam pamięcią, bo dziadek Geoffrey zmarł w 1994 roku, ale i tak wciąż wyglądała na zirytowaną tym. Wiecznie narzekała, że personel nie robi różnych rzeczy, jak powinien, i że inni rezydenci są za starzy. Uważała też, że wszyscy próbują ją wykorzystać i obrabować, nawet własna córka. Mama zawoziła jej puszki z ciasteczkami i butelkę Irish Cream Bailey'a i babcia przyglądała się tym prezentom podejrzliwie, wachając butelkę i wkładając okulary, żeby przeczytać skład ciasteczek, jakby miała nadzieję, że znajdzie wśród nich truciznę. A potem podawała jakiś ohydny posiłek, na przykład wysuszoną pierś z kurczaka i do tego zawsze te obrzydliwe, rozmiękłe marchewkowe krążki.

Nigdy nie przychodziło mi do głowy, co mogłabym jej powiedzieć, a ona mną też się specjalnie nie interesowała, nawet w swoje urodziny, kiedy zgodnie z sugestią mamy dałam jej DVD z najlepszymi momentami z programu telewizyjnego *Polowanie na okazję*<sup>1</sup>. Tylko raz zastrzygła uszami, to znaczy w 2007 roku, gdy wydawało nam się, że może pójść na studia; gdy



mama o tym wspomniała, babcia zapytała, kiedy wyjeżdżam, a potem indagowała mamę o rozmiary mojej sypialni i czy ta jej wielka, brzydka szafa się w niej zmieści. W drodze powrotnej w pociągu mama wytłumaczyła mi, że po tym, jak dziadek dostał zawału, babcia Margaret uznała, że mama powinna jej zaproponować, żeby zamieszkała z nami przy Leverton Street, mimo że złożyła nam raz wizytę i wiedziała, że mamy tylko dwie sypialnie. Uważała, że mama popełniła błąd, nie wychodząc za mąż, bo wtedy miałyby większy dom. Była trochę „staromodna” w kwestii tego, że wychowywałam się bez ojca.

Podczas następnej wizyty na wieść, że podjęliśmy negatywną decyzję w związku ze studiami, była bardziej zrzędliva niż zwykle. Kiedy sięgnęłam po trzeciego herbatnika, postawiła puszkę poza moim zasięgiem i stwierdziła, że jestem za gruba. „Pobłażasz jej”, powiedziała do mamy, jakby mnie tam w ogóle nie było. „Wielkie, dziwaczne dziecko. Nigdy nie znajdzie nikogo, kto by ci ją zdjął z barków”. Mama zazwyczaj radziła sobie z nią uprzejmością, ale tym razem się rozgniewała i powiedziała, że nigdy nie chciała, żeby ktoś zdejmował mnie z jej barków i że jeśli pobłażanie to pozwalanie mi na bycie sobą i okazywanie mi miłości, w takim razie ona będzie dalej to robiła, i już.

Kiedy nadszedł ten moment, że mama nie była już w stanie pojechać z wizytą do Kent, to, czy babcia Margaret przyjedzie do Londynu czy nie, nie stanowiło kwestii. Nie przyjechała zresztą nawet na pogrzeb. Zamiast tego przysłała list, który miałam odczytać podczas ceremonii pogrzebowej. „Moja córka Susan była dobrym dzieckiem, które miało różne pasje i zamiłowania. Chociaż dorosłe życie nie do końca spełniło obietnice młodości, to jednak znosiła mężnie przeciwności losu i była szczęśliwa, wbrew okolicznościom, w jakich przyszło jej żyć”. Nie trzeba chyba dodawać, że tego nie odczytałam.

Byłam tak pochłonięta swoimi myślami, że pracowałam coraz wolniej, aż zatrzymałam nóż na marchewce. Z tej zadumy wyrwała mnie Deirdre, kładąc dłoń na moim ramieniu.

– Może tak przyspieszysz, co?

Rozejrzałam się i zobaczyłam, że pozostali skończyli już siekać i że od wielkich, metalowych urn ustawionych na ogniu bije para. Przyspieszyłam i

pokroiłam do końca swój przydział marchewek. W trakcie gdy gulasz się dusił, wszyscy pałętali się w pobliżu, przysiadając na ziemi i paląc te maleńkie papierosy, które co kilka minut trzeba było ponownie zapalać. Annie wróciła do vana, żeby zmienić niemowlęciu pieluszkę, więc przyłączyłam się do staruszka z siwymi włosami na klatce piersiowej i oklapniętym kapeluszem na głowie, z którym rozmawiałam drugiego dnia. Obok niego siedziała para, której w migoczącym świetle ogniska nie potrafiłam zidentyfikować tak od razu.

– Cześć, co u ciebie? – rzucił staruszek i zwrócił się do tamtych dwojga:  
– Ona tu przyjechała taksówką aż z lotniska, wiecie?

Najwyraźniej z tego właśnie jestem tu znana. Męska połowa pary zapytała mnie:

– Ile to cię kosztowało?

Kiedy mu udzieliłam informacji, zareagował zwyczajowym zassaniem oddechu i wymachem rąk, po czym powiedział do swojej przyjaciółki:

– W zeszłym roku była tu ta kobieta, która pojechała taksówką do Grenady, pamiętasz?

Do tej pory nie zwracałam szczególnej uwagi na to, co oni mówią, ale tym razem gwałtownie otrzeźwiałam, przypomniawszy sobie e-mail, który Tess otrzymała niedługo po „wymeldowaniu” od swojej przyjaciółki Jennifer, twierdzącej – błędnie, jak myślałam – że wypatrzyła ją w Alhambrze w Grenadzie.

– Kiedy to było? – zapytałam.

Powiedzieli, że w sierpniu.

Pokazałam im zdjęcie Tess, oni zaczęli się naradzać i stwierdzili, że tak, że to może być ona.

Jak dotąd była to najbardziej konkretna odpowiedź na moje dociekania. Kiedy zaczęłam im zadawać kolejne pytania, wyjaśnili, że poprzedniego lata mieszkali w komunie przez dwa miesiące i że z całą pewnością ona już tu była, gdy przyjechali. Kilka dni po ich przybyciu pojechała do Grenady, potem wróciła do komuny, gdzie spędziła jeszcze mniej więcej tydzień i

znowu wyjechała. Dokąd, tego już nie wiedzieli. Obozowała samotnie, jak się zresztą domyślałam. Ale podobno nie trzymała się na uboczu, choć tak bym ją sobie wyobrażała: była raczej towarzyska, powiedzieli, i często dołączała do innych we wspólnych miejscach w komunie.

Zapytałam, o czym mówiła.

– Nie mówiła wiele – odparł mężczyzna. – Była małomówna.

– Powiedziała, że podoba jej się mój naszyjnik – dodała kobieta.

– A jakie sprawiała wrażenie? – dociekałam.

Kobieta wzruszyła ramionami i wyjaśniła, że „była shanti”, co jak się okazało, w języku hipisów oznacza osobę „spokojną i szczęśliwą”.

– Już sobie przypominam, miała na imię Joan – dodała. Ta kobieta miała taki akcent, że usłyszałam „John”.

– Ale to męskie imię.

– Nie, nie – odparła. – J-O-A-N.

Joan, jak pewnie pamiętacie, to było imię kotki Tess, tej, która gdzieś zniknęła. Mógł to być zbieg okoliczności i dlatego starałam się za bardzo nie ekscytować. A poza tym, nawet jeśli ta „Joan” to rzeczywiście była Tess, i tak nadal nie uzyskałam bliższej wiedzy na temat tego, co się z nią stało. Tymczasem jednak były to najbardziej konkretne informacje i poczułam się zadowolona, bo moje przypuszczenia, że przyjechała do tej komuny, być może okazały się słuszne.

Tamci dwoje zajęli się własną rozmową, a ja wpatrywałam się w ognisko. Zawsze lubiłam ogień; po powrocie ze szkoły często rozpalałam ognisko w ogrodzie na tyłach domu przy Leverton Street. Tu na obrzeżu piekły się ziemniaki i obserwowałam, jak ich skórki marszczą się i czernieją. Dookoła zebrało się mnóstwo ludzi czekających na jedzenie i ponad wszechobecnym brzmieniem bongo i gitar unosił się teraz głośny gwar w różnych językach. Jeden z mężczyzn przyniósł z sobą dziwny, długi kij, który wydawał wulgarnie odgłosy, kiedy w niego dmuchał.

Gdy gulasz wreszcie się ugotował, ludzie zgromadzili się chciwie wokół garnków, ściskając w rękach talerze z folii aluminiowej, w które widocznie

zawczasu się zaopatrzyli. Mi nikt nie powiedział, że trzeba przyjść ze swoim talerzem, dlatego oczywiście go nie miałam, ale Annie przyniosła dla mnie zapasowy z vana. Zaczekałam, aż kolejka trochę się przerzedzi, potem podeszłam tam i poprosiłam mężczyznę, który nalewał z garnka, o małą porcję gulaszu i wzięłam sobie trzy kawałki gliniastego, białego chleba. Usiadłam obok Annie i Mila i już miałam zacząć jeść, kiedy Deirdre wydała z siebie głośny dźwięk, takie jakieś dziwne „Ommmm”. Wszyscy jej odpowiedzieli „Ommmm”, a potem ktoś zawołał:

– Dzięki za strawę!

Zamierzałam zjeść prędko i wrócić do swojego namiotu, a jednak nie wiedzieć czemu, kiedy już się najadłam, zostałam tam, gdzie siedziałam. Ku mojemu zdziwieniu stwierdziłam, że całkiem dobrze się bawię. Gdy zapadł zmrok, wielu ludzi włożyło bluzy z kapturami, tak jak ja, i czułam się teraz bardziej do nich podobna niż za dnia, kiedy paradowali ze swoimi zbrązowiałymi ciałami na widoku. Pamiętam, jak przyglądałam się tym wszystkim ludziom, którzy w kapturach naciągniętych na głowę i z twarzami rozświetlonymi blaskiem ogniska gwarzyli między sobą, i stwierdziłam, że w sumie wyglądają sympatycznie. A nawet jeszcze lepiej: miałam poczucie, że to nie jest grupa przypadkowo dobranych, nieznanym mi obcokrajowców, tylko że jesteśmy wszyscy częścią wspólnoty, jak jakieś plemię odpoczywające w nocy przed długą wyprawą albo bitwą. Dzieci biegały dookoła, karmiąc resztkami gulaszu psy – które, jak się zorientowałam, spokojnie potem wszystko wypluwały. Księżyc świecił jasno i nisko na niebie, a gwiazdy mrugały, jakby wysyłając do mnie wiadomości w alfabecie Morse’a. Ktoś stale dorzucał skórki pomarańczy do ognia, dzięki czemu w powietrzu unosił się upojny zapach i łączył się z innym słodkawym, gryzącym aromatem. Jak już zaczęłam to zauważać, stwierdziłam, że palą bodajże wszyscy oprócz mnie – bo nawet Annie przyjęła papierosa i raz się zaciągnęła – spostrzegłam też, jak Bandyta pokazuje podziwiającej go sąsiadce patyk z czymś mocno pachnącym, co wyglądało jak zielona wata cukrowa.

Obok mnie siedziała starsza kobieta o imieniu Esme, która miała siwe włosy splecione w drobnutki warkoczyki i zupełnie płaskie piersi. Prowadziła ożywioną dyskusję z mężczyzną, który przykucnął przed nią, na

temat za i przeciw jeżdżenia samochodem na oleju roślinnym. Z mojej drugiej strony Annie rozmawiała z Synth, kobietą z dreadami, mniej więcej w jej wieku, która też przyjechała do komuny ze swoimi dziećmi. Wsłuchałam się w ich rozmowę. Annie opowiadała jej o meblach i o tym, że chce zacząć je wyrabiać z bambusa. Synth zapytała, skąd zamierza go sprowadzać.

– Z Chin – odparła Annie.

– I to ci się podoba? – dopytywała się Synth.

– No cóż – odparła Annie. – To bardzo trwałe materiały. Synth potrząsnęła głową, a potem zaczęła wylewać z siebie potok słów, który jednak został zagłuszony, bo tamten mężczyzna znowu dmuchał w wydający wulgarne dźwięki pątyk. Kiedy urwał dla zaczerpnięcia oddechu, usłyszałam, jak Synth mówi:

– ...co z pandami?

Annie zaczęła się śmiać.

– E tam, moim zdaniem dadzą radę, bambusa jest pod dostatkiem. A resztą tych pand jest już tylko osiem, mam rację?

Usłyszawszy to, Synth jeszcze bardziej się ożywiła; jej długie, kościste dłonie cięły powietrze, kiedy ciągnęła swoje:

– Chiny im nie pomagają, bo eksportują wszystek bambus. A one muszą go jeść codziennie całe tony.

Wyraz twarzy Annie świadczył, że zaraz się rozgniewa nie na żarty; dostała też mocnych rumieńców. Pochyliłam się do przodu, podnosząc głos, żeby Synth mnie usłyszała:

– A co w tym złego, jeżeli pandom pozwoli się wyginać?

Synth i Annie obróciły się w moją stronę jak jeden mąż.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – zapytała Synth.

– Wymieranie to element życia na Ziemi. I jeśli pandy są nieskuteczne i niedostosowane do radzenia sobie z życiem, to w takim razie powinniśmy im pozwolić wymrzeć. Zwłaszcza jeśli przeszkadzają ważniejszym gatunkom. Nie powinniśmy być tacy sentymentalni. Powinniśmy ratować tylko to, co

jest warte ratowania.

Tym razem to Synth się zirytowała.

– Gadasz niesamowite idiotyzmy i...

Przerwało jej pojawienie się Bianki, tej drobnej kobiety z wygoloną głową, która napadła na mnie drugiego dnia. Bianca przykucnęła przede mną i zaczęła coś cicho mówić. Ogień trzaskał tak głośno, że nic nie słyszałam, i musiałam się nachylać w jej stronę, coraz bliżej i bliżej, aż wreszcie, kiedy omal nie dotknęłam policzkiem jej policzka, usłyszałam, że znowu gada o toalecie i dlaczego powinnam korzystać z wyznaczonego miejsca.

– Nie wierzę, że ty jeszcze o tym! – odparowałam. – Dość się namordowałam w życiu z gównem i nie mam ochoty oglądać twojego, OK? – A potem, żeby to wyjaśnić, dodałam jeszcze głośniej: – Musiałam podcierać tyłek mojej mamie.

Byłam, zdaje się, równie zdumiona swoim wybuchem jak Bianca. Mówiłam już, chyba odurzył mnie ten narkotyczny dym w powietrzu. Wtedy jednak własne słowa sprawiły mi przyjemność. Bianca obdarzyła mnie dziwnym spojrzeniem i zaczęła coś mówić do Esme, a ja przeniosłam uwagę z powrotem na Annie i Synth. Synth nadal paplała swoje i do ucha wpadło mi słowo „karma”. Jaki tu był związek, nie wiem, ale to słowo uwolniło coś we mnie i znowu poczułam, że muszę się wtrącić.

– Nie istnieje coś takiego jak karma – rzuciłam.

Annie i Synth spojrzały jeszcze raz w moją stronę.

– Nie chcę być chamska – powiedziała Synth, tym razem opanowanym głosem – a ty oczywiście masz prawo do swojego zdania, ale zlituj się, ile ty masz lat? Co ty wiesz?

– To są... – Próbowałam sobie przypomnieć słowo, którego użyłaby Tess – kretynizmy. Kretynizmy. Życie nie jest sprawiedliwe. Nie ma żadnej dobrotliwej siły, która cię nagrodzi za dobre uczynki. Moja mama była dobrym człowiekiem, który nigdy nikomu nie zrobił nic złego, a zachorowała na SM.

Annie opasała mnie ramieniem. Nie odtrąciłam jej.

– Moje ty biedactwo. Okropna sprawa.

I w tym momencie Synth zaczęła znowu gadać, klepiąc Annie po plecach, żeby przyciągnąć jej uwagę. Annie obróciła się w jej stronę, nadal obejmując mnie ramieniem, i potem słuchałam, jak rozmawiają, tak naprawdę nie słysząc słów. Patrzyłam na innych ludzi, którzy siedzieli dookoła ogniska, przekrzykując się wzajemnie, i już teraz nie miałam tego wrażenia, że wszyscy jesteśmy razem; zamiast tego czułam, że tu nikogo nie obchodzi, co mówi ktoś inny. Udawali, że ich obchodzi, ale tak naprawdę to chcieli tylko nadawać, a nie odbierać. Czego trzeba, zadałam sobie pytanie, żeby się autentycznie zainteresowali tym, co miałam do powiedzenia?

Ścisnęłam z całej siły kolano Annie, sprawiając, że obróciła się w moją stronę. Twarz Synth wykrzywiła się ze złości, że ktoś im przeszkadza.

– Zabiłam swoją mamę – powiedziałam cicho.

Ramię Annie na moich barkach wydało się znenacka bardzo ciężkie.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – spytała wyważonym tonem.

– Zabiłam ją. Morfiną.

Milczała. Syk ognia był ogłuszający, głosy pozostałych oddaliły się o całe mile. A potem zdjęłam jej ramię ze swoich barków, wstałam i powędrowałam do namiotu.

Annie wróciła dziesięć minut później. Słyszałam, jak układa Mila i niemowlę do snu w vanie, a potem jej kroki zbliżyły się do mojego namiotu. Uklękła i rozsunęła zamek zabezpieczający klapę wejściową.

– Chcesz pogadać? – zapytała.

– OK – odparłam i zabrałam się do opowiadania jej wszystkiego. Od samego początku, czyli tamtego sobotniego wieczoru w 2002 roku, kiedy niosła z kuchni masażer pełen ciepłej wody i przewróciła się po raz pierwszy. O wyrazie twarzy tych ludzi na Kentish Town High Street, którzy usuwali nam się z drogi, bo myśleli, że ona jest pijana, i o tym, jak biegłam wtedy za nimi i informowałam, że to wcale nie tak. Pieluchy. Dźwiganie. Jej bezużyteczne dłonie na kolanach, podobne do martwych ptaków.

Annie zapytała mnie o tamtą ostatnią noc. Wytłumaczyłam, że bardzo

trudno było zgromadzić zapas morfiny, bo pielęgniarki pilnie jej strzegły, i dlatego obmyśliłam plan. Pielęgniarki dawały nam laminowany arkusz wypełniony emotikonami, od uśmiechniętych po nieszczęśliwe, nazywając to skalą bólu. Kiedy przychodziły rano i pytały, jak ona się czuła w nocy, mówiłam im, że wskazywała najwyższy poziom złego samopoczucia na skali, nawet jeśli wcale tak nie było. Wtedy przepisywały stosowną dawkę morfiny, która miała być podawana kroplówką przez wenflon w jej rękę. Później, kiedy odchodziły, odkręcałam kroplówkę, ujmowałam małą ilość morfiny z wierzchu i przelewałam ją do buteleczki, którą trzymałam w lodówce. Buteleczka była po środku na wszy, który kupiłam w aptece i wymyłam do czysta. Powiedziałam Penny, że mam odwieczny problem z wszami, dlatego nie zbliżała się do buteleczki – dodatkowa korzyść była taka, że trzymała się na dystans również wobec mnie.

Całymi dniami ujmowałam morfinę, aż w końcu nazbierałam właściwą ilość. I potem, w jedną sobotnią noc – to musiała być sobotnia noc, bo pielęgniarki w niedziele nie przychodziły – zaczęłam powoli dozować ten zapas, co trwało dwadzieścia cztery godziny. Mama zapadła w śpiączkę i umarła. W poniedziałek rano zaczekałam, aż przyjdą pielęgniarki i zadzwonią po lekarza. Na świadectwie zgonu napisali, że przyczyną śmierci były komplikacje spowodowane przez SM.

Co, dodałam, nie było wcale taką nieprawdą.

Annie zapytała, czy mama poprosiła mnie wyraźnie, żebym podała jej morfinę.

– Nie – odparłam. – Wtedy już nie mogła mówić.

– A mówiła coś wcześniej o eutanazji?

– Nie – przyznałam. – Nie rozmawialiśmy o takich rzeczach.

– No to skąd wiesz, czy tego chciała?

Powiedziałam, że po prostu to wiedziałam. Widziałam to w jej spojrzeniu.

Annie powoli skinęła głową, z twarzą znieruchomiłą i poważną, a potem uścisnęła moją rękę.



– Chyba powinnam wracać.

Rozsunęła zamek i wstała, a ja nasłuchiwałam odgłosu jej kroków i szcęknięcia drzwi wana, kiedy zasuwała je za sobą.

Nie chcę stwarzać wrażenia, że zaniedbywałam Tess z powodu moich częstych kontaktów z Connorem. Wcale tak nie było. Niemniej prawda jest taka, że wcale nie musiałam się przeprocowywać, żeby jej życie toczyło się gładko. Po wstępnej gorączkowej aktywności po przybyciu do Sointuli Tess rozgościła się w nowym mieszkaniu i podjęła pracę jako nauczycielka Natalie. Zdobyła też grupkę nowych znajomych. W miarę nabierania wprawy pisanie i reagowanie jako Tess stawało się coraz łatwiejsze i teraz już prawie nie musiałam się zastanawiać, zanim wcisnęłam „wyślij”. Lwia część mojej pracy opierała się na pisaniu komentarzy do wieści z życia jej znajomych na Facebooku.

Większość ludzi, tak się wydawało, skupiała się na sobie samych – Tess była niby taką popularną osobą, a jednak stanowiła przypadek typu „co z oczu, to z serca”. Po kilku tygodniach nawet najbliżsi przyjaciele przestali okazywać zainteresowanie jej życiem – autentyczne zainteresowanie, zamiast stereotypowego „Jak leci?” doczepionego do ochoczego elaboratu na temat ich samych. Pierwsze zdjęcie z Tess w Sointuli, które zamieściłam na Facebooku, otrzymało sześćdziesiąt siedem lajków; to, które zamieściłam miesiąc później, dostało tylko nędzne dwa.

Byłam lekko przybita, że tyle moich starannych przygotowań idzie na marne – najwyraźniej nikt nie zamierzał pytać, dlaczego Finowie chcą się osiedlać w Sointuli albo co Natalie narysowała danego dnia, względnie jakim cudem Tess otrzymała B z egzaminu z historii na zakończenie szkoły średniej. A jednak dzięki temu miałam ułatwione zadanie i mogłam poświęcać więcej czasu na Connora.

Uznałam, że po incydencie w barze kanapkowym coś się zmieniło. Zaczęłam o nim myśleć w inny sposób. I niedługo potem – po jakichś pięciu, może sześciu dniach – napisał coś, pod wpływem czego pomyślałam, że jego uczucia także zmieniły tor.

Przede wszystkim powinnam wyjaśnić, że pisaliśmy w mailach o

*Narzeczonej dla księcia*. Connor zapytał, jakie książki lubiłam czytać w dzieciństwie, bo jego córka Maya właśnie zaczynała uczyć się czytać i nie bardzo wiedział, co jej kupić. Wspomniałam *Narzeczoną dla księcia*, omijając tylko fakt, że to jest nadal moja ulubiona książka. Następnego dnia, pod koniec skądinąd niewinnego maila na temat jakiegoś koncertu, na którym był poprzedniego wieczoru, napisał:

No to pa! I pamiętaj – najpierw mnie pocałuj.

Najpierw mnie pocałuj. Ta fraza nic dla mnie nie znaczyła i nie znalazłam jej ani w mailach Tess, ani w plikach z informacjami na jej temat. Google podpowiedział mi, że to jest tytuł włoskiego filmu o kochankach, których rozdzielono i którzy do końca życia tęsknią za sobą. Film miał premierę w 2003 roku, mniej więcej w tym samym czasie, kiedy Connor i Tess spotykali się z sobą, przez co fraza wydawała się sensowna.

Ale Connor nie napisał tej frazy z wielką literą na początku, a moim zdaniem zrobiłby tak na pewno, gdyby to było odniesienie do filmu. Podobnie jak ja był skrupulatny w takich sprawach.

A więc musiał to być jakiś prywatny żart, aluzja do czegoś, co jedno z nich powiedziało do tego drugiego, kiedy jeszcze byli z sobą. I, uznałam, to nie mógł być zbieg okoliczności, że użył tej frazy tak prędko po naszej rozmowie na temat *Narzeczonej dla księcia*, zwłaszcza że było w niej tyle samo słów co w zwrocie „Jak sobie życzysz”.

Jeżeli nie znacie *Narzeczonej dla księcia*, to informuję, że Westley, główny bohater, mówi „Jak sobie życzysz” do księżniczki Buttercup, kiedy chce jej powiedzieć „Kocham cię”, bo to jest taki ich szyfr.

*Jak sobie życzysz. Najpierw mnie pocałuj. Kocham cię.*

Normalnie nie wysnuwam pochopnych wniosków, ale w tym przypadku odniesienie wydawało się oczywiste.

Następnym krokiem było zastanowienie się, co czuję wobec takiego rozwoju wypadków. Nie zabrało mi to wiele czasu: fakt, że Connor mnie kochał, sprawił, że poczułam się bardzo szczęśliwa, i odruch nakazywał mi odpowiedzieć tym samym.

Niemniej, jak podejrzewałam, to irracjonalne, o ile nie wręcz niemożliwe,

być „zakochanym” w kimś, kogo się nigdy nie widziało na oczy. Trochę zgłębiłam sprawę, konfrontując rozmaite definicje emocji z moimi uczuciami do Connora, i z zadowoleniem odkryłam, że istnieje coś takiego jak stan „poprzedzający miłość”, który nosi nazwę limerencja.

„Poznawczy i emocjonalny stan przywiązania do drugiej osoby, albo nawet obsesji na jej punkcie, zazwyczaj doświadczany mimowolnie i charakteryzujący się silnym pragnieniem, aby ta osoba odwzajemniła się uczuciami o podobnej sile”.

Ten opis zgadzał się z moimi uczuciami i wyciągnęłam stąd wniosek, że być może doświadczam limerencji w związku z Connorem.

Stwierdziłam, że najlepiej postąpię – to znaczy, że tak postąpiłaby Tess – jeżeli nie przyznam od razu, że zauważyłam tę deklarację. Dlatego oboje z Connorem mailowaliśmy do siebie jak gdyby nigdy nic i dopiero cztery dni później na samym końcu maila opisującego lekcję malowania z Natalie z tamtego dnia zamieściłam coś podobnego:

*najpierw mnie pocałuj xxx*

A on odpowiedział tak:

*! xxx*

W kolejnej wiadomości utworzył skrót z tej frazy – *n.m.p.* Wzięłam z niego przykład i odtąd podpisywaliśmy wszystkie nasze maile w taki sposób, naszym własnym, prywatnym szyfrem. *N.m.p.*

A zatem sprawa stała się oficjalna. Zaczęłam się dostosowywać do stanu limerencji. Jednym z objawów, które sobie wyodrębniłam, było pragnienie asocjowania się z rzeczami, które lubił, by dzięki temu czuć się bliżej niego mimo braku jego fizycznej obecności. Z maili Connora czerpałam wprawdzie informacje na temat jego gustów i zainteresowań – w owym czasie zjadałam już trzy paczki chipsów serowo-cebulowych dziennie, sporo też czytałam na temat snowboardingu i fotografii, jego dwóch głównych hobby – to jednak łaknęłam więcej. Zainicjowałam figlarną grę mailową, w ramach której porównywaliśmy to, co lubiliśmy i czego nie lubiliśmy dziesięć lat wcześniej – czyli kiedy widzieliśmy się po raz ostatni – z czasem obecnym, żeby pokazać, jak bardzo się zmieniliśmy. Byłam nawet dumna z tego pomysłu, bo

nie tylko dostarczał mi informacji na jego temat, ale także dawał okazję do ustalenia, jak bardzo zmieniła się Tess przez te wszystkie lata. Że zasadniczo stała się inną osobą.

Connor przysłał mi swoją listę preferencji jako pierwszy, razem z objaśnieniami.

2002 -

Film: *Człowiek z blizną*

Książka: *Mr Nice* (Wiem, wiem. Jestem po prostu szczery, OK?)

Muzyka: Eminem

2011 -

Film: *Między słowami*

Książka: *Mistrz i Małgorzata* (potrzebowałem ośmiu lat, żeby się do tego zabrać, ale miałaś rację, to niesamowita powieść).

Muzyka: the XX

Moja kolej. Wybór w imieniu „dawnej” Tess z 2002 roku był łatwy: miałam listy stosownych informacji skompilowane na podstawie naszych rozmów oraz paragonów z jej zakupów.

Film: *Trzy kolory niebieski*

Książka: *Norwegian Wood* Haruki Murakamiego

Muzyka: Sześć suit na wiolonczelę solo Jana Sebastiana Bacha

Dla „nowej” Tess z 2011 roku zdecydowałam się, po pewnym namyśle, na kombinację jej gustów, moich i Connora.

Film: *Władca Pierścieni: Drużyna Pierścienia*

Książka: *Anna Karenina*

Muzyka: the XX (Bingo!)

Tamtej nocy ściągnęłam album naszego ulubionego zespołu, the XX, i przesłuchałam go trzy razy. Jeśli idzie o muzykę, było to nawet dość miłe dla ucha. Zdobyłam też *Człowieka z blizną* oraz *Między słowami* i obejrzałam oba te filmy. *Człowiek z blizną* był okropny, pełen potwornej przemocy i cieszyłam się, że to już nie jest ulubiony film Connora. *Między słowami* było lepsze, aczkolwiek nic się w tym filmie tak naprawdę nie działo i nie bardzo potrafiłam wyłowić z niego jakiś sens. Ale opowiadał o dwojgu ludzi, którzy lubili się wzajem, więc był sympatyczny. Również w celu lepszego zrozumienia Connora następnego popołudnia spędziłam nieco czasu w dziale kosmetycznym Tesco, wachając różne płyny po goleniu, żeby zidentyfikować ten cytrynowy zapach, który poczułam od niego w barze kanapkowym. W końcu jakiś mężczyzna ofuknął mnie za otwieranie opakowań, ale na szczęście znalazłam płyn, który pachniał dość podobnie, kupiłam go i codziennie spryskiwałam nim nadgarstek.

Nadal pisaliśmy do siebie. Jedną z rzeczy, które mnie zdumiewały, było to, jakie to wszystko łatwe. W szkole dziewczyny wiecznie rozmawiały o „zasadach”, co trzeba mówić i jak się zachowywać, żeby chłopak cię lubił. „Nie oddzwaniaj”. „Nie bądź taka chętna”. Tymczasem z Connorem wszystko, co powiedziałam, wydawało się właściwe i tak jakby sprawiało, że lubił mnie jeszcze bardziej.

A potem, dwa tygodnie po tamtym pierwszym „najpierw mnie pocałuj” od Connora, zdarzyło się coś, co na pewien czas odciągnęło moją uwagę od niego.

Do tego czasu pozostawiłam już trzy wiadomości w poczcie głosowej Marion – to znaczy te wszystkie wariacje na temat „Szkoda, że cię nie zastałam, u mnie wszystko w porządku”, które nagrałyśmy z Tess zawczasu. Po tej ostatniej wiadomości Marion przysłała maila.

Kochanie, wiesz, że w środy mam spotkania klubu czytelniczego, naprawdę spróbuj zadzwonić kiedy indziej. Cały czas próbuję się dodzwonić na Twoją komórkę, ale jest wiecznie wyłączona. Czy masz już zainstalowany telefon stacjonarny? Naprawdę musimy porozmawiać.

Poczułam się zirytowana i jednocześnie miałam satysfakcję. Zgłaszałam przecież Tess i Adrianowi swoje obawy, że Marion nie zadowolili się samymi wiadomościami nagrany na pocztę głosową i będzie się domagała lepszego kontaktu. Niemniej jednak nie wpadłam w panikę, jak zapewne by się stało, gdyby to się wydarzyło na wczesnych etapach projektu. To wyglądało raczej jak pomniejsza czkawka, a nie katastrofa, i to taka, z którą można się uporać pomysłowością.

Odsłuchiwałam jeszcze raz jedną z nagranych rozmów z Tess, chcąc sprawdzić, czy byłabym w stanie udawać jej głos. Niestety nie. Mój głos był znacznie wyższy, akcent nie taki „elegancki”, a poza tym odkryłam, że nie jestem urodzoną imitatorką: w rzeczy samej moje próby były śmiechu warte. Nawet kiedy mówiłam bardzo cicho, czyli uwzględniałam ten parametr, jakim była głuchota Marion, i dodałam trzaski w charakterze zakłóceń towarzyszących połączeniu na dużą odległość, stwierdziłam, że to nie przejdzie.

Od tego słuchania nagrań z naszych nocnych rozmów nieoczekiwanie pogrążyłam się w smutnym, refleksyjnym nastroju i minęło trochę czasu, zanim udało mi się ponownie skupić na bieżących sprawach. I wtedy przyszło mi na myśl, że może jednak istnieje sposób na wykorzystanie tych nagrań. Dysponowałam przecież wielogodzinnymi nagraniami z głosem Tess, które mogłyby stanowić surowy materiał do dalszej obróbki, było też możliwe, że istnieje program, który tworzy nowe zdania z pojedynczych słów i odgłosów.

Poszukiwania w Google’u ujawniły, że coś takiego rzeczywiście istnieje:

program, dzięki któremu można zmieniać sobie głos, wyposażony oczywiście w wirtualny odtwarzacz. Musiałabym zaimportować głos Tess do programu, nagrać własny i potem porównać je oba, dokonując korekt z wykorzystaniem equalizera i redukcji szumów. Po przeprowadzeniu całej procedury z porównywaniem moje słowa byłyby tłumaczone na słowa Tess, w trakcie gdy ja mówiłabym przez komputerowy mikrofon.

Było to ekscytujące odkrycie i na całe popołudnie odłożyłam wszystkie inne zajęcia. Po ściągnięciu pirackiej kopii tego programu zaimportowałam kilka godzin nagrań głosu Tess, co było zajęciem dość nużącym i skomplikowanym. Następnie wykonałam próbny test, powoli odczytując tekst, który miałam pod ręką – ulotkę z menu jedzenia na wynos z restauracji pode mną – i nagrałam rezultaty na dyktafon. Niestety, próba nie zakończyła się sukcesem. Różne proste słowa – „ryż”, „naan”, „krewetki” – mogły ujść, ale spora większość zupełnie nie przypominała głosu Tess i jeszcze całość miała takie blaszane, elektroniczne brzmienie, którego nie dałoby się wytłumaczyć połączeniem na dużą odległość.

Przez kilka kolejnych godzin bez końca powtarzałam cały proces, szukając właściwej kombinacji wysokości, intonacji i tembru. Przy każdym kolejnym nagraniu dodawałam kilka kwestii, w przekonaniu, że się przydadzą podczas mojej rozmowy telefonicznej z Marion: „Soczysta jagięcina w gęstym, kremowym, pikantnym sosie. Tak, mamo, to była najlepsza decyzja, jaką podjęłam w życiu. Kurczę duszone w maśle z posypką z migdałów. Jak tato sobie radzi z nową opiekunką? To niesamowite, że twój naszyjnik był pokazany w «Harper’s Bazaar»”.

Ostatecznie osiągnęłam coś, co moim zdaniem mogło od biedy ujść za głos Tess, ale w tym momencie było mi trudno zachować obiektywizm i stwierdziłam, że najlepiej będzie, jeśli przetestuję tę imitację, zanim wykorzystam ją w rozmowie z Marion. Najpierw, żeby mieć pewność, że nie przypomina mojego głosu, zadzwoniłam do Rashidy. Nie rozmawiałyśmy wprawdzie od jakiegoś czasu, ale ona nadal była drugą po mamie osobą, która znała mnie najlepiej. Ukrywszy swój numer, wystukałam numer jej komórki, z nadzieją, że go nie zmieniła od czasu naszej ostatniej rozmowy. I na szczęście odebrała.

– Cześć, to ja – powiedziałam z pomocą programu.

- Kto?
- Ja! No wiesz przecież! To ja!
- Przepraszam, ale...
- Naprawdę mnie nie poznajesz? – zapytałam.
- Czy to Kerry? – odparła.
- Chyba mam zły numer – powiedziałam z satysfakcją i się rozłączyłam.

Potem przysłała kolej na prawdziwy test: musiałam zadzwonić do kogoś, kto znał Tess. Po wielkim namyśle wybrałam jej przyjaciółkę Shell, która niedawno ogłosiła na Facebooku, że urodziła pierwsze dziecko. Oprócz tego, że Tess miała w tym przypadku uzasadniony powód, żeby nawiązać kontakt, to jeszcze aktualności Shell stale zawierały odniesienia do tego, jaka jest zmęczona, dlatego uznałam, że będzie zadowolona z krótkiej pogawędki.

Telefon odebrała kobieta, która mówiła omdlewającym głosem.

- Tak? Słucham?
- Shell, to ja!
- Kto?
- To ja. Chciałam ci pogratulować syna.
- Tak, dzięki. Przepraszam, kto mówi?

Nie chciałam jej naprowadzać, podając imię Tess, ale stwierdziłam, że wskazówka jest dozwolona.

– Przepraszam, że od tak dawna się nie kontaktowałam – powiedziałam. – Osiedlanie się tutaj było trochę wariackie. – Kiedy nie odpowiedziała, dodałam: – No i jeszcze ta różnica czasu i w ogóle.

- O mój Boże – w końcu zorientowała się Shell. – To ty, Tess?

Uśmiechnęłam się do siebie. Shell i ja wymieniliśmy jeszcze kilka uprzejmości, po czym udałam, że mój telefon się wyładowuje, i się rozłączyłam.

Wreszcie byłam gotowa na rozmowę z Marion. W porównaniu z tamtym



pierwszym razem, kiedy pozostawiałam nagrany wiadomość w jej poczcie głosowej, teraz czułam w sobie spokój i pewność, mimo że było to znacznie bardziej ryzykowne przedsięwzięcie. Zadzwoiłam o 18.20. Czasu GMT. Ręka mi nie drżała, kiedy wystukiwałam jej numer domowy. Odebrała po pięciu sygnałach, głos miała donośny i czysty jak Tess, tyle że ze śladem obcego akcentu.

– Halo?

– Mamo, to ja.

– Tess? To ty?

– Przepraszam, połączenie jest koszmarnie.

– Tess, to już dwa miesiące. Co się tam dzieje?

– Och, jestem taka szczęśliwa, mamo. To była najlepsza decyzja, jaką podjęłam w życiu.

– Tak. No cóż. Oczywiście się cieszę. Dostałam zdjęcia. Twoje mieszkanie wygląda nawet przyjemnie. Kupiłeś w końcu tę leżankę?

– Tak. A jak się czuje tato?

Na chwilę zapanowało milczenie.

– Nie najlepiej. Jest coraz bardziej rozbity. Tess, ja chyba nie dam rady.

– O Boże.

– Coś ci jest? Masz dziwny głos.

– Och, nie, jestem taka szczęśliwa.

Znowu milczenie.

– Pytał o ciebie kilka razy. Dokąd pojechałaś. Nie ostatnio, ale na początku, zaraz po twoim wyjeździe. Porozmawiasz z nim?

Zanim zdążyłam coś powiedzieć, usłyszałam odgłosy kroków Marion, prawdopodobnie zdążających w stronę Jonathana. Tego nie było w planach i już chciałam się rozłączyć, kiedy mnie oświeciło: Jonathan miał zaawansowanego Alzheimera. Nie pamiętał nawet imion swoich dzieci, a co tu mówić o brzmieniu ich głosów. Zostałam na linii.

Usłyszałam, że Marion mówi coś cicho do Jonathana, a potem on chrząknął, biorąc słuchawkę do ręki.

– Tato?

Przez kilka sekund nie odpowiadał, tylko głośno oddychał. Aż wreszcie się odezwał:

– Halo?

Głos miał czujny i drżący, jakby po raz pierwszy w życiu rozmawiał przez telefon.

– Tato, to ja. Tess. Twoja córka.

Kolejna długa pauza. Po czym usłyszałam:

– Oni ciągle przesuwają moje krzesło.

– Tu Tess.

– Mnie nie obchodzi, kim jesteś. Czy byłabyś taka bardzo uprzejma i powiedziała tej cipie, żeby przestała przesuwać moje krzesło?

Jego głos od potulnego na początku prędko eskalował pod względem głośności i wściekłości: słowo na „c” zostało wręcz wyplute. Szybko pojęłam, że nie będzie problemu, jeśli do Jonathana dotarło, że nie jestem jego córką. Znowu umilkł i wtedy usłyszałam czyjeś szlochanie w tle.

Dokładnie w chwili, kiedy miałam się rozłączyć, na linię wróciła Marion. Jeśli to jej płacz słyszałam, a z pewnością tak było, to w jej głosie nie pozostał po nim żaden ślad.

– Kto ty jesteś? – powiedziała do mnie głośno i wyraźnie.

Natychmiast się rozłączyłam. Miałam wrażenie, że dorobię się siniaka na piersi, bo serce łomotało mi tak mocno.

Potrwało to parę chwil – a właściwie godzin – zanim wróciłam do stanu, w którym mogłam przetrwać, co się właśnie wydarzyło. Raz po raz odgrywałam w głowie to „Kto ty jesteś?”. Marion wypowiedziała to pytanie wprawdzie tonem zwyczajnym i beznamietnym, a jednak ono obracało się w moim umyśle w iluś różnych rytmach i z odmiennymi naciskami na słowa. KTO ty jesteś? Kto ty JESTEŚ? Kto TY jesteś?

Oczywiście najbardziej logicznym wytłumaczeniem było to, że pytanie zostało skierowane do kogoś, kto się znajdował w tamtym pokoju. Być może nowa opiekunka właśnie tam weszła bez zapowiedzi. Albo może Marion skierowała je w nieliteralnym sensie do Jonathana, takie retoryczne pytanie, gdzie podział się ten mąż, którego kiedyś znała. Ale jeśli to był któryś z tych przypadków, nie powiedziałaaby tego prosto do telefonu.

Po kilku godzinach rozmyślań stwierdziłam, że najwyższy czas poprosić o radę Adriana.

Jak wspominałam, byłam dumna z faktu, że w związku z projektem „Tess” ani razu nie prosiłam o nic Adriana. Chciałam, żeby uważał mnie za osobę kompetentną, silną i żeby uznał, że podjął właściwą decyzję, wybierając mnie do tego zadania – a poza tym dotychczas wszystko naprawdę szło zasadniczo jak po maśle. Ale teraz już naprawdę nastąpił ten moment. Pragnęłam, żeby mnie zapewnił, że taki obrót zdarzeń nie zepsuje projektu, i żeby powiedział, jakie działania podjąć. Napisałam do Avy Root na Facebooku, relacjonując z grubsza rozmowę z Marion i prosząc o spotkanie, żebyśmy mogli przedyskutować ten incydent.

Nie odpowiedział – przez dwie godziny, potem pięć, w końcu dwanaście ciężkich godzin. Wyciągnęłam taki wniosek, że nie mam innego wyjścia, tylko muszę skontaktować się z nim przez Czerwoną Pigułkę. Pamiętając o tym, że mogłabym zostać zbanowana za otwarte odwołanie się do projektu „Tess”, w swojej wiadomości stwierdziłam tylko, że muszę się z nim pilnie spotkać.

Trzy godziny później dostałam wreszcie odpowiedź: To naprawdę takie pilne?

Dziwne, pomyślałam, bo przecież cała treść mojej wiadomości była informacją, że to naprawdę pilne.

Powtórzyłam, że tak. Odpowiedział, że będzie w centrum handlowym Westfield następnego dnia i że mogę się tam z nim spotkać o trzynastej.

Przedtem myślałam, że dość dobrze znam centra handlowe, ale Westfield ani trochę nie przypominało tych, w których bywałam do tej pory. Kiedy następnego dnia wysiadłam z metra na stacji Shepherd’s Bush, od razu

stałam się częścią wielkiej ludzkiej masy sunącej jak fala powodziowa w stronę kompleksu budynków tak wielkiego i błyszczącego, że centrum handlowe Brent Cross wyglądało przy nim jak nędzny sklepik na rogu. Tę skalę aż trudno było ogarnąć: stropy znajdowały się jakby z kilometr nad głową, a sklepy, skonstruowane z akrów połyskującego szkła, tak jakby nie miały końca. Nie tylko wielkość tego miejsca przytłaczała, ale także tłumy ludzi. I wszystkich chyba należało zaliczyć do młodzieży. W Brent Cross było mnóstwo takich kobiet jak mama: idących wolno starszych pań w fioletowych płaszczach przeciwdeszczowych. Tymczasem tutaj wszyscy jakby byli albo w moim wieku, albo młodszy, przy czym dziewczyny miały mocne makijaże i – przypuszczalnie – modne stroje, jakby przyjechały tu na imprezę, a nie po to tylko, żeby kupić parę nowych rajstop czy coś innego tego typu. Dziewczyna, która przystanęła obok mnie, żeby odebrać telefon, miała rzęsy tak dziwnie grube i długie, że ledwie była w stanie trzymać oczy otwarte.

Ja oczywiście nie byłam ani umalowana, ani wystrzałowo ubrana. Zastanawiałam się wprawdzie, czy nie włożyć tego samego stroju co podczas naszego pierwszego spotkania w Heath, ale odkryłam, że na koszulce jest smuga od stopionego sera, a poza tym czułam, że Adrian i ja jesteśmy teraz zaprzyjaźnieni, więc nie muszę się stroić. Dlatego włożyłam swój zwyczajowy uniform złożony z bluzy z kapturem i spodni dresowych.

Kiedy tak szłam przez centrum w poszukiwaniu działu „Buty” (bo Adrian powiedział, że tam się spotkamy) i widziałam te wszystkie chude dziewczyny przemykające obok, znowu zaczęło mnie nachodzić to znajome uczucie, to samo, którego nie miałam od bardzo dawna: świadomość, że jestem inna. Nie żeby mnie to obchodziło, ale zdawałam sobie z tego sprawę. To było tak, jakbym znowu wróciła do bycia Leilą, podczas gdy w ostatnich miesiącach, a zwłaszcza podczas rozmów z Connorem, tak się nie czułam: to znaczy może nie dokładnie jak ktoś inny, tylko gdzieś się zapodziało moje dawne ja.

Z determinacją starałam się nie dopuszczać, by te uczucia przeszkodziły mi w bieżących zadaniach. Po dziesięciu minutach błąkania się zapytałam kilka osób, gdzie są „Buty”, ale na moje pytanie reagowano tylko wzruszeniem ramion, dlatego nie miałam innego wyjścia, tylko musiałam iść dalej błyszczącą aleją, w nadziei, że natrafię na nie przypadkiem.

I wtedy, jakieś dwadzieścia jardów przed sobą, zobaczyłam mężczyznę wychodzącego z jednego sklepu. Najpierw rozpoznałam koszulę – to był ten sam niebieski sztruks, który nosił na swoich filmikach i podczas naszego spotkania w Heath. W ręku trzymał czerwoną reklamówkę z napisem „Tie Rack”.

Adrian szedł prędko, dlatego bałam się, że zostanie wchłonięty przez tłum; gnałam więc za nim z wysiłkiem, wołając go po imieniu. Z początku nie słyszał i szedł dalej; dopiero kiedy go dogoniłam i położyłam dłoń na jego ramieniu, obrócił się z wyrazem irytacji i zaskoczenia na twarzy. Kiedy zobaczył, że to ja, przywołał na twarz półuśmiech.

– A cześć! – rzucił.

– Nie umiałam znaleźć „Butów” – wyjaśniłam.

– Mam niewiele czasu – odparł. – Znajdźmy jakieś miejsce, gdzie można usiąść, dobrze?

I ruszył przed siebie, a ja szłam za nim. Po raz pierwszy zauważyłam, że jego ciało ma osobliwy kształt: wąskie ramiona obwisające pod koszulą i szerokie, niemalże kobiece biodra. Zupełnie nie pasował do tego otoczenia, podobnie jak ja pośród tych zwinnych i smukłych młodych ludzi. W atrium panował straszny hałas i wszystkie ławki były zajęte, dlatego musieliśmy stać, kilka jardów od budki, w której na fotelu pótleżał młody mężczyzna, podczas gdy jakaś kobieta z nitką w ręku robiła mu coś z twarzą. Nie potrafiłam zrozumieć, co się tam dzieje, ale cokolwiek to było, zupełnie nie pasowało do takiego publicznego miejsca.

Adrian jakby nic nie zauważał.

– No dobrze. Tess. Jest jakiś problem?

– Tak. Napisałam ci – powiedziałam. – Z Marion, jej matką. – Jeszcze raz opowiedziałam sytuację z telefonem i w trakcie, gdy to mówiłam, zauważyłam, że Adrian nie skupia wzroku na mnie, tak jak to robił wtedy w Heath, tylko raczej omiata nim wnętrze atrium, i że w którymś momencie zerknął na zegarek zapięty na lewym nadgarstku. Jego twarz też wyglądała inaczej: tamtego dnia jego policzki były różowe i pały zdrowiem, tymczasem teraz skórę miał spopielałą i chropawą. Nawet jego spodnie

sprawiwały wrażenie zmiętych i brudnych.

Zmiana w jego zachowaniu i wyglądzie była tak znacząca, że poczułam się nieco zdeprimowana, więc kiedy zajął do swojej reklamówki, jakby chciał sprawdzić, czy jej zawartość mu nie uciekła, przerwałam swoją relację i zapytałam, czy dobrze się czuje.

– Co? – odpowiedział takim tonem, jakby nie wierzył w to, co mówię.

Zawahałam się.

– Mhm, czy ty się dobrze czujesz?

– Tak, oczywiście – odparł. – Czuję się wyjątkowo dobrze. Ale słuchaj, naprawdę mam tylko kilka minut, więc obawiam się...

Prędko skończyłam opisywać rozmowę z Marion, czując się poniekąd wytrącona z równowagi jego podejściem. Być może z tego właśnie powodu na koniec wygłosiłam komentarz wycelowany w niego:

– ...A ostrzegałam.

Adrian wreszcie spojrzął mi w oczy i zapytał, powoli cedząc słowa:

– Przed czym ostrzegałaś?

– Na samym początku projektu mówiłam wam, że stanie się coś takiego – odparowałam. – Mówiłam, że w którymś momencie Marion z całą pewnością będzie chciała porozmawiać przez telefon z Tess i że wyniknie z tego problem.

Adrian skinął głową, patrząc ponad moim ramieniem w stronę kobiety w budce.

– Skoro miałaś takie złe przeczucia w związku z projektem – powiedział – to dlaczego się go podjęłaś?

Otworłam usta, żeby odpowiedzieć, ale nie wydusiłam z siebie ani słowa.

– Czy nie uczyłem cię, że należy myśleć niezależnie? – ciągnął.

– Tak, ale... – zaczęłam, słysząc, jak się jąkam. – Zapewniałeś mnie, że wszystko pójdzie gładko. Tess też mnie zapewniała.

Usłyszawszy to, Adrian parsknął śmiechem.

– Jej też o tym wszystkim opowiedziałaś?

– No nie mogłam, bo przecież ona... – zaczęłam mówić, zanim do mnie dotarło, że to taki dowcip w wykonaniu Adriana.

Znowu spojrzął na zegarek.

– Naprawdę muszę już iść. Posłuchaj, Leila. Wierzę, że podejmiesz działania, które twoim zdaniem będą najważniejsze. Znasz sytuację i zaangażowanych w nią ludzi lepiej niż ktokolwiek, poza tym jesteś mądrą dziewczyną. – Wyciągnął dłoń w moją stronę. – Wierzę w ciebie, Leila – powtórzył. – A tak nawiasem, twój wkład w zeszłotygodniową dyskusję o tym, czy istnieje coś takiego jak szczęście i pech, był najwyższej klasy.

Wcale się nie przyłączałam do tego wątku i już otworzyłam usta, żeby to powiedzieć, ale zaraz je zamknęłam.

– No to bywaj – rzucił i zaczął się wciskać w tłum.

Po krótkiej chwili zawołałam za nim. Obrócił się wyraźnie zniecierpliwiony.

– Tak?

– Jak ty i Tess się poznaliście?

Zmarszczył czoło.

– A czemu pytasz?

– Z czystej ciekawości – powiedziałam.

– Przyszła na jeden z moich wykładów w Nowym Jorku – wyjaśnił po chwili. – Latem... kiedy to było?... chyba w 2004 roku. „Kultura, a nie natura”, taki był temat. Myślę, że się dała trochę zainspirować, bo podczas dyskusji zadawała mnóstwo pytań, a potem podeszła do mnie na korytarzu. Zostaliśmy w kontakcie.

Powiedziawszy to, podniósł rękę i zniknął w tłumie.

Wiedziałam bardzo dobrze, że Tess nigdy nie była w Nowym Jorku. „Żenujące, prawda?”, powiedziała do mnie jednego wieczoru na Skypie. „Cały czas chciałam tam polecieć, a jednak z jakiegoś powodu nigdy do tego nie doszło”. Opowiedziała mi jeszcze o pewnej imprezie z kolacją –

uczestniczący w niej znajomi musieli wymienić jakąś rzecz, której nie zrobili, a ich zdaniem zrobili ją wszyscy inni, i dodała, że zawsze wygrywała, bo nie była w Nowym Jorku.

- Ja to bym dopiero była dobra w tę grę – zauważyłam.
- Powiadasz? – odparła.
- Ano tak – powiedziałam. – Nigdy się z nikim nie całowałam.

Roześmiała się, wyraźnie myśląc, że to jakiś dowcip.

Ale co tam. Mogłam tylko zakładać, że Adrian pomylił Tess z kimś innym. Nawet jednak odejmując ten element z równania, nasze spotkanie nie było owocne. Podczas długiej jazdy powrotnej do domu przetwarzałam w głowie wszystko, co wydarzyło się od tamtego spotkania w Heath, ale po prostu nie potrafiłam zrozumieć zmiany w jego postawie wobec mnie. Wydawał się zadowolony z moich sprawozdań; wszystko szło gładko aż do teraz i to był pierwszy taki raz, kiedy prosiłam go o pomoc.

Jedyny wniosek, jaki się nasuwał, był taki, że coś innego sprawiało mu problem, coś niezwiązanego ze mną ani z projektem, coś, co go tak pochłaniało, że nie mógł się skupić na niczym innym. Oczywiście powód do zmartwienia, niemniej jednak czułam, że moim priorytetem jest załatwienie problemu z Marion.

Fakt jest taki, że podjęcie decyzji, co zrobić, nie zabrało mi wiele czasu: ostatecznie miałam ograniczone pole manewru. Całkowite zaprzestanie kontaktu byłoby nierozsądne – tylko by pogłębiło jej podejrzenia – ale oczywiście wykonanie kolejnego telefonu absolutnie nie wchodziło w grę. Dlatego musiałam napisać maila. Jedyny sensowny sposób na poradzenie sobie z tym „Kto ty jesteś?”, stwierdziłam, polegał na zignorowaniu tego pytania i wykonaniu śmiałego „wspaniałomyślnego gestu”, który sprawiłby Marion przyjemność, w nadziei, że jej zdziwienie i zachwyty wyprą wszelkie uporczywe podejrzenia.

I oto, co napisałam tamtego dnia, zaraz po powrocie do domu:

Kochana Mamo,



wciąż jestem lekko roztrzęsiona po naszej wtorkowej rozmowie. Przepraszam, że się rozłączyłam, po prostu byłam zaszokowana stanem taty. Myślałam, że epizod z serem, ten, który się wydarzył zeszłego lata we Francji, był dość nieprzyjemny, ale nie miałam pojęcia, że może mu się aż tak pogorszyć. Ciężko mi na sercu, że jestem tak daleko i nie mogę ani nic zrobić, ani Ci pomóc.

Naprawdę Cię podziwiam za to, jak sobie z tym wszystkim radzisz. Wiem, że nigdy wcześniej tego nie mówiłam, i wstyd mi za to. Najwyraźniej musiałam tu przyjechać, żeby nareszcie spojrzeć wyraźnie na sprawy i zacząć żałować tych wszystkich lat, które spędziłyśmy w konflikcie. To prawie zawsze była moja wina - oprócz tamtego incydentu u Harrod'sa! - i wydaje mi się, że wiedziałam o tym zawsze i dlatego byłam wobec Ciebie taka napastliwa i zła. W każdym razie chcę powiedzieć, że jesteś fantastyczną matką i że podziwiam Cię bardzo jako człowieka. Mogę mieć tylko nadzieję, że okażę się równie silna jak Ty, kiedy już będę w Twoim wieku - i równie piękna.

Nie pamiętam, czy już o tym wspominałam, ale chodzę tutaj do świetnej terapeutki; ma na imię Trish. Trish naprawdę mi pomaga zgłębić siebie samą - fascynujący proces, nawet jeśli czasami przerażający. Wczoraj opowiedziałam jej o tacie, o Tobie i o rozmowie telefonicznej, i jak okropnie się poczułam przez to wszystko, a ona mi poradziła, żebym to napisała - właśnie piszę! - i wyznaczyła sobie czas, żeby to przemyśleć i poddać się procesowi uzdrawiania. Dlatego mam nadzieję, że nie będziesz miała nic przeciwko, jeśli na razie nie będziemy rozmawiały. Wiem, że na samym końcu stanę się lepszym człowiekiem - kimś, kto zasługuje, żeby być Twoją córką.

Ledwie wcisnęłam „wyślij”, kiedy wytworzyła się zupełnie nowa, trudna sytuacja, tym razem z Connorem.

W mailu składającym się z zabawnych, choć mało istotnych szczegółów związanych z jego dniem zapytał w zwodniczo zdawkowym PS, jakie mam plany na najbliższy weekend.

Zero na tę chwilę, odpisałam. Pewnie taka kombinacja: powłóczę się po plaży, spróbuję dokończyć *Pretendenta do ręki* i wypiję galon rooibosu z Leonorą.

A on na to: A może tak kombinacja spaceru po jakimś ekscytującym, nieznanym mieście, czterogodzinny lunch i espresso martini? W moim towarzystwie?

Ja: Co ty bredzisz, chłopie?

On: Wysyłają mnie na kilka dni do filii w Toronto. Znakomicie się składa, prawda?

Z początku myślałam, że mam niezawodną wymówkę. Oj, cudowny pomysł, ale jestem S.P.Ł.U.K.A.N.A. Dociera do ciebie, że Toronto jest o dwa tysiące mil od Vancouveru? Niech ci się nie wydaje, że do następnego piątku będę w stanie wcisnąć tyle lekcji rysunku, żeby zarobić na bilet lotniczy.

Jego odpowiedź:

Ja zapłacę.

Zaczęłam gorączkowo myśleć.

Ożeż cholera jasna. Właśnie mi się przypomniało, że obiecałam Sheili, że do niej wdepnę. To ta staruszka, którą poznałam na promie. Ona jest kaleką i przyrzekłam, że posiedzę z nią w niedzielę.

On: Da się to przełożyć?

Ja: To kaleka, facet! Utknęła w domu, żadnych gości, taka smutna, milutka staruszka.

On: No to skoro jest kaleką, w takim razie będzie tu również w następny weekend, prawda? Zrozumie. Przyjedź poszwendać się ze mną po Toronto. Kilka dni modelowej rozpusty.

Ja: Ale ja już nie piję.

On: No to będziemy pili oranżadę. Milkszejki z młodą pszenicą. Cokolwiek! No dalej, Heddy, nie możemy tego odpuścić. Mamy wreszcie okazję. Normalnie wysyłają Richarda, ale on jest teraz na urlopie wychowawczym. To się więcej nie powtórzy. Los tak chce, nie rozumiesz tego?

Odpowiedziałam, decydując się na tę strategię, której użyłam wobec Marion, zaledwie kilka godzin wcześniej.

K, przywalę prosto z mostu. Nie mogę się z tobą spotkać. Zrozum, proszę. Opowiedziałam ci trochę o tym, co się ze mną dzieje i dlaczego musiałam wyjechać z Londynu. Czuję, że zdrowieję, ale jeszcze się nie ogarnęłam. Jasne, kojarzę spotkanie z tobą ze szczęśliwymi chwilami, ale to był też porąbany okres w moim życiu. Za dużo ćpałam, za dużo imprezowałam, miałam odpały... wszystkich tych rzeczy muszę teraz unikać, żeby się ratować. Myślę, że jeśli cię zobaczę, to wszystko znowu mnie zaleje i przepadnę na amen, cała ta praca pójdzie w błoto. Zacznę co wieczór wskakiwać na prom do Vancouveru, żeby kogoś zaliczyć, żeby się włóczyć po jakichś okropnych, obskurnych barach, żeby się pakować w gnój. Strasznie chciałabym się z tobą spotkać, ale weź mi uwierz, kiedy mówię, że to nie jest dobry pomysł. Zobaczymy się, kiedy – o ile – wrócę do Londynu z wizytą. Umowa stoi?

Odpowiedź od Connora przyszła po trzydziestu pięciu wykańczających nerwowo minutach.

OK, umowa stoi. Ale jeśli nie wrócisz prędko, to tam przyjadę i cię odszukam.

Dzięks, odpisałam. Ale możemy dalej do siebie mailować?

Jasne, odparł. Dzięki temu udaje mi się przetrwać dzień.

Z początku znów zareagowałam na ten incydent uczuciem satysfakcji, że tak zręcznie sobie poradziłam z potencjalnie trudną sytuacją, oraz dumy, że tak płynnie posługuję się stylem i słownictwem Tess. Wszystko to zasiało ziarno pewnego pomysłu, które przez następne kilka godzin rosło gwałtownie, aż wreszcie zablokowało inne myśli.

Mogłam ponownie zobaczyć Connora. Nie tylko go sobie obejrzeć jak w tamtym barze kanapkowym, ale wręcz spotkać się z nim i porozmawiać. I wtedy może połączylibyśmy się w związek. Takim prawdziwym.

Bo widzicie, czułam, że sprawy między nami rozwinęły się do takiego punktu, w którym Tess stała się elementem nadprogramowym i można ją było usunąć z tego równania. Nie było trudno zracjonalizować fakt, że z pozoru Connor przyznawał się do miłości do „Tess”, a nie do mnie, Leili. Aktualny stan rzeczy – wyjąwszy tę ostatnią wymianę maili – dawało się podsumować w ten sposób, że treść maili do Connora pochodziła zasadniczo ode mnie, bo zawierały moje myśli i uczucia, a nie myśli i uczucia „Tess”.

I jeszcze przypominam o faktach. Connor nie widział Tess od dziewięciu lat, od czasu, kiedy ona i on byli bardzo różnymi ludźmi (Nie dziwię ci się, że mnie olałaś, napisał któregoś wieczoru. Byłem palantem. Kompleksy młodego wieku i cała reszta). Kiedy Connor nawiązał z nią kontakt po raz pierwszy, to nie był w niej zakochany, tylko po prostu, jak sam powiedział, odnawiał dawną znajomość. I właśnie za sprawą tej wymiany maili, dzięki moim słowom, znowu się w niej zakochał. To ja stworzyłam tę miłość. Ja.

Pozostawała jeszcze kwestia wyglądu. Z ich starej korespondencji wynikało jasno, że Connor uważał Tess za bardzo atrakcyjną. Było wiele jego wypowiedzi, które o tym świadczyły. Gorący towar. Seksowna bestia. Kobieta moich marzeń. Prawdą jest także to, że Tess posiadała atrybuty, które są najwyraźniej pożądane u kobiet: duże oczy, mały

podbródek i twarz w kształcie serca.

Stwierdzę jednak, że w jej rysach kryło się zdecydowanie za dużo usterek. Jak już wspominałam, miała oczy rozstawione zbyt szeroko i jedno było odrobinę mniejsze od drugiego. Moje oczy nie były wprawdzie tak duże, ale za to bardziej symetryczne. Co więcej, ona miała czarne oczy, a ja niebieskie, co mężczyźni preferują, bo kojarzą im się z niemowlętami. Ponadto ona miała krótkie włosy, a mężczyźni wolą długie. I na domiar wszystkiego była chuda, pozbawiona rzucających się w oczy zaokrągleń, które symbolizują płodność i dlatego są tak pożądane przez płęć przeciwną.

Przede wszystkim jednak moją największą przewagą nad Tess był wiek. Byłam od niej o piętnaście lat młodsza. W swoich mailach Tess i jej przyjaciele często rozmawiali o tym, że mężczyźni wolą młodsze kobiety – tak to brzmiało, jakby to był czynnik decydujący, czyli taki, który neguje wszystkie inne. Założę się, że jest młodsza, mówili, kiedy rozmawiali o nowej dziewczynie ich znajomego. 25-letnie suczki. Czuję się jak antyk. Tak więc miałam coś, czego oni chyba zazdrościli najbardziej: młodość. Mało tego, stwierdziłam, że wyglądam na młodszą niż dwadzieścia trzy lata. Nie miałam na twarzy zmarszczek, pomijając cieniuteńką kreseczkę między brwiami od krzywienia się do ekranu komputera.

Podsumowując więc wszystko, uznałam, że istnieje spore prawdopodobieństwo, iż choćby na podstawie samego wyglądu Connor uzna mnie za równie atrakcyjną jak Tess, o ile nie bardziej.

Istniała wszakże jedna duża przeszkoda. Jeżeli Connor był zakochany w Tess, udaremniało mu to aktywne zainteresowanie innymi kobietami. Gdybyśmy się mieli spotkać, to niewykluczone, że powodowany lojalnością wobec niej mógłby nie chcieć się angażować w dłuższą rozmowę, a przecież taka rozmowa byłaby niezbędną, abyśmy ustalili, co nas łączy. Kilka razy wspomniał w swoich mailach, że wychodzi ze spotkań towarzyskich wcześniej, bo uważa, że innym ludziom brakuje czegoś – bo nie są nią.

Wyciągnęłam z tego wniosek, że w takim razie Tess musi koniecznie zakończyć ich związek przed moim spotkaniem z Connorem w prawdziwym życiu. Tym sposobem Connor uznałby, że ma prawo do konwersacji z „nową” kobietą. I tak oto następnego dnia Tess napisała maila do Connora.

Kochanie. Dużo się zastanawiałam. To jest szaleństwo. Ja jestem tu, ty jesteś tam. Cały czas o tobie myślę i to nie jest zdrowe, facet. Dajmy sobie wolność! W Londynie są pewnie miliony kobiet, które by ciebie ubóstwiały, a ja cię ich pozbawiam. Trzydziestoparoletni mężczyźni są jak jednorożce. Zgadzasz się ze mną?

A potem, w przypływie natchnienia, dodałam:

Właściwie to przychodzi mi na myśl pewna dziewczyna, z którą mogłabym cię umówić. Jesteście bardzo do siebie podobni, moim zdaniem chemia byłaby między wami jak sto pięćdziesiąt.

Odpowiedział na to bardzo prędko.

O czym ty pieprzysz, Heddy? Nie rób sobie jaj. Możliwe, że są tu miliony kobiet, ale one nie są tobą. Nie interesuje mnie żadna inna. Nie obrażaj mnie.

Jak sobie możecie wyobrazić, moja reakcja na to była mieszana. Po części byłam zadowolona z siły jego uczuć, po części przerażona. Postanowiłam spróbować jeszcze raz, tyle że bardziej stanowczo.

K, dość tego nawijania. Pamiętasz, że wcześniej, kiedy spytałeś, czy jest ktoś inny, odpowiedziałam ci, że nie? No więc to nie do końca prawda. Jest taki jeden. Na razie to dopiero początki, ale naprawdę go lubię. Nie dorównuje ci, ale jest spokojny, życzliwy i chyba będzie mnie dobrze traktował. I ma tę przewagę, że nie mieszka pięć tysięcy mil stąd. I co ty na to?

Po raz kolejny przysłał odpowiedź zaledwie chwilę później.

Co ja na to? Myślę, że zaraz się rozplączę, i myślę, że chcę wskoczyć do samolotu, przylecieć tam i potrząsnąć tobą. Gadaj mi zaraz, co to za gość.

Zaraz po tym mailu przyszedł kolejny, złożony z zaledwie jednej linijki.

Jeśli ty tak na poważnie, to w takim razie nie mogę więcej

pisać do ciebie. Sorry.

Poczułam, jakby coś wypełniło mi płuca betonem, i moje dłonie zsunęły się bezwładnie z klawiatury. Dopiero po kilku chwilach zebrałam się w sobie dostatecznie, by móc odpowiedzieć, ale palce były nadal słabe, kiedy wystukiwałam:

Nie, nie, nie mów tak. Nie możemy przestać pisać do siebie. Chodzi o to, że z tym facetem to nic poważnego, moje serce należy do ciebie, wiesz przecież. Błagam, nie przestawaj pisać.

Jego odpowiedź przyszła dopiero po wypełnionej bólem minucie:

Nie przestanę.

Zamknęłam oczy i z ulgą wypuściłam powietrze. A potem, kiedy znowu je otworzyłam, czekał na mnie jeszcze jeden mail.

PS Najpierw mnie pocałuj.

Mimo tej strasznej chwili nie mogłam się wyzbyć pragnienia, żeby znowu zobaczyć Connora na własne oczy. Po upływie dnia, podczas którego nie bardzo potrafiłam myśleć o czymkolwiek innym, stwierdziłam, że nic straconego, jeżeli wbrew wszystkiemu zaaranżuję spotkanie. Nawet gdyby nie doprowadziło do pożądaných rezultatów, spotkanie twarzą w twarz przynajmniej wzbogaciłoby zapas obrazów z jego udziałem, który nosiłam w głowie.

Przyznaję jednak, że nadal miałam nadzieję, iż to doprowadzi do czegoś więcej, że „więź” między nami okaże się dostatecznie silna, aby pokonać jego lojalność wobec Tess. Kluczową bronią w moim arsenale był fakt, że posiadałam rozległą wiedzę o tym, co on lubi, a czego nie lubi, i dlatego mogłam prędko wprowadzić te tematy do naszej rozmowy.

Mogłam na niego „przypadkiem” wpaść, to byłoby łatwe. Wiedziałam, że niemal zawsze w piątkowe wieczory wychodzi na miasto z innymi prawnikami, często na czyjś „drinka pożegnalnego”. Dlatego więc w następny piątek zaraz po zalogowaniu się spytałam jakby od niechcena, co będzie robił wieczorem.

Och, to, co zawsze – będę żłopał browary z samą śmietanką palestry.

A kto dzisiaj wyjeżdża?

Justin.

Który to?

Connor opowiedział mi mnóstwo zabawnych historyjek o swoich kolegach.

Ten półetatowy kulturysta, który trzyma w lodówce filety z kurczaka w pudełkach Tupperware.

Ano tak. Maxi-Justin. A w jakim lokalu ma się odbyć ta ekscytująca impreza?

Jakaś zapyziała nora w Shoreditch.

Ach, moje dawne strony.

Prędko sprawdziłam informacje na temat Tess z tamtego okresu.

Electricity Showrooms jeszcze działa?

Nie byłaś tam od tamtego czasu? O kurczę! Nie, zamknęli się już wieki temu.

No to gdzie teraz chadzają lepsze dzieciaki?

A niby skąd ja mam to wiedzieć? W każdym razie bardzo nielepsi panowie w średnim wieku chadzają do Baru pod Smokiem. Znasz ten lokal?

Sprawdziwszy pospiesznie w Google'u, że Bar pod Smokiem istnieje od kilku lat, odpisałam:

Jasne, wytrwałam tam kilka żenujących wieczorów. Baw się dobrze!

To było właśnie takie łatwe.

Ta wymiana maili zakończyła się o godzinie 18.15 GMT, dlatego musiałam prawie zaraz wyjść z domu, żeby dotrzeć do Shoreditch o



właściwej porze. Miałam już przygotowany strój – długa, czarna spódnica z frędzlami i najnowsza bluza z kapturem – i z wyprzedzeniem umyłam włosy. Poza tym wygrzebałam jakieś kosmetyki do makijażu po mamie: pudełeczko z różem oraz puder do twarzy, który pękł na pół, ale nadal się nadawał do użycia. Wiedziałam wprawdzie, że Connor nie jest płytki, i wierzyłam, że dla niego liczy się przede wszystkim wnętrze, ale nie byłam naiwna, dlatego uznałam, że nie zaszkodzi, jeśli będę wyglądała jak najkorzystniej. Przed wyjściem z mieszkania napisałam aktualność na profilu Tess, że pojechała na cały dzień na stały ląd, i schowałam do torby *Narzeczoną dla księcia*.

Nigdy wcześniej nie byłam w Shoreditch, podczas gdy dziewczyny z mojej szkoły stale tam jeździły. Właściwie to po obejrzeniu kilku zdjęć z ich wieczorów w tej dzielnicy, które zamieściły na Facebooku, przysięgłam sobie, że moja noga nigdy tam nie postanie. Sceneria naprawdę sprawiała wrażenie obrzydliwej: spoceni ludzie w idiotycznych ubraniach, którzy wchodzili jeden na drugiego, bo taki tam był ścisk, i jeszcze uśmiechali się obłąkańczo. Niektórzy mężczyźni, z tych splecionych ramionami, mieli makijaże i wyrazem twarzy dawali jasno do zrozumienia, że są z nich niesamowicie dumni.

Wysiadłam z metra na stacji Old Street tuż przed dziewiętnastą i GPS w telefonie kazał mi iść w stronę obskurnej bocznej uliczki, oddalonej o pięć minut. Z zewnątrz bar nie wyglądał szczególnie wspaniale, ale w środku było już mnóstwo ludzi pijących alkohol i próbujących przekrzyczeć muzykę. Wbrew moim obawom wielu z nich sprawiało całkiem normalne wrażenie – w każdym razie sporo mężczyzn miało na sobie garnitury, a kobiety garsonki – niemniej jednak zauważyłam kobietę, której top wyglądał tak, jakby go włożyła tyłem do przodu, a także mężczyznę o utlenionych, postawionych na sztorc włosach. Wszystkie, nieliczne zresztą, stoliki były już zajęte, ale znalazłam wolny stółek przy barze, zamówiłam sok pomarańczowy i otworzywszy swoją książkę, udawałam, że czytam, choć tak naprawdę to nie spuszczałam wzroku z drzwi wejściowych.

Connor pojawił się o 19.40. Kiedy zobaczyłam go, jak zamasyście otwiera te drzwi, poczułam podobny skok adrenaliny jak wtedy, kiedy się nie patrzy pod nogi i gubi krok. Był ubrany w granatowy garnitur, niemal identyczny jak ten, w którym go widziałam po raz pierwszy, tyle że w nieco

grubsze prążki, i stwierdziłam, że wygląda znakomicie, że bije od niego zdrowiem i zadowoleniem. Towarzyszyło mu dwóch innych mężczyzn, w tym ten sam, z którym był w barze kanapkowym, a także kobieta z bardzo schludnie ułożonymi brązowymi włosami ubrana w opiętą, czarną garsonkę. Przyglądałam się Connorowi, który omiatał wzrokiem wnętrze. Kiedy wypatrzył grupkę jakichś ludzi, zawołał „Aha!” i przepchnął się przez tłum w ich stronę. W tej grupie było siedem osób, wszyscy w garniturach i garsonkach, mężczyźni trzymali w rękach szklanki z piwem, a kobiety kieliszki z białym winem. Connor poklepał jednego z mężczyzn po plecach i powiedział coś, co tamtego rozbawiło. Jego kolega, ten z baru kanapkowego, obszedł grupę, ogarnął znaczącym gestem ich szklanki i kieliszki, jednocześnie unosząc brwi, i ruszył w stronę baru.

Nie przewidziałam tego, że Connor będzie miał tak liczne towarzystwo, i zastanawiałam się, jak tam podejść, żeby z nim porozmawiać. Opuściłam stołek przy barze i zaczęłam przeciskać się przez tłum, aż w końcu stanęłam kilka metrów dalej, w zasięgu słuchu. Nadal trzymałam w rękach książkę, choć wyglądało to dość nienaturalnie, że ktoś stoi w takim ścisku i czyta. Connor wciąż rozmawiał z mężczyzną, którego wcześniej poklepał po plecach, i usłyszałam słowa: „kurewsko typowe, nie?”, ale nie zrozumiałam, do czego to stwierdzenie się odnosiło. Wydedukowałam, że ten drugi mężczyzna to Maxi-Justin. Mięśnie ramion rozpychały mu rękawy różowej koszuli, a kark miał niewiele węższy od głowy.

Justin zaczął mówić o kimś, czyjego imienia nie dosłyszałam; opowiadał o tym, jak on, to znaczy Justin, któregoś razu przyłapał tego kogoś na robieniu w kuchni czegoś, czego się robić nie powinno. Pozostali ludzie wyraźnie znali już tę anegdotę, ale i tak się śmiali, kołysząc się przy tym lekko na piętach. Potem wtrącił się inny mężczyzna i zaczął opowiadać o wyjeździe na Łotwę. Nie dosłyszałam wszystkich szczegółów tej opowieści, więc było mi trudno ogarnąć ją w całości, ale zauważyłam, że dynamika grupy wyraźnie polegała na tym, że każdy po prostu czekał, aż przyjdzie jego kolej na opowiedzenie anegdoty albo jakiegoś dowcipu. Mężczyzna w okularach bardzo podobnych do tych, które nosił brat Tess, Nicholas, opowiedział dowcip kończący się zdaniem: „No cóż, ona to właśnie mówiła”. Wywołał tym wielki wybuch śmiechu całej grupy.

Connor też się śmiał i przytakiwał, kiedy jego koledzy coś opowiadali, ale zauważyłam, że nie patrzy na danego mówcę, tylko omiata spojrzeniem tłum, jakby kogoś szukał. Regularnie też zerkał na zegarek. Jeden z mężczyzn stanął obok niego i zapytał, czy zechce z nim iść do toalety, jakby obaj byli szkolnymi kolegami.

– Nie, nie mam ochoty – odpowiedział Connor.

Przypomniało mi się, jak mówił, że spotkania towarzyskie bez Tess uważa za bezsensowne. Miałam ochotę podejść do niego, dotknąć jego ręki i powiedzieć: „Jestem tu”.

Kiedy wszyscy dopili swoje drinki, jakiś inny mężczyzna wykonał znaczący gest w stronę grupy, tak jak wcześniej kolega Connora. Jeśli każda z osób stawiała kolejkę, to w takim razie niebawem musiał to zrobić Connor. Wtedy miałabym szansę znaleźć się z nim sam na sam. Przygotowując się do tego, wcisnęłam się głębiej w tłum przy barze, żeby znajdować się na dogodnym stanowisku, gdy nadejdzie właściwy moment. Nie było tam miejsca na czytanie w normalnej pozycji, dlatego musiałam trzymać książkę w górze i blisko twarzy; monitorowałam przebieg wydarzeń, łypiąc oczami ponad jej krawędzią.

Jak się okazało, trzy osoby stawiały kolejkę przed Connorem, więc mogłam bardzo długo po prostu mu się przyglądać. Miał założone za uszy trzy pasemka włosów, zauważyłam też trzy znamiona na czole, a kiedy słuchał, to przekrzywiał głowę. Stał z jedną ręką w kieszeni, drugą trzymał drinka, a przez ramię miał przewieszoną torbę. Strasznie chciałam się dowiedzieć, co on takiego ma w tej torbie. Dostrzegłam zmarszczki dookoła oczu i poczułam zazdrość wobec ludzi, którzy w przeszłości doprowadzali go do śmiechu. Czy to nie głupie?

W końcu przyszła kolej na Connora, żeby postawić pozostałym drinki.

– No dobra, chłopcy. To samo? – rzucił i ruszył w stronę baru.

Wreszcie miałam swoją szansę. Upewniając się, że trzymam książkę dostatecznie wysoko, by Connor dostrzegł okładkę, przepchnęłam się przez tłum i niby przypadkiem przycisnęłam się do niego zbyt mocno.

– Przepraszam – powiedziałam i dodałam: – Cześć.

– Cześć – odparł, patrząc na mnie z góry.

Moje oczy znajdowały się na poziomie jego ust i świeżo wygolonego podbródka. Poczułam piwo w jego oddechu, a jego prawe biodro wpiło się w moją rękę. Przez jedną, okropną chwilę myślałam, że nie będę w stanie nic powiedzieć, bo serce biło mi tak szaleńczo. Potem przełknęłam ślinę, zrobiłam jeden długi wdech i skupiłam się na zagajeniu rozmowy w sposób, który obmyślałam poprzedniego wieczoru.

– To powiedz, zawsze tak późno dochodzisz?

Z jakiegoś powodu to chyba rozbawiło Connora. Odrzucił głowę w tył i zaczął się śmiać. A właściwie to tak jakby szczekać.

– Chyba w życiu czegoś podobnego nie słyszałem – powiedział. A potem dodał: – Przepraszam, cham ze mnie. Odpowiedź na twoje doskonale zasadne pytanie brzmi tak, często dochodzę późno. A ty?

– Przyszłam dużo wcześniej – przyznałam.

Przyjrzał mi się uważnie.

– Czy ja już cię gdzieś widziałem? Pracujesz dla Clifford Chance?

Potrząsnęłam przecząco głową.

Wzruszył ramionami, ale w sympatyczny sposób. A potem zauważył, że zbliża się barman, więc zamachał do niego.

– Przepraszam – powiedział do mnie i nachylił się, żeby złożyć zamówienie. – Pięć szklanek stelli, jeden guinness, duży kieliszek białego wina i dietetyczna cola. – Obrócił się w moją stronę. – Ty nic nie chcesz?

Uznałam, że to dziwne pytanie, i mimo że wrzało mi we wnętrzościach, zdobyłam się na wysiłek, żeby tego nie okazać. – Nie, mam wszystko.

Dopiero gdy odwrócił się do mnie plecami i powiedział w stronę czekającego barmana: „Tak, to będzie wszystko”, zrozumiałam, że pytał, czy chcę drinka. Barman zaczął nalewać alkohol, a Connor znowu obrócił się do mnie.

– Bo widzisz, jestem pewien, że gdzieś cię już widziałem.

Kiedy otwarłam usta, żeby powiedzieć, że nie, jego dłoń powędrowała w

stronę mojej twarzy i wtedy zamarłam, bo przez chwilę myślałam, że chce mnie pogłodzić po policzku. A jednak zamiast tego jego palce dotknęły pendrive'a, który miałam zawieszony na sznurku na szyi. Od czasu wprowadzenia się Jonty'ego ściągałam wszystkie swoje pliki na pendrive'a i nosiłam go zawsze na szyi, gdy wychodziłam z domu, na wypadek gdyby Jonty zapomniał, że właśnie gotuje sobie gulasz, i spalił mieszkanie podczas mojej nieobecności. Pendrive spoczywał na mojej bluzie, tak więc palce Connora nie dotknęły w zasadzie mojej skóry, ale i tak zadygotałam pod wpływem tej bliskości. Paznokcie miał bardzo czyste i równo przycięte: mama by to pochwaliła. A kiedy odjął dłoń, moje palce odruchowo pomknęły do tego miejsca, którego właśnie dotknął. A potem z ust wyrwał mi się cichy okrzyk, bo dotarło do mnie, jakie dane zawiera to maleńkie, plastikowe urządzenie: Tess i on. On i ja.

– Przyszłaś naprawić mój komputer? – zapytał i parsknął. – Informatyk w pracy też ma taki, ale nosi go tutaj... – Udał, że odciąga skręcony, gumowy paseczek od swojego paska, a potem jeszcze przesadnie intonując, wydał z siebie dźwięk: – Biiing!

– Roger – powiedziałałam bez zastanowienia. Tak miał na imię „informatyk” w Asquith & Partners. Connor opowiadał mi o nim kiedyś: że wydyma dolną wargę, kiedy się na czymś skupia, i że trzeba go było ostrzec, że nie należy się tak otwarcie gapić na personel płci żeńskiej.

Connor spojrzał na mnie nierozumiejącym wzrokiem, po czym rysy jego twarzy się wygładziły.

– Zgadza się, tak. Roger, bez odbioru. – Wykonał coś w rodzaju salutu, dziwnie podobnego do tego gestu, którym Tess kończyła nasze rozmowy na Skypie, kiedy była w dobrym nastroju.

– A czy ty wiesz, że to zasadniczo niepoprawna fraza? – zapytałam. – Tego się używa w łączności radiowej, ale tak naprawdę powinno się powiedzieć „otrzymałem nadaną przez ciebie informację” i „koniec rozmowy”, żeby to miało sens, no bo co to znaczy „Roger”?

Zanim zdążył mi odpowiedzieć, barman poprosił go, żeby zapłacił za drinki, które teraz stały na barze w równym rzędzie. Połapałam się, że muszę działać prędko, i podniosłam *Narzeczoną dla księcia*.

– Właściwie to przyszedłam tu poszukać jakiegoś spokojnego miejsca, żeby poczytać książkę – powiedziałam. – Ale to chyba jest złe miejsce!

Obserwowałam uważnie jego twarz, kiedy patrzył na okładkę. Jego reakcja była nie do końca taka, jakiej się spodziewałam. Uniósł brwi i uśmiechnął się, ale nic nie powiedział, więc byłam zmuszona zapytać:

– Czytałeś to?

– Nie, w zasadzie nie – odparł.

I tu mnie zaskoczył: liczyłam na to, że książka będzie przedmiotem naszej rozmowy.

Dał barmanowi dwa banknoty dwudziestofuntowe i zaczął się zmagać ze szklankami.

– Mogę pomóc? – spytałam i zanim odpowiedział, chwyciłam dwie szklanki z baru. Próbowałam wziąć jeszcze trzecią, ale miałam za małe dłonie.

Connor wyraźnie się speszył.

– OK, skoro nalegasz.

Poszłam jego śladem w stronę grupy, ostrożnie trzymając szklanki, żeby nic z nich nie wylać. Zauważywszy mnie, Justin powiedział do Connora:

– Szybko ci poszło, koleś.

Pozostali zaczęli się śmiać, odbierając od nas szklanki. Connor poklepał mnie po ramieniu.

– Bardzo ci dziękuję – powiedział. – Jesteś bardzo uprzejma. Mam nadzieję, że znajdziesz spokojne miejsce na lekturę.

Ciemnowłosa dziewczyna dostała spazmów ze śmiechu.

– No to OK – powiedziałam. – W takim razie do widzenia.

Odwróciłam się powoli i poszłam na miejsce w kącie, gdzie zabrałam się z powrotem do „czytania”. Pozostałam na tym stanowisku przez pół godziny, osłaniając twarz książką i jednocześnie próbując przetworzyć to, co właśnie się zdarzyło. Nie rozmawialiśmy długo, ale zaproponował, że postawi mi

drinka. Co by się stało, gdybym się zgodziła? Powiedział, że jestem uprzejma. Tak, moment z *Narzeczoną dla księcia* przyniósł rozczarowanie, ale może kupił tę książkę dla Mai i jeszcze jej nie przeczytał.

Do czasu, zanim wyszłam – grupa wciąż tam była, ale zrobiłam, co mogłam, żeby się nie oglądać na Connora – przemyślałam sprawę i biorąc wszystko pod uwagę, uznałam, że spotkanie nie zakończyło się porażką. Gdy tylko wróciłam do mieszkania, zalogowałam się na skrzynkę pocztową Tess, bardzo chcąc wiedzieć, co Connor powie o tym wieczorze w Barze pod Smokiem, o ile cokolwiek napisze.

Musiałam czekać aż do rana na jakąś wiadomość od niego.

Jak smakowało fondue? Nie narobiłaś gnoju z chlebem? Mam nadzieję, że w Kanadzie nie robią loterii z całowaniem.

Dzień wcześniej powiedziałam mu, że wieczór spędzę na prośzonej kolacji u Leonory, która przyrzekła zrobić swoje słynne fondue.

Będiesz ze mnie dumny, gdy się dowiesz, że ani jeden okruszek nie spadł mi z widelca, napisałam. A jak było na zlocie skautów Maxi–Justina?

Męcząco, odpisał, a potem zaraz dodał, że w ich firmie jest taki zwyczaj, że ci, którzy wyjeżdżają, przychodzą na swojego pożegnalnego drinka przebrani za kobietę i że Justin podporządkował się tradycji, bo przyszedł do baru w sukni. Nie dawało się na niego patrzeć. Travolta w *Lakierze do włosów* wyglądał przy nim jak Audrey Hepburn. Dziwne, pomyślałam, bo przecież nie byłam świadkiem niczego takiego: Justin miał na sobie koszulę i krawat, jak wszyscy pozostali.

Zabrakło wzmianki o spotkaniu ze mną, ale tu chyba nie było się co dziwić. Nie chciał wyznać Tess, że poznał inną kobietę.

Wyciągnęłam taki wniosek, że upiększył swoją opowieść, dodając anegdotę o Justinie w sukni, bo nie mógł wspomnieć, że tego wieczoru zdarzyło się coś istotnego – że się spotkaliśmy. Było to drobne, zrozumiałe kłamstwo.

Nasza wymiana maili trwała, ale teraz towarzyszyły jej barwne obrazy z

jego udziałem. Wyobrażałam sobie te jego czyste, lśniące paznokcie stukające w klawisze, jego czarną, skórzaną torbę leżącą obok jego stóp pod biurkiem. To „ha, ha”, którym czasami odpowiadał na moje żarty, teraz łączyło się ze wspomnieniem jego znikających oczu, gdy się uśmiechał. Kiedy wychodził na drinka po pracy, wyobrażałam sobie, jak zamawia szklankę stelli, wyciąga portfel z prawej kieszeni spodni w prążek i woła na barmana „koleś”.

I wydawało się, że Connor też pragnie jakichś wizualnych szczegółów ode mnie. Pewnej nocy, dość późno, przysłał mi maila ze swojego BlackBerry.

W co jesteś ubrana?

Mail był nietypowy, bo brakowało „najpierw mnie pocałuj” na końcu, ale przypuszczam, że zapomniał z powodu późnej pory i zmęczenia.

W owym czasie czułam się na tyle pewna siebie, by odpowiedzieć jako ja, a nie udając Tess, dlatego więc szczerze opisałam mu swój strój.

Granatowe spodnie dresowe. Kapaty. Koszulka sitcomu *Czerwony karzeł* z cytatem: „Uwędź mi śledzia”.

Bardzo śmieszne. Ty to dopiero potrafisz popsuć zabawę, odpowiedział w taki zagadkowy sposób.

Od samego początku podjęcia przez nas korespondencji zdarzało się, że przez ileś godzin z rzędu nie dostawałam od niego żadnych wiadomości, czasami nawet przez połowę dnia, kiedy się usprawiedliwiał, że ma spotkanie z dziećmi. Z początku to mi nie przeszkadzało, a poza tym miałam mnóstwo innej roboty w związku z Tess. Teraz jednak stwierdziłam, że z coraz większym trudem znoszę ten przeciągający się czas bez kontaktu; minuty wlokły się niemiłosiernie i powoli nabawiałam się skurczu w prawej dłoni od ciągłego odświeżania konta pocztowego Tess. Nie miałam na czym się skupić podczas tych godzin; obiecał wprawdzie któregoś dnia, że przyśle mi zdjęcia swoich dzieci, ale tego nie zrobił. Próbowałam wyobrazić go sobie w jego mieszkaniu w Kensal Green, ale ponieważ nigdy nie byłam w jego mieszkaniu w Kensal Green, miałam pustkę w myślach. Nie potrafiłam zobaczyć nic więcej oprócz jego czarnej, skórzanej torby na korytarzu albo



pasiastego szalika udrapowanego na balustradzie. Poza tym nie było nic.

To właśnie podczas jednego z tych okresów pozbawionych kontaktu – pamiętam, że była to jakaś sobota – zaczęłam się zastanawiać, czy teraz, kiedy nie tylko naprawdę poznałam Connora, ale i z nim rozmawiałam, mogę dokonać upgrade'u od bycia w limerencji do bycia zakochaną. Co więcej, zainteresowałam się pojęciem „pokrewnych dusz” i w związku z tym zapragnęłam je zgłębić. Przypomniało mi się to, co Tess opowiadała o Tevim Didżeju, o którym twierdziła, że jest jej pokrewną duszą: „Pragnęłam mówić mu dosłownie wszystko. On mnie posiadał i czułam się bez niego zagubiona. Świat był bezbarwny, kiedy nie byliśmy razem”.

W czasie, kiedy tego słuchałam, myślałam sobie, że to są z jej strony jakieś kaprysy i nadmierny dramatyzm. Teraz tymczasem przypomniały mi się jej słowa, ponieważ opisywały dokładnie to, co czułam do Connora. Tylko czy cały ten pomysł, że dla każdego z nas na całym świecie liczy się ta jedna jedyna osoba, nie był przypadkiem nonsensowny?

Postanowiłam zrobić to, co robiłam zawsze, kiedy zmagalam się z jakąś ideą: przedstawić to na forum Czerwonej Pigułki.

Z perspektywy czasu sama widzę, że raczej nie było to rozsądne posunięcie, już choćby dlatego, że zaczynanie nowego wątku nie bardzo szło w parze z moimi ostatnimi zwyczajami w dziedzinie zamieszczania postów. Od czasu, kiedy zaczęłam projekt „Tess”, mój wkład na forum zmniejszył się dramatycznie: wprawdzie na życzenie Adriana logowałam się codziennie, to jednak przeważnie po to tylko, by zamieścić symboliczny, banalny komentarz, względnie zgodzić się z czymś, co powiedział ktoś inny, a nie po to, by zdobyć się na jakiś prawdziwy wysiłek czy też podzielić się jakąś głęboką myślą.

Oczywiście nie zapomniałam, jak dziwnie zachowywał się Adrian podczas naszego spotkania w Westfield, ale jak już wcześniej powiedziałam, w ramach jedyne racjonalnego uzasadnienia uznałam, że był rozkojarzony z powodu jakiejś niezwiązanej ze mną sprawy osobistej. A poza tym wydawało się, że między nami wszystko wróciło do normalności. Po wysłaniu maila do Marion wspomniałam o tym w moim następnym raporcie dla „Avy” i Adrian odpowiedział mi swoim zwyczajowym „Dobra robota!”.

Żadne z nas nie nawiązało do naszego nieudanego spotkania i od tego czasu wymieniliśmy się kilkoma bardziej przyjaznymi mailami.

Z pewnością nie przyszło mi na myśl, że kiedy rozpocznę wątek o bratnich duszach, Adrian wyrazi sprzeciw. Myślałam raczej, że będzie zadowolony z mojego wzmożonego w stosunku do ostatnich tygodni zaangażowania w działalność na serwisie.

Po zalogowaniu się stwierdziłam, że większość myślicieli elitarnych jest już obecna i że właśnie prowadzą dyskusję na temat ostatniego podkastu Adriana, którego jeszcze nie odsłuchałam. Ze względów formalnych prawdopodobnie powinnam była przyłączyć się do debaty na jakiś czas, zanim zainicjowałam własny wątek, ale nie miałam na to ani czasu, ani cierpliwości. Dlatego zaczęłam ten nowy wątek z bardzo krótkim tematem ujętym w formę pytania: „Czy bratnie dusze istnieją?”.

Pierwsza odpowiedź przyszła dwie minuty później, od panaiwładcy.

„Cienistogrzywy, co jest? Robisz się miękki pod wpływem wieku? Nie istnieje coś takiego jak los. Wszystko jest rzeczą wyboru”.

Na co odpowiedziałam tak:

„Ale czy nie jest to możliwe, nawet jeśli mało prawdopodobne, że na tej planecie, na której żyje pięć miliardów ludzi, jest ktoś taki, kto doskonale spełnia nasze potrzeby i pragnienia? Dla kogo ty jesteś bratnią duszą?”

Wiedziałam, kiedy wciskałam „wyślij”, że z tym, co odpisałam, to błąd. Do rozmowy wcisnął się Jonasz3.

„Dla kogo jesteś bratnią duszą? Tak, pamiętam, jak Sokrates użył tej frazy... NIE. Nie istnieje coś takiego jak bratnie dusze, po prostu jest tak, że ludzie potrzebują od siebie wzajem pewnych rzeczy, żeby powołać do istnienia nowy komplet genów. Miłość to tylko taka koncepcja służąca do podtrzymania życia”.

„Mam na to dwie odpowiedzi”, napisałam. „Po pierwsze, w *Uczcie* Platon broni idei bratnich dusz, dlatego więc implikowanie, że żaden wielki myśliciel w nie nie wierzy jest błędne. A po drugie, co wtedy, jeżeli nie pragnie się dzieci?”

Odpowiedź:

„Platon posłużył się analogią istot o czterech nogach i rękach, przepołowionych przez Zeusa i rozsianych po świecie, które następnie błąkają się po tymże świecie w poszukiwaniu swojej drugiej połowy. W Zeusa też wierzysz? Nawet wielcy myśliciele potrafią popełniać pomyłki, Cienistogrzywy”.

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, ktoś jeszcze dołączył do dyskusji. To był Adrian.

„Jonasz3 ma rację, Cienistogrzywy”, napisał. „Nawet myśliciele elitarni potrafią popełniać pomyłki. Sugeruję, żebyś przypomniawszy sobie o swoich obowiązkach moralnych jako racjonalista i nie pozwalając sobie na chwiejność za sprawą takich mętnych myśli”.

Stwierdzenie, że wstrząsnęła mną ta jego interwencja, byłoby eufemizmem. Oczywiście wiedziałam, że Adrian monitoruje naszą dyskusję: ostatecznie był to jego serwis. A jednak normalnie rzadko kiedy wtrącał się w taki sposób. Odpowiadał na pytania, jeśli zostały mu zadane, ale zazwyczaj zajmował stanowisko milczącego obserwatora, pilnującego debaty i dokonującego w niej korekt tylko wtedy, gdy go o to poproszono.

Najpierw zareagowałam na takie publiczne skarcenie zażenowaniem. Oberwałam po nosie. Kiedy jednak zawstydzenie już bledło, zaczęłam się zastanawiać, czy Adrian dowiedział się o Connorze. Tylko jakim sposobem?

Wyciągnęłam taki wniosek, że prawdopodobne uzasadnienie bury, którą dostałam, jest następujące: uznał, że moje dociekania na temat „bratnich dusz” nie mają związku z projektem „Tess”, tylko odnoszą się do jakiegoś zupełnie innego zdarzenia w moim życiu osobistym. Że na przykład poznałam jakiegoś chłopaka. I że Adrian bał się, że to nowe zainteresowanie odciągnie mnie od pracy.

Teraz, kiedy ta myśl zapuściła korzenie, poczułam, że narasta we mnie irytacja. Jak on śmiał sugerować, że zachowuję się nieprofesjonalnie? Wypełniałam swoje obowiązki i poświęciłam wiele miesięcy życia na ten projekt, idąc na pewne ryzyko. I ta myśl – nieważne, że niewsparta dowodami, nawet w teorii – że ktoś mógłby chcieć mnie powstrzymać przed rozmowami z Connorem, sprawiła, że zrodziło się we mnie nieznanne, a

potężne uczucie: pragnienie, by się przed tym bronić, za wszelką cenę starać, by do tego nie doszło, i żeby odpowiedzieć na te pogróżki atakiem.

Zarzut „mętnych myśli” też mnie ubódł – oskarżał mnie przecież człowiek, który nawet nie pamiętał, gdzie poznał Tess, który z przekonaniem stwierdził, że to się stało w Nowym Jorku, gdy tymczasem ja wiedziałam, że to nieprawda.

Nie staram się usprawiedliwiać tego, co zrobiłam potem, tylko wyjaśniam. Przyznaję, że to było dziecinne, impulsywne posunięcie.

Byłam nadal zalogowana na forum. Po tym, jak Adrian mnie spostonował, nikt już nic nie dodał – jakby oni wszyscy wstrzymali oddech i czekali, co się teraz stanie. Zaczęłam pisać:

„A tak nawiasem, Adrian, nie poznałeś jej w Nowym Jorku. Ona tam nigdy nie była”.

Mimo zagniewania wciąż uważałam, żeby nie powiedzieć czegoś, z czego ktoś inny wyłowiłby jakiś sens. Po prostu chciałam dać mu prztyczka, chciałam dać mu do zrozumienia, że przynajmniej jeśli idzie o Connora, to ja nie pozwalałam, żeby robił ze mną, co chce.

Pozostali użytkownicy zareagowali na mój komentarz dalszym milczeniem – tym razem wyrastającym z niezrozumienia, podejrzewałam. Cała ociekając adrenaliną, czekałam, jak na mój post zareaguje sam Adrian.

Przez minutę na forum nic absolutnie się nie zmieniało, potem jeszcze przez kolejne dwie i trzy. Po trzech i pół brak jakiegokolwiek akcji zaczął się wydawać dziwny i nienaturalny. Pomyślałam, że może zawiesił mi się ekran, więc wcisnęłam „odśwież”. Obraz, jaki się teraz pojawił, to było faksymile strony głównej Czerwonej Pigułki, a na nim czerwone kółko z biegnącą na ukos kreską i napis: „Nie masz pozwolenia na dostęp do serwisu”.

W jednej chwili mój gniew został wyparty przez niedowierzanie. Czy on mnie zbanował? Kiedy tak wpatrywałam się w ekran, próbując przetworzyć to, co się właśnie zdarzyło, z ulicy dobiegł mnie nagle trzask pękającego szkła – ktoś prawdopodobnie wyrzucił kopniakiem kufel z pubu – i wzdrygnęłam się gwałtownie, jakby ten kufel roztrzaskał się tuż przed moją twarzą.

Kiedy jednak efekt szoku się zatarł, zaczęłam myśleć bardziej rozsądnie i dość prędko wyciągnęłam wnioski, że ten obrót wypadków wcale nie jest taki straszny, a właściwie, że to szczęście w nieszczęściu. Już od jakiegoś czasu nie miałam serca do serwisu, nie będę więc za nim tęsknić. I jeśli Adrian zamierza być krytyczny i nieprzyjemny, to za nim też tęsknić nie będę. Dopóki wciąż będę miała Connora – a także Tess – to nic mi się złego nie stanie.

1. Mowa o teleturnieju *Bargain Hunt* nadawanym przez BBC od 2000 roku, w którym zadanie uczestników polega na korzystnym kupowaniu antyków i potem sprzedawaniu ich z zyskiem na aukcjach. [\[wróć\]](#)

Wtorek, 23 sierpnia 2011

Kiedy dostałam bana na Czerwonej Pigułce, zabolalo, ale po krótkim czasie przestałam myśleć o Adrianie, bo tyle się działo. Mail, którego wysłałam do Marion, odniósł pozytywny skutek, ponieważ wzięła pod uwagę moją prośbę o nierozmawianie przez telefon i nie było żadnych nawiązań do tamtego „Kto ty jesteś”.

Niemniej jednak koncyliacyjny charakter mojego maila sprawił, że nieoczekiwanie zalała mnie powodzią emocji i wspomnień. W kolejnych mailach przychodziły potoki słów, całe tysiące w pojedynczych wiadomościach, w których Marion opisywała, jak postrzega ich relacje, i najwyraźniej spodziewała się, że Tess jakoś na to zareaguje. Wywlekała różne incydenty z przeszłości, podając szczegóły, które nie zgadzały się z tym, co miałam w notatkach, i zadawała mnóstwo niewygodnych pytań – Wyjaśnij dokładnie, dlaczego niby miałam osobowość narcystyczną? Co jeszcze mogłam dla Ciebie zrobić, kiedy byłaś dzieckiem? Czy byłaś zazdrosna o Nicholasa? Stwierdziłam, że najbezpieczniej będzie, jeśli całkiem zignoruję te jej pytania, a w zamian zarzucę ją opowieściami o Sointuli utrzymanymi w pogodnym, gawędziarskim tonie, w nadziei, że wtedy zrezygnuje z pytań.

Rozmyślałam też o seksie. Bo widzicie, postanowiłam jeszcze raz spotkać się z Connorem i dokonać kolejnej próby pogłębienia naszego związku. Śpieszę jednak dodać, że nie miałam w planie uprawiania z nim seksu tego następnego razu, kiedy go zobaczę. Byłam tylko świadoma, że jeśli moje plany zostaną uwieńczone sukcesem, to potem na jakimś etapie trzeba będzie rozwiązać tę sprawę. I dlatego to mi zaczęło zaprzętać umysł.

W przeszłości też zdarzało mi się myśleć o seksie, w rzeczy samej nawet nierzadko. Kiedy miałam siedemnaście lat, oglądałam różne rzeczy w sieci i zorientowałam się, na czym to polega. Raz nawet chciałam tego spróbować,

latem 2006 roku. W poszukiwaniu stosownego partnera zarejestrowałam się na internetowym serwisie randkowym i spędziłam sporo czasu na idiotycznym zadaniu, jakim było sporządzanie sobie profilu. Kazali wypełnić kwestionariusz z poleceniami typu: „Wymień sześć rzeczy, bez których nie mogłabyś żyć”; wpisałam: „Tlen, woda, pożywienie, serce, płuca” i na końcu dodałam jeszcze Internet, bo uznałam, że w ten sposób postawię kropkę nad i. Dostałam tylko jedną odpowiedź, od czterdziestosześcioletniego mężczyzny z głową ogoloną na zero, który twierdził, że jest działaczem ruchu obrony praw zwierząt oraz „ekstremistą we wszelkich aspektach życia”. Napisał, że mogłabym przyjechać do jego mieszkania w New Cross, ale ani nie wyznaczył daty, ani nie podał adresu, po czym przestał odpowiadać na moje maile.

Dlatego więc zaniechałam tej drogi i zamiast tego wdałam się w rozmowy z Necromancerem3000, uczestnikiem gry strategicznej o tej nazwie, w którą zaangażowałam się jeszcze przed *World of Warcraft*. Naprawdę miał na imię Marcus. Powiedział, że możemy się spotkać w pubie w Edgware, gdzie mieszkał, więc wyjaśniłam mamie, że wybieram się na imprezę z ludźmi ze szkoły, i wsiadłam do Linii Północnej, żeby się z nim spotkać. W metrze dotarło do mnie, że przecież nie wiem, jak on wygląda, ale to nie miało znaczenia, ponieważ wyróżniał się wśród tłumu w ogródku przy pubie: było lato, a on jako jedyny nosił długie, czarne palto. Był moim rówieśnikiem i człowiekiem tak wysokim, że nawet kiedy wyciągnęłam szyję, mój wzrok znajdował się na poziomie jego grdyki, a oprócz tego tak chudym, że pod czarnym T-shirtem i dżinsami nie widziało się ani śladu ciała. Miał długie, ciemne włosy, dość podobne do moich, a na cienkim, włóchatym nadgarstku nosił szereg skórzanych opasek.

Siedzieliśmy przy stoliku, otoczeni młodymi ludźmi, którzy pijacko się zaśmiewali i wypuszczali kłęby dymu papierosowego. Marcus opowiadał o swojej pracy w dziale technicznym Virgin Media i o swojej stronie internetowej, Cui Bono, poświęconej demaskowaniu Grupy Bilderberg. Sprawiał wrażenie jednocześnie zdenerwowanego i zagniewanego, stale też popatrywał na głupie, rozchichotane dziewczyny w kusych strojach i nazywał je „ludziowcami”. Ja z kolei nie miałam ochoty rozmawiać, tylko chciałam jak najprędzej iść do niego i mieć już to z głowy. Ale potem wdaliśmy się w głupią sprzeczkę na temat jedzenia mięsa – powiedziałam mu, że z przyczyn

moralnych jest to podejście nie do obrony – i po czterdziestu minutach postanowił wrócić do domu, nie zapraszając mnie, żebym poszła razem z nim. I to był koniec.

Tak więc to nie tak, jakobym nigdy wcześniej tego nie rozważała. Różnica polegała na tym, że w przeszłości snułam rozważania na temat seksu z obcymi ludźmi, a nie z ludźmi, na których mi zależało.

Poza tym pozostawało jeszcze pytanie, co się właściwie wtedy robi. Jak mówię, widziałam różne rzeczy w sieci i mniej więcej ogarniałam ogólną ideę, te ruchy i to przetaczanie się. Ale jak zapewne już wspominałam, Tess była osobą bardzo aktywną seksualnie i z tego, co mówiła, wynikało jakby, że jest w tym coś więcej. Jej maile często nawiązywały do tego aktu, opowiadała też o tym bez żadnego zażenowania, w taki sam sposób, w jaki entuzjasmowała się niektórymi książkami czy też jakimiś newage’owymi modami, którymi akurat się interesowała. Część maili, które wymieniała ze swoimi chłopakami – wliczając w to Connora – była zaiste dość dosadna. Nie chcę wchodzić w szczegóły, ale było oczywiste, że posuwała się poza to, co jak przypuszczałam, mieściło się w domenie „normalnych” praktyk.

Na przykład w 2002 roku napisała do swojej przyjaciółki Jen, że poprzedniego wieczoru przebrała się za „rumuńską kurwę” i poszła do baru w jakimś hotelu. Potem przyszedł tam jej ówczesny chłopak, który miał na imię Raj, i „przygadał ją sobie”, jakby się w ogóle nie znali. Udawała, że jest prostytutką, i to przez cały wieczór.

W mailach między Tess i Connorem z tamtych czasów, kiedy łączył ich związek, zdarzały się tego typu nawiązania, może zresztą nie takie onieśmielające, ale dawały do myślenia. Na przykład on domagał się przed ich wieczornym spotkaniem, żeby ona zrobiła mu to, „co ostatnim razem”. Oczywiście nie miałam pojęcia, co to takiego mogło być, i obawiałam się, że może powstać problem, jeżeli Connor będzie tego czegoś chciał ode mnie.

Wyglądało też na to, że uprawiali „seksting” i że korzystali z kamer przy co najmniej jednej okazji. Zeszłego wieczoru wyglądałaś zajebiście sexy, napisał Connor w dniu, w którym, jak to wynikało z moich notatek, Tess była w Kopenhadze, gdzie odwiedzała jakiegoś znajomego. Nie mogłam nic na to poradzić, że mój mentalny obraz przedstawiał Tess taką, jaką



widziałam ją na Skypie, czyli leżącą na łóżku w białej kamizelce, z tymi chudymi nogami, które raz po raz układała w innej pozycji, nie przejmując się tym, że widzę jej majtki. Opierała głowę o ścianę za łóżkiem i patrzyła z góry do kamery, jakbym to ja była na tym łóżku razem z nią, i wyobrażałam sobie, że tak samo postępowałyby z Connorem. Zastanawiałam się, czy nie powinnam poćwiczyć, żeby jakoś pozyskać tę samą fizyczną swobodę. Szkoda, że jej tu nie ma, bo wtedy udzieliłaby mi jakichś rad, pomyślałam.

Biorąc wszystko pod uwagę, może to zabrzmieć dziwnie, ale czasami robiło mi się bardzo przykro, że Tess już tu nie ma. I nie chodziło tylko o takie momenty, kiedy chciałam dowiedzieć się czegoś, co mogłam uzyskać tylko od niej, ale po prostu to poczucie jej braku nawiedzało mnie także w całkiem nieoczekiwanych chwilach – kiedy na przykład szłam do Tesco i przypominało mi się, że na świecie jest mnóstwo nieskomplikowanych, zwyczajnych ludzi. To wyglądało tak, jakby ktoś zastrzelił rzadkiego ptaka zamiast gołębia, których przecież były nieprzeliczone stada.

W każdym razie z powodu niemożności zasięgnięcia rady u Tess nie miałam innego wyboru, tylko musiałam skorzystać z Google'a, czego niemal natychmiast pożałowałam. Znalazłam tam całe morza materiałów, ale wśród nich jakby nic, co by udzieliło odpowiedzi na moje bardzo proste pytania. Przypomniał mi się pewien mężczyzna, który wstąpił raz do Caffè Nero i krzyknął na Lucy, kiedy ta podbiegła do niego z listą napojów: „Ja proszę tylko o prostą, zwyczajną kawę! Czy to tak wiele?”.

Tak więc było o czym myśleć. Postanowiłam też trochę zmienić wygląd, czyli ubrać się w coś nowego. Jak pewnie sobie wyobrażacie, perspektywa trzeciego spotkania z Connorem siłą rzeczy stworzyła dylemat. Skoro prawie mnie rozpoznał ostatnim razem jako tę osobę, której dał dwanaście pensów w barze kanapkowym, niemal z całą pewnością przypomni mu się, że chciał mi postawić drinka w Barze pod Smokiem, że dotknął mojego pendrive'a itd. Pytanie zatem brzmiało, czy powinnam tak się ubrać, żeby mnie nie rozpoznał, czy też wyglądać tak samo jak wtedy, ryzykując, że Connor się zaniepokoi tym „zbiegiem okoliczności”, że oto znowu na siebie wpadamy.

Zdecydowałam się na kompromis. Przebieranie się za całkiem inną osobę miało niewiele sensu, bo gdyby spotkanie zakończyło się sukcesem i nasz związek się jeszcze bardziej scementował, to później takie przebieranki

byłyby niemożliwością. Stwierdziłam więc, że postąpię najlepiej, jeśli zmienię swój „look” i ubiorę się w coś, co zapewne włożyłaby Tess, zgodnie z takim rozumowaniem, że im bardziej będę ją przypominała, tym bardziej Connor będzie mnie sobie wyobrażał jako jej doskonały zastępnik.

Rozumowanie rozumowaniem, ale kwestie praktyczne już nie były takie proste. Te nieliczne rzeczy, które pokupowałam w przeszłości, pochodziły albo z Internetu, jak ta bluza *Czerwonego karła*, albo ze sklepu Evansa w Brent Cross, względnie z domu towarowego Bluston, gdzie jeszcze za życia mamy korzystałam z rabatów przysługujących jej jako pracownikowi. Bluston kierował swoją ofertę raczej do dojrzałych kobiet i w jego witrynie zwieńczonej łukami wystawiano takie rzeczy, jak beżowe prochowce i komplety złożone ze sweterka i bluzki, o których mama mówiła, że są staromodne nawet dla jej pokolenia, ale kiedy tam wchodziłyśmy, wszystkie panie zbiegały się dookoła mnie niczym stadko kur i obiecywały, że zaraz powyciągną rzeczy „trendy”. A kiedy te rzeczy wyłaniały się z drewnianych szuflad, to okazywało się, że tak na oko niczym się nie różnią od tych na wystawie, chociaż to mi nie przeszkadzało: ostatecznie ubrania to ubrania, a poza tym lubiałam przebywać w tym sklepie, bo było w nim ciemno, chłodno i pachniało nową bawełną.

Ale nic tych moich ubrań nie pasowałoby na „Tess”: ona nosiła rzeczy małe, ciasne i modne. Przypomniało mi się, że dziewczyny w szkole rozmawiały o Topshopie na Oxford Street – zdaje się, jeździły do tego sklepu w każdy weekend – więc któregoś popołudnia tam właśnie się udałam.

Nie było to owocne doświadczenie. Sklep okazał się oszałamiająco przepastny – czułam się w nim jak w Westfield – i ta muzyka ogłuszała niczym w jakimś barze. Automatyczne drzwi stale się otwierały i wpuszczały kolejne fale identycznie wyglądających młodych kobiet, które wmaszerowywały do wnętrza niczym orkowie wybierający się na bitwę. Potem wessały nas ruchome schody z dwóch stron obrzeżone lustrami – wszystkie dziewczyny jak jeden mąż obracały się w stronę swoich odbić – po czym wypluły do ogromnej, podziemnej jamy. Tu te wszystkie dziewczyny natychmiast się rozproszyły i zaczęły porwać ubrania, które odrzucały w ciągu milisekund na podstawie jakichś prywatnych kryteriów. Były równie skupione na swym zadaniu i zarazem bezlitosne jak Terminator, dlatego

usuwały wszelkie przeszkody stojące im na drodze – czyli mnie – żeby się dostać do danego stojaka. Łomocząca muzyka nie pozwalała stać spokojnie, tylko zmuszała do nieustającego gnania naprzód. Sklep jakby nie miał granic i wszędzie były ubrania, ale nie widziało się w tym żadnego systemu. Zatrzymałam kobietę ze słuchawką w uchu i zapytałam, gdzie są spódniczki, na co ona ogarnęła wnętrze sklepu wymachem ręki i powiedziała, że wszędzie.

W końcu znalazłam jakieś spódniczki, ale okazały się okropne: krótkie, uszyte z pomarańczowej skóry z wyborowanymi dziurami i kosztowały 80 funtów. Poza tym nie mieli rozmiaru 16. Dlatego więc uciekłam z powrotem na ruchome schody i wydostałam się na wolność. W życiu nie byłam taka zadowolona, że znajduję się na Oxford Street.

W końcu zdobyłam swój nowy strój w Tesco Extra. W dziale odzieżowym mieli mnóstwo towarów w moim rozmiarze i wybrałam spośród nich krótką, obcisłą spódniczkę w niebieskim kolorze oraz cienki, różowy sweterek. Przymierzyłam je po powrocie do domu. Nigdy wcześniej nie nosiłam obcisłych rzeczy i w zetknięciu z moją skórą sprawiały wrażenie czegoś wręcz kosmicznego. Nie byłam specjalnie podobna do Tess. Ale z kolei, pomyślałam, i tak jestem teraz bardziej do niej podobna niż kiedykolwiek.

Spotkanie z Connorem zaplanowałam według identycznego toku rozumowania co wcześniej. W następnym popołudniu, w środę około godziny siedemnastej, wymieniliśmy się naszymi zwyczajowymi „Dzień dobry”/ „Dobry wieczór”. Powiedziałam mu, że o świcie obudziły mnie odgłosy fok kopulujących na plaży; łaf, łaf, odpisał. Zapytałam go, co zamierza robić wieczorem, a on powiedział, że będzie na urodzinach kumpla, Toby’ego. Wyciągnęłam z niego, że będą w lokalu na West Endzie, który nazywa się Francuski Dwór.

Wszystko szło zgodnie z planem. Ubrałam się i przygotowałam do wyjścia z mieszkania. Już prawie dochodziłam do drzwi, kiedy ze swojego pokoju wyszedł Jonty. Spojrzał na mnie ogłupiałym wzrokiem i zagwizdał.

– Gorąca randka? – zapytał, naśladując, jak mi się wydało, amerykański akcent.

Przytaknęłam prędko, a potem potrząsnęłam głową.

– Tak. To znaczy nie. To nie randka. – Zaczęłam gorączkowo myśleć. – Mam z kimś spotkanie.

– No to bardzo eleganckie spotkanie. W związku z czym?

– Chodzi o mój scenariusz.

– Skończyłaś go? – zapytał Jonty, wytrzeszczając oczy z najwyraźniej szczerym zachwytem. – Ty to jesteś dopiero cicha woda. No to trzymam kciuki. Koniecznie musimy to później uczcić.

Jeszcze raz przytaknęłam i pospiesznie powędrowałam do metra.

I to właśnie w metrze, kiedy już siedziałam w wagonie i zmierzałam w stronę Green Park, tuż przed osiemną, zobaczyłam tę gazetę. To była jedna z tych darmowych gazet, wetknięta za fotel obok mnie, i kiedy ją rozwinęłam, ujrzałam na pierwszej stronie niewyraźne zdjęcie głowy Adriana, to samo, którym się posługiwał na Czerwonej Pigułce. Nad zdjęciem zamieszczono nagłówek: „Sensacyjne odkrycie internetowego kultu samobójstwa”.

Moje dłonie mimo woli wypuściły gazetę; pamiętam, że kiedy upadła na podłogę, z ust wyrwał mi się zaskakująco głośny dźwięk. Usłyszałam czyjś chrapliwy oddech i zorientowałam się, że to ja tak oddycham i że moja klatka piersiowa wydaje się rozdymać do podwójnych rozmiarów za każdym razem, kiedy zaczerpuję powietrza. Mężczyzna siedzący naprzeciwko spojrzał na mnie znad telefonu, a wtedy zamknęłam oczy, może na kilka sekund, może na kilka minut. Kiedy je otworzyłam, na miejscu mężczyzny siedziała kobieta, która czytała inny egzemplarz tej samej gazety. Trzymała ją w wyciągniętych rękach, dlatego widziałam dokładnie pierwszą stronę; Adrian uśmiechał się do mnie ciepło. Spojrzałam w głąb pociągu i odniosłam wrażenie, że wszyscy pasażerowie czytają tę samą gazetę, że w tym wagonie mieszka ze stu Adrianów.

W końcu z wysiłkiem pochyliłam się i podniosłam gazetę z podłogi, z nadzieją, że robię to jakby od niechcenia. Artykuł zajmował całą pierwszą i całą trzecią stronę, ale zawierał zasadniczo niewiele, w każdym razie bardzo niewiele faktów. Ogólnie przekaz był taki, że jakiś użytkownik Czerwonej

Pigułki – nie wspomnieli kto – powiedział policji, że Adrian poprosił go, żeby wirtualnie „przejął” życie kogoś, kto chciał się zabić. „Złowieszczy guru internetowy, Adrian Dervish, zachęcał ludzi o takich skłonnościach, żeby popełnili samobójstwo, a potem metodą prania mózgu nakłaniał swoich wyznawców, by wcielali się w te osoby w Internecie”, tak brzmiały te słowa, jeżeli dobrze pamiętam. Ten bezimienny użytkownik przez jakiś czas realizował plan, ale w końcu się wystraszył i opowiedział o wszystkim swoim rodzicom, którzy poszli z tym do gazet. Policja aktualnie poszukiwała Adriana.

Siedziałam w metrze z gazetą na kolanach, gdy tymczasem ludzie wsiadali i wysiadali. Miejsca obok mnie były zajmowane, zwalniane i znowu zajmowane. Miałam niejasną świadomość, że wpijają się we mnie czyjeś nogi, że czyjeś łokcie wciskają się we wspólne oparcie. Pociąg minął Green Park, gdzie miałam wysiąść, i dojechał do Stanmore, gdzie znajdował się koniec trasy. Drzwi się otworzyły, ale ja nie wysiadłam, a potem w końcu jednak wstałam, wyszłam na peron i usiadłam tam na ławce.

Kiedy czytałam ten artykuł, najmocniej nie uderzyły mnie wcale szersze implikacje w związku z Tess i moim zaangażowaniem, ale fakt, że nie byłam jedyną osobą, którą Adrian w to wciągnął. Gazeta nie powiedziała, ile nas było, tylko rzuciła aluzyjnie o „ekipie skomputeryzowanych cudownych dzieci”.

To prawda, że Adrian ani razu nie powiedział, że nikt inny tego nie robi. Niemniej jednak wróciłam myślami do tamtego dnia w Hampstead Heath, kiedy dzięki niemu poczułam się taka wyjątkowa. Wtedy był to – tak myślałam – nasz własny, tajny projekt. Powiedział, że mnie wybrał, bo jestem nadzwyczajną osobą, która jak mało kto jest w stanie ogarnąć zarówno etyczny, jak i praktyczny wymiar przedsięwzięcia. Wiem, że brzmi to irracjonalnie, ale teraz poczułam się zdradzona.

W głowie miałam zamęt od tych emocji i mało pomocnych myśli. Dopiero po kilku chwilach zaczęłam wszystko przetwarzać, jak należy. Jeżeli policja ścigała Adriana, to prawdopodobnie przeszukają jego dom. Kto mógł wiedzieć, jakie informacje tam znajdą? Może właśnie jechali do mojego mieszkania. Może już tam byli, czekali. Wyobraziłam sobie kelnerów z restauracji wyglądających przez okno, gdy tymczasem na zewnątrz policjanci

ustawiali się w szeregu. Jonty otworzy drzwi i pomyśli, że ktoś umarł. Powiedział mi raz, że kiedy był studentem college'u w Cardiff, chłopak, z którym dzielił pokój, zginął w wypadku samochodowym i moment, gdy policjant zapukał do drzwi, żeby mu o tym powiedzieć, był najgorszy w jego życiu.

Kiedy ujawnię mu prawdę, z początku poczuje ulgę, ale po chwili przeżyje szok i będzie urażony, że tak go oszukiwałam. A potem, podczas przesłuchania, pewne rzeczy nabiorą dla niego sensu. „Tak – powie – była dość tajemnicza. Rzadko wychodziła ze swojego pokoju. Mówiła, że pisze scenariusz filmowy”.

W wyobraźni widziałam policjantów przeszukujących mieszkanie. Wprawdzie zamknęłam drzwi na kłódkę, jak zawsze, ale ta kłódka była dość licha i z łatwością by ją przecięli. Jak już wejdą do środka, nie będą mieli trudności ze znalezieniem dowodów. Ukryłam co prawda wszystkie rzeczy związane z Tess – zarówno dokumenty papierowe, jak i te w moim komputerze, bo zawsze robiłam to automatycznie – ale ktoś je w mgnieniu oka znajdzie. Naścienny wykres był praktycznie w zasięgu wzroku, ledwie ukryty pod plakatami.

Zrozumiałam, że muszę wracać do domu – choćby tylko po to, żeby Jonty nie musiał się zmagać z policją. Przeszłam na drugi peron i wsiadłam do pociągu jadącego do Rotherhithe.

Kiedy już szłam po Albion Street, dookoła domu wyraźnie panował spokój, a zasłony w moim mieszkaniu były zaciągnięte, tak jak je zostawiłam. Zatrzymałam się na chwilę przed wejściem, wyobrażając sobie, że w środku czekają na mnie policjanci, że siedzą ściśnięci niewygodnie na kanapie, poważni i milczący, a przed nimi na podłodze leżą wszystkie dowody. Kiedy tak sterczałam na chodniku, pamiętam, że mi się pomyślało, iż może to być moja ostatnia chwila na wolności. Przyznaję, że autentycznie zaczerpnęłam haust powietrza, wciągając do płuc aromat smażonego kurczaka, spalin i metaliczną nutę z zakładu fryzjerskiego. Obok mnie przejechał zygzakiem nastoletni chłopak na rowerze, ścigany przez drugiego, który zawołał: „Ale dupa!”; usłyszałam też nagły ryk muzyki dobiegającej z mijającego mnie samochodu. Spojrzałam na szyld restauracji, ponad którym wyzierał fragment mojego okna, i dotarło do mnie, że nigdy wcześniej nie

zauważyłam, jak się nazywa ta restauracja: Maharadża. Najlepsze curry w Rotherhithe. A potem otworzyłam drzwi kluczem.

W mieszkaniu było pusto. Nie było nawet Jonty'ego i tylko stos nieumytych naczyń w zlewie stanowił dowód, że zjadł gulasz i wyszedł. W swoim pokoju natychmiast rzuciłam się do działania. Najpierw upewniłam się, że pliki z informacjami o Tess są na moim pendrivie, a potem usunęłam je z komputera i wyczyściłam pamięć w przeglądarce. Wiedziałam, że eksperci potrafią znaleźć pozornie usunięte pliki i że jedynym pewnym sposobem na zniszczenie informacji jest roztrzaskanie komputera, ale na to nie byłam jeszcze gotowa. Podjęłam decyzję, że jeśli policja podejdzie pod drzwi, to wtedy wyrzucę laptopa przez okno na podwórko za restauracją, licząc, że worki ze śmieciami zamortyzują upadek i jednocześnie go ukryją.

Próbowałam przećwiczyć to, jak zareaguję, kiedy się pojawią. Powinnam się wszystkiego wyprzeć? Ale jeśli przyjdą do mnie, to dlatego, że będą mieli dowody, że byłam zaangażowana. A jeśli połączą moje nazwisko z Tess, sprawa będzie przypieczętowana. Wystarczy kilka minut na ustalenie, że Tess wcale nie mieszka w Sointuli. Potem sprawdzą adres IP, z którego były wysyłane maile, i takim sposobem dojdą do mnie. Po czym powiedzą o tym Marion. I w ogóle wszyscy się dowiedzą. Connor też.

Siedziałam tak, czekając, aż zapukają do drzwi, i przeszukiwałam sieć. Ustawiłam powiadomienia Google'a w związku z nazwiskiem Adriana i mój laptop co kilka minut wydawał sygnał dźwiękowy. Przez pierwszy dzień była to wciąż ta sama historia, powielana na całym świecie. Zamieszczano ją nawet na japońskich stronach. Spędziłam przy laptopie wiele godzin, poruszając tylko palcami, kiedy klikałam myszą. Słyszałam, jak Jonty wchodzi i wychodzi. A potem, o 6 rano w czwartek, wydarzyło się coś nowego. Jeden z portali prasowych opublikował wywiad z użytkownikiem Czerwonej Pigułki, który się ujawnił.

Nazywał się Randall Howard. Nie rozpoznałam go na zdjęciu, ale nie było w tym nic dziwnego, bo mało który z użytkowników serwisu zamieszczał swoje prawdziwe zdjęcia, i całkiem możliwe, że wiele razy z nim rozmawiałam. Był starszy ode mnie o rok i miał tłąstą, mało wyrazistą twarz oraz krótkie, sterczące włosy. Na zdjęciu siedział na kanapie obok swojej matki. Ta matka obejmowała go ramieniem i sprawiała wrażenie

bardzo zagniewanej.

Historia, którą Randall opowiedział w wywiadzie, była bardzo podobna do mojej. Znalazł Czerwoną Pigułkę z polecenia znajomej osoby. „Z początku uważałem, że Adrian jest niesamowity”, powiedział. „Był taki inteligentny i zabawny, poza tym wydawał się naprawdę zaangażowany”. Opisał, jak to wyglądało, kiedy mniej więcej po roku udzielania się na serwisie Adrian poprosił go o spotkanie twarzą w twarz. Doszło do niego w jednym z londyńskich parków.

Gazeta podała niewiele szczegółów na temat „klienta” Randalla. Wiem teraz, że dlatego, że policja już prowadziła śledztwo i nie wolno było ujawniać tych szczegółów. W gazecie nadali mu imię „Mark” i napisali, że dobiegał trzydziestki. Randall powiedział, że z początku bardzo się przejął tym pomysłem. Całym sercem wierzył w sprawę, uważał, że człowiek ma prawo popełnić samobójstwo, jeśli sobie tego życzy, a obowiązkiem innych ludzi jest mu pomóc, jeśli o to poprosi. Powiedział też, że pytał Adriana, czy Mark jest zdrowy psychicznie, i Adrian zapewnił go, że tak, po czym skontaktował go z Markiem. Wtedy zaczął zbierać o nim informacje, które dostawał w mailach. Jednak w odróżnieniu ode mnie i Tess obaj spotkali się osobiście. I to właśnie po tym spotkaniu, w jakiejś kawiarni w zachodnim Londynie, Randall zaczął mieć wątpliwości.

„W którymś momencie spojrzałem na niego, kiedy akurat mówił, i zobaczyłem, że ma na ustach plamkę od czekolady ze swojego cappuccino. I nagle do mnie dotarło, co tutaj jest stawką. Zrozumiałem, że to jest prawdziwy człowiek”. Powiedział też, że choć Mark „nieugięcie” twierdził, że wie, co robi, i że jest zdrowy psychicznie, to jednak jemu się wydawało, że wyczuwa w tym wszystkim jakiś opór. „Stale odwracał wzrok, kiedy do niego mówiłem, i z takim smutnym wyrazem patrzył gdzieś w dal”. Wspomniał, że Markowi tak bardzo trzęsły się ręce, że aż rozsypał cukier na stole.

Randall kontynuował projekt jeszcze przez kilka tygodni, gromadząc informacje tak samo jak ja. Ale któreś nocy, kiedy Mark się z nim skontaktował, żeby zaproponować datę swojego „wymeldowania”, Randall doznał „epifanii”. Zrozumiał, że cała ta sprawa powinna zostać przerwana, i co więcej, cytuję, „że trzeba powstrzymać Adriana Dervisha”. Zszedł na dół,



do swojej matki, która oglądała telewizję, i opowiedział jej wszystko. A ona natychmiast poszła z tym do gazet. I wtedy do sprawy wkroczyła policja.

„Nie mam pojęcia, ilu innym zestresowanym ludziom ten obrzydliwy człowiek wyprał mózg”, cytowały gazety wypowiedź matki Randalla. Mark najwyraźniej zmienił zdanie i już nie chciał umrzeć – był wdzięczny Randallowi, że zatrzymał cały proces. „Mogę mieć tylko nadzieję, że ujawniając się, Randall uratował kilka innych osób”, powiedziała matka. Wywiad kończył się wypowiedzią Randalla: „Kiedyś uważałem Adriana za boga – teraz myślę, że on jest diabłem”.

Ten artykuł mnie nie przekonał. Nawet jeżeli Mark, zgodnie z diagnozą Randalla, „zachowywał się tak, jakby wcale nie chciał odbierać sobie życia”. Nawet jeśli zauważył, że „pogoda jest piękna”, co zdaniem Randalla oznaczało, że nadal jest w stanie podziwiać to, co go otacza. Nawet jeśli to była prawda, że Mark wcale nie chciał umrzeć – chociaż, jak już powiedziałam, Randall moim zdaniem nie miał kwalifikacji, żeby coś takiego orzekać. Nawet jeśli wziąć wszystko to pod uwagę, to nadal nie wynikało z tego, że ci inni, którym pomagał Adrian, jak na przykład Tess, byli tacy sami. To zasługiwało na miano błędnego rozumowania.

Nie dawał mi również spokoju sposób, w jaki ukazano Adriana, acz nie podeszłam do tego ot tak po prostu. Posunę się wręcz do stwierdzenia, że czułam się wewnętrznie skonfliktowana, do czego skądinąd nie byłam przyzwyczajona. Z jednej strony miałam niejaką satysfakcję, poznając ten obciążający portret namalowany przez Randalla: sprawa zablokowania na serwisie była wciąż świeża w moim umyśle i nie mogłam się nie zgodzić z opisem Adriana jako człowieka „apodyktycznego” i „budzącego onieśmienie”. Przyznaję się też do mniej racjonalnych uczuć, jak żal – a nawet przeświadczenie, że zostałam zdradzona – gdy się dowiedziałam, że nie byłam jedyną osobą zwerbowaną przez Adriana. Ale z drugiej strony zirytowały mnie słowa użyte przez Randalla, absurdalne i przesadne – ten „diabeł” na przykład – a poza tym nadal miałam w sobie głęboko zakorzenioną lojalność wobec Adriana, dlatego ten jednostronny, histeryczny atak skłonił mnie do powściągliwości.

Tuż obok artykułu wydrukowano jednoszpaltową opinię opatrzoną zdjęciem autorki, kobiety o poważnym wyrazie twarzy, która wyraziła

dobitnie swój szok i oburzenie w związku ze sprawą. Nazwała Adriana „zdegenerowanym drapieżnikiem internetowym”, którą to frazę przechwycili inni dziennikarze, zamieszczając ją w swoich artykułach.

Prasa wszczęła debatę. Jak należało przewidywać, większość komentatorów była ustosunkowana negatywnie, dlatego pomstowali przeciwko niebezpieczeństwom Internetu i użalali się nad straconym pokoleniem młodych ludzi, słabych duszyczek, tak łatwo dających się wykorzystać. Domniemywano, że ludzie, którzy stracili życie – w owym czasie, czyli na samym początku, jeszcze nie było żadnych liczb – zostali do tego przymuszeni.

Mnie te wszystkie supozycje przygnębiały. Żaden z tych dziennikarzy nie znał prawdziwych okoliczności poszczególnych przypadków, a mimo to uważali, że mają prawo wciskać się ze swymi poglądami, prezentowanymi jako rzekome fakty. Wcześniej raczej gazet nie czytywałam i teraz byłam zdumiona, że im tak wolno.

Przez następne dwadzieścia cztery godziny część materiałów zamieszczanych w prasie stała się bardziej przemyślana i dorzeczna. Jakiś dziennikarz napisał długi artykuł o tym, że wprawdzie ta historia nie została jeszcze do końca zbadana i że z pewnością nie da się jej bronić, to jednak nawet jeśli ci wszyscy ludzie zostali przymuszeni do samobójstwa, zasada stojąca za całym schematem niekoniecznie była aż taka zła. On sam, to znaczy ten dziennikarz, był zwolennikiem eutanazji i twierdził, że zgadza się z podstawową regułą, że człowiek jest panem samego siebie i że ludzie powinni móc robić ze swoim ciałem, co chcą. Autor innego artykułu sugerował, że źle robimy, zakładając automatycznie, że samobójcy są obłąkani. Dlaczego odmawiamy im prawa do przekonania, że życie im obrzydło, i pragnienia, by je zakończyć?

Pod takimi artykułami czytelnicy mieli zwykle wydzielone miejsce na własne komentarze i muszę przyznać, że kiedy tak spędzałam te długie godziny na wyobrażaniu sobie, że policja jest już w drodze do mnie, nie mogłam się oprzeć i zamieściłam kilka postów. Poparłam na przykład kobietę, która twierdziła, że samobójstwo nie zawsze jest złym pomysłem, zamieszczałam też racjonalne argumenty przeciwko bardziej negatywnym postom.

Jednocześnie nadganiałam pracę w związku z Tess. Może się to wydać dziwne, ale uznałam, że takie nagłe zerwanie komunikacji z nią byłoby jeszcze bardziej niebezpieczne. Marion mogła się zdenerwować i zacząć dzwonić, podobnie znajomi Tess. A poza tym czułam, że byłoby to niewłaściwe tak ją porzucić z tego tylko powodu, że sprawy się skomplikowały. Przypomniła mi się naklejka, którą miał na zderzaku swojego samochodu nasz sąsiad: „Pies jest na całe życie, nie tylko na Gwiazdkę”. Oczywiście Tess nie była zwierzęciem domowym, ale powyższa sentencja poruszała czułą strunę.

Rzecz jasna był jeszcze Connor. On i Tess mieli zwyczaj mailować do siebie parę razy dziennie i kiedy nie odpowiadałam na którąś z jego wiadomości, choćby tylko przez kilka godzin – tak jak to się stało w środowy wieczór, gdy zobaczyłam tamtą gazetę – to zaraz przysyłał maila z pytaniem, czy coś się stało.

Jakoś to się wydawało niesprawiedliwe, że znajomi i rodzina Tess mieliby się dowiedzieć, że ona zaginęła; to by ich naraziło na przykre przejścia, na końcu których usłyszeliby, że ona naprawdę nie żyje. O wiele lepszym wyjściem było kontynuowanie wszystkiego jak dotąd, dopóki policja nie zapuka do drzwi Marion i nie poinformuje, że jej córka wcale nie mieszka w Sointuli, tylko jest osobą zaginioną, prawdopodobnie zmarłą, ofiarą Adriana Dervisha, „zdegenerowanego drapieżnika internetowego” oraz biednej, podatnej na cudze wpływy dziewczyny, którą zniewolił, żeby wykonywała jego rozkazy.

Tak więc robiłam dalej swoje, zamieszczając nowe posty o cudownym życiu Tess w Sointuli – „Powody, dla których człowiek kocha to miejsce – robią tu masaż za trzydzieści dolców” – i uprawiając tę głupią mailową grę z Connorem, w ramach której oboje na zmianę pisaliśmy kolejne wersy piosenki opisującej nasze dni. Byłem z jednym młodocianym w sądzie, pisał on. Naniosłam mnóstwo piachu na swoją werandę, odpowiadałam mu na to.

Nadal monitorowałam też portale informacyjne i dzięki temu w pewne piątkowe popołudnie dowiedziałam się, że nastąpił przełom w związku z poszukiwaniami Adriana, co na krótką chwilę mnie mocno zdeprymowało: policja dowiedziała się, gdzie on mieszkał, i wtargnęła do tego lokum.

Okazało się, że Adrian Dervish to fałszywe nazwisko i że Czerwona Pigułka była zarejestrowana w Brazylii, dlatego nie mogli go znaleźć tą drogą. Najwyraźniej jednak niezliczone publikacje jego zdjęcia przyniosły owoce i jakaś kobieta powiedziała policji, że mężczyzna o takim wyglądzie był jej sąsiadem przez miniony tydzień. Pokazano zdjęcie ponurego, obskurnego bloku mieszkalnego w pobliżu lotniska Gatwick. Policjanci przyjechali za późno, bo Adrian zdążył uciec, ale nagłośniono, że przejęli ileś komputerów, które obecnie były badane. Już znaleźli jakieś „istotne informacje”.

Nie sposób było przewidzieć, kiedy mnie namierzą, bo to zależało od tego, ile informacji przechowywał Adrian i jak skutecznie je szyfrował. O ile szyfrował. Wróciłam myślami do naszej rozmowy w Hampstead Heath, kiedy powiedział, że jest beznadziejny, jeśli idzie o komputery. Dokonał tej podstawowej próby zatarcia po sobie śladów przez użycie zagranicznego adresu IP, ale czy chciało mu się chronić także mnie? Wyobraziłam sobie policyjnego informatyka, jak zakasuje rękawy przed przystąpieniem do tak ciężkiego zadania, a potem zaśmiewa się na widok tych wszystkich znalezionych bez trudu dowodów.

Kto wiedział, co sobie mówili Adrian z Tess – na podstawie własnych doświadczeń podejrzewałam, że Tess nie była jakoś szczególnie dyskretna w swoich mailach. „Naprawdę znalazłeś kogoś, kto mi pomoże umrzeć? Przejdiesz, kurwa, do legendy”. Jeśli chodzi o namierzenie mnie, mogli wybrać dowolną metodę. Nie zamaskowałam swojego adresu IP – będzie można sprawdzić, że na konto Tess na Facebooku wchodzono z mojego komputera. Na Gmailu również. Z kolei na Czerwonej Pigułce znajdowały się dane z mojej karty kredytowej. Dlaczego nie pomyślałam, żeby się zabezpieczyć?

Jakby mi było mało strachu przed tym, że lada chwila usłyszę pukanie do drzwi i zostanę poddana bardzo nieprzyjemnym formalnościom, to jeszcze moje myśli stale dokonywały przeskoku do tego momentu w przyszłości, kiedy rodzina i znajomi Tess dowiedzą się, co się takiego działo. Czy też, mówiąc precyzyjnie, Connor pozna prawdę.

Przewijałam w głowie wszystkie potencjalne scenariusze. Connor jest w pracy, odbiera telefon od Marion, wyraz jego twarzy powoli przemienia się z

uprzejmego rozbawienia w jawne przerażenie. Connor jest w domu, siedzi na kanapie i relaksuje się przed telewizorem, oglądając stary odcinek *Panny Marple* (jego ulubiona, grzeszna rozrywka). Dzwoni dzwonek, on krzywi się z niezadowoleniem, po czym przeżywa panikę na widok sylwetki policjanta za mlecznym szkłem w swoich frontowych drzwiach. (Oczywiście nie miałam pojęcia, czy ma mleczne szkło w drzwiach; tylko tak je sobie wyobraziłam).

I czułam, że mnie znienawidzi, nieważne, jaką drogą się dowie, ponieważ nie pozna mojej wersji. Uzna, że robiłam to wszystko dla pieniędzy albo w charakterze jakiegoś obrzydliwego żartu. Na myśl o tym, że on mógłby o mnie myśleć źle, zrobiło mi się autentycznie niedobrze; musiałam wstać od biurka i zgiąć się w pół na podłodze. I kiedy tak tam przycupnęłam, wpatrując się w okruchy na dywanie, zrozumiałam, że to ja muszę mu przekazać te wieści, i to natychmiast. Musiałam mu to wyjaśnić osobiście. Jeżeli on zrozumie, dlaczego to robiłam, wybaczy mi.

Normalnie rozważam starannie wszystkie za i przeciw jakichś ważnych decyzji, ale w chwili, kiedy wpadłam na ten pomysł, wiedziałam, że to jedyne słuszne rozwiązanie. I przyznaję, że oczekiwałam czegoś więcej niż tylko wybaczenia ze strony Connora. Bo ostatecznie nie było nic, co by nas powstrzymało przed byciem razem, skoro Tess już nie żyła. Kiedy Connor otrząśnie się z szoku, sam to zobaczy. Mógł teraz kochać kogoś innego i osoba, której pragnął, była na miejscu, w Londynie, gotowa i dostępna.

Mój strach przeobraził się w podniecenie podszyte niecierpliwością; zapragnęłam natychmiast zobaczyć Connora. Było piątkowe popołudnie, dlatego zdecydowałam, że pojedę do Temple i złapię go, kiedy będzie wychodził z pracy. Włożyłam tę obcisłą spódniczkę i bluzkę, które kupiłam w Tesco na nasze wcześniejsze, udaremnione spotkanie, i czterdzieści razy przejechałam szczotką po włosach. Jonty na szczęście wyszedł, więc nie musiałam wymyślać kolejnej wymówki, dlaczego jestem taka wystrojona, a poza tym mogłam skorzystać z lustra w jego pokoju, jedyne duże w mieszkaniu. Miałam też kosmetyczkę mamy, ale okazała się niepotrzebna: oczy mi lśniły, a policzki były zaróżowione same przez się. Stwierdziłam, że jeszcze nigdy tak ładnie nie wyglądałam, i uśmiechnęłam się do swojego odbicia.

Było pięć po szóstej, kiedy dotarłam pod budynek jego kancelarii. Moja ławka była zajęta przez trzy turystki w średnim wieku, które odciążały stopy, ale i tak nie usiedziałabym spokojnie: byłam zbyt podekscytowana. Spacerowałam tam i z powrotem po niewielkim parku, powtarzając bezgłośnie zdanie, którym postanowiłam zagaić rozmowę – „Mam kilka złych wieści i kilka dobrych wieści” – i jednocześnie nie odrywając wzroku od czarnych drzwi do Asquith & Partners. Kiedy było już prawie wpół do siódmej, pojawił się w nich Connor.

Był sam, pas skórzanej torby biegł mu przez pierś, i rozmawiał przez telefon, energicznie maszerując ulicą. Tak jak przedtem na jego widok coś w mojej piersi zaczęło podrygiwać i poczułam słabość w nogach, ale przy tej prędkości, z jaką szedł, nie miałam czasu do stracenia. Zebrałam się w sobie i ruszyłam za nim, robiąc wszystko, żeby nie stracić go z oczu, bo właśnie opuszczał brukowane uliczki Temple, kierując się w stronę szerszej ulicy pełnej samochodów i ludzi. W pewnym momencie przystanął zniemacka, nadal rozmawiając przez telefon. Udało mi się go teraz dogonić i już niemal byłam w takiej odległości, że mogłabym go dotknąć, kiedy usłyszałam, jak mówi:

– Tak, widzę cię.

Zatrzymałam się i patrzyłam, jak macha w kierunku niewielkiego, czerwonego samochodu, zaparkowanego pod drugiej stronie ulicy. Za kierownicą siedziała uśmiechnięta blondynka, a z tyłu dwoje małych dzieci, które mu entuzjastycznie odmachwały. Patrzyłam, jak Connor czeka, aż wśród jadących pojazdów zrobi się przerwa, potem przechodzi na drugą stronę i wsiada do samochodu. Pochylił się, żeby pocałować tę kobietę w usta, po czym odwrócił się, żeby przywitać się z Mayą i Benem. I patrzyłam, jak Chrissie zapuszcza silnik i rusza; po chwili czerwony samochód wmieszał się między inne pojazdy i zniknął mi z oczu.

Nie wiem dokładnie, jak długo tak stałam na zatłoczonym chodniku. Zdawałam sobie sprawę, że mijający mnie ludzie są wyraźnie zirytowani, że stoję jak wryta, i znacząco ocierają się o moje ramię albo kłaskają. Gdyby mnie spytali, wyjaśniłabym, że naprawdę nie jestem w stanie się ruszyć, że nogi mi na to nie pozwalają. Również mózg wydawał się jak z ołowiu, jakby przestał pracować, bo nie chciał przetwarzać tego, co się właśnie zdarzyło.

Pozwalał na jedynie głupiutkie myślątka, na przykład jak dobrze zrobiłam, że nie użyłam tuszu do rzęs, bo teraz miałabym smugi na twarzy.

W końcu moje nogi znowu zaczęły pracować i odtransportowały mnie do stacji metra. W pociągu panował ścisk, ale jakaś kobieta wstała i ustąpiła mi miejsca. Nie bardzo wiem, dlaczego to zrobiła, ale byłam jej wdzięczna. Kiedy już usiadłam, dotarło do mnie, jak bardzo krótka jest moja spódniczka: wyzierały spod niej nie tylko kolana, ale wręcz całe uda pokryte bladą, plamistą skórą. Miejsce obok mnie zajmował mężczyzna w zmiętym garniturze, który wyglądał na rówieśnika Connora; siedział w niedbałej pozycji, z szeroko rozkraczonymi nogami i wystukiwał coś na swoim iPhone. Ekran miałam w całości w zasięgu wzroku, więc przyglądałam się, jakby przez szybę, jak układa wiadomość do osoby o imieniu Mila: „Nie pożalujesz tego, już ja się o to postaram. Nie zapomniałem, co ci obiecałem w Ascot... xxx”. Wyobraziłam sobie, jak pochylam się w stronę mężczyzny i wstukuję: „PS I nie wiem, czy zgadłabyś, ale jestem żonaty!”.

Po powrocie do mieszkania stwierdziłam z ulgą, że Jonty jeszcze nie wrócił. Napisałam do niego na karteczce, że jestem chora, więc proszę, żeby mi nie przeszkadzać, i zamknęłam za sobą drzwi na zamek. Znienacka dotarło do mnie, że jestem śmiertelnie wyczerpana, i natychmiast zapadłam w sen.

Kiedy się obudziłam, było bardzo ciemno i zarówno na ulicy, jak i w mieszkaniu panowała cisza. Włączyłam laptopa, żeby sprawdzić, która godzina, i zauważyłam, że dostałam czterdzieści osiem nowych wiadomości; bardzo się zdziwiłam, ale przypomniałam sobie, że ustawiłam powiadomienia w Google’u na pojawiające się nowe wzmianki o Adrianie i Czerwonej Pigułce. Zamknięto już wydania sobotnich gazet, dlatego pojawiło się wiele aktualizacji, analiz i dyskusji związanych z tą historią.

Czytałam wszystkie artykuły z obojętnością, jakbym nie była osobiście związana z tematem. Ujawnił się jeszcze jeden użytkownik serwisu, jakiś Stephen, który powiedział, że Adrian zwracał się także do niego z prośbą, by „przejął” czyjeś życie, ale on się na to nie zgodził. Poza tym rzekomo widziano Adriana w kilku miejscach, w Anglii i za granicą, to znaczy w Pradze i Nowym Jorku. Jedna z gazet zamieściła nagłówek: „Czy TWOJE dziecko należy do kultu samobójstwa?”.

W jednym wywiadzie Randall był pytany o to, czy wie może, ile jeszcze osób zostało zwerbowanych, na co odpowiedział: „Nie wiem. Bóg wie. Może setki”. Gazeta wykorzystała to następnie jako podstawę do zwrócenia się do jakiegoś „autorytetu z dziedziny psychologii”, by sporządził listę sygnałów ostrzegawczych dla rodziców, którzy boją się, że ich dziecko było pomocnikiem Adriana. Pierwsze pytanie brzmiało: „Czy twoje dziecko spędza ponadnormatywną ilość czasu przed komputerem?”. A drugie było takie: „Czy funkcjonuje w dziwnych, niezwykłych porach dnia?”.

Czytałam te wszystkie artykuły, ale nie potrafiłam się na nich skupić. Mogłam myśleć tylko o Connorze, albo mówiąc dokładniej, o tym, dlaczego on to zrobił. Dlaczego kłamał, że jest w separacji z Chrissie? Podczas weekendu przysłał kilka maili do Tess, jak zawsze starając się z nią flirtować. Kiedy go spytałam, co robił w piątkową noc, powiedział, że był na drinku z ludźmi z pracy i ostatecznie wylądował na jakiejś imprezie w Whitechapel. Nudziłem się, bo ciebie tam nie było.

Jeszcze raz przeczytałam nasze ostatnie maile. Ty boska istoto. Czy ty wiesz, że to, co się tu z nami dzieje, to rzadkość? Czuję, że tobie mogę powiedzieć dosłownie wszystko. Najpierw mnie pocałuj. Zapytał mnie któregoś razu, co pamiętam z czasów, kiedy byłam dzieckiem, a ja wtedy przytoczyłam swoje wspomnienie o tym, jak mam siedem lat i idę razem z mamą po Kentish Town High Street – to znaczy przeniosłam tę scenkę do Dulwich, gdzie dorastała Tess – i zauważyłam w rynsztoku coś, co mi wyglądało jak mały, różowy miś. Uznałam, że upuściło go jakieś inne dziecko, i pożałowałam misia, bo był taki brudny i całkiem zapomniany. Przykucnęłam, chcąc go podnieść, i dopiero gdy trzymałam go na poziomie oczu, zobaczyłam, że to nie miś, tylko odrąbana świńska noga. Och, biedna Heddy, odpisał wtedy Connor. Jakie to strasznie smutne. Chciałbym przyjechać i cię przytulić. Teraz, kiedy mama nie żyła, był jedyną osobą, która знаła tę historię.

Zastanawiałam się, czy to się rzeczywiście liczy, że on jest żonaty. Być może on i Chrissie tylko utrzymywali taką fasadę przez wzgląd na dzieci. Carmen, jedna z tych znajomych Tess, którzy byli nieszczęśliwi w małżeństwie, napisała do niej kiedyś takiego maila: „Jesteśmy wciąż razem, przez wzgląd na dzieci”. Niewykluczone, że on postępował szlachetnie, że



wciąż był żonaty z Chrissie. I nie powiedział o tym Tess, bo podejrzewał, że nie chciałyby mieć z nim nic wspólnego. „Już nigdy więcej żonatych facetów”, napisała w 2009 roku w ramach postanowień noworocznych.

Przecież ludzie biorą rozwody, prawda? Kiedy się zakochają w kimś innym? I kiedy obiekt ich miłości jest wolny?

Na tego typu pytania Google nie znał odpowiedzi i nie po raz pierwszy żałowałam, że nie ma tu Tess, bo by mi poradziła. Ale z kolei wiedziałam dobrze, co by mi powiedziała. Powiedziałyby, że przede wszystkim od Connora nie należało się niczego spodziewać. Jej zdaniem wszyscy mężczyźni byli, cytuję, tylko „napalonymi gadami”, którzy robią dokładnie tyle, ile im uchodzi na sucho. Nie powiedziała tego z żalem ani gniewem, tylko z obojętną rezygnacją, jakby to był jedynie fakt wpisany w ich kod biologiczny.

Podczas jednej z naszych rozmów zaczęłam podważać ten pogląd, wskazując, że to zbyt pojemne uogólnienie, które z kilku powodów jest bezpodstawne. Na tej samej zasadzie również kobietom powinno się przypisywać pewne wspólne cechy, a tymczasem już choćby Tess i ja stanowimy przykłady osób, które należą do tej samej płci, a jednak posiadają bardzo niewiele podobnych cech osobowościowych. Wskazałam też, że na podstawie jej kontaktów z mężczyznami trudno znaleźć dowody, by oni rzeczywiście posiadali owe „gadzie” atrybuty, bo przecież większość z nich wyraźnie pragnęła od niej większego zaangażowania, niż ona była gotowa udzielić. W rzeczy samej, dodałam, z przykładów z jej życia i z tego, co udało mi się dowiedzieć na temat domniemanych różnic między płciami, wynikało, że to ona odgrywa domyślną „rolę mężczyzny”, bo zmienia partnerów jak rękawiczki.

Pamiętam, że leżała wtedy na wznak na łóżku, przez co nie widziałam jej twarzy przez większą część rozmowy, ale w tym momencie usiadła i spojrzała wprost w kamerę, z głową przekrzywioną w bok i z wyrazem rozbawienia na twarzy.

– Kotku, nie obraż się, ale nie jestem przekonana, czy masz odpowiednie kwalifikacje, by coś doradzać w kwestii polityki seksualnej – powiedziała.

A jednak w ciągu ostatnich kilku miesięcy zrozumiałam coś: że to, iż

Tess wyrażała się o czymś z absolutnym przekonaniem, jeszcze wcale nie oznaczało, że miała rację. To prawda, że wtedy znała się o wiele lepiej niż ja na tym, czym są związki, a ja z kolei nie bardzo miałam czym podważyć jej stwierdzenia. Teraz zaś sama miałam już jakieś doświadczenia i naprawdę czułam się uprawniona do wyrażania własnych osądów – i po prostu nie zgadzałam się z tezą, że wszyscy mężczyźni są tacy sami i że nie można im ufać. Każdy człowiek jest skomplikowany i wyjątkowy, podobnie jak każdy związek. I znałam Connora znacznie lepiej, niż kiedykolwiek znała go Tess.

Zrozumiałam, że muszę z nim jak najprędzej porozmawiać.

Najbliższym dniem, w jaki mogłam to zrobić, był poniedziałek. Najpierw zastanawiałam się, czy nie udać się wczesnym rankiem pod jego kancelarię i złapać go, kiedy przyjdzie do pracy, ale zaniechałam tego pomysłu, bo on często się spóźniał i pewnie byłby zdyszany i zdenerwowany. A zatem lepszą porą była jego przerwa na lunch.

W poniedziałkowy rano obudziłam się wcześniej, bo już o dziesiątej, czując w sobie zapał i jednocześnie zdenerwowanie. Nie mogłam usiedzieć spokojnie i perspektywa czekania w mieszkaniu przez dwie godziny, dopóki nie nadejdzie pora, by wyjść, nie była pociągająca, dlatego postanowiłam, że pójdę pieszo do Temple. Nigdy wcześniej nie szłam tak daleko, ale to był ważny dzień, który miał odmienić moje życie, dlatego taka odwaga była jak najbardziej stosowna.

Po raz kolejny włożyłam swoją nową spódniczkę i tak długo szcztokowałam włosy, aż zaczęły się unosić, bo zrobiły się naelektryzowane. Na całe szczęście Jonty wyjechał na kilka dni do rodziców, więc nie musiałam wymyślać usprawiedliwienia, dlaczego jestem taka elegancka. Wyszłam z mieszkania i ruszyłam w stronę ścieżki biegnącej brzegiem Tamizy. Jak na październik był to ładny dzień; miasto iskrzyło się w blasku słońca, a powietrze było świeże i ożywcze – co zresztą nie znaczy, że potrzebowałam nowego ładunku energii. Stan rzeki był niski i tuż przed mostem Tower zauważyłam grupę ludzi, którzy własnymi rękoma albo z pomocą narzędzi grzebali w jej dnie. Przypomniało mi się, jak Jonty pewnego dnia przyszedł do domu cały brudny i entuzjasmował się swoim nowym hobby, które nazywał „jazdą w błocie”, a polegającym na poszukiwaniu artefaktów w mule Tamizy; być może ci ludzie robili to

właśnie.

Podniecenie sprawiało, że szłam prędko i wyprawa do Temple zabrała mi mniej czasu, niż to przewidywałam czas podróży w moim oprogramowaniu do znajdowania trasy. Kiedy dotarłam do swojej ławki, była dopiero 12.15, a więc co najmniej trzy kwadranse przed porą, w której Connor wyjdzie po kanapkę. Ta perspektywa długiego czekania mnie przybiła, ale po chwili dotarło do mnie, że wcale nie muszę czekać. Bo skoro zamierzałam wyjawić prawdę, to już nie trzeba było prokurować spotkania; mogłam po prostu wejść do budynku kancelarii i powiedzieć, że chcę się z nim widzieć.

Podeszłam do czarnych drzwi i nadusiłam guzik domofonu. Odpowiedział mi kobiecy głos i wtedy oświadczyłam jasno i wyraźnie, że przychodzę spotkać się z Connorem Devine'em. Zostałam wpuszczona do niewielkiej, zaskakująco obskurnej poczekalni. Kobieta za biurkiem recepcji spojrzała na mnie z zaciekawieniem i zapytała, czy jestem umówiona. Odpowiedziałam, że nie, że jestem tu w pilnej sprawie osobistej. Zapytała mnie o nazwisko, podjęła słuchawkę telefonu i wystukała trzycyfrowy numer.

– Connor, przyszła niejaka Leila, która chce się z tobą zobaczyć – powiedziała.

Kiedy usłyszałam to zdanie, wypowiedziane tak zupełnie bez ogródek, poczułam, że moja pewność siebie słabnie. Zrobiłam krok w tył i otworzyłam usta, chcąc powiedzieć, że wychodzę, ale zanim zdążyłam przemówić, w bocznych drzwiach pojawił się Connor, jakby cały czas czekał za nimi. Spojrzał na mnie i zmarszczył czoło, a potem zerknął na recepcjonistkę, jakby chciał zapytać: „Czy to ona?”. Kobieta przytaknęła i wtedy znów przeniósł wzrok na mnie.

– Przepraszam, czy my się znamy? – zapytał.

– Tak – odparłam. Znowu byłam stanowcza. – Wyjdźmy na zewnątrz.

Jeszcze raz zmarszczył czoło, ale wyszedł za mną na ulicę. Uszłam na odległość kilku kroków od kancelarii, po czym obróciłam się, stając z nim twarzą w twarz. Connor spojrzał na mnie i w tym momencie – wiem, że zabrzmiało to absurdalnie – przemknął między nami tak jakby prąd elektryczny. W zaledwie kilka sekund ogarnęłam wszystko, co do najdrobniejszego

szczegóły: zaróżowioną skórę dookoła oczu, gęstą, ale schludną szczecinę na podbródku, włosy zaczesane na tył głowy w formie skrzydeł, zakrywające kolczyk w górnej części lewego ucha, które dał sobie przekłuć po pijanemu w Tajlandii podczas rocznego urlopu.

– Przepraszam – powtórzył. – Czy my się znamy?

– Tak – powiedziałam, stanowczo przytakując.

Jego oczy omiatały badawczo moją twarz.

– Jesteś siostrą Tobiasza?

– Nie – odparłam. – Nie znam Tobiasza. Mam na imię Leila. – Dotarło do mnie, że tak naprawdę to nie zastanawiałam się, jak podejść do sprawy. – Jestem znajomą Tess.

Wyraz jego twarzy uległ zmianie, najpierw na krótką chwilę na łagodniejszy, a potem na czujny. Przeształ z nogi na nogę i rozejrzał się dookoła.

– Kto ty jesteś? – Przyjrzał mi się uważnie. – Czy ja już cię kiedyś widziałem?

Pomyślałam, że chyba lepiej mu nie przypominać na razie o naszych poprzednich spotkaniach.

– Powiedziała ci – odparowałam. – Jestem znajomą Tess.

– Czy coś jej się stało? – zapytał.

– Nie. A właściwie to tak. Muszę ci coś powiedzieć. Możemy usiąść?

Ruszyłam w stronę ławki i usiedliśmy. Wyjęłam z torby wczorajszą gazetę i ułożyłam ją sobie na kolanach. Spojrzał na mnie pytająco, po czym wziął gazetę do ręki i przeniósł wzrok na pierwszą stronę. Dopiero wtedy zauważyłam obrączkę na jego lewej dłoni. Zawsze nosił obrączkę, czy też ją zdejmował w tamtych dniach, kiedy spotykałam go wcześniej?

Po kilku sekundach odłożył gazetę.

– Przepraszam, ale kompletnie nie rozumiem, o co tu chodzi, i jestem bardzo zajęty. Czy Tess coś się stało?

– Tak. Ale najpierw musisz się dowiedzieć o Adrianie Dervishu – powiedziałam, wskazując gazetę. – Który podobno namawiał ludzi, żeby popełniali samobójstwo.

– Prawda – odparł zniecierpliwionym głosem. – I?

Zakładałam wcześniej, że nasza rozmowa potoczy się płynnie, tak samo jak online, a tymczasem wcale tak nie było. Już nie było tego uczucia, że między Connorem i mną jest jakaś specjalna więź; w rzeczy samej w tym momencie mógł równie dobrze być kimś całkiem obcym. Ogarnęła mnie panika, że sprawy nie toczą się tak, jak tego oczekiwałam, i zmieniłam taktykę – być może zbyt nagle.

– Tess nie żyje – wypaliłam.

Mówiąc to, przyglądałam się uważnie jego twarzy. Jego brwi drgnęły, ale rysy pozostały niewzruszone.

– Co?

– Zabiła się – powiedziałam.

– Kiedy? – zapytał cicho.

Zwlekałam chwilę, bo wiedziałam, że gdy odpowiem na to pytanie, nic już nie będzie takie samo. Connor odwrócił się i wpatrywał teraz w przestrzeń, z lekko rozchylonymi ustami. Jeszcze nie jest za późno, pomyślałam. Mogę mu powiedzieć, że Tess umarła tego ranka, w Sointuli, a potem wstanę i odejdę. Ale jeśli to zrobię, to on nigdy się nie dowie, że pisał do mnie. Nasz związek się skończy i prawie z całą pewnością nigdy więcej go nie zobaczę ani nie dostanę od niego żadnego maila.

– Kiedy? – powtórzył, obracając się w moją stronę.

Położyłam dłoń na jego ramieniu uspokajającym gestem i zaczerpnęłam oddechu.

– Cztery miesiące temu – powiedziałam.

Spojrzał na mnie ostro. Jego oczy niemalże zniknęły, tak jak wtedy, kiedy był czymś rozbawiony, tylko że teraz się nie uśmiechał.

– To niemożliwe. Wczoraj pisaliśmy do siebie maile.

– Nie pisałeś do niej – odparłam. – To nieprawda. To znaczy chcę powiedzieć, że pisałeś do niej, ale to nie ona czytała te maile. Ani też nie ona na nie odpowiadała. Ja to robiłam. Wytrzeszczył na mnie oczy, a kiedy wreszcie się odezwał, mówił głosem znizonym, takim jakby głuchym warkotem.

– O czym ty, kurwa, pieprzysz? Kto ty jesteś?

Jego agresywny ton mnie zaskoczył. Ponownie przed oczyma stanął mi obraz z nim, jak idzie w stronę Chrissie i dzieci siedzących w samochodzie, i nagle poczułam się oburzona.

– Powiedziałam ci. Jestem przyjaciółką Tess, o wiele lepszą niż ty. Znam ją tysiąc razy lepiej niż ty.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Powiedziałam ci – powtórzyłam z rozdrażnieniem. – Tess nie żyje, a ja...

– Ty ją zabiłaś? – Wstał nagle i odsunął się na krok od ławki, patrząc na mnie takim wzrokiem, jakbym była niebezpiecznym psem.

– Nie! – zaprotestowałam. – Ja jej pomogłam. – Moje oburzenie zniecierpliwienie gdzieś się rozwiązało i ku swemu przerażeniu poczułam, że jestem bliska łez. – Usiądź, proszę.

Usiadł po chwili, ale znowu się odwrócił, przez co nie widziałam jego twarzy, tylko podrygujący mięsień w linii podbródka.

– Robiłam tylko to, o co mnie prosiła – wyjaśniłam. – Pragnęła umrzeć, ale nie chciała martwić rodziny i przyjaciół, dlatego poprosiła, żebym przejęła jej życie, dzięki czemu ona mogłaby wymknąć się po cichu i...

– I zabić się? – dopowiedział Connor.

– Tak – potwierdziłam.

Connor znowu wstał z ławki, ale tym razem nie odszedł dalej. Stał plecami do mnie, a ja przyglądałam mu się, jak wyciąga z kieszeni spodni papierosy i zapalniczkę. Usłyszałam kliknięcie, zobaczyłam, jak jego smukłe ramiona unoszą się i opadają pod marynarką w trakcie, gdy się zaciąga.

– Myślałam, że rzuciłeś – zauważyłam, niewiele myśląc.

Dłoń trzymająca papierosa zatrzymała się na chwilę w powietrzu, po czym pokonała swoją drogę do końca. Zaciągnął się jeszcze kilka razy, po czym zaczął mówić, nie odwracając się.

– Chciałbym to jakoś ogarnąć – powiedział, a ja słyszałam, że z wielkim wysiłkiem stara się mówić spokojnym głosem. – Twierdzisz, że Tess się zaplątała w znajomość z tym świrem, że się zabiła i że ty, kimkolwiek jesteś, zachęciłaś ją, żeby to zrobiła?

– Ja jej do niczego nie „zachęcałam”. To była jej własna decyzja – odparłam i opisałam w skrócie, w jaki sposób poznałam Adriana i jak doszło do mojego zaangażowania w sprawę Tess. Mówiłam to wszystko do jego pleców, wpatrzona w prążki na marynarce, błagając go w duchu, żeby się odwrócił. – Była zdrowa psychicznie – dodałam. – Wiedziała, czego chce.

Connor milczał przez kilka sekund, potem upuścił niedopałek. Nie zgniótł go butem i dym poleciał w moją stronę. Tym razem mnie to nie obeszło, choć normalnie mi przeszkadzało; jakimś sposobem ten dym nie cuchnął tak obrzydliwie jak od papierosów innych ludzi. A potem wreszcie stanął do mnie twarzą i odezwał się takim tonem, jakby dopiero teraz go oświeciło:

– Chcesz powiedzieć, że cały ten czas pisałem do ciebie?

Przytaknęłam i uśmiechnęłam się. To nie było aż takie dziwne, że potrzebował chwili, żeby przetrwać prawdę: tego rzeczywiście było za dużo, by tak od razu to ogarnąć. Liczyłam teraz, że powoli staje się jasne, co z tego wszystkiego wynika. Myślał, że osoba, w której się zakochał, jest w Kanadzie, poza jego zasięgiem, a tymczasem ona była tuż obok.

Wpatrywał się we mnie, ale nie umiałam rozszyfrować do końca wyrazu jego twarzy. Próbowałam sobie wyobrazić, co się dzieje w jego głowie, i nagle mnie olśniło, że przecież on nie wie, na czym stoi, jeśli chodzi o mnie, o Leilę. Mógł myśleć, że kiedy do niego pisałam, to tylko wykonywałam swoją pracę, że zupełnie mi na nim nie zależy.

– Musisz wiedzieć, że ja tak naprawdę myślałam – zapewniłam. – Pisałam, co naprawdę myślałam.

Nic nie powiedział, tylko dalej się na mnie patrzył. Czułam się coraz

bardziej wytrącona z równowagi i kolejne słowa wyskakiwały mi z ust jakby bez mojej wiedzy.

– Bo ja... nie jestem z nikim związana, musisz wiedzieć. Jestem singielką. Jestem wolna.

Kiedy to usłyszał, jego usta wygięły się w coś na kształt uśmiechu i wreszcie przemówił, wolno i wyraźnie:

– Jesteś pierdolnięta?

Tym razem to mnie odebrało mowę. Connor ostentacyjnie omiół mnie spojrzeniem od stóp do głów, wciąż z tym dziwnym półuśmiechem.

– Naprawdę wierzysz, że mógłbym się z tobą związać? – zapytał.

W tym momencie poczułam coś takiego, jakby w mojej piersi napełnił się powietrzem wielki balon. Zaczęłam płytko oddychać i przez kilka chwil nie byłam w stanie nic zrobić, tylko gapiłam się na Connora. A on z kolei wpatrywał się we mnie kamiennym wzrokiem i zrobił się brzydki, miał twarz obcego człowieka. A potem, ot tak znienacka, pobudziła mnie do działania straszna złość.

– No cóż, zdaje się, byłoby ci trudno się z kimś związać, prawda? – wypaliłam. – Przecież jesteś żonaty!

Connor wzdrygnął się.

– Widziałam cię! Ciebie, Chrissie i dzieci, całe to ciepłe rodzinne w samochodzie. A twierdziłeś, że rozstaliście się wieki temu! Mówiłeś, że jesteś we mnie zakochany i że chcesz być ze mną. Dlaczego tak mówiłeś? Ja...

– Co jest, kurwa? – rzucił Connor. – Kiedy nas widziałaś? Śledzisz mnie?

Potrząsnęłam głową, rozwścieczona, że on usiłuje obejść to, do czego zmierzałam.

– Mówiłeś, że mnie kochasz – powtórzyłam głośno i wolno, jakbym przemawiała do dziecka.

– Ciii – syknął Connor, zaraz potem łagodniejąc na twarzy, wyraźnie na użytek kogoś, kto się znalazł za mną.



Odwróciłam się i zobaczyłam, że z budynku kancelarii wyszła właśnie grupka jego kolegów zmierzających na lunch, którzy teraz zerkali z ciekawością w naszą stronę. Connor skinął im głową i uśmiechnął się, ale ten uśmiech natychmiast zniknął z jego twarzy, gdy tylko tamci się oddalili.

– Mówiłeś, że mnie kochasz... – zaczęłam od nowa.

– Przestań to powtarzać – powiedział. – Nawet cię nie znam.

– Jestem Tess! – rzuciłam, niemalże krzyżąc. Jak on mógł nadal tego nie pojmować? – Czy ty nie rozumiesz? Jestem Tess.

Connor zaniósł się suchym, strasznym śmiechem.

– Nie wiem, co się tu, kurwa, dzieje, ale jestem pewien jednej rzeczy, to znaczy tego, że ty nie jesteś Tess.

– To oczywiste, że nie jestem prawdziwą Tess. – Machałam teraz rękami, a przez ten gniew i rozczarowanie myśli wylewały mi się z głowy bez żadnego sensownego porządku. – To wszystko, co wypisywałeś, to były kłamstwa? Opowiedziałam ci o świńskiej nodze! Twierdziłeś, że śmiałeś się w sądzie ze szczęścia, bo po prostu pomyślałeś o mnie! To była prawda?

Z każdym pytaniem mówiłam coraz głośniej i zauważyłam, że oglądają się na nas przechodnie. Connor zrobił krok w tył i patrzył się na mnie dziwnie.

– Odczep się ode mnie – rzucił.

Tego już nie mogłam znieść, tego spojrzenia, w którym były niesmak i strach.

– I jesteś... – Urwałam, bo nie potrafiłam sobie przypomnieć właściwego słowa, ale zaraz je znalazłam: jedno z ulubionych słów Tess, którego sama nigdy w życiu nie wymówiłam na głos – jesteś kutasem.

Dokładnie tak, jak na to liczyłam, Connor wyraźnie przeżył szok, ale to słowo rozbroiło także mój gniew. Poczułam się nagle śmiertelnie wyczerpana i kiedy znowu się odezwałam, mój głos brzmiał już normalnie.

– Czy Chrissie wie? – spytałam.

– Oczywiście, że nie – odparł.

– Zostawiłaby cię, gdyby się dowiedziała?

Spojrzał na mnie ostrym wzrokiem.

– Grozisz mi?

– Nie.

– W takim razie odpowiem ci, że nie wiem. Nie wiem, co by zrobiła Chrissie, gdyby się dowiedziała. Podejrzewam, że by mnie rzuciła. – Wydawał się teraz dziwnie oddalony, mówił jakby do siebie. – Nie wierzę, że Tess nie żyje. Nie wierzę ci... Nie wierzę w to wszystko.

– Ja nie kłamię – zapewniłam. – To ty kłamiesz.

Connor zaniósł się zimnym śmiechem podobnym do szczekania psa.

– Ty mi zarzucasz oszustwo?

W tym momencie brakowało mi już energii, żeby odpowiedzieć i znowu zacząć się kłócić; wyglądało na to, że on też nie ma siły. Stał w miejscu z obwisłymi ramionami.

– Kto ty jesteś? – zapytał cicho, ale to nie było prawdziwe pytanie. A potem odwrócił się i odszedł bez pożegnania, nie zatrzymując się przed swoją kancelarią, tylko powędrował dalej, w stronę głównej ulicy.

Stałam i patrzyłam, dopóki nie zniknął z zasięgu wzroku.

Stałam tam jeszcze kilka minut, dopóki nie przyszło mi do głowy, że Connor może lada chwila wrócić do pracy. Ruszyłam z miejsca energicznymi krokami, które prędko przeszły w bieg, potykając się w swoich zdradliwych butach, bo tak bardzo chciałam uciec z Temple. Straciłam wyczucie kierunku i teraz to miejsce, które jeszcze nie tak dawno sprawiało wrażenie magicznej enklawy, przypominało fortecę, bo każda brukowana uliczka wyglądała zwodniczo podobnie i szły po niej dziesiątki mężczyzn w garniturach, takich samych jak Connor.

W końcu znalazłam wyjście i z ulgą dotarłam do Victoria Embankment. Od rzeki oddzielała mnie jezdnia, ale jakoś przez nią przeszłam, nie zaczekawszy, aż między samochodami powstanie dogodna luka, mgliście zauważając, że ścigają mnie klaksony i krzyki. Oparłam się o mur nad wodą i w tym momencie moje ciało zwiotczało, korzystając z tego, że ma podpórkę.

Tylko dzięki temu udało mi się trzymać głowę prosto.

Nie byłam zła na siebie, nie byłam nawet rozczarowana sobą. Jakbym wyzbyła się wszelkich uczuć. Przyszło mi do głowy słowo „wybebeszona” – ludzie w szkole przerzucali się nim w odniesieniu do błahych wydarzeń, ale ja je odrzucałam jako slangową metaforę, a teraz było to jedyne słowo pasujące do sytuacji. Czułam się kompletnie wybebeszona, moje ciało stało się równie bezużyteczne jak skórka od banana.

Brunatna rzeka iskrzyła się w słońcu, poziom wody nadal był niski i wiatr niósł z sobą lekką woń stęchlizny. Na przeciwległym brzegu widziałam ludzi opierających się o mur, tak jak ja, ale w odróżnieniu ode mnie oni wszyscy, zdaje się, byli z kimś i przyglądali się rzece, przyciskając się do tej drugiej osoby. Spojrzałam w stronę wschodu, w stronę mostu Tower, i zobaczyłam, że ludzie wciąż grzebią tam w błocie. Małeńkie, zgarbione sylwetki w jarzeniowych kurtkach mogły równie dobrze pochodzić z innej planety. Tess mawiała, że dorosłe życie to tylko ćwiczenie z zabijania czasu: skoro tak, pomyślałam, to może ci tutaj wpadli na właściwy pomysł. Kopanie w błocie było czymś absurdalnym, ale przynajmniej nieszkodliwym.

Zamknęłam oczy, ale od prób przetworzenia tego, co się właśnie zdarzyło w związku z Connorem, fizycznie rozboleła mnie głowa. Jak ja mogłam tak strasznie źle ocenić sytuację? Jak coś, co dla mnie było takie realne, mogło w rzeczywistości nie znaczyć nic?

Powinnam wrócić do mieszkania, pomyślałam i wyobraziłam sobie laptopa czekającego na mnie na biurku, małeńkie światełko przy kablu zasilacza jarzące się w cieniu szyldu restauracji. A jednak ten obraz już nie przynosił otuchy. No bo co mi po tym, skoro nie będzie już żadnych maili od Connora? W rzeczy samej myśl o powrocie do pracy, o tym, że nadal miałabym udawać Tess, zniecka wydała się odrażająca.

To, co zrobiłam potem, nie wynikało z gniewu ani też innej formy gwałtownych emocji. Była to raczej racjonalna decyzja, a przynajmniej taka wydawała się wtedy. Na poziomie praktycznym wyglądało to z kolei tak, że przecież nie stanowiłam części społeczeństwa, a poza tym nie mogłam ścierpieć nawet myśli o pójściu do mieszkania i do tego wszystkiego, co mi się z nim kojarzyło. Musiałam iść gdzieś indziej. Co więcej, już nie ufałam

swoim osądom, a bez tego kim byłam? Musiałam się poddać, pozwolić, by wkroczył ktoś inny i przejął kontrolę.

Wyjęłam telefon i wygooglowałam najbliższy posterunek policji.

Ten posterunek znajdował się przy Fleet Street, gdzie dotarłam w pięć minut. Nigdy wcześniej nie byłam w takim miejscu, ale najwyraźniej niewiele straciłam. Wprawdzie od zewnątrz wyglądał staro i okazale, ale wewnątrz miał równie mało interesujące jak niejeden bank, z plastikowymi krzeselkami umocowanymi śrubami do podłogi i półkami na ulotki na ścianach. Do policjanta dyżurującego za okienkiem dla interesantów stała kolejka i czekałam niecierpliwie za parą obcokrajowców, którzy z wielkim trudem wyjaśnili, że muszą zgłosić utratę telefonu, bo tego od nich wymaga ubezpieczyciel, a potem długo się rozwodzili w odpowiedzi na najprostsze z możliwych pytań.

Po piętnastu minutach poczułam się zmuszona przystąpić do działania.

– Przepraszam bardzo – powiedziałam głośno do człowieka w okienku. – Chcę zgłosić coś ważnego.

Policjant spojrzał na mnie beznamiętnie. Miał zmęczoną, mięsistą twarz.

– Tak jak każdy – odparł. – Proszę czekać na swoją kolej.

Para w końcu odeszła, zabierając wypełnione formularze, i wtedy stanęłam przy okienku. Policjant uniósł brew pytająco, z wyraźnym znużeniem.

– Chciałabym złożyć zeznanie – oświadczyłam.

– A w jakiej sprawie, jeśli wolno spytać?

– W sprawie mojej współpracy z Adrianem Dervishem.

– A on to...

Westchnęłam ze zniecierpliwieniem i po raz drugi tego dnia wyjęłam wczorajszą gazetę i podsunęłam ją w stronę okienka. Mężczyzna zerknął na nią.

– Pani zna tego człowieka?

– Owszem, znam – odparłam. – To znaczy tak jakby. Ale nie wiem, gdzie

on jest.

Policjant znowu spojrział na gazetę.

– Dobrze, proszę pani, w takim razie pani zechce usiąść i ktoś odbierze pani zeznanie w stosownym czasie.

Byłam, przyznaję, zdziwiona i nieco rozczarowana, że policja nie zajęła się mną pospiesznie i z podnieceniem; mało tego, taką samą postawę prezentowali dwadzieścia minut później, kiedy wreszcie zostałam poproszona o złożenie zeznania. Młoda, blondwłosa policjantka wprowadziła mnie do niewielkiego pomieszczenia, w którym stały stół i cztery krzesła. Usiadłyśmy naprzeciwko siebie, po czym ona wcisnęła klawisz nagrywania w staromodnym dwukasetowym magnetofonie. Podczas gdy ja mówiłam, ona sporządzała notatki, trzymając długopis w taki sam sposób jak Rashida, to znaczy zaciskając dłoń na jego czubku.

Kobieta okazała się trochę sympatyczniejsza niż mężczyzna w okienku i chyba coś wiedziała o sprawie, choć może niekoniecznie więcej, niż można było wyczytać z artykułów w gazetach. Zaczęła od zadania kilku pytań – jak poznałam Adriana i tak dalej – ale kiedy się zorientowała, że zamierzam zdać dokładną, chronologiczną relację z naszych kontaktów, pozwoliła mi mówić zasadniczo bez żadnych ingerencji.

Najpierw byłam zdenerwowana, ale w trakcie mówienia zauważyłam, że ten akt zdejmowania z siebie brzemienia jest nawet dość przyjemny. Miłe było także to, że ktoś mnie słucha z niepodzielną uwagą. A jednak mniej więcej pół godziny po tym, jak zaczęłam składać zeznanie, wszystko nagle się zmieniło.

Dotarłam właśnie do tego momentu, kiedy razem z Tess sporządziłyśmy plan jej „wymeldowania się”, i opisywałam cały pomysł z Sointulą, gdy kobieta weszła mi w słowo.

– Czy Adrian Dervish w którymkolwiek momencie wywierał na panią presję, by pani zrealizowała intrygę?

Spytałam, co ona ma na myśli, bo poczułam się zbита z tropu.

– Kiedy stało się oczywiste, że pani nie zrealizuje tego planu, czy Adrian Dervish próbował panią nakłaniać, by pani jednak to zrobiła?

Ona myślała, że ja tego nie zrobiłam. Że jestem kolejnym Randallem Howardem.

To był dokładnie taki sam moment jak wtedy z Connorem, gdy spytał, kiedy umarła Tess – miałam sposobność nie wyjawić całej prawdy i dzięki temu uniknąć wszelkich dalszych komplikacji. Tym razem jednak się nie wahałam.

– Nie, pani nie rozumie – odparłam. – Ja w to naprawdę się zaangażowałam. Tess odebrała sobie życie, a ja się w nią wcieliłam.

Potem upłynęło kilka sekund, w trakcie których odgłos taśm obracających się w magnetofonie tak jakby uległ natężeniu. Po czym policjantka nachyliła się w stronę magnetofonu i obwieściła, że rozmowa zostaje niniejszym zawieszona. Wstała i wyszła z pokoju, ale kilka minut później wróciła. Usiadła, włączyła z powrotem magnetofon i powiedziała głosem bardziej wyraźnym i bardziej urzędowym niż wcześniej:

– Aresztuję panią w związku z podejrzeniem o to, że udzieliła pani pomocy Tess Williams w popełnieniu samobójstwa, względnie nakłaniała ją pani do tego aktu.

Powiedziałam, że nie potrzebuję adwokata, ale chyba mi nie uwierzyli. Nadinspektor Winder co pół godziny przerywał przesłuchanie i przypominał, że mam prawo do przedstawicielstwa prawnego, i pytał, czy chcę z niego skorzystać. Kiedy powiedział to po raz trzeci, spytałam, dlaczego to robi, skoro moja odpowiedź jest niezmienna.

– Musimy mieć pewność, że pani jest tego pewna i że pani rozumie, co wynika z pani decyzji – odparł. I dodał, że na jednej taśmie można zarejestrować tylko czterdzieści pięć minut przesłuchania, więc dzięki temu takie ostrzeżenie znajduje się na początku i na końcu każdego nagrania.

To mnie skłoniło, by spytać o coś, nad czym się zastanawiałam cały czas, odkąd przyszłam na posterunek: dlaczego używają takich staroświeckich taśm, zamiast nagrywać zeznanie cyfrowo?

– Przy cyfrowym łatwiej jest manipulować – wyjaśnił.

To mi oczywiście przypomniało o oprogramowaniu, którego użyłam do naśladowania głosu Tess przez telefon, ale powstrzymałam się i nie wspomniałam o tym, ponieważ, jeszcze raz powtórzę, zamierzałam przedstawić wszystko w porządku chronologicznym i jeszcze nie dotarłam do tego momentu w całej historii.

Nadinspektor Winder był odpowiedzialny za śledztwo w sprawie Adriana Dervisha i przybył na Fleet Street w godzinę po moim aresztowaniu. W tym czasie przekazałam im klucze do mojego mieszkania, żeby mogli je przeszukać, przy czym najpierw wykorzystałam możliwość wykonania telefonu i zadzwoniłam do Jonty'ego, by sprawdzić, czy jest wciąż u rodziców. Nie chciałam, żeby się przeraził, kiedy do mieszkania wtargnie policja.

Jonty potwierdził, że nadal jest w Cardiff i że wróci dopiero następnego dnia.

– U ciebie wszystko gra? – zapytał.

– Tak – odparłam, myśląc gorączkowo. – Chodzi tylko o to, że jestem cały ten dzień u znajomego, a mieli mi coś dostarczyć z Amazonu. – Zauważyłam z niepokojem, że młoda policjantka zapisuje wszystko, co mówię.

– U jakiego znajomego? – zapytał Jonty z wyraźnym rozbawieniem.

– Muszę już iść – rzuciłam.

Później, aż do przybycia nadinspektora Winder, byłam zasadniczo pozostawiona sama. Poza tym na samym początku zaproponowali mi herbatę, na co się zgodziłam, mimo że nie lubię herbaty. Polistyrenowy kubek stał teraz nietknięty na stole, z zawartością zimną jak lód, a ja wpatrywałam się w niego i rozmyślałam o więzieniu. Widziałam w telewizji, jak wyglądają cele od środka – wcale nie tak źle. Może nie będzie tak bardzo inaczej niż w moim mieszkaniu, pomyślałam.

Kiedy do pokoju wszedł nadinspektor Winder, atmosfera tak jakby się zmieniła; wyczułam, że policjantka wyprężyła się na krześle. Był dość stary, miał plamiastą i zaognioną cerę oraz garbaty nos, a do tego dłonie porośnięte mnóstwem czarnych włosów. Przedstawił się głosem, w którym słyszałam

ślady obcego akcentu, potem usiadł i taśmy znowu zaczęły się obracać.

W odróżnieniu od policjantki nadinspektor Winder wiedział bardzo dużo o sprawie i zadawał bardzo szczegółowe pytania na temat Czerwonej Pigułki, o to, co Adrian powiedział mi w Heath i na czym dokładnie polegała umowa w związku z Tess.

– Czy Tess płaciła Adrianowi? – zapytał.

Odparłam, że nie wiem, i przyznałam, że dotąd nie przyszło mi to do głowy.

– Mamy podstawy, by domniemywać, że Tess mogła przekazać Adrianowi sporą sumę, w zamian za co on miał umożliwić komuś wcielenie się w nią – powiedział i wyjaśnił, że „Mark”, czyli klient Randalla Howarda, zeznał, iż ofiarował Adrianowi 15 tysięcy funtów. – Jeśli to prawda – dodał – wynika z tego, że Adrian czerpał zyski ze śmierci innych osób. I wtedy sprawa stałaby się bardzo poważna. Czy pani to rozumie, Leilo?

Przytaknęłam.

– Czy Adrian pani płacił? – zapytał.

Zawahałam się.

– Nie dokładnie.

– Co chce pani przez to powiedzieć?

– Wydaje mi się, że rzeczywiście przysyłał mi pieniądze, ale te pieniądze pochodziły od Tess.

– Ile tego było?

– Osiemdziesiąt osiem funtów.

– Dziennie?

– Tygodniowo.

Nadinspektor Winder zmarszczył brwi.

– To śmieszna kwota.

– To jest dokładnie tyle, ile potrzebowałam, by przeżyć – wyjaśniłam. –



Bo rozumie pan, to była praca, która zabierała mi cały wolny czas.

Nadinspektor Winder patrzył na mnie przez kilka chwil, zupełnie nie mrugając.

– Dlaczego to zrobiłaś, Leilo?

– Tess chciała umrzeć, a ja wierzyłam, że ma do tego prawo, więc jej pomagałam.

– A czy uważasz, że i tak by to zrobiła, gdybyś jej nie pomogła? Czy żyłaby dzisiaj?

– Nie wiem – odparłam po chwili.

Później zapytał o mój stan umysłu. Czy miałam depresję? Czy sama kiedykolwiek rozważałam samobójstwo?

Stanowczo zaprzeczyłam.

– A jednak tak głęboko solidaryzowała się pani z osobą, która chciała odebrać sobie życie, że aż była pani gotowa iść na ryzyko aresztowania?

Dotąd nigdy nie myślałam w takich kategoriach, ale przytaknęłam.

– Wydaje mi się, że tak.

Te dwa kolejne pytania zadał jeszcze wiele razy, a ja nie znałam na nie odpowiedzi: Gdzie jest teraz Adrian? I gdzie jest ciało Tess?

Po trzech godzinach przesłuchania nadinspektor Winder powiedział, że na dziś kończymy. Była godzina dwudziesta. W chwili, w której wyłączył magnetofon, dotarło do mnie, że jeszcze nigdy w życiu nie byłam taka zmęczona. Mogłabym ułożyć głowę na stole i zasnąć w takiej pozycji. Oni jednak zaprowadzili mnie do celi i tam skuliłam się w kłębek na twardej, wąskiej pryczy.

Potem, po jakby zaledwie kilku minutach, brutalnie mnie obudzono i powiedziano, że zostaję zwolniona pod dozorem policyjnym. Był wczesny ranek; nadinspektora Windera nie było i znowu zajmowała się mną ta młoda policjantka. Powiedziała mi, że nie wolno mi opuszczać Londynu bez poinformowania ich o tym i że co miesiąc mam się stawiać na posterunku.

– Jak długo to wszystko będzie trwało? – zapytałam ją przy podpisywaniu

formularzy o zwolnieniu.

– Nie umiem powiedzieć – odparła. – Pewnie to pani nie zdziwi, jeśli przyznam, że nigdy wcześniej nie mieliśmy do czynienia z taką sprawą. To dla nas nowe terytorium.

To tyle na razie. Słońce już wschodzi i słyszę, że budzą się owady. Jutro wracam do domu – mam bilet na samolot o 15.35, ale zastanawiam się, czy go nie przebukować. Annie twierdzi, że zostanie tu jeszcze tydzień, i przyszło mi do głowy, że ja też bym mogła; wystarczy, że dostanę się do kawiarenki internetowej w miasteczku, zarezerwuję przelot na inny dzień i napiszę maila do Jonty’ego, że będę w domu tydzień później. Annie mówi, że mogłabym wypolerować jeszcze kilka stołków. Zastanawiałam się też, czy nie pojechać taksówką do Alhambry.

Czwartek, 25 sierpnia 2011

Siedzę właśnie w samolocie koloru chipsów Dorito, który leci do Luton. A raczej nie leci: od czterdziestu minut stoimy na pasie startowym lotniska w Maladze i pozostaniemy tu jeszcze przez nieokreślony czas. Podobno chodzi o jakieś „środki bezpieczeństwa podjęte przez zarząd portu lotniczego”, co pewnie oznacza, że za mało osób z personelu stawilo się do pracy. Pozostali pasażerowie, zdaje się, zrezygnowali z czekania, ale mężczyzna na fotelu obok mnie nie kryje irytacji, że korzystam z laptopa. Laptop nie mieści się na maleńkim, plastikowym stoliku i moje łokcie co jakiś czas niechcący naruszają „jego” przestrzeń. Ten mężczyzna ma grube przedramiona, które trzyma mocno splecione na klatce piersiowej, i patrzy prosto przed siebie. Może to ten sam, który był moim sąsiadem, kiedy leciałam w tę stronę. Bo niewykluczone, że samolot jest ten sam: powietrze w nim z pewnością cuchnie tak samo.

Nie taki był plan. To znaczy nie z tym opóźnieniem samolotu – tylko z tym, że już teraz lecę do domu. Jeszcze dwa dni temu chciałam przebukować bilet i przedłużyć pobyt w komunie.

Nie jestem całkiem gotowa napisać o tym, co stało się wczoraj i dlaczego musiałam wyjechać tak nagle. Chcę natomiast zamknąć swoją relację z wydarzeń i wyjaśnić na tej podstawie, jakie powody przywiodły mnie do Hiszpanii. To już prawie końcówka.

Dotarliśmy do tego punktu, kiedy zeznałam na policji, na czym dokładnie polegało moje zaangażowanie w sprawę Tess i Adriana. A to, co stało się potem, najlepiej podsumowuje jedno, proste słowo: nic.

Chcę w ten sposób powiedzieć, że po wielu, wielu miesiącach śledztwa nie podjęto przeciwko mnie żadnych kroków prawnych. Nie było nic, o co mogli mnie oskarżyć w związku z wcielaniem się w inną osobę w sieci. Podobno jest tak, że można wnieść akt oskarżenia tylko wtedy, gdy takie

podszycanie się pod kogoś służy do nękania albo popełniania fałszerstw, w wyniku czego osoba poszkodowana ponosi straty, a ja przecież nie zrobiłam żadnej z tych rzeczy.

Jeśli natomiast idzie o jej samobójstwo, to fakt, że nie ma ciała, oznacza, że Tess została oficjalnie zaklasyfikowana jako osoba zaginiona, a nie zmarła. Prawo stanowi, że jeśli ktoś ci mówi, że zamierza się zabić, to nie jesteś zobligowany do donoszenia o tym władzom, ale jeśli powiesz albo zrobisz cokolwiek, co może być postrzegane jako zachęcanie, to mogą cię oskarżyć o współudział albo poplecznictwo. Policjanci pytali mnie bez końca, czy powiedziałam albo zrobiłam coś, co dałoby się zinterpretować jako zachęcanie jej do samobójstwa. A ja wtedy powtarzałam uparcie, że absolutnie nie. Przeczესali nasze maile, ale nie znaleźli nic, co by wskazywało, że Tess kiedykolwiek miała wątpliwości wobec zamiaru odebrania sobie życia ani że ja zrobiłam cokolwiek, żeby ją do tego zachęcić.

Nie opowiedziałam im o tej naszej jednej rozmowie na Skypie, kiedy płakała.

Fakt, że dostawałam od Tess pieniądze, trochę skomplikował sprawy, ale pokazałam im swoje rachunki i obliczenia, a oni wyciągnęli z tego taki wniosek, że nie można powiedzieć, jakobym czerpała korzyści z kwoty 88 funtów tygodniowo. W końcu stwierdzili, że wnoszenie przeciwko mnie oskarżenia nie leży w interesie publicznym. Osobą, którą naprawdę chcieli dopaść, był Adrian.

Adrian zniknął bez wieści od tamtego czasu, kiedy ktoś go na samym początku widział w Gatwick, i okazało się, że dość dokładnie zacierał po sobie ślady. Jak już wspominałam, Czerwona Pigułka była zarejestrowana na serwerze w Brazylii, w oparciu o fałszywe dane Adriana, tak więc śledzenie go po adresie IP nie miało sensu. Posługiwał się też sfalszowanym paszportem. I mimo że jego zdjęcie pojawiło się dosłownie wszędzie, nie byli w stanie go znaleźć. Bo jest dokładnie tak, jak do znudzenia powtarzają autorzy serwisów informacyjnych: nie ma nic w jego wyglądzie, co by go odróżniało od innych krępych, białych mężczyzn w średnim wieku, których na całym świecie są przecież miliony. „Diabeł w przebraniu jest jak zastępca kierownika w Dixonsie”.

Obserwując te histeryczne reakcje, potrafię zrozumieć, dlaczego Adrian uznał, że musi zniknąć. Byłam jednak zdumiona, dlaczego się nie ujawnił, żeby podać własną wersję wydarzeń, i nie wyjaśnił, jakie za nimi stały zasady. Mógł użyć jakiejś aplikacji blokującej adres IP i z łatwością zamieścić filmik na YouTube albo oświadczenie w sieci – policja nie dowiedziałyby się, gdzie on jest. Być może uważał, że nie ma sensu, że ci, którzy go potępili, nie zmienią zdania.

Tak czy owak, jestem nim rozczarowana. Jego milczenie równa się temu, że istnieje tylko jedna strona historii i że nic nie jest w stanie podważyć tego powszechnego przekonania, że on to taki zły człowiek, który wykorzystywał do własnych celów takich „podatnych” ludzi jak ja. Próby powiedzenia czegoś przeciwnego miałyby pewnie taki sam skutek jak krzyk na wietrze. Wszyscy zakładają, że nadal jestem pod jego wpływem – że mam „wyprany mózg” – gdy tymczasem ja tylko wskazuję coś, co według mnie zrozumiałby każdy rozsądny człowiek: tylko to, że Adrian popełniał błędy i niektórymi rzeczami pokierował źle, wcale jeszcze nie znaczy, że wszystko, co robił albo co wyznawał, było złe.

Mówiąc „wszyscy”, mam na myśli policjantów i Jonty’ego. Powiedziałam mu, co się stało, kiedy mnie wypuścili z posterunku. Naprawdę nie miałam większego wyboru, ponieważ Jonty zdążył wcześniej wrócić od rodziców i zastałam go w moim pokoju, który został przeszukany – Jonty gapił się na moje biurko, gdzie w miejscu po moim laptopie leżała kartka, na której policjanci wymienili szczegółowo, jakie przedmioty zabrali podczas przeszukania. Nie potrafiłam wymyślić żadnego wiarygodnego wytłumaczenia na to wszystko.

Jonty przyjął te wieści zaskakująco dobrze, choć melodramatycznie, bo otwierał szeroko oczy i przyciskał dłoń do ust, mimo że tłumaczyłam sytuację najzwyczajniej, jak się dało. Na całe szczęście widział artykuł w gazecie, więc znał podstawowe szczegóły, ale oczywiście oznaczało to też, że skreślił Adriana jako zdegenerowanego drapieżnika.

– Biedna Leila – powtarzał, ściskając moje ramię. – O mój Boże. Co za skurwiel. Biedna, biedna Leila.

Tamtego dnia nie miałam energii, żeby się z nim sprzeczać, a poza tym

po tych swoich przejściach na posterunku byłam mu wdzięczna za okazane ciepło i współczucie. Jednak następnego ranka Jonty jeszcze raz poruszył temat i wtedy miałam szansę go naprostować, tłumacząc, że Adrian nie był takim potworem, jakim go zrobiły gazety, i że działałam z własnej woli. Tym razem reagował w bardziej wyważony sposób.

– Słuchaj, nie będę udawał, że mi się nie pokićkało w głowie od tego, co usłyszałem – powiedział, kiedy skończyłam. – Jeszcze tego nie przemyślałem. Ale wiem, że z ciebie fajna osoba, i jestem pewien, że weszłaś w to, bo miałaś dobre intencje.

To jednak jeszcze nie był koniec. W rzeczy samej Jonty tak się zainteresował sprawą, że człowiek mógłby pomyśleć, że sam był w nią zaangażowany. Pochłaniał wszystkie doniesienia prasowe, a ponieważ mój laptop wciąż trzymali policjanci, przejął zadanie przekazywania mi, że zdarzyło się coś nowego.

– Podobno ktoś widział Adriana w Brukseli! – krzyczał przez drzwi łazienki, kiedy myłam włosy.

Któregoś ranka wszedł do kuchni, gdy robiłam sobie grzankę z serem, i oznajmił, że powinnam poszukać sobie terapeuty.

– A niby po co? – zapytałam.

– Wyczytałem w Internecie o tym czymś, co się nazywa syndrom sztokholmski – powiedział – kiedy ludzie bronią zwyrodnialców, którzy się nad nimi znęcali. Myślę, że ty możesz to mieć.

– Nie gadaj bzdur.

– Ciągłe powtarzasz, że to był taki niesamowity facet i że nie żałujesz tego, co się stało...

– Nigdy nie użyłam słowa „niesamowity” – przerwałam mu z irytacją. – Właśnie doskonale uzasadniłam, że sytuacja wcale nie jest taka prosta, jak ty i wszyscy inni usiłują dowieść.

Był jeden aspekt sprawy, o którym na razie nie byłam w stanie dyskutować: Tess. Jonty kilka razy zaczynał mnie wypytywać o szczegóły mojego udziału w jej historii, ale ja te pytania odpierałam, aż wreszcie

zrozumiał. Adrian był własnością publiczną, tematem spekulacji i plotek, ale Tess chciałam zachować dla siebie.

Mijały tygodnie. Doniesienia o tym, że gdzieś widziano Adriana, nie dały żadnych rezultatów i z braku paliwa media zaczęły się teraz oburzać na kogoś innego. Zakulisowo jednak sprawa wciąż się toczyła, wprawdzie bardzo powoli, o czym stale przypominało mi moje puste biurko. Policja zwróciła mi laptopa dopiero po dziewięciu tygodniach – kiedy jednak spytałam, dlaczego tak długo, mężczyzna, do którego skierowałam pytanie, przyznał, że większą część tego czasu po prostu przeleżał w ich magazynie. Dodał, że nie powinnam wstrzymywać oddechu, jeśli idzie o efekty śledztwa; najprawdopodobniej dowiem się czegoś dobrze po Nowym Roku. „To skomplikowana sprawa”, dodał. „Zdecydowanie bezprecedensowa”.

Prawdę powiedziawszy, wcale aż tak bardzo nie tęskniłam za swoim laptopem – z powodu skojarzeń z Connorem. Właściwie to nawet czułam ulgę, że zostałam od niego odcięta, przynajmniej na początku. Dużą część dnia przesypiałam, ale też otwierałam do tej pory nierozpakowane pudło z książkami i czytałam raz jeszcze te ulubione z dzieciństwa. Ale oczywiście nie *Narzeczoną dla księcia*. Po kilku tygodniach jednak nowość bycia offline zaczęła się wycierać i poprosiłam Jonty’ego, żeby mi pożyczył swojego iPada.

Była już wiosna, kiedy Jonty stwierdził, że najwyższa pora uprzątnąć kopczyk ze śmieciowej poczty z korytarza. Gadał o tym zresztą już od jakiegoś czasu, ale nigdy się do tego nie zabrał – sprawa wręcz stała się naszym ulubionym żartem – ale w sobotę obwieścił, że „to jest ten dzień”, i zniósł na dół kilka pełnych czarnych worków. Kilka minut później znów stanął na progu mojego pokoju, z kopertą w dłoniach.

– To było zagrzebane między ulotkami z pizzerii. To do ciebie. Wygląda elegancko.

Nie miałam w zwyczaju dostawać listów, a już z pewnością nie takich staromodnych, pisanych ręcznie, z adresem nadawcy w górnym, lewym rogu. Otworzyłam kopertę i najpierw rzuciło mi się w oczy, że ten list jest bardzo krótki. A potem zobaczyłam, że to jest list od mamy Tess.

*Droga Leilo,*

*Chciałabym się z Tobą spotkać. Czy mogłybyśmy umówić się któregoś dnia u mnie w domu? Proszę, zadzwoń. Sądzę, że znasz numer.*

*Marion Williams*

Wytrzeszczyłam oczy. Jonty nadal sterczał na progu.

– No gadaj, gadaj – powiedział. – Od kogo to?

Przypomniało mi się to, co zwykle mówiły dziewczyny w szkole, kiedy molestowali je chłopcy, a one chciały porozmawiać w spokoju.

– Och, babskie kłopoty. Nie zrozumiesz.

Jonty wyraźnie się spieszył, ale nic nie powiedział i jeszcze raz powędrował na dół. A ja nadal wpatrywałam się w list. Tyle wiedziałam o Marion, a tymczasem nigdy wcześniej nie widziałam jej pisma. Rządki z granatowego atramentu pochylały się schludnie w prawą stronę, ozdobione tu i ówdzie zakrętasem, z przesadnie dużymi P i L. Po kilku chwilach przestałam się tak przesadnie skupiać na tych szlaczkach na papierze i zainteresowałam się treścią listu.

Nosił datę sprzed dwóch tygodni. Gdyby Jonty nie postanowił posprzątać ulotek, pomyślałam, to pewnie leżałby tak na korytarzu przez kolejny miesiąc, a może nawet i rok. Mogłam go naprawdę nie zauważyć. Mogłam go wyrzucić. Ale nie rozwodziłam się nad tym długo. Wprawdzie perspektywa spotkania była onieśmielająca, wiedziałam jednak, że trzeba się spotkać.

Poczułam zadowolenie, podejmując tak odważną decyzję, ale potem do mnie dotarło, że następnym krokiem będzie telefon do Marion. Wprawdzie rozmawiałam z nią wcześniej jako Tess, ale nie było to łatwe i myśl, że znowu miałabym rozmawiać, tym razem już jako ja, budziła we mnie koszmarny lęk. Dlatego czekałam aż do środowego wieczoru, kiedy wiedziałam, że Marion będzie na spotkaniu swojego klubu czytelniczego, i nagrałam wiadomość, sugerując dzień w następnym tygodniu i porę. Podałam



jej numer swojej komórki. Kiedy jeszcze tego samego wieczoru oddzwoniła, nie odbierałam, dopóki nie odezwała się poczta głosowa, i zaraz potem odsłuchałam nagranie. Podobnie jak w liście wypowiedziała się krótko i rzeczowo. Tak, wyznaczona data jej pasowała i jeśli zamierzałam jechać pociągiem do Cheltenham, to miałam wziąć taksówkę i podać kierowcy precyzyjne wskazówki, jak ma jechać, bo inaczej przeoczy właściwy zjazd. Zapisałam te wskazówki i zabrałam się do szukania w Google’u rozkładu jazdy pociągów, gdy nagle coś mi przyszło do głowy i w tym momencie moje palce zastygły na klawiaturze: Jakim sposobem Marion znalazła moje nazwisko i adres?

Wiedziałam ze zdjęć, jak wygląda dom: duży bliźniak z białą fasadą i bluszczem oblepiającym go od frontu niczym schludnie przystrzyżony zarost; owalny podjazd obrzeżony krzewami strzyżonymi w kule. Na cokole obok drzwi wejściowych spoczywała jedna z rzeźb Marion, takie metalowe, kolczaste coś podobne do grabi.

Kiedy pod kołami taksówki zachrząścił żwir, którym wysypany był podjazd, zauważyłam, że Marion czeka na mnie na zewnątrz. Miała na sobie obcisłe, czerwone spodnie, a mnie przypomniał się jeden z ostatnich maili, które napisała do Tess, zanim wszystko się posypało. Wspominała w nim, że się namyśla, czy nie kazać sobie zoperować żylaków, ale z kolei to by oznaczało, że będzie musiała nosić spodnie, dopóki nie zbledną jej blizny. Zastanawiałam się, czy rzeczywiście miała tę operację, czy może i tak włożyłaby spodnie. Tę jałową myśl natychmiast wyparł dreszcz lęku, jakby znienacka dotarła do mnie realność tej sytuacji, i musiałam stawić opór pokusie, żeby kazać taksówkarzowi okrążyć ten owalny podjazd do końca i wrócić na dworzec.

Taksówka podjechała do miejsca, gdzie czekała Marion; wysiadłam i stanęłam przed nią. Nic nie powiedziała, tylko obejrzała mnie sobie od stóp do głów z nieodgadnioną miną. Dostrzegłam w układzie kości i płaskim nosie podobieństwo do Tess. Marion miała sześćdziesiąt siedem lat, była więc znacznie starsza od mamy, ale wyglądała może nie dokładnie młodziej, ale tak, jakby została stworzona ze składników lepszej jakości. Włosy miała czarne i długie, a jej brązowa cera była jak napięta i wypolerowana. Od Tess wiedziałam, że poddała się liftingowi twarzy. Nosila turkusowy kamyk na

łańcuszku i była jeszcze drobniejsza, niż myślałam, a jej chude ramiona przypominały linijki.

Powiedziała taksówkarzowi, że ma poczekać – „ona tu będzie jakieś dwadzieścia minut” – odwróciła się i weszła do domu, nie oglądając się, by sprawdzić, czy idę za nią. Korytarz z drewnianą podłogą był obwieszony obrazami, a stare, ciemne meble pachniały pastą. „Nigdy nam nie pozwalasz dotykać swoich antyków”, napisała Tess w jednym z oskarżycielskich listów. Kiedy mijaliśmy jedno z otwartych drzwi, Marion podeszła, żeby je zamknąć, ale zdążyłam zauważyć beżowy wyciąg, podobny do tego, który miała mama. W domu panowała cisza i zastanawiałam się, gdzie jest Jonathan i czy go poznam.

Marion wprowadziła mnie do salonu i gestem kazała usiąść. Kanapa była koloru jasnoróżowego, tak delikatna, że przestraszyłam się, że jej małe nóżki pękną pode mną. Marion usadowiła się na zdobnym, połączonym krześle, jakiś jard dalej. Wcześniej spodziewałam się, że zobaczę więcej śladów obecności ojca Tess, bo Marion w swoich mailach często opowiadała, że on ogląda telewizję, siedząc obok niej. Wyobrażałam sobie szpitalne łóżko ustawione przed telewizorem, takie samo jak łóżko mamy, ale nie umiałam sobie wyobrazić żadnego niezgrabnego, plastikowego sprzętu w tym muzeum.

Wreszcie odezwała się:

– A więc to ty jesteś tą dziewczyną, która udawała, że jest moją córką.

– Tak – powiedziałam.

– Rozmawiałam z tobą przez telefon.

– Tak.

– Ale ani trochę nie przypominasz Tess.

Co za dziwne stwierdzenie – czemu miałabym?

– Nie – odparłam.

– Jesteś gruba.

– Wcale nie jestem gruba! – oburzyłam się. – Noszę rozmiar szesnaście.

Zapanowało milczenie. Do tego momentu uważałam Marion za osobę niemalże beznamiętną, ale teraz zauważyłam, że podrygują jej brwi, jakby próbowała wykrzywić twarz, ale nie mogła.

Stwierdziłam, że najwyższy czas na wygłoszenie przemowy, którą przygotowałam zawczasu.

– Marion...

– Nie nazywaj mnie „Marion”! – wtrąciła gniewnie.

– Pani Williams, Tess poprosiła, żebym jej pomogła, tylko dlatego że nie chciała pani zdenerwować. Zadała sobie cały ten trud, żeby oszczędzić pani bólu. Wiem, że między wami dwiema zdarzały się konflikty, ale poznałam Tess bardzo dobrze i wiem, że w głębi bardzo panią kochała...

– Rozmawiałam z tobą przez telefon – znowu mi przerwała. – Tak – odparłam, nie bardzo rozumiejąc, dlaczego się powtarza.

– Czy to Tess cię prosiła, żebyś napisała tego maila? Tego maila, w którym była mowa o zaczynaniu wszystkiego od nowa, o zaprzyjaźnieniu się?

– Nie – przyznałam.

– Policjanci powiedzieli, że nigdy nie spotkałyście się twarzą w twarz – dodała Marion.

– Nie.

– A jednak twierdzisz, że ją poznałaś.

Zaczęłam mówić, że dużo z sobą rozmawiałyśmy, że przeczytałam wszystkie jej maile, ale Marion ciągnęła swoje, jakby nie chciała tego słuchać.

– Naprawdę myślałaś, że będę uszczęśliwiona, jeśli już nigdy więcej nie zobaczę swojej córki?

– Tess twierdziła, że będzie pani za bardzo zajęta Jonathanem – powiedziałam. – Że nie będzie pani mogła go zostawić i że dlatego nie ma takiej szansy, że pani poleci do Kanady.

– Być może przez najbliższe kilka miesięcy – odparła. – Ale nigdy? Jak

mogłaś w ogóle myśleć, że to się uda?

– To miało trwać tylko pół roku – wyjaśniłam.

– A potem co?

Przypomniało mi się, co Adrian powiedział w Heath.

– Miałam stopniowo ograniczać kontakt... to miało działać jak ściemniacz światła padającego na jej życie.

Marion spojrzała na mnie takim wzrokiem, jakbym była obłąkana.

– Tess była bardzo mocno kochana – powiedziała jak do głupiego dziecka. – Nie tylko przez nas. Miała bardzo wielu przyjaciół. Nie przyszło ci do głowy, że w którymś momencie ktoś zechce ją odwiedzić albo zaproponuje, że zapłaci za jej podróż powrotną? A co by się stało, gdyby umarł jej ojciec? Naprawdę myślisz, że nie wróciłaby na jego pogrzeb?

– Nie – odparłam. Mówiłam tak cicho, że ledwie siebie słyszałam.

– Chyba do ciebie nie dotarło, jak bardzo była uwielbiana – dodała Marion. – Ale może ty tego nie rozumiesz. Mówiono mi, że jesteś smutną, małą istotką. Bez rodziny. Bez przyjaciół.

Wzdrygnęłam się. Skąd ona to wszystko wiedziała? Otwarłam usta, żeby ją spytać, ale nie padły z nich żadne słowa i ku mojemu przerażeniu do oczu zaczęły mi podchodzić łzy. Spojrzałam na dywan. Był granatowy i zauważyłam kilka białych plamek, podobnych do łupieżu. Przypomniało mi się, co Tess opowiadała o Isobel, żonie Nicholasa – że nakładała plastikowe pokrowce na oparcia swoich krzeseł podczas wizyt Jonathana, bo przetłuszczały mu się włosy, i w ten sposób chroniła obicia.

– A jak ona poznała tego człowieka? – spytała.

– Adriana? Nie wiem.

– Przestań go bronić.

– Ja naprawdę nie wiem – powtórzyłam. – Wcześniej zakładałam, że poznali się na Czerwonej Pigułce.

– Na tej stronie internetowej? Tess nie interesowała się takimi rzeczami. Nie była... taka jak ty. – Urwała na chwilę. – Czy oni byli kochankami?

Pomysł dość szokujący, ale postarałam się nie zareagować.

– Nie wiem.

– A ja myślałam, że wiesz wszystko o mojej córce – rzuciła kąśliwym tonem.

Kolejna chwila milczenia. Jeszcze raz odwróciłam wzrok. Na stoliku do kawy leżał schludnie ułożony stos dużych książek z błyszczącymi okładkami i czasopism, a także niewielka sarta ulotek i poczty śmieciowej, prawdopodobnie w drodze do kosza na śmieci. Ich widok przypomniał mi o moim korytarzu i o znalezieniu jej listu.

– Skąd pani znała moje nazwisko i adres? – zapytałam.

Marion westchnęła, jakby to było nudne pytanie.

– Przyjaciel męża ma znajomości w policji i rozpytał się.

– Ach, pewnie mówi pani o wujku Franku! – wykrzyknęłam, zadowolona, że mi się trafnie skojarzyło, przez co na moment przestałam być taka skrępowana tym przesłuchaniem. – O tym Franku, który nie był prawdziwym wujkiem Tess i który był nadkomisarzem, dopóki nie zmuszono go do przejścia na przedwczesną emeryturę, bo został oskarżony o przyjęcie tych pieniędzy za...

– Tak – przerwała mi Marion lodowatym tonem.

Dokładnie w tym momencie gdzieś w domu rozległ się dziwny hałas, takie jakby stłumione wycie. Pomyślałam, że to pewnie Jonathan.

– Wybaczysz mi na chwilę – rzekła Marion, jakbyśmy właśnie siedziały przy kulturalnym podwieczorku, i wymknęła się z pokoju. Usłyszałam ją na korytarzu, jak woła: „Helen!”.

Popatrzyłam na obrazy wiszące na ścianach, rozpoznając wśród nich jeden autorstwa Tess, przedstawiający zielone, koncentryczne kółka poprzecinane czerwonymi paskami. Wśród nich wisiały także zdjęcia Marion z czasów, kiedy była młodsza i olśniewająca, na tle jakiegoś egzotycznego otoczenia, najprawdopodobniej gdzieś w Chile, oraz kilka zdjęć Tess i Nicholasa z dzieciństwa. Większość widziałam wcześniej, ale było takie jedno z Tess, którego nie znałam: jej szkolny portret jako nastolatki, z

oczyma podkreślonymi czarną kreską i włosami związanymi w wysoki koński ogon. Uśmiech miała podobny do tego z pierwszego jej zdjęcia, które zobaczyłam, tego z imprezy, gdzie patrzyła porozumiewawczo na fotografującą ją osobę.

Po chwili Marion wróciła i znów usiadła na pozłacanym krześle. Skrzyżowała nogi w kostkach.

– Czy Helen to wasza nowa opiekunka? – zapytałam. – Co się stało z Kirsty?

Oczy Marion zmieniły się w szparki.

– To nie twoja sprawa, co się stało z Kirsty. Nic, co się dzieje w tym domu, to nie twoja sprawa. – Podniosła głos i zauważyłam, że dłonie ma zaciśnięte, ale nie w pięści, bo przeszkadzały jej na to zbyt długie paznokcie. – Jak śmiesz! Jak śmiesz! Tess była moją córką. Może ci się wydaje, że ją znasz, ale ty jej nie znasz. Ani trochę jej nie znasz. Jestem jej matką. To ja ją znam.

Już miałam na czubku języka „znałam”, ale się powstrzymałam i nie poprawiłam jej.

– Nie wiem, czy zauważyłaś, ale nie wyraziłaś żadnej skruchy za swoje czyny – ciągnęła. – Za to, co mi zrobiłaś. Nam wszystkim. Za to, że ona straciła życie. Czy ty nie masz serca?

Przełknęłam ślinę i zaczęłam mówić:

– Wierzę, że człowiek jest właścicielem własnego ciała i że wszyscy mamy prawo do...

– Zamknij się! – wrzasnęła Marion z zaczerwienioną twarzą. – Zamknij się, zamknij, zamknij!

Zapadła chwila milczenia. A właściwie to więcej niż chwila. Myślę, że ten wybuch zszokował ją równie mocno jak mnie.

Przetarła palcem kolejno oboje oczu, sunąc paznokciem pomalowanym na jaskrawą czerwień pod rzęsami, a kiedy się odezwała, mówiła znowu spokojnym głosem.

– Dlaczego pojechała do Hiszpanii?

Zmarszczyłam brew, nie rozumiejąc, o co pyta.

– Kiedy?

– Tamtego dnia. Zeszłego lata. Według policji wsiadła na prom do Hiszpanii, do Bilbao. Ale nie potrafią znaleźć dalszych jej śladów. Dokąd się wybierała?

Próbowałam przetrwać tę nową informację.

– Nie wiedziałam, że to zrobiła – wyznałam w końcu.

– Och, czyżby? – Jej ton implikował niedowierzanie.

– Przysięgam – powiedziałam, czując, że znowu jestem bliska płaczu. – Nie rozmawialiśmy o tym. To była ta jedna rzecz, o której nie rozmawialiśmy.

– Gdzie jest jej ciało?

– Nie wiem.

– Jak ona to zrobiła? Co się stało?

– Nie wiem! – powtórzyłam. – Naprawdę nie.

– Muszę to wiedzieć – powiedziała cicho, jakby bardziej do siebie niż do mnie.

Przez długą chwilę siedzieliśmy tylko, nic nie mówiąc, ale tym razem to milczenie było inne – nie tyle niezręczne, ile brzemiennie.

I w końcu Marion odezwała się stanowczym tonem:

– Czy zechcesz już sobie pójść?

Podniosłam się ostrożnie z kanapy. Marion trzymała dłonie zaciśnięte na podolku, z głową odwróconą ode mnie, wpatrzona w ścianę.

– Przykro mi – powiedziałam. Miałam na myśli, że jest mi przykro z powodu tego, jak ona się czuje, a nie z powodu tego, co zrobiłam, i zastanawiałam się, czy nie zdefiniować wyraźnie tej różnicy, ale byłam mądrzejsza. Powędrowałam z powrotem przez wypastowany korytarz, przyspieszając kroku i jednocześnie czując, jak gwałtownie opada mi i unosi

się pierś, i ledwie udało mi się dotrzeć do rabaty kwiatowej, zanim zwymiotowałam, tuż za rzeźbą autorstwa Marion.

– O matko – powiedział taksówkarz, kiedy usadowiłam się na tylnej kanapie. – Na pewno koniec?

Przytaknęłam, a on wręczył mi chusteczkę

Pomysł, żeby się dowiedzieć, co stało się z Tess, naszedł mnie podczas drogi powrotnej. Siedziałam przy oknie, w pociągu, który włókł się powoli przez posępny krajobraz, i rozmyślałam o twarzy Marion, o tych podrygujących brwiach, o tym „muszę to wiedzieć”. I stwierdziłam wtedy, że na podstawie swojej wiedzy o Tess spróbuję ustalić, co najprawdopodobniej musiała zrobić po tym, jak już się „wymeldowała”, i może jakoś znaleźć odpowiedź na pytania Marion.

Odkrycie, że Tess udała się do Hiszpanii, wzburzyło mnie, ale pewnie wszelkie rewelacje w związku z jej poczynaniami już po „wymeldowaniu” tak by na mnie podziały. Było nie było, zakładałam dotąd, że popełniła samobójstwo bardzo prędko, o ile wręcz nie tego samego dnia. Ale też zareagowałam jeszcze inaczej na te wieści, i ze wstydem przyznam, że nie była to reakcja racjonalna: zirytowałam się, że Tess się wymknęła za moimi plecami. Przecież to ja miałam później sprawować kontrolę nad wszystkim. Myślałam, że jej życie jest w moich rękach.

Już nie mogłam pracować w oparciu o maile Tess, ponieważ jej konta zostały zawieszane, kiedy wszystko wyszło na jaw. Wciąż jednak dysponowałam swoją pamięcią i Google'em. Miałam też, dotarło do mnie, jeszcze jedną wskazówkę, która mogłaby zawęzić potencjalny teren poszukiwań: mail, który Tess otrzymała w dziesięć dni po „wymeldowaniu” od swojej przyjaciółki Jennifer, która twierdziła, że wypatrzyła ją pod pałacem Alhambra w Grenadzie. Wtedy stwierdziłam, że to pewnie jakaś pomyłka, i już potem mało co o tym myślałam, ale teraz, w połączeniu z wiedzą o tym, że wsiadła na prom, była to dla mnie szalenie istotna informacja.

Im więcej myślałam o rozbieżnościach czasowych, tym bardziej wydawało się wiarygodne, że mógł zaistnieć jakiś interwał między „wymeldowaniem się” Tess a rzeczywistym aktem.



Logika podpowiadała, że Tess jak najbardziej mogła udać się do innego kraju, żeby to zrobić, do miejsca, gdzie miałyby szerszy wachlarz możliwości zadbania o to, by jej potem nie zidentyfikowano. W Hiszpanii znalazłaby się w stanie zawieszenia, wolna od swojej dawnej tożsamości: nie-osoba, ktoś nieponoszący odpowiedzialności za nikogo. W takiej sytuacji nie byłoby to wcale takie bezzasadne, żeby spędziła kilka dni w samotności, rozmyślając i godząc się z tym, co miała zrobić.

Oczywiście fakt, że mogła zostać zauważona w Grenadzie, wcale nie oznaczał, że tam właśnie pozostała. Miasto znajdowało się po przeciwnej stronie Hiszpanii względem Bilbao, gdzie wkroczyła na teren tego kraju; skoro już zajechała tak daleko, to równie dobrze mogła pojechać jeszcze dalej. Tak więc kusilo, żeby skupić się jedynie na tym mieście i jego okolicach, ale musiałam być też otwarta na inne rozwiązania.

Potem zastanowiłam się, do jakiego miejsca w Hiszpanii Tess mogłaby się udać. Podstawowe kryteria były proste, bo też i takimi samymi się kierowałam przy wyborze Sointuli: gdzieś, gdzie było prymitywnie i hipisowsko, gdzie było całkiem inaczej niż w Londynie. Uznałam jednak, że w takim przypadku najprawdopodobniej ciągnęłoby ją do takiego miejsca, które miało dla niej jakieś osobiste znaczenie albo które gwarantowałoby jej otoczenie, jakiego łaknęła. Ostateczny wniosek był taki, że zapewne spędziła te dni po „wymeldowaniu”, dni, o których ja nie miałam żadnej wiedzy, w jakimś miejscu, które było jej znane.

Na ile wiedziałam, Tess nigdy wcześniej nie była w Grenadzie, ale spędziła „miniurlopy” w Barcelonie i Madrycie; w tym pierwszym mieście z Borisem, chłopakiem, z którym była krótko i z którym pokłóciła się przy lunchu już pierwszego dnia, nazywając go „cipką”, bo nie chciał wyssać głowy krewetki, a do tego drugiego wyjechała z grupą innych kobiet na „wykańczający” babski weekend. Jednak po sprawdzeniu tych miast w Google’u stwierdziłam, że raczej nie mogła pojechać do żadnego z nich. Były tłoczne, zabudowane – na pewno nie oczywiste miejsca przeznaczenia dla kogoś, kto łaknął spokoju. Ale z kolei wpisywanie do wyszukiwarki „spokój + samotność + Hiszpania” nie dawało żadnych pożądanych rezultatów.

Ponieważ nie miałam ani jednej mocnej wskazówki, moje poszukiwania prędko straciły parę, ale i tak codziennie poświęcałam na nie trochę czasu.

Niemniej musiałam czekać kilka dobrych miesięcy, zanim zdarzył się przełom, i to jak na ironię, akurat kiedy wcale o tym nie myślałam. Myślałam wtedy o Connorze.

Mimo takiego upływu czasu nadal wdzierał się do moich myśli, chociaż nie było już między nami żadnego kontaktu. Po tamtej konfrontacji dostałam ostatniego maila od niego, przysłanego dwie godziny po tym, jak odszedł ode mnie w Temple. Był w skrzynce odbiorczej Tess, kiedy włączyłam telefon po wyjściu z posterunku, w tym bardzo krótkim przedziale czasu między moim zeznaniem a zawieszeniem jej kont na Gmailu i Facebooku.

Mail był krótki i zwięzły.

Umawiamy się tak: ty nie powiesz Chrissie, ja nie powiem policji. OK?

Odpowiedziałam następująco:

Policji już powiedziałałam, nie powiem Chrissie.

Zawahałam się. Miałam tyle pytań. W końcu postanowiłam zadać tylko to jedno.

Skąd się wzięło to „najpierw mnie pocałuj”? Co to znaczy?

Odpowiedź przyszła pół minuty później.

Nie wiem.

Możesz to wyjaśnić?, zapytałam.

Nie wiem, powtórzył. Tess raz to powiedziała, nie pamiętam kontekstu. I potem to sobie powtarzaliśmy, taki prywatny żart.

I na tym był koniec. Nasz ostatni kontakt. Ale jak mówię, w późniejszych tygodniach moje myśli stale zahaczały o niego. W rzeczy samej przypominało to nieustająco odtwarzany w mojej głowie film na temat jego codziennych spraw, głównie złożony z drobnych, nieznaczących szczegółów, których sama byłam świadkiem albo które potrafiłam sobie wyraźnie wyobrazić. Jego dłoń prowadząca mysz, kiedy pracował na komputerze, jak witał skinieniem głowy mężczyznę za ladą w barze kanapkowym, jak

narzucił na siebie płaszcz, wychodząc z kancelarii. Ale gdy przychodziło do jego życia w domu, z Chrissie i dziećmi, taśma robiła się pusta.

Jeszcze raz odtworzyłam naszą korespondencję, mentalnie przetwarzając jego maile, szukając wskazówek, na które trzeba było zwrócić uwagę, przypominając sobie, jak się czułam, kiedy otrzymałam jakąś wiadomość albo kiedy wysyłałam jakąś wiadomość, którą uważałam za szczególnie dowcipną. Ta aktywność sprawiała, że z tego smutku było mi szczególnie ciężko, że byłam jak przemoczony ręcznik, a potem czasami doświadczałam ostrych wybuchów gniewu, który nie znajdował ujścia.

Tamtego ranka siedziałam przy laptopie, po głowie krążyły mi te same myśli co zawsze, ale oficjalnie kontynuowałam swoje poszukiwania miejsca pobytu Tess... Od kilku tygodni były zredukowane do googlowania rozmaitych kombinacji słów związanych z podróżowaniem, Hiszpanią i Grenadą, a potem przeczesywanie rezultatów w nadziei, że natknę się na jakiś potencjalny ślad albo że coś pobudzi moją pamięć. Normalnie przewijałam wrzuty, omijając stronę reklamującą tanie przeloty do Grenady liniami easyJet, stronę, którą wcześniej widziałam już wiele razy. Tego dnia jednak ta nazwa połączona z ułamkowymi myślami o Connorze wytworzyła właśnie to: krótki przebłysk skojarzenia, na którym się skupiałam, aż wreszcie powstało z niego w pełni rozwinięte wspomnienie.

Na samym początku naszej korespondencji jako Tess wysyłałam Connorowi standardowego maila opisującego Sointulę, że jest taka pełna „alternatywnych” ludzi itd.: Tu jest naprawdę niesamowita atmosfera, chyba natrafiłam na linię geomantyczną. Czuję się tu taka szczęśliwa, zdaje się, że po raz pierwszy w życiu myślę i oddycham, jak należy.

Connor odpowiedział mniej więcej w taki sposób: Tylko skąd ta Kanada? Kiedyś to zaspokajałaś swoje hipisowskie zapędy w miejscach obsługiwanych przez easyJet.

Wtedy mało co o tym myślałam, ale teraz wyteżyłam wszystkie władze umysłowe. Zaczęłam przeglądać listę miejsc obsługiwanych przez tę linię, ale to mi nie pomogło: Grenada była jednym z kilkunastu w Europie. Po kolejnej godzinie bezowocnego googlowania wyciągnęłam wniosek, że nie

mam wyboru, tylko muszę napisać do Connora i zapytać, czy zna to hipisowskie miejsce, do którego nawiązał.

Perspektywa skomunikowania się z nim wywołała napływ adrenaliny, niemal równie silny jak wtedy, gdy widziałam się z nim twarzą w twarz. Nie chciałam tego, a jednak wróciłam pamięcią do czasów, kiedy czułam przyjemny dreszcz za każdym razem, gdy przychodził od niego mail, mimo że pisywaliśmy do siebie kilka razy dziennie, kiedy miałam w sobie to przeświadczenie, że oboje należymy do maleńkiego klubu, do którego inni nie mają wstępu, i że tylko my znamy obowiązujące w tym klubie zasady. Przez chwilę doświadczałam takiego strasznego pragnienia, by tak po prostu wrócić do tamtych dni, że aż łzy naszły mi do oczu. A zaraz potem w głowie zaroilo mi się od wspomnień o jego zdradzie i o tym braku uczuć, jaki zademonstrował podczas naszego spotkania w Temple. Usiłowałam się na nich skupić, bo chciałam wreszcie stwardnieć od gniewu i bólu.

Przedtem oczywiście komunikowałam się z Connorem przez konto mailowe Tess, ale ono już nie działało. Z kolei mój adres mailowy zawierał moje nazwisko, a nie chciałam go ujawniać. Dlatego zaczęłam od założenia nowego, anonimowego konta. Spędziłam trochę czasu na wymyślaniu właściwego adresu: musiał przykuć uwagę, bo istniało ryzyko, że Connor wyrzuci nieznanego nadawcę do spamu. Zastanawiałam się nad najpierwmniepocaluj@gmail.com, ale uznałam, że może się zorientować, że to ode mnie, i nie otworzyć maila, więc zdecydowałam się użyć nazwiska piosenkarki, która mu się podobała, kiedy był nastolatkiem: Carol Decker.

W temacie napisałam witam jeszcze raz, a treść wiadomości ujęłam w rzeczowej formie, bez żadnych odniesień do tego, co zaszło między nami.

Nie, to nie Carol Decker. Tu Leila, znajoma Tess. Poznaliśmy się jakiś czas temu w pobliżu twojej kancelarii. Potrzebuję twojej pomocy. Na prośbę Marion, matki Tess, szukam wskazówek w związku z możliwym miejscem jej pobytu i chciałabym, żebyś rozwinął pewne odniesienie, które zawarłeś w mailu do Tess tego lata. Otóż w tym mailu napisałeś o jakimś „hipisowskim” miejscu, które kiedyś odwiedziła i do którego można dolecieć liniami easyJet. Co to było za miejsce?

Jego odpowiedź przysłała czterdzieści minut później.

Nie mam zamiaru odnawiać korespondencji z tobą, dlatego nie będę komentował tej bezgranicznej ironii, że oto wypełniasz szlachetną misję, pomagając matce Tess w odnalezieniu córki. Ale jeśli to ma jakieś znaczenie: wiele lat temu, kiedy byliśmy z sobą, Tess wspomniała, że spędziła poprzednie lato w jakiejś hipisowskiej komunie w górach Alpuhary. Kąpanie się nago w rzece, ćpanie przy ognisku, jednoczenie się z Gają i uduchowionymi Francuzami, tego typu rzeczy. Nazwy nie znam.

OK?

Nie kontaktuj się ze mną więcej.

Ta informacja była tak ekscytująca, że nie poczułam się urażona wrogim tonem Connora. Wiedziałam już na podstawie swoich poszukiwań, że Alpuhara jest położona blisko Grenady, i wyszukiwarka podała tylko jedną, dawno temu założoną komunę w tym regionie. Pół godziny później miałam zabukowany bilet na samolot.

A potem wszystko się poukładało w całość. Czułam ogromną pewność, że ona tam pojechała, że w komunie znajdę wskazówki w związku z jej śmiercią. A jednak nic z tego nie wyszło. Owszem, kilkoro ludzi uznało, że może widzieli Tess zeszłego lata, ale nie byli pewni. Tak więc uzyskałam niewiele. I nawet gdybym się upewniła, że ona tam była, to i tak pozostawała jeszcze zagadka, dokąd się udała po wyjeździe stamtąd, gdzie umarła. Nie jestem bynajmniej bliższa znalezienia jej ciała.

Czuję się teraz zażenowana, że wyruszyłam na tę misję, że nie przewidziałam przeciwności. Mogę być tylko zadowolona, że nie powiedziałam Marion, że tam jadę, bo dzięki temu nie wzbudziłam jej nadziei, żeby je potem zabić.

Wreszcie lecimy. Musiałam odłożyć laptopa, kiedy się unosiliśmy, a gdy wyjrzałam przez okienko, przez chwilę widziałam w dole tylko biel, jakby chmury pospadały z nieba. A potem zrozumiałam, że to cieplarnie, patchwork z białego plastiku zakrywający ziemię od gór do morza.



## Sobota, 29 października 2011

Piszę to przy swoim biurku, w mieszkaniu przy Albion Street. Jest druga w nocy, sobota, i właśnie usłyszałam, że Jonty wrócił. Był na jakiejś imprezie halloweenowej, przebrany za prezentera wiadomości z kartonem na głowie tak pomalowanym, by wyglądał jak telewizor, z wyciętym okienkiem na twarz. Twierdził, że przez cały wieczór nie będzie rozmawiał, tylko wygłaszał serwisy informacyjne, ale znając go, nie wyobrażam sobie, że wytrwał długo z tym planem.

Myślałam, że już go nie zastanę po powrocie z Hiszpanii, ale nie były to racjonalne obawy; ostatecznie nie wyjechał, kiedy się dowiedział, co robiłam, dlatego nie istniał powód, dla którego miałby zrobić to teraz. A jednak wyobrażałam sobie, że otwieram frontowe drzwi i kółka mojej walizki podskakują na jego kluczach leżących na wycieraczce. I jego pusty pokój, zredukowany do pojedynczego łóżka, ściany pełne zabrudzeń po jego plakatach, dwie dziury w tynku w tym miejscu, gdzie próbował powiesić półkę – że nie będzie już po nim ani śladu. Moje podejrzenia tak jakby się potwierdziły, kiedy odkryłam, że zamek we frontowych drzwiach został zamknięty na dwa razy, ale kiedy weszłam do środka, zauważyłam jego budrysówkę przewieszoną przez balustradę i poczułam, że zalewa mnie tak silne poczucie ulgi, jakby ktoś odkręcił kurek.

Wrócił dwadzieścia minut później. Siedziałam akurat przy biurku i podłączałam laptopa do listwy zasilającej, kiedy usłyszałam odgłos wsuwania klucza do mojego zamka i kilka sekund później drzwi pokoju otworzyły się gwałtownie.

– O ja cię chrzanię! – rzucił. – A ja tak chciałem być w domu, kiedy wrócisz.

Objął mnie niezdarnie – to znaczy ja uznałam, że niezdarnie – po czym zaczął mnie bombardować pytaniami na temat wyprawy do Hiszpanii.

Zdziwiłam się, gdy dotarło do mnie, że właściwie to nawet chciałam porozmawiać na ten temat, dlatego wyszliśmy usiąść na zewnątrz. Jonty lubił korzystać z „prywatnego” tarasu na dachu; znalazł w jakimś kontenerze na gabarytowe śmieci dwa krzesła i ustawił je tam, na garbatym asfalcie. Z początku nie miałam ochoty wychodzić na taras, ale okazało się, że jest przyjemniej, niż się spodziewałam. Widok rozciąga się poza śmietnisko na dole; widać ogród na tyłach domu sąsiada, niemal w całości zajęty przez wielką trampolinę, a także balkony mieszkań w domach naprzeciwko, niektóre ozdobione donicami z kwiatami. W każdym razie usiedliśmy i opowiedziałam mu o swojej wyprawie – o wszystkim, wyjąwszy epizod z Synth, mamą i policją.

Od tamtego czasu minęły dwa miesiące. Siedzę tu teraz wpatrzona w ekran i staram się skupić. Jonty wałęsa się po mieszkaniu – właśnie słyszałam, że spuścił wodę w toalecie – i próbuje mi nie przeszkadzać, ale podejrzewam, że jest pijany. Wczoraj dokonałam ważnego odkrycia, ale moje myśli i tak błakają się w stronę rzeczy kompletnie nieważnych. Jak było na imprezie? Dlaczego ludzie się upijają, skoro wtedy zachowują się jak idioci i następnego dnia czują się okropnie? Jak by to było, gdybym poszła na jakąś imprezę razem z Jontym?

Kusi mnie, żeby wyjść z pokoju i zapytać o jego wieczór, a także powiedzieć, co dzisiaj odkryłam. Na pewno by go to zainteresowało, skoro śledził całą historię aż do tego punktu. Ale w mieszkaniu jest teraz tak cicho. Jonty prawdopodobnie padł na łóżko i zasnął, ubrany od stóp do głów. Mam nadzieję, że pamiętał o zdjęciu kartonu z głowy.

Wracając do rzeczy – otóż znalazłam odpowiedź na pytanie, które mnie nurtowało od jakiegoś czasu. A właściwie to odpowiedź na dwa pytania: gdzie Tess i Adrian się poznali i gdzie była Tess podczas tamtych brakujących trzech miesięcy w pierwszej połowie 2008 roku. Tyle że odpowiedź na oba pytania jest taka sama – Zetland Centre, klinika psychiatryczna w zachodnim Londynie, kolokwialnie nazywana „the Zetty”.

Gdybym wcześniej nie usłyszała tej nazwy, pewnie nigdy nie doszłabym do prawdy. Od czasu powrotu do domu nie poczyniłam większych postępów w swoim śledztwie, ale tego wieczoru dostałam od Google’a powiadomienie w związku z Adrianem i znalazłam coś interesującego. W wywiadzie do



gazety pewien mężczyzna twierdził, że swego czasu dzielił pokój w jakiejś klinice ze „zdegenerowanym drapieżnikiem internetowym”, Adrianem Dervishem. Tyle że wtedy on nazywał się inaczej; przedstawiał się jako Stuart Walls. I podobno wcale nie miał amerykańskiego akcentu. Powiedział temu człowiekowi, że pochodzi z Worcester, czyli z centrum Anglii.

Stuart Walls z Worcester. Mogłam zrozumieć, dlaczego posługiwał się pseudonimem przy prowadzeniu Czerwonej Pigułki, ale dlaczego przybrał także inną narodowość? Wyglądało to na niepotrzebne ryzyko, bo ktoś, kto wiedział wiele o odmianach amerykańskiego akcentu, mógł posłuchać jego podkastów i wykryć fałszywą nutę w tym, co mówił.

Być może tu właśnie chodziło o ryzyko.

W każdym razie mężczyzna udzielający wywiadu powiedział, że Adrian po całych nocach snuł swoje plany dominacji nad światem, że nigdy nie zmieniał bluzy i że nazywał klinikę „the Zetty”.

Nazwa bardzo słabo skojarzyła mi się z Tess. Przeszukałam swoje notatki i odkryłam, że w 2008 roku pojawiła się w jej mailach. Wcześniej nie byłam w stanie dojść, do czego się ten termin odnosi, a kiedy zapytałam Tess podczas którejś z naszych sesji na Skypie, powiedziała, że nie pamięta, dlatego więc uznałam to za sprawę niskiego priorytetu i odłożyłam ją na bok. Zgadywałam po prostu, że to przydomek jednego z chłopaków, z którymi była krótko, względnie jakiegoś znajomego. Bo rozumiecie, robiła tak czasami – to znaczy stawiała rodzajnik „the” przed czymś imieniem bez żadnego powodu. A może the Jack mógłby robić didżejkę? Może go spytamy?, pisała na przykład, albo: Takich pierdół mógłby nagadać tylko the Big Mel. Niepotrzebny rodzajnik określony – to był jeden z jej nawyków.

Tak więc teraz moja teoria jest taka: po próbie samobójczej na początku 2008 roku Tess została przyjęta, może dobrowolnie, a może na innych zasadach, do kliniki Zetland, gdzie przebywała około dziesięciu tygodni. I właśnie w tym czasie poznała Adriana, który też był tam pacjentem. Zachowali kontakt – podejrzewam, że telefoniczny, bo nigdy nie znalazłam żadnych maili – i trzy lata później, kiedy Adrian prowadził już Czerwoną Pigułkę, Tess poprosiła go o pomoc w odebraniu sobie życia. Albo może on

jej to zaproponował. Może ci inni ludzie, na przykład „Mark” Randalla Howarda, też tam poznali Adriana.

Oczywiście potrafię zrozumieć, dlaczego Adrian nie chciał, żebym się dowiedziała o „the Zetty” – ale Tess? Nie była raczej skryta i z własnej woli opowiadała mi o próbach samobójczych, załamaniach i nieprzyjemnych schadzках o charakterze seksualnym. Dlaczego się nie przyznała, że była w tej klinice? Jakoś nie wierzę, że autentycznie zapomniała. Albo może zapomniała. Może był to jakiś szczególnie zły okres i zablokowała go w pamięci. Podejrzewam, że nigdy się tego nie dowiem.

Dotąd nie znaleźli Adriana. I mówiąc uczciwie, moje zainteresowanie jego miejscem pobytu blednie powoli. Ostatni raz myślałam o tym porządnie dobry miesiąc temu, a bodźcem było coś, co powiedział Jonty. Wrócił z kolacji ze swoją siostrą i jej nowym chłopakiem, który mówiąc słowami Jonty’ego, był maniakiem teorii spiskowych. „Głędził bez końca o tym, że to Obama stoi za tym całym kryzysem bankowym, że to wszystko to była operacja pod przykrywką”, powiedział. „Miałem ochotę wsadzić łeb do kuskusu”.

Przypomniała mi się pewna uwaga, którą Adrian rzucił od niechcienia podczas naszego spotkania w Heath, o tym, jakie to byłoby łatwe wymyślić teorię spiskową o Obamie i bankach. Zaciekawilo mnie to do tego stopnia, że wpisałam to do Google’a i faktycznie wyrzuciło mi stronę poświęconą tego typu myśleniu.

„W 2008 roku doszło do dwóch doniosłych zdarzeń. Barack Obama został najpotężniejszym człowiekiem na świecie, a gospodarka globalna doznała załamania. Zbieg okoliczności? Czyżby?...”

Cała strona była niewiele lepsza od pospiesznie skleconej strony domowej i poza anonimowym adresem mailowym nie znalazłam żadnych danych osoby, która ją firmowała. Oczywiście nie byłoby to zaskakujące, gdyby tą osobą okazał się Adrian. Jediną potencjalną wskazówką był cytat zamieszczony na dole strony – „Pytanie nie brzmi: Kto mi na to pozwoli, a raczej: Kto mnie powstrzyma” – autorstwa Ayn Rand, idolki Adriana. Ale raczej nie jest to konkluzyny dowód. I nawet gdybym miała pewność, że właśnie Adrian jest autorem tej strony, to i tak nie powiedziałabym policji.

Nie chcę mieć więcej nic z nim wspólnego, ale nie chcę też pomagać w jego znalezieniu.

Media stawiały Adrianowi najrozmaitsze diagnozy – że to „narcystyczny psychopata” albo że ma „osobowość dyssocjalną”. Uznałam, że to drugie nie brzmi aż tak źle – że właściwie to brzmi jak coś, co mam również ja – ale sprawdziłam to pojęcie i wyszło mi, że jest to zaburzenie dość poważne. „Utrzymujący się wzorzec braku poszanowania i naruszania praw innych ludzi”.

Adrian odrzuciłby tego typu szufladkowanie. Nie wierzył w choroby psychiczne. Mówił na ten temat w kilku swoich podcastach: lekarze, twierdził, przekształcają doskonale normalne reakcje wobec życia w patologie, ponieważ chcą zarabiać pieniądze i sprawować kontrolę nad niesfornymi członkami społeczeństwa. Wysłuchałam uważnie jego argumentów i też się pod nimi podpisałam. Było nie było, właśnie dlatego pomagałam Tess: ponieważ uwierzyłam, że jej pragnienie odebrania sobie życia jest uczuciem jak najbardziej podstawnym, którego nie należy wypierać ani tłamsić lekami.

Ale z kolei wtedy wierzyłam, że Adrian jest racjonalny. I w tym sęk. Gdybym wiedziała, że zdiagnozowano u niego chorobę psychiczną, zanim mi powiedział, że nie istnieje coś takiego jak choroba psychiczna, to czy słuchałabym go z takim samym nastawieniem?

Przypuszczam, że nigdy nie będę tego wiedziała z całą pewnością. Wiem natomiast, że nie żałuję tego, co zrobiłam. Wprawdzie to Adrian mnie we wszystko wciągnął, ale podczas tych tygodni przygotowań przed „wymeldowaniem” byłyśmy tylko ja i Tess. Marion potraktowała mnie z pogardą, ale ja naprawdę wierzę, że poznałam Tess lepiej niż ktokolwiek inny na świecie, i jeśli nie liczyć tego jednego wypełnionego strachem, zrozumiałego momentu na Skypie tamtego wieczoru, Tess ani na chwilę się nie ugięła w swym od dawien dawna odczuwanym pragnieniu, by zniknąć z tego świata. I ja jej pomogłam to osiągnąć.

Co nie znaczy, że sprawa z Tess wreszcie się rozwiązała, albo raczej może się rozwiązała, ale nie w taki sposób, jak to zaplanowałam, kiedy zaczęłam pisać ten tekst w Hiszpanii. Nadal nie posiadam lepszej wiedzy na

temat tego, co robiła po „wymeldowaniu się”, niż wtedy, gdy w sierpniu wysiadałam z samolotu w Maladze. Jej ciało jeszcze nie zostało odnalezione. Za to opracowałam, jak mi się zdaje, całkiem niezłą teorię.

Ale uprzedzam samą siebie. Przede wszystkim muszę wyjaśnić, co się zdarzyło ze mną w Hiszpanii i dlaczego wyjechałam z komuny tak nagle.

W środę rano drzemałam pod drzewem, kiedy po raz pierwszy z takiego bliska usłyszałam, że ktoś mówi po hiszpańsku, a potem po angielsku. Poczułam czyjąś dłoń na ramieniu, dłoń, która mną potrząsała, żeby mnie obudzić. Jeszcze nie do końca przytomna pomyślałam, że to Milo, ale ta dłoń była znacznie cięższa i bardziej natarczywa, więc otworzyłam oczy i zobaczyłam stojącego nade mną mężczyznę. Słońce świeciło za nim, więc z początku nie zauważyłam, że jest ubrany w mundur, i najpierw uznałam, że to ktoś z komuny, być może przysłany przez tę irytującą kobietę, która stale gadała na mój temat, że nie korzystam z oficjalnej toalety.

I nagle ten mężczyzna powiedział po angielsku, acz z silnym obcym akcentem:

– Proszę wstać.

Usiadłam i zobaczyłam, że jest tam jeszcze jeden mężczyzna, stojący z boku, i że obaj są ubrani w mundury policyjne. Byłam wciąż odurzona snem, dlatego pomyślałam sobie, że moje sprawozdanie ze sprawy Tess jakimś sposobem przesączyło się do prawdziwego życia. Ostatecznie dotarłam do tego miejsca w całej historii, kiedy znalazłam się na londyńskim posterunku: pisząc o policjantach, być może jakoś ich wyczarowałam w rzeczywistości. Nie wiedzieć jak, dowiedzieli się, że przyjechałam do komuny, i byli tu teraz, bo chcieli mi przekazać, że ciało Tess zostało odnalezione.

Wstałam. Obaj byli rośli i umięśnieni, na nosach mieli okulary słoneczne i pocili się w tych swoich mundurach. Za nimi stał wóz policyjny, a obok niego zauważyłam prostokąt spłaszczonej trawy, gdzie dotąd stał van Annie. Jeden z policjantów kazał mi przeliterować swoje nazwisko, a potem mnie poinformował, że jestem aresztowana z powodu podejrzenia o zamordowanie matki.

Tak się czując, jakbym jeszcze nie do końca była przytomna, usiadłam na tylnym fotelu wozu. O dziwo, nie byłam wcale zdenerwowana. Dojechaliśmy

do drogi i w końcu do miasteczka. Mężczyźni nic nie mówili, ani do siebie, ani do mnie, i tylko co jakiś czas z ich radia wybuchał nagły potok hiszpańskich słów. Kiedy dotarliśmy do plastikowych cieplarni, przypomniało mi się, że zostawiłam swój namiot i rzeczy, i zastanawiałam się, co się teraz z nimi stanie. Może się to wydać dziwne, ale oprócz tego nie myślałam ani nie czułam nic podczas jazdy. Jakby mój mózg był teraz offline. Klimatyzacja pracowała na pełen regulator i w wozie panował rozkoszny chłód. Fotel był obity popękany plastikiem, ale i tak przez cały ten tydzień w Hiszpanii ani razu nie czułam się równie komfortowo.

Na posterunku zostałam zaprowadzona do jakiegoś pomieszczenia udekorowanego ponaddzieranymi plakatami ostrzegającymi przed złodziejami i naganiaczami zachwalającymi timesharing. A poza tym wewnątrz było takie samo jak na Fleet Street – stół, cztery krzesła oraz magnetofon, jeszcze bardziej zdezelowany niż tamten w Londynie.

Głos policjanta, kiedy definiował oskarżenie i odczytywał mi moje prawa, brzmiał beznamiętnie, jakby ta sprawa była równie mało ważna jak kradzież torebki. Miałam prawo do anglojęzycznego adwokata, czy jakiegoś znam? Dopiero gdy powtórzył pytanie, znalazłam w sobie siły, by potrząsnąć przecząco głową. Czy chcę, żeby mi takiego poszukali? Przytaknęłam.

Powiedziano mi, że mogę wykonać telefon, i pokazano aparat z plastikową obudową stojący w kącie pomieszczenia. Problem polegał na tym, że nie wiedziałam, do kogo zadzwonić. Do głowy przyszedł mi tylko Jonty, ale nie miałam przy sobie numeru jego komórki. Dlatego wykręciłam jedyny numer, jaki znałam na pamięć, to znaczy numer naszego telefonu stacjonarnego przy Leverton Street. Odebrał jakiś mężczyzna, prawdopodobnie ten sam, któremu sprzedałyśmy dom. „Tak? Kto mówi?”, powiedział, a kiedy się nie odezwałam, zaklął i odłożył słuchawkę.

Wróciłam na krzesło. Jeden z policjantów wyszedł z pokoju, pewnie po to, żeby poszukać dla mnie adwokata; drugi siedział przy drzwiach, tak mało się ruszając, że pewnie najzwyczajniej w świecie spał za tymi okularami słonecznymi. Popatrzyłam na plakaty na ścianach, z kreskówkami ostrzegającymi przed przestępstwami popełnianymi przeciwko turystom – na jednym z nich była torebka przewieszona przez oparcie krzesła i przekreślona czerwoną kreską – i pomyślałam, że zanim ludzie je zobaczą, tu na

posterunku, z całą pewnością jest za późno, żeby skorzystać z tej rady.

Zagapiłam się na słowa: **BĄDŹ CZUJNY!** i pomyślałam o rozpląszczonej trawie w miejscu, gdzie przedtem stał van Annie. Nie byłam nią rozczarowana, że doniosła na mnie policji, tylko raczej sobą i swoim niewłaściwym osądem. Zupełnie się z nią pomyliłam. „Rozumiem”, powiedziała, ale tak naprawdę wcale nie rozumiała. Tak jak Connor, który mówił „Kocham cię”, a wcale tak naprawdę nie kochał. Do tej pory powinnam była już wiedzieć, że ludzie nie zawsze myślą to, co mówią.

Kiedy porozwazałam słowo „morderstwo” i to, że przypisano je temu, co zrobiłam swojej mamie, stwierdziłam, że jest to tak śmieszne, że omal nie zaczęłam się śmiać.

A potem nagle bardzo się przestraszyłam. Nie chciałam, żeby mnie zamknęli. To akurat wiedziałam z absolutną pewnością. Kiedy szłam na posterunek policji w Londynie, myślałam o więzieniu z przyjemnością, ale teraz było inaczej. Ta myśl sprawiła, że poczułam zalewającą mnie panikę; zerknęłam na znieruchomiałego policjanta i przez jedną szaloną chwilę zastanawiałam się, czy nie uciec.

Po części czułam, że jeśli wytłumaczę to wszystko, to oni zrozumieją – bo kto by tego nie rozumiał? – ale nie byłam naiwna. Od śmierci mamy śledziłam doniesienia z procesów z oskarżenia o eutanazję i wiedziałam, że jedni sędziowie są empatyczni i okazują wyrozumiałość, ale inni wcale nie. Fakt, że mama nie była członkiem żadnej organizacji popierającej prawo do umierania i nigdy publicznie nie zdefiniowała swojej woli, działałby na moją niekorzyść, podobnie jak fakt, że byłam jedyną spadkobierczynią jej majątku.

Nagle zatęskniłam za mamą tak bardzo, że aż mi odebrało oddech. Wyobraziłam sobie, że drzwi się otwierają i że ona wbiega do środka, by mnie uratować. Przytuliłaby mnie i zajęłaby się mną, tak jak ja kiedyś zajmowałam się nią. Wybuchłybyśmy śmiechem; to wszystko to była jakaś straszna pomyłka, ona jest zdrowa i ma się znakomicie, obie znów mieszkamy na Leverton Street, ja siedzę przy stole, a ona podryguje do muzyki z Radio 2, jednocześnie coś gotując. Byłam bezpieczna i kochana, a kiedy znęcali się nade mną w szkole, czekała przy bramie z torbą pączków z cukierni Greggsa i trzymała mnie mocno za rękę, tak jak potem ja trzymałam

ją, kiedy przestała oddychać.

Policjant spojrzał w moją stronę. Ścisnęłam plastikowy stół i głęboko oddychałam, starając się odzyskać panowanie nad sobą. Potem drzwi się otwały i pojawił się w nich tamten drugi policjant. Za nim stał ktoś jeszcze, ale to nie był anglojęzyczny adwokat. To była Annie.

Miała z sobą Mila i niemowlę i była jeszcze bardziej różowa niż zwykle; wilgotne włosy oblepiały jej twarz.

– Dobrze się czujesz? – spytała.

Spojrzałam na nią ze zdumieniem i przytaknęłam.

– Byłam w supermarkecie – powiedziała. – Kiedy wróciłam, nie zobaczyłam ciebie i potem się dowiedziałam, że zabrała cię policja.

Wyjaśniła, że powiedziała jej o tym Synth i że zorientowała się po wyrazie jej twarzy, że to ona ich wezwała. Synth prawdopodobnie podsłuchiwała nas, kiedy rozmawialiśmy przy ognisku.

– Wy tłumaczyłam tym policjantom, że zaszło nieporozumienie – powiedziała. – Synth nie mówi dobrze po angielsku i źle zrozumiała to, co usłyszała. Nie powiedziałaś „zabiłam swoją mamę”, tylko „bałam się o swoją mamę”. Chciałaś powiedzieć, że twoja matka była ciężko chora i bałaś się, że umrze. – Spojrzała mi prosto w oczy. – Powiedziałam, że jesteś gotowa złożyć zeznanie, które to potwierdzi, i że będziesz w pełni współpracowała, podając im szczegóły śmierci matki, dzięki czemu będą mogli skonfrontować je z faktami.

Tylko skinęłam głową. Annie zwróciła się wtedy do policjantów, mówiąc szybkimi, skomplikowanymi zdaniami po hiszpańsku. Nie miałam pojęcia, że mówi tak płynnie.

Annie i ja spędziłyśmy na posterunku jeszcze trzy godziny. Znaleźli dla mnie adwokata mówiącego po angielsku, szczupłą kobietę w średnim wieku, która miała na imię Maria; powtórzyłam wersję Annie. Opowiedziałam im o tej nocy, podczas której umarła mama, pomijając swój udział, i podałam im nazwisko doktora Wahiriego, który przyjechał następnego ranka i podpisał świadectwo zgonu, stwierdzające, że zmarła z powodu komplikacji związanych z SM.

Powiedzieli, że będą musieli zadzwonić do Anglii i sprawdzić tę historię. Kiedy tak czekałyśmy, Annie dostawiła sobie krzesło do mojego. Nie rozmawiałyśmy o bieżących problemach. Annie podtrzymywała ożywioną, wesołą pogawędkę o innych rzeczach, podczas gdy Milo chodził po pomieszczeniu, kopiąc w nogi krzesła. W którymś momencie podała mi niemowlę do potrzymania. Po raz pierwszy w życiu trzymałam takie małe dziecko w ramionach; miało identyczną wagę i temperaturę jak nasz stary kot, Thomas.

Po jakiejś godzinie Annie poszła kupić nam coś do picia i kiedy jej nie było, słyszałam przez drzwi podniesione, gniewne głosy dochodzące z frontowej części komisariatu. Zdenerwowałam się, ale wróciła Annie i powiedziała mi, że ta awantura nie ma nic wspólnego z naszą sprawą. W czasie kiedy zmagala się z automatem, przyprowadzono dwóch mężczyzn oskarżonych o czynną napaść. Podobno była to kłótnia o wodę.

– Z tego, co słyszałam, wynikało, że jeden z nich to farmer – powiedziała. – Podbierał wodę z tych cieplarni stojących blisko nas. Twierdzi, że to jego woda, bo rury przechodzą przez jego ziemię. Wszyscy są tu zrozpaczeni tą suszą.

Wtedy nie zainteresowałam się tym specjalnie, bo moje myśli za bardzo zaprzętało to, że policjanci dzwonią do doktora Wahiriego. Bo widzicie, tamtego ranka, kiedy przyszedł zbadać mamę, a ja mu powiedziałam, że się obudziłam obok niej i zobaczyłam, że ona nie żyje, obdarzył mnie dziwnym spojrzeniem. To spojrzenie było bardzo krótkie, trwało zaledwie ułamek sekundy, ale ja w nim odczytałam to: wiem, co zrobiłaś, i rozumiem. Mogłam jednak równie dobrze źle to zrozumieć i spojrzenie było tak naprawdę podejrzliwe.

Minęło jeszcze pół godziny, a ja coraz bardziej się martwiłam. Dziecko zaczęło płakać, więc Annie podwinęła swój T-shirt i nakarmiła je. Milo też narzekał, więc próbowałam go rozbawić zabawą w mówienie „a kuku!” pomiędzy rozcapierzonymi palcami, tą samą, którą mama rozbawiała mnie. Trochę to zadziało – naprawdę się roześmiał – ale znowu się znudził i zaczął szarpać matkę za spódnickę.

A potem usłyszałyśmy odgłosy zbliżających się kroków. Annie, dzięki



Bogu, przestała karmić, drzwi się otworzyły i do środka wszedł ten starszy policjant. Zwrócił się po hiszpańsku do Annie, która skinęła głową. Nie umiałam odczytać z wyrazu jej twarzy, co takiego powiedział. Serce podeszło mi do gardła.

Annie obróciła się w moją stronę i wyjaśniła:

– Doktor Wahiri potwierdził, że zgon był naturalny. Oskarżenie przeciwko tobie zostało oparte na pogłoskach i nie ma żadnych innych dowodów, dlatego możemy już iść.

Było ciemno, kiedy wracałyśmy do komuny. Annie zapytała, co teraz mam zamiar zrobić.

– Chyba powinnam pojechać do domu – odparłam.

Wczesnym rankiem następnego dnia spakowałam namiot i Annie odwiozła mnie na lotnisko. Nie rozmawiałyśmy wiele podczas jazdy, ale nie było to krępujące milczenie. Na lotnisku zaparkowała krzywo, blokując pas dla taksówek. Pożegnałam się z Milem, a potem powiedziałam do niej:

– Bardzo ci dziękuję.

Zbyła to machnięciem ręki.

– Niech ci tam sprzyja szczęście. – A potem, kiedy już zapuściła silnik, a ja ruszyłam w stronę wejścia na lotnisko, zawołała jeszcze: – Jestem na Facebooku, odszukaj mnie!

Trzy dni temu zdarzyło się coś interesującego.

Od czasu mojego powrotu z Hiszpanii Annie kilkakrotnie pisała do mnie na Facebooku – takie gawędziarskie, niezobowiązujące opowieści o niej i Milu, a także zaproszenie na wystawę ręcznych wyrobów z drewna, którą pomagała organizować w Connecticut. Odesłałam jej poddaną recyklingowi odpowiedź, którą Tess posłała Connorowi po jego zaproszeniu na kolację: Świetny pomysł, ale nie aż tak świetny, żeby wyprawiać się w podróż liczącą 10 000 mil w obie strony.

Ale ta ostatnia wiadomość od Annie zawierała kilka istotnych informacji.

Słyszałaś, że na terenie Alpuhary w ogóle nie padało od czasu, kiedy tam byliśmy? Podobno najstarsi mieszkańcy nie pamiętają gorszej suszy. Rzeka całkiem wyschła i doszło do zamieszek między farmerami a agrobiznesem. Ja ze swojej strony martwię się o dzikie zwierzęta.

Sprawdziłam strony z wiadomościami z Hiszpanii i znalazłam potwierdzenie, że w tym regionie panuje susza. Kiedy to robiłam, w oko wpadł mi pewien drobiazg. Była to wzmianka o tym, że w odległości czterech mil od komuny, w wyschniętym korycie rzeki znaleziono kobiecy szkielet.

Siedziałam bez ruchu i rozmyślałam przez kilka minut, aż wreszcie laptop mnie wylogował.

Któregoś razu podczas rozmowy telefonicznej Tess wspomniała o topieniu się. Oglądała świeżo film o jakiejś pisarce, która nazywała się Virginia Woolf i popełniła samobójstwo w ten sposób, że weszła do rzeki z kamieniami w kieszeniach. „To podobno najlepszy sposób na pożegnanie się z życiem”, powiedziała Tess. „Z początku walczysz i panikujesz, ale kiedy już tracisz cały tlen, poddajesz się, a potem robi ci się błogo, i to jest ostatnia rzecz, jaką czujesz”.

Oczywiście to wcale nie musiała być ona. Szkielet mógł tam leżeć od lat. To mogła być jakaś kobieta, która tamtędy po prostu szła i zgubiła się od tego upału, to mogła być ofiara morderstwa, inna samobójczyni. Mogła to być nielegalna imigrantka, która pracowała w cieplarniach, ktoś, za kim nikt nigdy nie będzie tęsknił.

Ale też mogła to być ona. Scenariusz nabrał kształtów. W dniu swojego „wymeldowania” wsiadła na prom do Bilbao i stamtąd albo autostopem, albo pociągiem dotarła do komuny. Tam spędziła tydzień, potem pojechała zwiedzić Alhambrę w Grenadzie – „Zobaczyć Alhambrę i umrzeć!”, przeczytałam na jednej stronie w Internecie – aż wreszcie stwierdziła, że jest pewna swojej decyzji i gotowa przystąpić do działania. Jeszcze tego samego wieczoru udała się nad rzekę i po zdjęciu ubrania weszła do wody. Być może zaczekała, aż zapadnie zmrok.

Takie zniknięcie zgadzałoby się z romantyczną naturą Tess, pomyślałam.

Wyobraziłam ją sobie w świetle księżyca; prawdopodobnie zabrałaby z sobą jakiś alkohol – może butelkę tequili. Wyobraziłam ją sobie, jak podczas tych ostatnich chwil wsłuchuje się w cykanie świerszczy wśród drzew.

Po dwóch dniach deliberowania napisałam maila do Marion. Opowiedziałam jej o podróży do Hiszpanii i tym, co tam odkryłam, zreferowałam też swoje myśli o śmierci przez utopienie się. Pozostawiłam jej decyzję, czy chce badać sprawę głębiej. Nie odpisała, ale ani trochę się nie spodziewałam, że to zrobi.

Właściwie to jestem zadowolona. Nie chcę wiedzieć, czy znaleźli ciało Tess, bo to by zepsuło tę drugą możliwość: że ona wciąż żyje. Może podczas tego tygodnia spędzonego w komunie stwierdziła, że jednak nie chce odbierać sobie życia. Może uznała, że teraz, kiedy pozbyła się dawnej tożsamości, życie stanie się znośne. Mogła zupełnie się zmienić, zacząć na nowo jako inny człowiek i tym razem żyć, jak należy.

Może po opuszczeniu komuny po prostu pojechała autostopem do jakiejś innej i jest tam teraz, siedzi przy innym ognisku, robi coś z piórek i sznurka, dyskutuje na temat cen chleba z Australijką o mysich włosach. Może się zakochała w jakimś mężczyźnie i teraz wałęsa się z nim po kraju, w jego wozie turystycznym. Albo może opuściła Hiszpanię na dobre; poszła w Grenadzie do jakiegoś baru i poprosiła jakiegoś podejrzanego typu, żeby jej załatwił fałszywy paszport, a potem udała się w dowolną stronę świata.

Może nazywa się teraz Ava Root i jest moją znajomą na Facebooku.

Ta myśl przyszła mi do głowy kilka dni temu. Jak wiecie, zakładałam, że Ava Root to Adrian używający aliasu, żebyśmy mogli niezauważenie komunikować się w sprawie projektu „Tess”. Kiedy na Czerwonej Pigułce wszystko się posypało, wysłałam wiadomość z pytaniem, gdzie on jest i co się z nim dzieje, ale nie otrzymałam odpowiedzi i taki był koniec naszych kontaktów.

Ale w ubiegłą niedzielę zamieściłam na Facebooku kilka zdjęć zrobionych dzień wcześniej, kiedy razem z Jontym i jego znajomymi poszliśmy się przejść po parku Brockwell. Park wyglądał szalenie atrakcyjnie, ponieważ wszędzie leżały grube warstwy kolorowych, jesiennych liści, i na jednym ze zdjęć Saskia, koleżanka Jonty’ego, rzucała

we mnie pełnymi garściami tych liści. Nie miałam nic przeciwko – to był przyjazny gest i obie uśmiechamy się na zdjęciu.

Kilku moich znajomych z Facebooka dało lajki temu zdjęciu – Jonty, Saskia i jedna dziewczyna ze szkoły teatralnej Jonty’ego, Betts. A wczoraj zauważyłam, że doszedł jeszcze jeden lajk. Od Avy Root.

Oczywiście mógł to być Adrian. Podejrzewam jednak, że dawanie lajka pod zdjęciem, na którym ktoś mnie obsypuje liśćmi w parku w południowym Londynie, to raczej nie byłby jeden z jego priorytetów.

Tak więc być może cały ten czas to Tess była Avą Root. Może postanowiła się nie zabijać i kiedy już rozgościła się w swoim nowym życiu, nie potrafiła się oprzeć i postanowiła nawiązać kontakt. Może się nudziła i chciała igrać z ogniem; może tylko chciała sprawdzić, czy u mnie wszystko w porządku. A kiedy zrozumiała, że mi się wydaje, że jest Adrianem i dlatego opowiadam jej ze szczegółami, jak mi idzie z projektem – co u jej znajomych i rodziny, co się dzieje w jej nowym życiu w Sointuli – cóż, nie winię jej, że nie odpuściła. Nie mogła się powstrzymać i chciała to wszystko wiedzieć.

Jeżeli Ava Root nie była Adrianem, z pewnością tłumaczyłoby to jego dziwną postawę w stosunku do mnie, kiedy spotkaliśmy się w Westfield w którymś kolejnym miesiącu trwania projektu. To nie było tak, że po tych kilku troskliwych wiadomościach nagle przestał się interesować mną i Tess, tylko stracił zainteresowanie dużo wcześniej; prawdopodobnie zaraz po tym, jak Tess „się wymeldowała”. Wyczytałam, że „tendencje do nudzenia się” to jeden z głównych objawów psychopatii.

Profil Avy Root jest nadal zupełnie pusty i wciąż jestem jej jedyną znajomą. Zastanawiam się, czy nie napisać do niej wiadomości i nie zapytać otwarcie, czy ona to Tess, ale instynkt mi podpowiada, że byłby to zły pomysł, bo już nigdy więcej by się do mnie nie odezwała. Chyba zacznę akceptować to, że życie nie jest czarno-białe, że nie ma odpowiedzi na każde pytanie. Są takie obszary, które zawsze pozostaną szare, i być może nie ma w tym nic złego.

Mam też kilkoro nowych znajomych na Facebooku: jest ich już teraz dziewięćdziesięciu siedmiu. Są to głównie znajomi Jonty’ego, których

poznałam, kiedy przyszli do mieszkania. Tą najnowszą osobą jest Tia z jego szkoły teatralnej. Nawet sympatyczna. Dwa dni temu byłam razem z nią i Jontym w pubie nad rzeką i spędziłam całkiem przyjemną godzinę, popijając nalewkę z czarnego bzu i słuchając narzekań na los adeptów sztuki aktorskiej w Londynie. Tia powiedziała mi, że bierze zlecenia na tymczasowe prace w biurach od agencji, która pozwala pracować, ile się chce, i brać wolne z krótkim wyprzedzeniem, jeśli trafi się coś innego, na przykład przesłuchanie do roli.

– Nie jest to zachwycająca praca – powiedziała – ale daje ci możliwość robienia innych rzeczy. Zatrudniają głównie aktorów, ale jestem pewna, że ciebie też by przyjęli.

– Och, jestem pewien, że Leila mogłaby robić za aktorkę – stwierdził Jonty i puścił do mnie oko.

Tia przesłała mi esemesem ich numer i umówiłam się z nimi na rozmowę w przyszłym tygodniu. Kobieta rozmawiająca ze mną przez telefon myślała, że się przesłyszała, kiedy jej powiedziałam, że potrafię wystukać dziewięćdziesiąt słów na minutę.

Jonty w międzyczasie zrezygnował z aktorstwa. Powiedział, że „świat akurat najmniej potrzebuje kolejnego beznadziejnego, bezrobotnego aktorzyzny”. Postanowił iść na kurs dla przewodników po Londynie, to znaczy tych, którzy pływają na łodziach kursujących w górę i w dół Tamizy. Zabrał mnie na wycieczkę po mieście z okazji moich urodzin. Byłam zadowolona z decyzji, by nadal nosić krótkie włosy, bo miejscami łódź płynęła dość prędko i pasażerowie z długimi włosami musieli zмагаć się z wiatrem.

Jonty nie prowadził tej wycieczki osobiście, bo jeszcze się uczy, ale stale dodawał własne komentarze do tego oficjalnego. „Biedna, stara Cannon Street, najnudniejszy z mostów na Tamizie”, a kiedy mijaliśmy jakiś teatr na lewym brzegu, rzucił: „Właśnie zrozumiałem – skoro nie zamierzam zostawać aktorem, to wcale nie muszę przez cztery godziny oglądać Szekspira na stojąco w Globe. Sama korzyść!”. Z kolei przy London Eye powiedział: „Kiedy tam byłem, jeden dzieciak wymiotował w kapsule. Najgorsze czterdzieści pięć minut w moim życiu”. I tak gadał, i gadał.

Najwyraźniej miał doświadczenia związane z każdym ważnym obiektem, jaki oglądaliśmy po drodze: jego własna, osobista wycieczka po Londynie.

Łódź płynęła w stronę budynków Parlamentu i po drodze mijaliśmy miejsce, gdzie stałam tamtego dnia, gdy doszło do mojej konfrontacji z Connorem, tuż przed tym, jak poszłam na policję. Zerknęłam w tamtą stronę i pomyślałam: Tu mogłabym dorzucić własny komentarz. Przez chwilę zastanawiałam się, czy nie opowiedzieć Jonty'emu o Connorze, ale postanowiłam, że jednak nie. To zbyt skomplikowane, nie da się tego wyjaśnić. Poza tym mamy teraz mnóstwo innych tematów do rozmów.